

Sharon Sala

GROM

1

Z chwilą narodzin uczymy się wsłuchiwać w głos matki, gdyż wyczuwamy intuicyjnie, że wiąże się z nim wszystko, co dobre. Matka zaspokoi nasz głód i usunie ból. W taki oto sposób zaczynamy poznawać, co to miłość. Niestety, niektórym dzieciom pierwsze zasłyszane głosy nie niosą radości. Uderzenie matczynej ręki kojarzy się im z głodem i bólem. Głębia nieszczęścia matki odbija się echem w postaci dojmującego krzyku jej dziecka. W taki oto sposób zaczynamy poznawać, co to strach. Są także dzieci, które nigdy nie słyszały własnej matki. Nie koł ich w ciemnościach nocy żaden miękki głos, rozpraszając obawy i lęki. W taki oto sposób dzieci te dowiadują się, że nikomu na nich nie zależy. Niniejszą książkę dedykuję tym wszystkim, którzy poświęcają życie służbie dziecku. Bez względu na to, czy jesteś matką, innym członkiem rodziny lub pracownikiem opieki społecznej, czy też po prostu tylko dobrą sąsiadką, za to, że opiekujesz się tymi, którzy nie mogą o siebie zadbać, znajdziesz zawsze uznanie w oczach Boga.

PODZIĘKOWANIA

Na wstępie pragnę poinformować czytelników, że książka ta nie jest opisem autentycznych zdarzeń. I aczkolwiek w dziedzinie leczenia hipnozą nastąpił znaczny postęp, sytuacja, jaką stworzyłam w mojej powieści, jest całkowicie fikcyjna. Mam nadzieję, że pewnego dnia stanie się, ona rzeczywistością, ale jak na razie całkowite uzdrowienie w drodze hipnozy znajduje się jeszcze w sferze naszych pobożnych życzeń. W tym miejscu pragnę podziękować Johnowi Lehmanowi, duszpasterzowi kwaków, a zarazem licencjonowanemu hipnoterapeucie i konsultantowi do spraw rodziny, za wspaiałomyślną pomoc w opisanu niektórych zagadnień poruszonych w tej książce. Wszelkie błady, jakie się w niej znalazły, popełniłam sama, a możliwości hipnoterapeuty poszerzyłam tylko i wyłącznie po to, aby wzmóc zainteresowanie czytelników.

PROLOG

Rok 1979, północna część stanu Nowy Jork

Edward Fontaine stał w drzwiach, obserwując dzieci na placu zabaw i równocześnie niepewny stan pogody. Jako dyrektor małej, prywatnej szkoły im. Montgomery'ego miał obowiązek nie tylko sprawować nadzór nad rozkładem codziennych zajęć, lecz także dbać o dobre samopoczucie i bezpieczeństwo uczniów.

Wprawdzie nauczyciele wykonywali swe obowiązki dobrze, starannie doglądając bawiących się dzieci, ale on sam miał najlepsze pole widzenia. Stojąc wyżej, u szczytu schodów, ogarniał wzrokiem wszystko. W pewnej chwili poczuł silniejszy powiew wiatru. Uniósł twarz. Jasne, pierzaste obłoki, które do tej pory pokrywały niebo, szybko ustępowały miejsca wielkiej i ciemnej chmurze. Mimo że czas przeznaczony na zabawę jeszcze nie upłynął, Edward Fontaine nie zamierzał podejmować zbędnego ryzyka i czekać, aż nadchodząca burza zagrozi któremuś z dzieci. Szybkim krokiem zawrócił do swego gabinetu i

zaczął raz po raz pociągać za dzwonek.

Donośny dźwięk gongu odbił się echem w szkolnym budynku i na terenie zabaw.

Chwilę później do uszu Edwarda Fontaine'a dobiegły gromkie okrzyki uczniów świadczące o ich niezadowoleniu z powodu przerwania dobrej zabawy.

Opuścił gabinet. Gdy znalazł się ponownie u szczytu schodów, po niebie przetoczył się pierwszy grom. Był tak silny, że zadrżały szyby. Nauczyciele w pośpiechu zaganiali uczniów do szkolnego budynku.

- Szybciej! Szybciej! - przywoływał Edward Fontaine najmłodsze dzieci, znajdujące się w odległej części placu zabaw. - Nadchodzi burza, musicie natychmiast wracać!

Kiedy rozległ się pierwszy dzwonek, Yirginia Shapiro i jej najlepsza przyjaciółka, Georgia, znajdowały się na szczycie zjeżdżalni. Sześciolatki nie mogły się zdecydować, czy zejść po schodkach, czy też zjechać po pochylni, narażając się w ten sposób na gniew dyrektora, który mógł posądzić je o to, że zamiast posłuchać polecenia, bawią się nadal.

Kiedy nad głowami dziewczynek rozległ się drugi potężny huk, przerażona Yirginia zaczęła płakać. Georgia wzięła ją za rękę. Nie wiedziała, co robić.

Edward Fontaine dostrzegł z daleka, że dziewczynki są bardzo przestraszone i zagubione. Ruszył po schodach w dół. Po chwili poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu.

- Ruszajcie, dzieci, ruszajcie! - ponaglał dziewczynki, stając u stóp zjeżdżalni. - Nie bójcie się. Zjedźcie Razem wrócimy do szkoły.

Georgia uścisnęła rączkę Yirginii, uśmiechem dodając przyjaciółce otuchy.

- Chodź, Ginny... Zjedziemy razem.

Yirginia skinęła główką i chwilę później obie dziewczynki zsunęły się błyskawicznie po gładkiej, metalowej powierzchni pochylni, wprost w rozpostarte ręce pryncypała.

- Jesteście dzielne - pochwalił małe uczennice, chwytając je szybko za rączki. - A teraz biegnijmy. Założę się, że was wyprzedzę.

Dziarskim okrzykiem oznajmiły, że podejmują współzawodnictwo, wysunęły dłonie z rąk dyrektora i rzuciły się pędem przez plac zabaw w stronę szkoły. Edward Fontaine odetchnął z ulgą. Pobiegł za Georgią i Yirginią, myśląc o tym, że przemoknie do suchej nitki. Znalazłszy się w budynku, w pierwszej chwili nie dostrzegł dziewczynek. Dopiero gdy jego oczy przywykły do mroku wnętrza, zobaczył obie na drugim końcu holu. Szły szybko w stronę ostatniej po lewej stronie sali lekcyjnej.

Dopiero teraz Edward Fontaine przypomniał sobie, że to czwartek, czyli dzień cotygodniowych, dodatkowych zajęć dla siedmiu wybranych uczennic. Ujrzawszy, jak za Georgią i Yirginią zamykają się drzwi, poczuł, jak zawsze, przyływ niepokoju. Oczywiście, nie zamierzał dopuścić, aby tym dzieciom stała się jakaś krzywda. Ale zajęcia te były możliwe dzięki specjalnej subwencji, którą na ich prowadzenie otrzymał, niezbędnej jednocześnie do utrzymania szkoły. Często martwiło go to, że rodzice dzieci nie zdawali sobie sprawy z prawdziwego charakteru dodatkowych zajęć. No cóż, to, co się stało, już się nie odstanie.

Silna fala miotanego wiatrem deszczu uderzyła go po nogach, rozprasząc przykre myśli. Zamknął szybko za sobą frontowe drzwi budynku i udał się do dyrektorskiego gabinetu. Zawsze czekało tam mnóstwo papierkowej roboty.

GROM 10

W ostatniej sali lekcyjnej po lewej stronie holu siedem małych dziewczynek siedziało grzecznie na swoich miejscach, czekając, aż nauczyciel rozpocznie cotygodniowe zajęcia.

Burza za oknami rozszalała się na dobre. Rozległ się następny grzmot. Znowu tak silny, że szyby zadrżały po raz wtóry. Ale małe dziewczynki nie słyszały deszczu uderzającego o okna

ani nie widziały przecinających niebo błyskawic. Ze wzrokiem utkwionym w nauczyciela wsłuchiwały się w dźwięk jego głosu.

Przez cały wieczór, gdy wszyscy uczniowie znajdowali się już, bezpieczni, we własnych domach, nad szkołą im. Montgomery'ego burza szalała nadal. Miotane wichrem drzewa gięły się niemal do ziemi, a gałęzie były pokłony potężnym siłom natury.

Tuż przed północą niebo przecięła gigantyczna błyskawica, a las aż zadrżał od potężnego grzmotu, który uderzył w dach budynku. Posypały się gonty i w jednej chwili

3

szkoła stanęła w płomieniach. Do rana pozostały po niej już tylko zewnętrzne ściany i stos żarzącego się drewna.

Następnego dnia, podchodząc do placu zabaw, Edward Fontaine patrzył z niedowierzaniem na pogorzeliśko. Jego ukochana szkoła przestała istnieć. Nie miał środków, aby ją odbudować i uruchomić ponownie. Zresztą nie widział już także siebie w roli nauczyciela. To, co się stało, złamało mu serce.

Sharon Sala 11

W ciągu tygodnia wszystkich uczniów przeniesiono do innych szkół. Jednych do prywatnych, a innych do publicznych. Siedem małych dziewczynek, które - wybrane starannie spośród innych dzieci - do chwili pożaru szkoły uczestniczyły w dodatkowych zajęciach, skierowano do pierwszych klas w trzech różnych okręgach.

Ich życie potoczyło się dalej zwykłym trybem. Rosły. Każdego wieczoru rodzice kładli je do łóżek całkowicie nieświadomi faktu, że w dziewczęcych główkach tykają bomby zegarowe.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Seattle, stan Washington

- Mamo, jestem głodny. Płose herbatnika.

Dwudziestosiedmioletnia Emily Jackson podniosła głowę znad klawiatury komputera i rzuciła okiem na zegar. Z westchnieniem wstała z krzesła, aby zająć się dwuletnim synkiem. Nic dziwnego, że zdążył zgłodnieć - było już wpół do pierwszej. Pogodzenie roli matki stale opiekującej się dzieckiem i pracującej w domu księgowej nie było tak łatwe, jak sobie to początkowo wyobrażała, mimo że możliwe dzięki komputerowi utrzymywanie ciągłego kontaktu z klientami było dla niej prawdziwym błogosławieństwem.

- Kochanie, poczekaj jeszcze chwilę! - zawołała.

Emily podała dziecku herbatnika o kształcie zwierzątka i posłała mu całusa, biegnąc do kuchni. W lodówce było dużo różnych rzeczy, a chłopczyk jadał już niemal wszystko. Podgrzanie mu czegoś w mikrofalówce zajmie jej tylko krótką chwilę.

Postawiła na szafce butelkę dla dziecka i wyjęte z lodówki trzy różne miseczki z jedzeniem. Kiedy sięgała po czwartą, odezwał się telefon.

- Jak zwykle, nie w porę - mruknęła, sięgając po słuchawkę.

Sharon Sala 13

- Tu Jackson. Tak... Emily - potwierdziła. - Z kim rozmawiam?

Na drugim końcu linii zapanowała na chwilę cisza i zaraz potem Emily usłyszała w słuchawce daleki grom, oznaczający nadchodzącą burzę, i dzwonki. Jeden po drugim, całą sekwencję dźwięków. Zamarła na moment, a kiedy w pełni dotarły do jej świadomości, przestała myśleć o czymkolwiek. Odwróciła się twarzą do ściany, nadal ze słuchawką przy uchu. Zimne powietrze z otwartej lodówki chłodziło od tyłu jej nogi, ale Emily nic nie czuła. Tak jakby w ogóle przestała istnieć.

4

Chwilę później położyła słuchawkę na kuchennym blacie, wzięła pudełko z herbatnikami w kształcie zwierzątek i butelkę z mlekiem dla dziecka. Chwyła synka na ręce i włożyła w milczeniu do łóżeczka, podając mu herbatniki i mleko. A potem odeszła, nawet nie oglądając się za siebie.

Niezwykłe zachowanie się matki sprawiło, że głodne dziecko na chwilę zamilkło.

Emily wyszła przed dom, wsiadła do samochodu i wyprowadziła go z podjazdu. Zdawała się nie dostrzegać sąsiadki, która z drugiej strony ulicy pomachała jej ręką. Kobieta wzruszyła ramionami. Kiedy jednak zamierzała wrócić do przerwanych na chwilę zajęć, zobaczyła, że Emily zostawiła szeroko otwarte frontowe drzwi.

- Och! - szepnęła i szybko przeszła jezdnię, żeby spełnić dobrosąsiedzki obowiązek.

Gdy znalazła się na werandzie domu Jacksonów, zamiast tylko zamknąć drzwi, postanowiła zajrzeć do środka. W saloniku zatrzymała się, podziwiając gustowną kolorystykę wnętrza i miękkie, wygodne meble.

GROM 14

Zrobiła jeszcze dwa kroki i stanęła, zatrzymując wzrok na pięknym widoku, który rozciągał się za drzwiami patio. W tej właśnie chwili od strony sypialni dobiegły ją jakieś dźwięki. Speszyla się. Jak mogła tak po prostu wejść do obcego domu? Przecież to, że Emily wyszła, nie oznaczało, że nikogo tu nie ma. Widocznie Joe, mąż Emily, który był kontrolerem ruchu, miał wolny dzień.

- Joe, Joe! - zawołała. - To ja, Helen. Emily zostawiła otwarte drzwi i przyszedłam, żeby je zamknąć.

Jej słowa pozostały jednak bez odpowiedzi, a od strony sypialni nadal dochodziły jakieś dziwne dźwięki.

- Joe? To ja, Helen. - powtórzyła. - Jesteś ubrany?

Zaskoczył ją donośny okrzyk. Dopiero wtedy pomyślała o dziecku. Sądziła, że chłopczyk pojechał z Emily, ponieważ zwykle zabierała go ze sobą.

Helen ruszyła w stronę holu, pełna obaw, że z któregoś z pokoi wyjrzy zaraz Joe i zapyta, co ona właściwie tu robi. Ale im bardziej wchodziła w głąb mieszkania, tym większego nabierała przekonania, że męża Emily nie ma w domu. m

Gdy znalazła się w dzieciennym pokoju, zaskoczona stanęła jak wryta. Pośrodku łóżeczka siedział dwuletni synek Jacksonów. W jednej ręczce trzymał pudełko herbatników, a w drugiej butelkę z mlekiem.

- Kces? - zapytał, wysuwając pudełko w stronę Helen.

- Mój Boże - szepnęła, wyjmując malca z łóżeczka, Nigdy by nie przypuszczała, że Emily potrafi wyjść z domu, zostawiwszy dziecko bez opieki.

Z chłopcem na rękę obeszła szybko pozostałe pokoje.

Sharon Sala 15

Gdy znalazła się w kuchni, nabrała przeświadczenia, że stało się coś strasznego. Na szafce stały miseczki z jedzeniem. Na kuchennym blacie leżała słuchawka, nie odwieszona na widelki. Drzwi lodówki były szeroko otwarte.

Helen zaczęła odruchowo robić porządek, ale szybko uzmysłowiła sobie, że nie powinna niczego ruszać. Złapała torbę z pieluchami dziecka i ciągle trzymając chłopczyka na rękę, opuściła szybko dom.

Zanim Helen dotarła do siebie z zamiarem niezwłocznego zatelefonowania do Joego do pracy, Emily Jackson znajdowała się już na drodze ku swemu nieuchronnemu przeznaczeniu.

Nie zwracając na nic uwagi, prowadziła samochód zatłoczonymi ulicami Seattle jak szalona. Przejeżdżała skrzyżowania na czerwonym świetle, biorąc zakręty na dwóch kołach. Zanim dotarła do mostu Narrows, ścigały już ją radiowozy, ale policjanci nie zdawali sobie sprawy z tego, że Emily właśnie dociera do miejsca przeznaczenia. Po drugiej stronie mostu czekały na nią inne radiowozy i rozstawiona blokada drogi.

Gdzieś w połowie mostu gwałtownie zahamowała samochód i wysiadła. Zanim zdołał zatrzymać się pierwszy jadący za nią radiowóz, podeszła do murowanej balustrady. Na oczach biegnącego w jej stronę i krzyczącego policjanta, wspięła się na mur i wyprostowała. Potem wszystko działo się jak na zwolnionym filmie.

Ludzie zewsząd krzyčili do Emily, żeby nie skakała z mostu, ale ona, niepomna na żadne wołania, nieobecna duchem, rozpostarła ręce, jakby była ptakiem przygotowującym się do lotu, spojrzała w niebo i skoczyła.

GROM 16

Teraz słyszała już tylko szum wiatru.

Zrobiła, co jej kazano.

Zdumiewająca śmierć Emily Jackson wstrząsnęła mieszkańcami Seattle. Opis tego przerażającego wydarzenia podawały wszystkie media. Przez trzy dni, bo potem zastąpiła go informacja o jakimś innym, równie tragicznym wydarzeniu, których nie brak w życiu tak wielkiego miasta.

Emily pozostawiła zrozpaczonego i niczego nie pojmującego męża, a także małego synka, który wypłakiwał oczki, czekając na mamę, która nigdy nie wróci do domu.

Tydzień później, Amarillo, stan Teksas

Josephine Henley, w barze Haleya nazywana Jo-Jo, właśnie mieszała drinki, gdy Raleigh, barman, zawołał z drugiego końca sali:

- Hej, Jo-Jo, telefon do ciebie.

Na znak, że słyszy, machnęła ręką. Wsunęła do kieszeni napiwek od dwóch niezupełnie trzeźwych kierowców, którzy nie przestawali błagać jej o całusa.

- No, zgódź się, Jo-Jo. Daj jednego buziaka na drogę - prosił Henry.

- Nic z tego - warknęła. - Zapomniałeś, że jesteś żonaty?

- Nie zapomniałem. Ale jestem samotny.

- Nie samotny, ale napalony. A ja nie zamierzam wyświadczać ci przysługi.

- Wobec tego oddaj moje pięć dolarów - śmiejąc się, odpalił kierowca.

Sharon Sala 17

- Nie oddam, bo na nie zarobiłam. A poza tym ułożenie mnie na plecach kosztowałoby cię znacznie więcej.

- Ile? - zapytał, żywo zainteresowany.

- Oj, na to już na pewno nie starczyłoby ci forsy. A teraz daj mi spokój, bo muszę odebrać telefon. Uniknęła uścisku kierowcy i przeszła przez salę.

- Whisky z wodą - rzuciła barmanowi nowe zamówienie, a potem odwróciła się do wiszącego na ścianie telefonu i przyłożyła do ucha zdjętą z widełek słuchawkę.

- Halo? Halo?

Ze względu na panujący na sali hałas nic nie słyszała. Zakryła ręką mikrofon.

- Bądźcie trochę ciszej! - krzyknęła do gości. - Bo nic nie słyszę.

Spróbowała ponownie nawiązać kontakt z telefonicznym rozmówcą.

- Halo? Przy aparacie Josephine Henley.

6

Czekając, usłyszała dziwne odgłosy. Jakby zapowiedź burzy. Jakiś odległy grom.

Odwróciła się szybko w stronę drzwi, usiłując przypomnieć sobie, czy zamknęła okna w samochodzie.

Chwilę później, gdy do uszu Jo-Jo dotarły następne dźwięki, przecinająca jej czoło zmarszczka znikła. Głowa zatoczyła się wokół szyi i opadła w dół. Młoda kobieta wyglądała tak, jakby miała za chwilę zasnąć. Milcząc, stała nieruchomo z zamkniętymi oczyma i opuszczonymi rękoma.

Dostrzegł to Raleigh. Zdziwiło go zachowanie się ruchliwej zazwyczaj kelnerki.

Dotknął jej ramienia.

- Dziecko, czy coś się stało? - spytał zaniepokojony.

GROM 18

Jo-Jo nie odpowiedziała. Wypuściła słuchawkę i usiłowała wyminąć barmana.

- Twoja whisky z wodą - powiedział, wręczając jej tacę z ostatnim zamówieniem.

Odsunęła rękę Raleigha. Taca z głośnym brzękiem upadła na ziemię.

- Co z moim drinkiem? - zawołał z głębi sali jakiś klient.

- Zamknij się - warknął barman. Złapał Jo-Jo za ramię. - Co z tobą? Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Dopiero w tej chwili zobaczył jej twarz i przeraził się na dobre. Potem zeznał, że oczy Jo-Jo wyglądały jak puste.

Skierowała kroki ku wyjściu. Rozumiejąc, że coś jest nie tak, przejęty barman

krzyknął do jednego z klientów, żeby ją zatrzymał, ale wołanie stłumił szum głosów na sali.

- Jo-Jo? Stało się coś? Wracaj!

Dopiero gdy Raleigh szybko wyszedł zza baru i ruszył, biegiem za kelnerką, klienci zorientowali się, że dzieje się coś niedobrego. Zanim zdołał dotrzeć do wyjścia, od stolików podniosła się już ponad połowa mężczyzn.

Stanął na progu i zaczął rozglądać się wokoło, szukając wzrokiem Jo-Jo. Jej wóz stał nadal przy północnej ścianie budynku, musiała więc pójść piechotą. Ruszył, zonglując między przejeżdżającymi pojazdami, ciągle wołając jej imię.

- Jo-Jo! Jo-Jo! Wracaj, złotko! Jeśli czujesz się źle, któryś z chłopaków odwiezie cię do domu.

Nie udało mu się jej dostrzec. Pozostali klienci baru biegali między samochodami, wypatrując kelnerki. Jej dziwaczne zachowanie się Raleigh już chciał złożyć na karb babskich fanaberii, gdy nagle usłyszał krzyk mrozący w żyłach krew.

Sharon Sala 19

Rzucił się w stronę, z której dochodził, przebiegł między dwiema ciężarówkami i dopiero, kiedy znalazł się po drugiej stronie drogi dojazdowej do autostrady, zobaczył Jo-Jo.

Biegła pasem szybkiego ruchu z rozłożonymi rękoma i wyglądała jak dziecko, udające, że lata. Z naprzeciwka zbliżały się światła nadjeżdżającej ciężarówki.

- Jezu Chryste! - jęknął Raleigh i rzucił się w jej stronę. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nie zdąży.

Kiedy kierowca ciężarówki hamował gwałtownie, w powietrzu rozeszła się woń palonej gumy. Ale dziewczyna pojawiła się tak nagle, że nie był w stanie zatrzymać się w porę. Zgrzyt hamulców zagłuszył uderzenie ciała Jo-Jo o zderzak wielkiego samochodu.

Chwilę potem dziewczyna przeleciała w powietrzu jak połamana lalka, uderzyła głucho o ziemię i znieruchomiała.

7

- Wezwijcie policję! - krzyknął jakiś człowiek i zaczął kierować ruchem nadjeżdżających pojazdów, tak aby omijały miejsce wypadku.

Detektyw z wydziału zabójstw, któremu powierzono wyjaśnienie przyczyny śmierci kelnerki, uznał ją za samobójstwo. Sprawę zamknął.

Tylko barman o imieniu Raleigh przysięgał, że dopóty Jo-Jo nie odebrała tego telefonu, wszystko było z nią w idealnym porządku. I że nigdy, naprawdę nigdy nie zamierzała targnąć się na własne życie.

Dwa dni później, Chicago, stan Illinois Zostanie adwokatem, specjalizującym się w sprawach kryminalnych, było w karierze dwudziestoosmioletniej

GROM 20

Lynn Goldberg bardzo ważnym osiągnięciem. Przez całe życie wszyscy powtarzali, że jest za ładna, aby ktokolwiek traktował ją poważnie jako prawnika, ale nie zwracała uwagi na komentarze i robiła swoje. Dzisiaj udowodniła, że ładna buzia nie jest jej jedyną zaletą. Właśnie wygrała pierwszą w życiu sprawę o morderstwo i czuła się po prostu doskonale. Co więcej, była rzeczywiście przekonana, że mężczyzna, którego wybroniła przed surowym wyrokiem, jest niewinny, co w wykonywanym przez nią zawodzie nie zawsze się zdarzało. Wrzuciła do teczek akta, które zamierzała jeszcze dzisiaj przejrzeć, i spojrzała na zegarek. Za trzydzieści sześć minut miała spotkać się z mężem na drugim końcu miasta; by wspólnie zjeść kolację w restauracji. Jonathan jeszcze nie wiedział, że dzisiaj stawia żona. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy powie mu o porannym zwycięstwie.

Po raz ostatni rozejrzała się po biurowym pokoju, wzięła do ręki słuchawkę i zadzwoniła po taksówkę. Powinna zdążyć nadjechać, zanim Lynn zjedzie z piętra, szóstego piętra, na którym mieściła się kancelaria adwokacka. Wyglądziwszy przód ciemnego, eleganckiego żakietu, przerzuciła przez ramię przeciwdeszczowy płaszcz. Kiedy sięgała po teczkę, odezwał się telefon.

- Nic z tego! Na dziś praca skończona - mruknęła pod nosem i ruszyła w stronę drzwi. Dzwonienie nie ustawało. Lynn przyszło nagle na myśl, że to może Jonathan chce się z nią skontaktować, aby odwołać wspólny wypadek do restauracji. Wówczas bez potrzeby jechałaby na drugi koniec miasta. Zawróciła więc do biurka i podniosła słuchawkę.

Sharon Sala 21

- Halo? Tak, mówi Lynn Goldberg.

Na drugim końcu linii przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się odległy grom. Lynn zadrżała odruchowo i rzuciła okiem w stronę okna, przez krótki moment uspokojona, że ma przy sobie przeciwdeszczowy płaszcz. Tuż potem do jej uszu dotarły inne dźwięki.

Dzwonka, a raczej gongu. Cała sekwencja.

Lynn opadły powieki. Opuściła głowę.

Mrugające światełko telefonu wskazywało, że następny rozmówca czeka na połączenie, ale młoda prawniczka już tego nie dostrzegła. Odłożyła słuchawkę i ruszyła do wyjścia. Kiedy mijala biurko Gregory'ego Mitchella, kolega po fachu podniósł głowę.

- Nie wiedziałem, że jeszcze tu jesteś - powiedział. - Moje gratulacje z okazji wygranego procesu.

Szła dziwnym krokiem, zupełnie jak w transie. Zdziwiony nietypowym zachowaniem Lynn, powiódł za nią wzrokiem. Dopiero po chwili zauważył, że w drzwiach pokoju upuściła na ziemię teczkę i płaszcz. Pomyślał, że będzie musiała wracać piętnaście pięter po obie te rzeczy, złapał więc je i ruszył biegiem w kierunku windy, licząc, że dogoni Lynn. Pośmieją się z roztargnienia pani adwokat!

8

Kiedy Gregory dobiegł do windy, zobaczył, że kabina jedzie w górę, a nie w dół. Coś było nie tak. Na ostatnim, szesnastym piętrze wieżowca nie było żywej duszy. Nikt tam nie

pracował, cała kondygnacja była w przebudowie.

- Do licha, dziewczyno, gdzie ty masz głowę? - mruknął pod nosem, czekając, aż kabina windy zatrzyma się przed nim.

Był przekonany, że zaraz zobaczy niepewną minę speszzonej koleżanki.

GROM 22

Kiedy jednak kabina wróciła z ostatniego piętra, okazało się, że jest pusta.

Nie namyślając się ani chwili, Gregory pojechał w górę, przeświadczony, że zaraz usłyszy jakieś sensowne wyjaśnienie dziwnej eskapady Lynn. Ale kiedy wysiadł na szesnastym piętrze i wszedł do holu, dobiegły go tylko odgłosy wiatru, gwałtownie miotającego plastikowymi płachtami osłaniającymi okna, w które nie wprawiono jeszcze szyb.

- Lynn? Lynn? Gdzie jesteś? - zawołał. - To ja, Greg.

Wydawało mu się, że jakieś odgłosy dobiegają z drugiego końca holu, ruszył w tamtą stronę, nadal bez obaw i przekonany, że Lynn stara się wyminąć jakieś rusztowania, zawracając do windy po odkryciu swej pomyłki

Po chwili znalazł się w dużym pomieszczeniu. Było puste. Rozczarowany, wracał już do wyjścia, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zaczął iść w stronę narożnej < części budynku, całej pokrytej płachtami, za którymi, znajdował się zapewne szereg otworów okiennych. Było tak rzeczywiście. Za łopoczącymi na wietrze płachtami Greg zobaczył nagle na rusztowaniu jakąś nieruchomą sylwetkę.

- Niemożliwe! - szepnął do siebie i ruszył prawie biegiem w tamtą stronę, ze wszystkich sił pragnąc przekonać się, że to tylko przywidzenie.

Odciągnął plastikową osłonę i jego oczom ukazał się przerażający widok.

Na belce, na wysokości szesnastego piętra, stała Lynn Goldberg. Miotaly nią porywy silnego wiatru.

- Mój Boże, co ty tam robisz? - zawołał Greg, który był tak zaszokowany, że nic mądrzejszego nie wpadło mu do głowy. - Wracaj natychmiast, bo spadniesz!

Sharon Sala 23

Zdawała się nie słyszeć jego głosu. Z obłędem w oczach patrzył, jak młoda prawniczka rozpościera ramiona. Wyglądała teraz jak dyrygent, stojący przed czekającą na jego znak orkiestrą.

Greg nie wiedział, co robić. Wpadł w panikę. Wsunął rękę do kieszeni, żeby wyciągnąć komórkę, lecz natychmiast uzmysłowił sobie, że zostawił telefon na biurku. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak przerażony jak teraz, ale wiedział, że nie może stać bezczynnie. Rzucił się na ziemię i zaczął czołgać się w stronę belki, spokojnie przemawiając do Lynn, mimo że chciało mu się wyć.

- Nie spoglądaj w dół - mówił, starając się opanować drżenie głosu. - Popatrz na mnie. Zaraz podasz mi rękę i oboje wrócimy do środka. Przecież nie chcesz...

Urwał, bo nagle Lynn uniosła głowę i spojrzała w niebo. A potem zrobiła krok przed siebie, w powietrze.

Gdy zaczęła spadać z szeroko rozłożonymi rękoma, miała uśmiech na twarzy. Greg nie widział, jak uderzyła o bruk. Wymiotował, klęcząc.

9

W gazetach zaledwie wspomniano o tym wydarzeniu. W tak dużym mieście jak Chicago skaczący z wieżowców samobójcy nie należeli do rzadkości. Następnego wieczoru, w pobliżu Denver, stan Kolorado W ciągu ostatnich pięciu lat Frances Waverly często myślała o tym, że jej małżeństwo okazało się ogromną pomyłką. Bez względu na to, co

zrobiła i jak bardzo się starała, wszystko zawsze było źle. Charlie miał bez prze rwy do żony pretensje, źle ją traktował i o wszystko się awanturował, a gdy nadchodził wieczór, chciał mieć ją w łóżku, jak gdyby nigdy nic.

GROM 24

W żaden sposób nie potrafił zrozumieć, dlaczego Frances nie chce żadnych zbliżeń, i nieustannie robił jej z tego powodu wymówki, twierdząc, że z pewnością ma jakiegoś kochanka. Właśnie przed chwilą znów to powiedział.

- Kochanka? - powtórzyła ze złością. - Mam dość mężczyzn. Na sam wasz widok robi mi się niedobrze. A zresztą komu mogłabym się podobać? To, jak mnie traktujesz, i ciągle awantury zrobiły ze mnie starą babę. Mam już wszystkiego dość! Słyszysz? Mam tego dość! Charlie złapał ją za ramię. Był zaskoczony. Nigdy jeszcze nie mówiła takich rzeczy. Czuł się zmęczony i chciał iść do łóżka.

- Och, Frankie, zamknij się wreszcie! Nie powinnaś narzekać. Masz ładny dom i prawie nowy samochód. Chcę tylko, żebyś spełniała małżeńskie obowiązki. Jesteś moją żoną. Mam prawo się z tobą kochać.

Roześmiała się głośno, nieprzyjemnie.

- Kochać? - powtórzyła ze złością. - Przecież nawet nie wiesz, co to słowo znaczy. Ty tylko bierzesz i bierzesz. Nic nie dajesz w zamian.

- To nieprawda! - wykrzyknął Charlie. - Dałem ci...

Nie skończył zdania, bo w tej właśnie chwili zadzwonił telefon. Frankie złapała za słuchawkę, marząc o tym, by móc pogadać z byle kim o byle czym, nawet z którymś z tych idiotycznych telefonicznych sprzedawców, żeby tylko nie słuchać dłużej Charliego.

- Tu mieszkanie Waverlych - powiedziała szybko, a kiedy mąż usiłował wyrwać jej słuchawkę z ręki, odepchnęła go i odwróciła się tyłem. - Tak. Mówi Frances Waverly.

Sharon Sala 25

- Do diabła, Frankie, przestań teraz gadać przez telefon - rozzłościł się Charlie. -

Mamy tu ważniejsze sprawy. Powiedz, że później oddzwonisz.

Ale Frankie już nic nie powiedziała. Oparła się nagle o ścianę i zwiotczała. Przez chwilę Charlie był przekonany, że żona zemdleje. Zamknęła oczy i opuściła głowę.

- Co się dzieje? - warknął, chcąc, żeby oprzytomniała. Pomyślał, że komuś z rodziny przydarzyło się coś okropnego. - Kto dzwoni? Moja mama? Z tatą wszystko w porządku? Frankie milczała nadal. Charlie przestraszył się nie na żarty. Zobaczył, jak po policzku żony spływa łza. I nagle zrobiło mu się przykro, że ją rozzłościł.

- Nie martw się, złotko. Wszystko jakoś się ułoży - starał się, żeby brzmiało to uspokajająco. - Jestem przy tobie.

Wsunął dłoń pod włosy Frankie i ujął ją za kark. Zamiast obdarzyć męża wybaczącym uśmiechem, jak to zwykle w końcu robiła, odłożyła słuchawkę na stół i przeszła obok niego tak obojętnie, jakby nie istniał. Kiedy wzięła do ręki kluczyki do wozu i otworzyła drzwi, przeraził się jeszcze bardziej.

- Frankie! Zostań! Dokąd chcesz jechać? Poczekaj! Zeszła z werandy i zniknęła w ciemnościach. Charlie sięgnął po niewyłączony telefon.

10

- Halo? Halo? Kto mówi? Co tam się dzieje, do diabła? Odpowiedziała mu głucha cisza. Odłożył słuchawkę na widelki i wyszedł przed dom.

GROM 26

Zdziwiony zobaczył, że Frankie zdążyła już uruchomić samochód. Właśnie wycofywała go z podjazdu.

- Frances! Psia krew! Kazałem ci na mnie zaczekać! - krzyknął, ale było już za późno. Wyciągnął z kieszeni kluczyki do furgonetki i uruchomił silnik z postanowieniem dogonienia żony.

Przez prawie dwa kilometry jechał tuż za Frankie, usiłując zatrzymać ją klaksonem i błyskami reflektorów. Nie zwracała na to żadnej uwagi, prowadziła szybko, jakby nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, że ktoś ją goni. Przejechali w ten sposób jeszcze jeden kilometr, a potem następny. Charlie przestraszył się. Żona jeszcze nigdy nie zachowywała się tak dziwacznie.

W pewnej chwili uprzytomnił sobie, że zbliżają się do strzeżonego przejazdu kolejowego, i zrobiło mu się trochę raźniej. Już z daleka widział światła ostrzegawcze i opuszczające się barierki, wstrzymujące ruch na czas przejazdu pociągu. Dzięki Bogu, pomyślał. Zaraz będzie mógł pogadać z Frankie.

Dodał gazu, a potem, ze znacznie lepszym samopoczuciem, zaczął zjeżdżać z pagórka. Ale kiedy znalazł się na dole, nie dostrzegł świateł hamowania jadącego przed nim wozu. Frances jechała jeszcze szybciej niż przedtem! I nagle, w blasku własnych reflektorów, zobaczył jedną jej rękę wysuniętą przez otwarte okno. Czemu nie trzymała porządnie kierownicy!? Do diabła, co chce mu udowodnić?

Zaczął się niemal modlić:

- Frances, stań! Błagam, zatrzymaj się! Stań! Nadaremnie.

Sharon Sala 27

Nie wierząc własnym oczom, patrzył, jak samochód żony przejeżdża pod barierką i uderza w bok pędzącego pociągu. Wybuch, który nastąpił, uniósł w powietrze metalowe części wozu. Kiedy duży fragment zderzaka spadł na maskę furgonetki, Charlie wcisnął hamulec.

I właśnie wtedy zaczął krzyczeć.

Pogrzeb odbył się trzy dni później. Można by wcześniej pochować Frances, gdyby nie to, że jeszcze następnego dnia po wypadku zbierano resztki jej ciała. Nikt z rodziny nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić sprawy telefonu. Charlie był przekonany, że właśnie to dziwne połączenie stało się przyczyną jej śmierci. W przeciwnym bowiem razie musiałyby uznać, że jego własne zachowanie doprowadziło Frances do samobójstwa, a z poczuciem takiej winy nie potrafiłby żyć.

Tydzień później, Oklahoma, stan Oklahoma Marsha Butler wsunęła się na siedzenie samochodu przyjaciółki i powitała ją radosnym uśmiechem.

- Allison, nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna, że po mnie przyjechałaś. Mój samochód jest w warsztacie już od tygodnia. Dzięki tobie będę mogła go odebrać.

Allison Turner odwzajemniła uśmiech.

- Słonko, to dla mnie żaden problem. I tak musiałabym jechać do banku w sprawie ostatniej pensji. Nie chcę, aby okazało się, że któryś z rachunków, które właśnie wysłałam do uregulowania, nie ma pokrycia na koncie.

- Skąd ja to znam! - mruknęła Marsha.

11

GROM28

Allison przyhamowała, a potem skręciła w prawo, jak zwykle prowadząc ostrożnie w dużym, sobotnim ruchu.

- Gdzie zostawiłaś samochód? - spytała.

- W warsztacie Hugleya. Znajduje się przy...

- Wiem, gdzie to jest! Znam ich. Wykryli konkretną usterkę czy też zamierzają

oświadczyć, że wóz wymagał przeglądu, i każą zapłacić ci fortunę?

Marsha westchnęła.

- Sama dobrze wiesz, jak w takich miejscach traktują kobiety. To jedna z nielicznych sytuacji, z powodu których wolałabym nadal pozostawać mężatką. - Skrzywiła się lekko. - Ale to wcale nie oznacza, że życzę sobie powrotu Terry'ego. Obrzydliwy facet.

Roześmiały się równocześnie. Dwie minuty potem Marsha powiedziała:

- Skreć w pierwszą w prawo.

- Robi się - odrzekła Allison, sygnalizując zmianę pasa. Zaraz potem odezwał się komórkowy telefon, leżący obok niej na siedzeniu. - Odbierz za mnie - poprosiła przyjaciółkę.

Marsha włączyła aparat.

- Halo? Nie, to nie Allison. Prowadzi samochód, jesteśmy na skrzyżowaniu. Proszę chwilę poczekać.

- Dzięki. - Allison zjeżdżała już na pobocze przed warsztatem.

- Trafiłaś bezbłędnie - powiedziała Marsha. - Naprawdę dziękuję. Cześć.

- Poczekaam, aż się upewnisz, że samochód jest gotowy.

- Nie ma sensu. Zawiadomili mnie o tym telefonicznie, w przeciwnym razie nie ryzykowałabym wyprawy.

Sharon Sala 29

- Mimo to poczekam - upierała się przyjaciółka.

- Dziękuję. Jestem twoją dłużniczką. - Marsha wysiadła.

Gdy tylko opuściła samochód, Allison zablokowała drzwi od strony pasażera i wzięła do ręki komórkę.

- Halo? Mówi Allison. Halo? Halo?

Po chwili zamknęła oczy i opuściła głowę. Nadal jednak trzymała telefon przy uchu, mimo że zdawała się drzemać.

Płacąc rachunek w warsztacie, Marsha zauważyła, że wóz Allison nadal stoi.

Pomyślała z przyjemnością, że ma dobrą przyjaciółkę. Chwilę później, siedząc już za kierownicą własnego auta, ruszyła w stronę ulicy. Zatrzymała się obok samochodu Allison i klaksonem starała się zwrócić na siebie jej uwagę. Ale przyjaciółka nawet się nie poruszyła.

Marsha wysiadła i dopiero wtedy zobaczyła, że Allison ma nadal telefon przy uchu.

Nie chciała przeszkadzać, ale zaniepokoiła ją dziwna poza przyjaciółki. Siedziała sztywno jak manekin, z opuszczonymi ramionami. Wyglądało na to, że dostała jakąś bardzo złą wiadomość.

- Allison! To ja. Dobrze się czujesz? - Marsha usiłowała otworzyć drzwi, ale były zablokowane. - Allison! Allison!

Przyjaciółka nie odpowiadała. Nadal siedziała nieruchomo, jednak chwilę później podniosła głowę, odłożyła na bok komórkę, włączyła silnik i wrzuciła bieg. Wóz skoczył w przód. Gdyby Marsha nie zdołała cofnąć się w porę, byłby ją przejechał.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak Allison gna przed siebie i, ocierając się o inne wozy, przecina dwa pasy ruchu. Zaczęła krzyżeć:

12

GROM 30

- Allison! Allison! Uważaj!

Na oczach skamieniałej z wrażenia Marshy samochód uderzył w podbrzusze wielkiej cysterny z benzyną. Inne pojazdy, hamując gwałtownie, wpadały w poślizg, aby uniknąć karambolu. Kierowcy wyskakiwali w pośpiechu ze swoich aut, świadomi zbliżającej się

katastrofy.

Tuż przed zderzeniem przez ułamek sekundy Marsha widziała Allison. Mogłaby przysiąc, że przyjaciółka rozłożyła szeroko ręce, jakby chcąc uściskiem przywitać zbliżającą się śmierć.

Zderzenie pojazdów i zgrzyt metalu o metal poprzedziły eksplozję. Sekundę później silny podmuch powietrza odrzucił Marszę na maskę własnego samochodu. Jeszcze krzyczała, kiedy na miejsce wypadku zaczęły nadjeżdżać pierwsze karetki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tydzień później, północna część stanu Nowy Jork, klasztor Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego

Przed pięciu laty w życiu Georgii Dudley nastąpił przełomowy moment. Po dwudziestu kilku miesiącach, podczas których aż czterokrotnie zmieniała zajęcia, doznała nagle olśnienia. Jej decyzja wywołała w rodzinie prawdziwy szok i pogrążyła w smutku przyjaciela Georgii. Dla niej samej była to jednak najdonioślejsza chwila w życiu.

Odkryła w sobie powołanie.

Postanowiła wstąpić do zakonu.

Jak na młodą, pełną radości życia kobietę, nie stroniącą od rozrywek i korzystającą od wczesnych lat młodości z uciech doczesnego świata, Georgia powzięła decyzję szokującą dla otoczenia. W pierwszej chwili nikt nie był w stanie w nią uwierzyć. Ale Georgia, oczyściwszy serce i duszę, po raz pierwszy poczuła się naprawdę szczęśliwa. Teraz, jako siostra Mary Teresa, przebywając w klasztorze Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego, znajdującym się w północnej części stanu Nowy Jork, była nareszcie na swoim miejscu. Jak zwykle pełna energii, mając zawsze Boga w sercu, szła przez swoje nowe życie z radością i zapalem. Była ulubienicą pozostałych sióstr zakonnych.

GROM 32

Na jej widok uśmiechała się nawet surowa matka przełożona. Właśnie teraz, tuż po pierwszym odpoczynku poza murami klasztoru, siostra Mary Teresa, przepelniona miłością do Boga i ludzi, była gotowa uzdrawiać świat.

Kiedy weszła do biura, matka przełożona podniosła głowę znad biurka, a jej ascetyczna twarz rozjaśniła się nieczystym u niej uśmiechem.

- A więc... jesteś z powrotem - stwierdziła. Siostra Mary Teresa roześmiała się i rozłożyła szeroko ręce.

- Tak, wróciłam. I mogę zapewnić matkę przełożoną! że to dla mnie prawdziwe błogosławieństwo, chociaż w Rzymie było cudownie! Widziałam papieża. Całowałam Jego pierścień. I mogłam podziwiać chwałę wiecznego miasta. To nieprawdopodobne przeżycie. Jakby jakiś film Do tej pory nie miałam pojęcia, że w Rzymie wszystko jest takie... takie...

- Antyczne. I dlatego miasto wywarło na tobie wielkie wrażenie. Mam rację? - z łagodnym uśmiechem spytała matka przełożona.

13

Siostra Mary Teresa z radości aż klasnęła w ręce.

- Tak! Właśnie to! Chodzi się po rzymskich ulicach z nieustanną świadomością, że przez całe stulecia, które przetrwało to wieczne miasto, przewinęły się przez nieskończone masy ludzi. W Rzymie człowiek czuje się taki pokorny i mały.

- Myślę, że właściwie to odczuwasz.

- Tak, tak sądzę - przyznała z uśmiechem siostra Mary Teresa. - Nadal jednak za bardzo żyję doczesnością. To mój ciężar, ale noszę go z radosnym sercem.

Sharon Sala 33

Matka przełożona ponownie rozpogodziła swoje surowe oblicze.

- I to właśnie u ciebie cenimy - stwierdziła cichym głosem. - Przejdźmy jednak do innych spraw. Przyszła do ciebie jakaś korespondencja. Leży w pokoju ojca Josepha. Zabierz ją od razu, bo kiedy wróci, nie powinnaś mu przeszkadzać.

- Dobrze, matko przełożona. Dziękuję. To powiedziawszy, siostra Mary Teresa skierowała się prawie biegiem w stronę sąsiednich drzwi.

- Wolniej, siostrzo, wolniej - upomniała ją matka przełożona.

Młoda zakonnica zaśmiała się radośnie, a potem zwolnionym już krokiem poszła po swoją korespondencję.

- Zaniósłam bagaż do mojej celi - powiedziała, odwracając się jeszcze na chwilę. -

Gdy tylko się rozpakuję, od razu przystąpię do swoich obowiązków.

Matka przełożona z dobrotliwą miną potrząsnęła głową.

- Dochodzi już trzecia. Do pracy zabierzesz się jutro o świcie. Na razie ciesz się, dziecko, z otrzymanych listów i przyzwyczaj do zmiany czasu, idąc wcześniej do łóżka.

Siostra Mary Teresa zaśmiała się ponownie.

- Tak, matko przełożona. I dziękuję. Bardzo matce dziękuję. Och, jak dobrze jest być tu z powrotem!

Wybiegła z pokoju tak szybko, jak się zjawiała. Welon i habit powiewały za nią jak rozpostarte szeroko żagle.

Matka przełożona potrząsnęła głową i zabrała się do przerwanej pracy. Ta dziewczyna miała w sobie tyle zapału! Nie było w tym nic złego, w służbie bożej przydałoby się więcej takich młodych kobiet.

GROM 34

Nie zwracając uwagi na spartańskie wyposażenie swej celi, siostra Mary Teresa usiadła z impetem na łóżku i ochoczo zabrała się do czytania otrzymanych listów.

- Och! Od mamy! I od Toma! - wykrzyknęła z zachwytem.

Tom był jej bratem, niewiele od niej starszym. Jako dziecko chodziła za nim krok w krok, nie odstępując ani na chwilę. Trwało to tak długo, dopóki zarówno on sam, jak i jego koledzy nie przyzwyczaili się do stałej obecności nieznośnej smarkuli.

Najpierw z niecierpliwością rozerwała kopertę od Toma, ciesząc się na myśl, że zaraz dowie się o najnowszych eskapadach swego najmłodszego bratanka. Jednak po pierwszych słowach listu szybko straciła tę nadzieję.

„Siostrzyczko... przez krótki czas chodziłaś do szkoły z Jo-Jo, to znaczy z Josephine Henley. Pamiętam o tym, bo przyjaźniłem się z Sammym, jej starszym bratem, dopóty, dopóki nie wyprowadzili się z miasta. Właśnie otrzymałem od niego przykrą wiadomość. Wszystko wskazuje na to, że Jo-Jo, która mieszkała w Amarillo, popełniła samobójstwo. Wybiegła na środek jezdni, wprost pod koła nadjeżdżającej ciężarówki.”

14

„... To okropne. Jej rodzina nie może w to uwierzyć. Podobno Jo-Jo była szczęśliwa i dobrze się jej wiodło, ale kto wie, jak było naprawdę? Załączam do listu wycinek z gazety, który przysłał Sammy. Przykro mi, że przekazuję ci tak złe wieści”.

Sharon Sala 35

Z absolutnym zdumieniem siostra Mary przeczytała treść prasowego komunikatu i upuściła list na kolana. Na myśl o tym, jak bardzo cierpi rodzina jej dawnej przyjaciółki, którą dobrze pamiętała, zabolęło ją serce. Postanowiwszy pomodlić się za państwa Henleyów i nieszczęsną Jo-Jo, wzięła do ręki list od matki, przekonana, że znajdzie w nim pocieszenie w postaci jakichś lepszych wiadomości.

Tym razem także okazało się, iż jest w błędzie.

„Georgio, kochanie... Och, przepraszam, nie powinnam używać tego imienia, bo nosisz już inne. Jestem szczęśliwa, że tak bardzo odpowiada ci nowe życie, ale nie potrafię zmusić się do tego, aby nazywać cię siostrą Mary. Wybacz mi to, kochanie.”

„...Ostatnio byłam bardzo zajęta. Przez dwa dni pracowałam w szpitalu jako wolontariuszka. Powinnaś zobaczyć te śmieszne, różowe stroje, w jakie nas tam ubierają. Dla mnie za ciasne w biodrach i za obszerne w biuście. A może to ja jestem taka niezgrabna? Aha, Aaron Spaulding prosił, żeby pozdrowić cię od niego. Robi karierę. Został wiceprezesem banku. Ten człowiek byłby dobrym mężem. Szkoda, że z nim zerwałaś, wtedy, kiedy jeszcze pracował jako kasjer. Och... , a czy wspomniałam, że nadal się nie ożenił? Ale teraz to chyba już cię nie interesuje.”

Siostra Mary Teresa uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Matka, protestantka w każdym calu, nadal nie mogła pojąć, że jej jedyna córka nie tylko przeszła na katolicyzm, lecz złożyła także śluby zakonne.

Zabrała się ponownie do czytania.

GROM 36

„...Przesyłam ci, córeczko, jeszcze trochę nowych informacji, które pewnie jeszcze do ciebie nie dotarły. Czy pamiętasz małą Emily Paterson? Tę, która wyszła za Jacksona i wraz z mężem przeniosła się do Seattle? Spotykam nadal jej matkę, bo mieszka w pobliżu, stąd wiem co się stało. Ta wiadomość jest okropnie smutna. Emil nie żyje. Przykro mi o tym pisać, bo wiem, jak bardzo byłyście zaprzyjaźnione jako dzieci i po szkole bawiłyście się razem na chodniku przed naszym domem. W każdym razie nie uwierzysz, co się stało! Może powinnaś pomodlić się za nią, zważywszy na to, co uczyniła, i w ogóle. Mówią, że popełniła samobójstwo. Tak Skoczyła do wody z jakiegoś mostu, nawet nie pomyślawszy o mężu i dziecku. Człowiek nigdy nie wie, kim staną się jego dzieci, kiedy urosną. Ani na chwilę nie przyszło mi do głowy, że moja córka... moja jedyna córka... zostanie zakonnice. Nie chodzi o to, że to coś złego Ale się tego po prostu nie spodziewałam.”

„...Załączam do listu wycinek z gazety z Seattle, do tyczący wypadku. Możesz sama go sobie przeczytać Dzwon do mnie od czasu do czasu, jeśli ci na to w klasztorze pozwolą. Te kamienne mury kojarzą mi się z więzieniem, chociaż jestem pewna, że nie czujesz się za nimi źle. Czy na pewno Wolno ci dzwonić, kiedy zechcesz?”

Ręce siostry Mary Teresy zaczęły drżeć niepokojąco Nie była w stanie znieść niczego więcej. Nie kończąc czytania matczynego listu, zsunęła się z łóżka na ziemię i na kolanach zaczęła modlić się w intencji obu utraconych przyjaciółek i za ich rodziny.

15

Sharon Sala 37

W klasztorze zapadł wieczór. Po skończonych niesporach siostra Mary Teresa wróciła do swojej celi, nie otworzywszy pozostałej poczty.

Usiadła na łóżku i oba przeczytane listy włożyła do szuflady w małym, nocnym stoliku. Jej zamknięcie było jak symboliczne pochowanie obu dawnych przyjaciółek. Z niekłamanym przerażeniem popatrzyła na pozostałą korespondencję. Odruchowo zaczęła rozrywać pierwszą z brzegu kopertę, zaraz jednak zmieniła zdanie i odłożyła ją na bok. Ogarnął ją wielki smutek. Poczula się nieszczęśliwa, jakby wewnętrznie wypalona. Dzisiejszego wieczoru nie miała siły znieść nic więcej. Czula się bardzo źle, wiedziała jednak, gdzie udać się po wsparcie. Zmówiła szeptem krótką modlitwę, sięgnęła po Biblię i otworzyła ją, będąc pewną, że między wierszami świętego tekstu znajdzie pociechę. Przemijał czas, a wraz z jego upływem siostra Mary Teresa powoli godziła się z

ciosami, jakie zgotowało życie. Usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała spokojnym głosem.

W otwartych drzwiach stanęła matka przełożona.

- Zobaczyłam, że świeci się jeszcze u ciebie światło. Źle się czujesz?

Siostra Mary Teresa westchnęła głęboko.

- Tak. Boli mnie serce - odparła, powoli zamykając Biblię i odkładając ją obok siebie na łóżko.

- Mogę ci pomóc?

- Tak. Niech matka przełożona pomodli się za zbłąkane dusze - poprosiła, mając na myśli przyjaciółki, które nigdy nie zaznają ukojenia.

GROM 38

- Idź już, dziecko, spać. Jutro będzie nowy dzień. Siostra Mary Teresa skinęła głową.

Kiedy za sędziwą zakonnica zamknęły się drzwi, wstała i zaczęła przygotowywać się do snu.

Matka przełożona miała rację. Jutro czekał ją nowy dzień.

Tego samego wieczoru, St. Louis, stan Missouri

Yirginia Shapiro zakreśliła kurek i wyszła spod prysznic. Wzięła ręcznik, odwróciwszy się w stronę dużego lustra umieszczonego na drzwiach łazienki. Na zimnej, szklanej powierzchni zaczęła skraplać się para, spływając po tafli drobnymi strumyczkami wody. Ginny pomyślała, że powinna je zetrzeć, ale uprzytomniła sobie, że nie ma już na to czasu. Owinęła ręcznikiem mokre włosy i sięgnęła po drugi, żeby wytrzeć ciało. Potem wyszła szybko z łazienki i podbiegła do szafy, nie zwracając uwagi na wilgotne ślady stóp pozostawiane na podłodze. Genom odziedziczonym po przodkach zawdzięczała mikroskopijny biust, co było dla niej nieustannym źródłem niechęci do własnej osoby, czego niestety nie była w stanie zrekomensować świadomość, że sporo kobiet dałoby naprawdę wiele, aby mieć jej smukłą figurę.

Jedynym powodem do zadowolenia Ginny był jej sposób poruszania się. Bardzo kobiecy. W holu zaczął bić mały zegar. Ginny odwróciła się na pięcie. Z sukienką w jednej ręce i parą pantofli w drugiej sprawdziła godzinę. Było późno! Za kwadrans piąta. Zaraz powinien zjawić się Joe Mallory. Nerwowym ruchem rzuciła ubranie na łóżko i z szuflady w komodzie wyciągnęła bieliznę.

Sharon Sala 39

Po pięciu minutach wróciła do łazienki i przed pokrytym zasychającymi strumykami skroplonej pary lustrem szybko zrobiła makijaż.

Odłożywszy na półkę kredkę do ust, Ginny złapała suszarkę i nastawiła na pełny regulator. Kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, jej proste, długie do ramion włosy, stanowiły 16

jeszcze płataninę wilgotnych pasm. Ostatni raz rzuciła okiem na swoje lustrzane odbicie, przeczesła włosy palcami i pobiegła powitać gościa.

Zanim przekreśliła gałkę u drzwi, nabrała głęboko powietrza i, wznosząc oczy ku niebu, przez moment pomyślała o bezsensowności własnego postępowania. Robić tyle szumu w związku z pójściem na kolację z kimś, kto nigdy nie stanie się dla niej nikim więcej niż tylko przyjacielem!

Otworzyła szeroko drzwi.

- Zakładam, że masz spory apetyt, bo ja umieram z głodu, a nie chciałabym jeść więcej niż ty - oświadczyła Joemu.

- Zawsze jesz więcej ode mnie - przypomniał z krzywym uśmiechem.

Przerzucając przez ramię pasek torebki, Ginny uniosła brwi.

- Za to oświadczenie postawisz mi deser - oznajmiła, zatrzasnąjąc za nimi drzwi. Chwilę później znaleźli się w windzie. Po wyjściu z budynku rozmawiając o czymś poszli roześmiani w stronę zaparkowanego wozu Joego. Znajdowali się już zbyt daleko, aby móc usłyszeć dzwoniący u Ginny telefon.

GROM 40

Po chwili rozmowę przejęła automatyczna sekretarka oznajmiając: „Tu Yirginia Shapiro. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość.”

Po sygnale zapanowała cisza. Połączenie przerwano dopiero po dłuższej chwili. Nie miało to zresztą większe go znaczenia. Rozmówca wiedział, że ma czas. I tak zdąży zrobić swoje.

Następnego ranka siostra Mary Teresa drżącymi rękoma sięgnęła po słuchawkę. Informacji zawartych w leżących na jej kolanach listach i w elektronicznej poczcie otrzymanej od dalekiego kuzyna, w żaden sposób nie mogła zignorować. Pięć kobiet, z którymi, kiedy były dziećmi, uczęszczała na wspólne dodatkowe zajęcia w szkole im. Montgomery'ego, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy popełniło samobójstwo.

O niezwykłych okolicznościach towarzyszących tragicznym wypadkom siostra Mary Teresa dowiedziała się z rozmów z rodzinami zmarłych, gdy dzwoniła z kondolencjami. Wszystkie kobiety, bez wyjątku, czuły się dobrze aż do chwili odebrania jakiegoś telefonu. Co usłyszały tak strasznego, że targnęły się na własne życie. Było to niepojęte. Na dodatek wszystkie nazwiska dawnych koleżanek kojarzyły się w pamięci siostry Mary Teresy z dźwiękiem zupełnie innym niż telefoniczny dzwonek. Dlatego wiedziała, gdzie powinna zacząć szukać sensownego wyjaśnienia tego, co się stało.

Odetchnęła głęboko i wystukała numer matki. Usłyszawszy jej głos płynący z drugiego końca połączenia poczuła przemożną ochotę stania się ponownie dzieckiem Sharon Sala 41

Położyłaby wówczas głowę na matczynej kolanach i o niczym nie myśląc, czekała, aż mama rozproszy wszelkie zmartwienia. Z trudem opanowała chęć płaczu.

- Mamo, to ja.

Usłyszała ożywiony głos Edny Dudley.

- Kochanie! A więc wróciłaś! Jak podobał ci się Rzym?

- Jest cudowny i naprawdę niezwykły. Mamo, chciałabym porozmawiać dłużej, ale nie mogę, bo już jestem spóźniona. Wybieramy się dziś rano do szpitala dziecięcego i nie chcę, żeby minibus odjechał beze mnie, ale muszę prosić cię o przysługę.

- Zrobię, czego tylko sobie życzysz - powiedziała Edna.

17

- Czy pamiętasz może, gdzie podziła się moja stara księga pamiątkowa, rocznik 1979, ze szkoły Montgomery'ego?

- Wydaje mi się, że leży w twoim pokoju na półce. Mam od razu zobaczyć, czy tam jest? To zajmie tylko chwilę - dodała matka. - Jestem na piętrze.

- Wobec tego sprawdź, proszę. To bardzo ważne. Edna odłożyła na bok słuchawkę.

Siostra Mary Teresa słyszała oddalające się kroki matki i po chwili ponownie szuranie stóp o podłogę.

- Tak. Jest tutaj - potwierdziła Edna. Młoda zakonnica odetchnęła z ulgą.

- Świetnie! A teraz odszukaj, proszę, zbiorową fotografię naszej klasy. Tuż pod nią, po prawej, powinno być Umieszczone mniejsze zdjęcie.

- Poczekaj, dziecko, muszę odłożyć słuchawkę.

GROM 42

Siostra Mary Teresa zerknęła na zegar wiszący nad drzwiami biura i z niecierpliwością wzniosła oczy do góry.

- Już mam - oznajmiła matka. - Jakie byłyście drobniotki, mając po sześć lat! Ty i mała Ginny Shapiro zawsze trzymałyście się razem jak papużki nierozłączki. Obiło mi się o uszy, że Ginny pracuje jako dziennikarka w jakiejś gazecie. Mam rację?

żeby się uspokoić, siostra Mary wzięła głęboki oddech. Z rozpaczy chciało jej się wyć. Jej dawne przyjaciółki umierały jedna po drugiej, a ona nie wiedziała, dlaczego.

- Tak, jest reporterką w jednej z gazet w St. Louis - odparła. - Na ostatnie Boże Narodzenie dostałam od niej kartkę. Mamo, czy możesz odczytać nazwiska wszystkich dziewczynek, które razem ze mną chodziły na dodatkowe zajęcia?

- Chodzi ci o to małe zdjęcie poniżej fotografii całej! klasy? - chciała upewnić się Edna.

- Tak, mamo. Proszę, bardzo się spieszę.

- W porządku. Masz coś do pisania?

- Mamo... odczytaj, proszę...

- Już to robię, kochanie. Emily Patterson, Josephine Henley, Lynn Bernstein, Frances Bahn, Allison Turneif Yirginia Shapiro i ty. Jest was w sumie siedem.

Siostra Mary Teresa miała ochotę zacząć krzyczeć] Niektóre jej koleżanki zmieniły nazwiska po wyjściu za mąż, ale pamięć jej nie zawiodła. Wszystkie kobiety, które ostatnio zmarły, należały do tej samej grupy dziewczynek uczęszczających na dodatkowe zajęcia.

Sharon Sala 43

- Potrzebujesz jeszcze czegoś, kochanie? - spytała Edna.

- Tak, mamo. Czy mogłabyś przesłać mi ekspresem tę książkę?

- Ekspresem? To będzie bardzo kosztowne. Może ja...

- Mamo, zrób, o co proszę. Ta książka jest mi potrzebna.

- Dobrze. Pójdę na pocztę zaraz, gdy tylko skończymy rozmowę.

Siostra Mary Teresa westchnęła z ulgą.

- Dziękuję, mamo. Po stokroć dziękuję. Edna roześmiała się.

- Nie ma za co, kochanie. Chyba wiesz, jak bardzo nam ciebie brak.

Głos siostry Mary Teresy zaczął niepokojąco drżeć.

- Wiem. Ja też bardzo tęsknię. Mamo...

- Słucham, córeczko?

- Kocham cię. Bardzo. Słowa córki rozczuliły Ednę.

- Wiem, że mnie kochasz, słoneczko. Niech cię Bóg błogosławi.

18

Oczy młodej zakonnicy wypełniły się łzami.

- Niech... niech błogosławi - powtórzyła jak echo i odłożyła powoli słuchawkę.

Najpierw popatrzyła na otrzymane listy, a potem na wykaz nazwisk podany przez matkę. Fakty były oczywiste, chociaż nie miały żadnego logicznego uzasadnienia. Aż takie zbiegi okoliczności jednak nie istniały. Wszystko wskazywało na to, że za nagłą śmiercią szkolnych koleżanek coś się kryło.

GROM 44

Tylko ona i Ginny Shapiro pozostały przy życiu.

W ciągu ostatnich dwu miesięcy pięć młodych kobiet, szczęśliwych i pełnych życia, popełniło samobójstwo. Siostra Mary Teresa nie mogła przestać myśleć o tym, że ona i Ginny będą następną.

Jak zawsze energiczna i trzeźwo myśląca, zaczęła analizować uzyskane przed chwilą

informacje. Nieszczęśliwe zdarzenia łączyły dwa niezaprzeczone fakty. Wszystkie kobiety pochodziły z tej samej, wyselekcjonowanej grupy dziewcząt, biorących udział w dodatkowych, szkolnych zajęciach, i śmierć każdej z nich nastąpiła w wyniku jakiejś niezidentyfikowanej telefonicznej rozmowy.

Ale kto do nich dzwonił? I co spowodowało tak straszliwe następstwa?

Siostra Mary Teresa miała świadomość, że dzieje się coś złego, bardzo złego, i że, aby to powstrzymać, nie wystarczą jej modlitwy. Musiała zwrócić się do kogoś o pomoc. I to szybko, zanim nieszczęście dotknie ostatnią z dawnych przyjaciółek.

Odszukała w notesie domowy telefon Ginny Shapiro. Rozczarowana, usłyszała głos automatycznej sekretarki. Uznała jednak, że nie powinna jeszcze się obawiać, bo o tej porze Ginny jest pewnie w redakcji gazety, w której pracowała. Zadzwoiła więc do „St. Louis Daily” i dowiedziała się, że reporterka będzie nieobecna aż do końca dnia. Siostra Mary Teresa poprosiła więc o przekazanie Ginny swojego numeru wraz z prośbą o szybki telefon i przerwała połączenie, nerwowo zastanawiając się, co może zrobić. Była przerażona.

Sharon Sala 45

Nagle przyszedł jej na myśl najbliższy przyjaciel brata, Sullivan Dean, którego uwielbiała jako kolegę, a potem podkochiwała się w nim przez całe lata. Dopiero gdy poświęciła życie Bogu, przestała marzyć o tym, aby zostać jego żoną. Nadal jednak Sully był jej rycerzem bez skazy, z tym, że miejsce symbolicznego miecza zastąpiła odznaka FBI.

Pracował jako agent federalnego biura śledczego.

Sullivan Dean będzie wiedział, co robić. Po to jednak, aby mógł zająć się tą nieszczęsną sprawą, potrzebne mu były informacje, którymi dysponowała.

Siostra Mary Teresa szybko zrobiła odbitki wszystkich otrzymanych materiałów, dołączyła zwięzłą notatkę, w której sformułowała własne obawy, a potem powieliła całość i dwa identyczne komplety włożyła do dwóch kopert. Jedną zaadresowała do Ginny, gdyż musiała natychmiast ją ostrzec, drugą do Sullivana, z prośbą o pomoc. Jadąc do dziecięcego szpitala, zamierzała wstąpić na chwilę na pocztę i wysłać obie przesyłki w najszybszy z możliwych sposobów.

Pod koniec dnia zasiadła z lekkim sercem do klasztornej wieczerzy. Zrobiła, co mogła, a ponadto oddała sprawę w dobre ręce. Była przekonana, że Sullivan skontaktuje się z nią niezwłocznie po otrzymaniu przesyłki.

Gdy przy stole matka przełożona pobłogosławiła posiłek, siostra Mary Teresa wyszeptała cichutko:

- Proszę, pomóż nam, Boże, w godzinie potrzeby.

19

- Czy może siostra przysunąć chleb? Siostra Mary Teresa uniosła głowę i uśmiechnęła się do siedzącej obok zakonnicy. Siostra Frances Xavier uwielbiała pieczywo, o czym świadczyły zresztą jej zaokrąglone kształty.

GROM 46

- Oczywiście - odparła.

Właśnie podsuwała sąsiadce koszyk z pieczywem, kiedy ciszę panującą przy stole przerwał głośny stuk drewnianego młota. Drgnęła nerwowo.

- To tylko robotnicy - wyjaśniła siostra Frances.

- Jacy robotnicy?

- Reperują rury w piwnicy. W tak starym budynku jak nasz z pewnością są w złym stanie. - Biorąc bułkę z koszyka, który trzymała Mary, siostra Frances ściszyła głos do szeptu:

- Matka przełożona jest niezadowolona, bo robotnicy zakłócają spokój w klasztorze. - Zaraz

potem jednak roześmiała się cichutko i dodała: - Ale ojciec Joseph powiedział, że spokój w klasztorze zakłóci dopiero gigantyczne zamieszanie, które powstanie, kiedy sto dwadzieścia trzy zakonnice zostaną bez czynnych łazienek i bieżącej wody.

Siostra Mary Teresa także się roześmiała.

- Chyba byłam wtedy w dziecięcym szpitalu, bo nic o tym nie wiem. Szkoda, że nie mogłam być świadkiem ich rozmowy. Matka przełożona i ojciec Joseph zawsze o coś się spierają, a przecież chodzi nam wszystkim o to samo, więc powinni zgodnie współdziałać. Rozrywając bułkę, siostra Frances wzruszyła ramionami.

- Fakt, że oboje wielbią Boga, wcale nie oznacza, że muszą kochać siebie nawzajem - skomentowała cicho i zaraz szybciotko skorygowała: - oczywiście symbolicznie. Czy może siostra przysunąć sól?

Sharon Sala 47

Od wysłania materiałów do Ginny i Sullivana upłynęło pełne trzydzieści sześć godzin.

Bardzo już zaniepokojona siostra Mary Teresa zadzwoniła ponownie do redakcji „St. Louis Daily”, gdzie usłyszała, że Ginny pracuje w terenie. Znając rodzaj pracy Sullivana, mogła przypuszczać, że jest gdzieś w świecie, i przesyłka jeszcze do niego nie dotarła.

Dwukrotnie przyszła jej na myśl chęć skontaktowania się z miejscową policją i dwukrotnie zrezygnowała z tego posunięcia. Do śmierci wszystkich pięciu szkolnych koleżanek doszło na oczach licznych świadków, którzy zgodnie potwierdzili, że były to samobójstwa lub nieszczęśliwe wypadki. Tak więc nie miała żadnych namacalnych dowodów, żadnych podstaw, żeby twierdzić, że było inaczej, oprócz przeświadczenia, że teraz przyjdzie kolej na nią i Ginny.

Obawiając się odbierania telefonów, dwa dni temu siostra Mary Teresa poprosiła o zwolnienie z dyżurów w klasztornej biurze. Na pytanie matki przełożonej, czy nie jest przypadkiem chora, odpowiedziała twierdząco. Teraz miała wyrzuty sumienia, że skłamała. Z ciężkim sercem opuściła główny budynek i ruszyła w stronę znajdującej się na skraju klasztornych terenów kaplicy, ciesząc się, że po tygodniu ustawicznego deszczu wreszcie Przestało padać.

Myśli siostry Mary Teresy krążyły wokół odkładanej od dłuższego czasu spowiedzi.

Mijając parking, nie zwróciła większej uwagi na stojące tam samochody. Na terenie klasztoru Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego turyści nie byli niczym nowym. Z habitem płaczącym

20

GROM 48

się wokół nóg szła szybko, nie odrywając wzroku od ziemi. Nie zauważyła osoby, siedzącej na ławce pod drzewem z lewej strony ścieżki. Słyszała wprawdzie za sobą czyjeś zbliżające się kroki, były jednak tak ciche i spokojne, że nie wzbudziły w niej lęku.

Znalazłszy się w kaplicy, siostra Mary Teresa odetchnęła z ulgą. Ogarnął ją wewnętrzny spokój. To święte miejsce rozpraszało wszelkie obawy i napawało siłą.

We wnętrzu kaplicy znajdowało się kilkoro ludzi. Jedni z zachwytem wpatrywali się w stare witraże nad ołtarzem, inni w ławkach z opuszczonymi głowami modlili się w sobie tylko znanych intencjach. Nie zwracając na nikogo uwagi, siostra Mary Teresa uklękła, przeżegnała się, ucałowała krzyżyk swojego różańca, a potem skierowała kroki ku konfesjonałom, znajdującym się z tyłu kaplicy.

O tej porze dnia spowiadał zwykle ojciec Joseph. Dziś jednak jeszcze go nie było, więc młoda zakonnica postanowiła poczekać. Szczęśliwa, że znalazła się w domu Bożym, zajęła miejsce w jednym z konfesjonałów, oparła dłonie na kolanach i pochyliła głowę. Gdy

stary spowiednik zobaczy zamknięte drzwiczki, będzie od razu wiedział, że w środku ktoś na niego czeka.

Siostra Mary Teresa postanowiła ćwiczyć cierpliwość, której uczono jej w nowicjacie.

Wszystko nadchodziło we właściwym czasie. Nie wyłączając księży spowiedników.

Upłynęła jedna minuta, a potem druga. Serce młodej zakonnicy ogarniał spokój, ustąpił lęk. Była w świątyni Boga i Bóg był w niej, nie miała więc powodu do obaw.

Sharon Sala 49

Usłyszawszy zbliżające się kroki i zaraz potem tuż obok odgłos otwieranych drzwi, była przekonana, że w konfesjonale zasiada ojciec Joseph. Z oczyma jeszcze pełnymi łez, nabrała głęboko powietrza.

- Wybacz, ojcze, że zgrzeszyłam. Ostatni raz spowiadałam się trzy dni temu.

Zamiast jednak znajomego głosu ojca Josepha O'Grady'ego siostra Mary Teresa

usłyszała dobiegający zza kratki daleki grom zwiastujący nadchodzącą burzę. A potem nad jej umysłem wszechwładnie zapanowały wydarzenia z dziecięcych lat. Stało się to tak szybko, że nie zdążyła nawet zarejestrować momentu paniki, nie było na to czasu. W ciągu nieledwie sekund siostra Mary Teresa została wezwana przed oblicze Wszechmogącego, który zawładnął jej duszą na długo przed tym, zanim oddała mu ciało.

Grom przetoczył się po niebie i przebrzmiał. Siostra Mary Teresa uniosła powoli powieki i otworzyła drzwi. Kiedy opuszczała konfesjonał, ktoś ujął ją pod rękę.

- Proszę wybaczyć spóźnienie. Zatrzymały mnie ważne sprawy. Niech siostra siada.

Zaraz wysłucham spowiedzi - powiedział ojciec Joseph.

Młoda zakonnica zachowywała się jednak tak, jakby słowa spowiednika nie docierały do niej.

- Sostro!

Szła jak lunatyczka, pozostawiając za sobą zaskoczonego ojca Josepha, któremu jakiś wewnętrzny głos nakazywał Podążyć jej śladem. Gdy doszedł do drzwi kaplicy, zniknęła mu z oczu. Stał u szczytu schodów, omiatając wzrokiem rozległe klasztorne tereny, które za starym opactwem ciągnęły się aż do wysokiego brzegu rzeki.

GROM 50

Ojciec Joseph postanowił pójść w tamtym kierunku. W pewnej chwili dostrzegł w oddali przed sobą czarną plamę habitu, która szybko zniknęła wśród rosnących nad rzeką drzew. Nie miał wątpliwości. Tak, to była siostra Mary Teresa. Ale dlaczego schodziła w dół?

21

Tam, dokąd szła, znajdowała się jedynie wartko płynąca rzeka, której wody po ostatnich tygodniowych deszczach bardzo przybrały.

Nagle ojcu Josephowi wydało się, że słyszy rozkaz Pana:

- Idź!

Nie bacząc na nic, stary zakonnik zaczął biec. Coraz szybciej, w miarę zbliżania się do urwistego brzegu rzeki. Gdy dopadł wreszcie grupy drzew, pod którymi szerokim korytem płynęła rwąca woda, przytrzymał się gałęzi i niespokojnym wzrokiem zaczął rozglądać się wokoło.

Po chwili ujrzał młodą zakonnice. Stała na brzegu, jakieś sto metrów poniżej miejsca, w którym on się znajdował, na skraju urwiska. Wyglądała jak mały ptaszek, szykujący się do lotu. Poniżej wysokie, zmaćcone fale rzeki rozbijały się o ogromne głazy.

Ojciec Joseph zaczął krzyczeć, ale jego głos zagłuszył szum rzeki. Był przerażony.

Wiedział, że Mary Teresa go nie usłyszy. Gdy zachwiała się nagle, ogarnęło go przerażenie.

- Nie! Dobry Boże, nie!

Rzucił się pędem w jej stronę. Chwilę później odwróciła się, powoli uniosła rozłożone ręce, zwróciła twarz ku niebiosom i odchyliła się do tyłu.

Stary zakonnik zamarł w bezruchu i patrzył ze zgrozą na to, co się działo. Po paru sekundach ciało siostry Mary Teresy uderzyło o fale i znieruchomiało.

Sharon Sala 51

Na twarzy miała uśmiech. Z zamkniętymi oczyma wyglądała jak pogrążona we śnie, a odrzucone na bok nieruchome ręce przypominały ukrzyżowanego Chrystusa. Czarny habit wyglądał jak chmura.

Na oczach przerażonego zakonnika wzburzone wody rzeki rozstąpiły się, biorąc w posiadanie ciało siostry Mary Teresy.

Nie pozostał po niej nawet ślad.

Ojciec Joseph padł na kolana.

- Nie! - krzyczał. - Nie pozwól jej zginąć, litościwy Boże!

Dwadzieścia cztery godziny później, Waszyngton, dystrykt Kolumbia

Sullivan Dean wsunął klucz w otwór zamka i usłyszał znajomy trzask otwierającej się zapadki. Z torbą podróżną przewieszoną przez ramię wszedł do mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi.

We wszystkich pomieszczeniach unosił się zapach nieświeżego powietrza. W zawieszanej obok okna doniczce stało zeschnięte pnącze, opadające jak wasy Świętego Mikołaja. Sully postawił torbę na podłodze, wziął do ręki stos korespondencji zgromadzonej podczas jego nieobecności i rzucił koperty na pobliski stolik.

Krzywiąc się na widok uschniętej rośliny, skonstatował z przykrością, że przed wyjazdem zapomniał zanieść ją do sąsiadów. Odkąd sprowadził się do tego mieszkania, była to już piąta lub nawet szósta roślina, którą w ten sposób uśmiercił.

GROM 52

Sharon Sala 53

Może nie powinien kupować następnych? Nie musiałby się wówczas o nie martwić.

Zdjął doniczkę z podstawki, zaniósł do kuchni i wstawił do zlewu, obficie zraszając roślinę wodą, chociaż miał uzasadnione podejrzenia, że na odratowanie jej jest już za późno. Dotknął martwego liścia, który został mu w ręku.

22

- Przykro mi, stary - mruknął. - Nie jestem stworzony do dbania o żadne korzenie...

Nawet o twoje.

Chwilę później otworzył lodówkę i skrzywił się z niechęcią. Jedzenie, które zostawił w plastikowej torbie, zepsuło się kompletnie. Wrzucił je do śmieci, szybko zatrzasnął drzwi lodówki i zabrał się za dalszy przegląd swego królestwa.

O jego mieszkaniu w najlepszym razie można było powiedzieć, że jest zakurzone i puste. Sully westchnął. Byłoby miło wracać do domu, w którym odpowiada nie tylko echo. Szybko jednak, przypomniawszy sobie ostatnią, nieudaną próbę związku, doszedł do wniosku, że uschnięte rośliny i zakurzone wnętrza nie są najgorsze spośród tego, co może spotkać człowieka. W biurze musiał stawić się dopiero w poniedziałek. Miał więc przed sobą sporo wolnego czasu. Zdaży doprowadzić dom do porządku.

Zadowolony, że przynajmniej w myśli uporał się ze wszystkimi problemami, sięgnął po słuchawkę. Na wieczór zamówi pizzę, na jutro sprzątaczkę, zrobi niezbędne zakupy, a w poniedziałek odniesie do pralni brudne ciuchy.

Przyszło mu do głowy, żeby jeszcze dzisiaj zadzwonić do brata. Nie kontaktowali się od miesiąca. Powinien też jutro zatelefonować do domu opieki i dowiedzieć się o stan

zdrowia matki. Nie odczuwała braku syna, lecz Sully'emu brakowało jej takiej, jaka była niegdyś, zanim zaatakowała ją choroba Alzheimera. Był zmęczony i potrzebował spokoju, nawet nie myślał o żadnej kobiecie, której obecność tylko zagmatwałaby mu życie.

Dwie godziny później, w ciszy wieczoru, po prysznicu i posiłku, postanowił zająć się zaległą korespondencją. Rozsiadł się na kanapie i zaczął sortować solidny plik przesyłek. Rachunki do zapłacenia kładł po lewej stronie, prywatne listy po prawej, a gazety rzucał na podłogę. Reklamy i katalogi trafiały wprost do kosza.

Gdzieś w połowie sortowania natrafił na grubą kopertę wysłaną pocztą superekspresową. Zaciekawiony spojrzął na nadawcę i na jego twarzy ukazał się uśmiech. Przesyłka pochodziła od Georgii. A właściwie od siostry Mary Teresy, bo takie imię przybrała w klasztorze. Dla niego jednak pozostanie na zawsze Georgią, młodszą siostrą Toma Dudleya.

Sully odłożył na bok resztę korespondencji, rozdarł kopertę i wyciągnął plik papierów. Miał przed sobą kserokopie wycinków z prasy, zaopatrzone w zwięzły, odręczny list Georgii. Niemal natychmiast uśmiech zamarł na jego wargach. Po raz drugi przeczytał uważnie list, który sformułowała jako przewodnią notatkę, a potem dokładnie obejrzał podkreślone przez Georgię fragmenty wycinków.

- O, do licha! - mruknął i wrócił wzrokiem do listu. Kiedy dotarł do niego sens ostatniego zdania Georgii, niemal stanęło mu serce.

„Sully, błagam, pomóż nam. Ginny i mnie może czekać ten sam los.”

GROM 54

Zerwał się na równe nogi i pognął do sypialni po notes z adresami. Szybko odszukał telefon klasztoru Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego. Zdenerwowany wystukał numer. Być może nie ma się o co denerwować. Pewnie sama Georgia odbierze telefon, ucieszy się, że zadzwonił, i oświadczy, że wysnuł zbyt pochopne wnioski. Potem pośmieją się razem.

Usłyszał w słuchawce:

- Tu Zgromadzenie Najświętszego Serca Jezusowego. Mimo woli zaczął się jąkać.
- Chciałbym ro... rozmawiać z Georgią... to znaczy z siostrą Mary Teresą - oznajmił.
Na drugim końcu linii zapanowało na chwilę milczenie. Potem ktoś powiedział:
- Proszę poczekać.

23

Sully'emu wydawało się, że słyszy jakieś szepty. Poczł się nieswojo. Kiedy odezwał się głos inny niż poprzednio, wiedział już, że stało się coś złego.

- Mówi matka przełożona. Kto dzwoni?

Miała surowy głos i skojarzyła się Sully'emu z biciem linijką po głowie i z odsyłaniem za karę do kąta. Z trudem otrząsnął się z rozprasających go myśli.

- Nazywam się Sullivan Dean. Jestem przyjacielem rodziny siostry Mary Teresy.

Muszę z nią porozmawiać - oświadczył.

- Przykro mi, ale...

- Bardzo proszę... To ważna sprawa. Rozmówczyni westchnęła i zdumiony Sully usłyszał, że chyba zaczęła płakać.

- Pan nie rozumie - odezwała się łamiącym się głosem.

Sharon Sala 55

- Nie mogę poprosić jej nie dlatego, że nie chcę, ale... - urwała nagle. - Jeśli jest pan przyjacielem rodziny, to powinien pan już wiedzieć.

Pod Sullym ugięły się nogi i musiał przytrzymać się poręczy łóżka.

- Nie było mnie w kraju - wyjaśnił. - Co powinienem wiedzieć?
 - Bardzo mi przykro, ale straciliśmy siostrę Mary. Miał ochotę krzyczeć.
 - Co to znaczy?
 - Ona nie żyje, proszę pana. Sully stracił oddech. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się złapać odrobinę powietrza.
 - Jak to się stało? - zapytał chrapliwym głosem.
 - Nie jesteśmy sędziami. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko modlić się za jej duszę. Ból zastąpiła wściekłość.
 - Do licha z modłami! Proszę powiedzieć, co się stało! - wykrzyknął.
 - Ś wiadkiem jej śmierci był ojciec Joseph - surowym tonem oznajmiła zakonnica.
 - Matko przełożona, jestem agentem FBI, to znaczy rządowego biura śledczego, i po raz ostatni proszę o wyjaśnienie, w jaki sposób zginęła Georgia Dudley.
- Na drugim końcu linii zapanowała cisza, a po niej padły słowa, które wstrząsnęły Sullym:
- Popełniła samobójstwo.
 - Nie. To niemożliwe. Kobieta, którą znałem, nigdy by tego nie zrobiła. Przenigdy.

GROM 56

- To niemożliwe! Nie potrafiła pływać - stwierdził Sully.
 - Wiemy.
- Przez głowę Sully'ego przebiegały różne myśli. Musiał się skupić. Ale na czym? Georgia prosiła go o pomoc, a on zjawiał się za późno.
- Jej rzeczy osobiste... Co się z nimi stało?
 - W przyszłym tygodniu przyjedzie po nie rodzina siostry Mary Teresy.
 - Jutro z samego rana będę w klasztorze. Do tej pory proszę niczego nie ruszać.
 - Och, ale ja...
 - Georgia została zamordowana - oświadczył Sully. - Nie wiem, w jaki sposób, ale tak właśnie się stało i dowiodę tego. Czy mogę liczyć na pomoc matki przełożonej?

24

ROZDZIAŁ TRZECI

Ginny zasnęła. Burza, która ostatniej nocy przeszła nad St. Louis, spowodowała jakąś poważną awarię sieci energetycznej, w wyniku czego zepsuł się cyfrowy budzik. Nadal mrugał jak oszalały, kiedy Ginny wypłukiwała z ust pastę do zębów, a potem czesała się w pośpiechu. Gdy szczotka natrafiła na splątane włosy, skrzywiła się ze złości.

- Tego mi jeszcze trzeba - mruknęła.

Była w podłym nastroju. To wszystko dlatego, że nigdy nie potrafiła oprzeć się przedziwnemu działaniu burzy na jej psychikę. Odkąd sięgała pamięcią, przetaczające się po niebie gromy wprawiały ją zawsze w jakiś dziwny trans, przechodzący najczęściej w długi, ciężki sen.

Złapała parasol, płaszcz przeciwdeszczowy i wybiegła z sypialni. Pomyślała, że jeśli w mieście panuje normalny ruch, ma szansę zdążyć do pracy na ostatnią minutę. Sięgała ręką klamki, gdy w tej samej chwili usłyszała pukanie do drzwi. Aż drgnęła z wrażenia, odruchowo cofając rękę, a potem wspięła się na palce, żeby popatrzeć Przez judasz.

- A to ci los - wymamrotała pod nosem, rozpoznała administratora budynku.

Nie zważając na brak zainteresowania ze strony Ginny, od miesiący usiłował ją poderwać.

GROM 58

Ze zniecierpliwioną miną otworzyła drzwi.

- Słucham?

Obrzucił ją pożądlwym wzrokiem.

- Dzień dobry, Wirginio.

- Cześć, Stanley. Jak widzisz, trochę się spieszę.

- Wszyscy zawsze gdzieś się spieszymy - oświadczył sentencjonalnie, a potem wyciągnął zza pleców grubą kopertę z pieczęcią superekspresowej poczty. - Znalazłem to dziś rano na ziemi za koszem na śmieci - oznajmił. - Nie wiem, jak ta przesyłka się tam dostała, ale że ma nadruk „pilne”, uznałem za swój obowiązek od razu ci ją dostarczyć.

- Dziękuję.

Ginny zaciekawiona wzięła kopertę do ręki, spojrzała na zwrotny adres i szybko zamknęła Stanleyowi drzwi przed nosem.

Niemal natychmiast poprawił się jej nastrój. Przesyłka pochodziła z klasztoru Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego. A więc z pewnością od Georgii! A właściwie od siostry Mary Teresy, poprawiła się szybko. Nadal trudno jej było pogodzić się z faktem, że Georgia Dudley, dziewczyna jak żadna inna pełna temperamentu i werwy, która na sylwestrowym przyjęciu, ściągnawszy sweter, tańczyła na stole swego szacownego pryncypała, została zakonnica. Ginny uśmiechnęła się do siebie. A może Georgia zrobiła to właśnie dlatego? Wiedząc, że już nigdy nie będzie miała szansy ponownie podjąć pracy w kancelarii adwokackiej Dudson, Dudson i Grę góry, i nie chcąc wyjaśniać następnemu szefowi, za o została zwolniona przez poprzedniego, po prostu odeszła do zupełnie innego świata

Sharon Sala 59

Ginny westchnęła. Sprawy nie tak się miały. Wiedziała, dlaczego Georgia zdecydowała się całkowicie zmienić swoje życie. Ujrzała to na jej twarzy w dniu, kiedy jej przyjaciółka opowiadała wszystkim o wizji, jaką miała we śnie. Georgia promieniowała wewnętrznym blaskiem. Spojrzenie na zegarek upewniło Ginny, że i tak spóźni się do pracy. Kilka minut więcej nie miało większego znaczenia. Usiadła na kanapie i z uśmiechem na

25

twarzy rozerwała pękatą kopertę. Wyciągnęła plik papierów, ale jej uwagę przyciągnął przypięty do nich krótki list.

„Droga Ginny,

nie wiem, jak zacząć, ale uważam, że powinnaś wiedzieć, iż grozi ci niebezpieczeństwo... ”

Ginny z niepokojem zmarszczyła czoło. Jej wzrok przesuwiał się z wiersza do wiersza i kiedy dotarł do końca listu, poczuła bolesny ucisk żołądka. Przerzuciła szybko załączone kartki, odruchowo rejestrując w pamięci nazwiska zmarłych kobiet. Wydawały się jej znajome. Ale skąd?

Ponowne przeczytanie listu Georgii przywołało dawne wspomnienia. Wszystkie razem uczęszczały na dodatkowe szkolne zajęcia!

- Nie - wyszeptała. - To niemożliwe.

Ale fakt był faktem. Zginęło pięć kobiet, które jako małe dziewczynki uczyły się razem na specjalnych lekcjach w szkole Montgomery'ego! Emily, Josephine, Lynn, Francis i... Allison. Nie sposób było wyjaśnić, dlaczego Ich śmierć nie miała żadnego wspólnego mianownika.

GROM 60

Ginny jeszcze raz przeczytała list. Skupiła uwagę na dwóch zdaniach:

„...Cokolwiek zrobisz, w żadnym razie nie odbieraj telefonu, chyba że wiesz na pewno, kto dzwoni. Kopię tych wszystkich materiałów wysyłam równocześnie do Sullivana Deana.”

Ginny nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek, ale dowie się tego, rozmawiając z Georgią. Przyjaciółka z pewnością wyciągnęła zbyt pochopne wnioski. Szukając notesu z adresami, Ginny nie przestawała myśleć o wycinkach z gazet. Znajdowało się w nich potwierdzenie tragicznej śmierci, i to w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, pięciu z jej przyjaciółek z dziecięcych lat.

- Do licha, gdzie ja go mam? O, jest tutaj - wymamrotała Ginny, wyciągając notes z dna szuflady.

Drżącymi palcami wystukała numer klasztoru Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego, a potem, aby się uspokoić, zaczęła oddychać głęboko i powoli. Kiedy na drugim końcu linii odezwał się kobiecy głos, drgnęła nerwowo.

- Zgromadzenie Najświętszego Serca Jezusowego.

- Tak... To znaczy... Dzień dobry. Mówi Yirginia Shapiro. Jestem dobrą znajomą Georgii... to znaczy siostry Mary Teresy. Nie znam reguł zakonnych, panujących w waszym klasztorze, ani nie wiem, gdzie ona teraz jest, ale to bardzo ważne, abym mogła z nią porozmawiać.

Na drugim końcu linii nagle zapanowało milczenie.

- Halo? Halo? Czy ktoś tam jest?

- Tak, przepraszam. Proszę chwilę poczekać.

Sharon Sala 61

Ginny spojrzała na zegarek i wzniosła oczy ku niebu. Gdy tylko Georgia podejdzie do telefonu, sprawa się wyjaśni i okaże się, że wszystko jest w porządku. Była tego pewna. Tak samo jak tego, że zjawi się w pracy zdecydowanie zbyt późno.

W słuchawce odezwał się jednak inny głos.

- Mówi matka przełożona. Z kim rozmawiam? Ginny spojrzała na list, który trzymała w ręku.

26

- Nazywam się Yirginia Shapiro. Muszę porozmawiać z siostrą Mary Teresą. To sprawa niezwykle ważna.

- Jest pani członkiem rodziny?

- Nie, ale przyjaźnimy się od wielu lat. Proszę pozwolić jej podejść do telefonu. Tylko na chwilę...

- Przykro mi, moja droga - powiedziała stara zakonnica. - Ona po prostu nie jest w stanie tego zrobić. Ginny poczuła nagły skurcz serca.

- Dlaczego?

- Siostry Mary już nie ma wśród nas. Ginny odetchnęła z ulgą.

- A więc została przeniesiona do innego klasztoru? Będę bardzo wdzięczna, jeżeli matka przełożona poda mi Jej telefon.

- Przepraszam, moja droga. Widocznie nie wyraziłam się jasno. Siostra Mary nie została nigdzie przeniesiona. Ona nie żyje.

Ginny osunęła się na podłogę. Z trudem łapała oddech.

- Nie rozumiem. To niemożliwe. Właśnie dostałam od niej list.

- Przykro mi, ale to prawda.

Spojrzenie Ginny zatrzymało się na kopercie z nadrukiem „pilne”.

GROM 62

Z rozpaczy miała ochotę krzyczeć. Czy cokolwiek by się zmieniło, gdyby dostała przesyłkę na czas?

- Proszę... powiedziec, jak to się stało.

- Utonęła.

Ginny poderwała się na nogi.

- To niemożliwe. Nie umiała pływać. Bała się wody i nigdy do niej nawet nie podchodziła.

Matka przełożona wróciła myślami do telefonicznej rozmowy z agentem FBI, który twierdził, że siostra Mary Teresa została zamordowana. Czy to w ogóle możliwe?

- Ale utonęła - potwierdziła poprzednio wypowiedziane słowa.

- Ja w to nie wierzę. - Głos Ginny drżał od narastającego w niej gniewu. - Czy ktoś z nią był? Na pewno została popchnięta.

- Moja droga, nie wiesz, co mówisz! Ojciec Joseph widział na własne oczy, jak to się stało. Wołał, chcąc powstrzymać siostrę Mary Teresę, lecz ona nie reagowała. Ani na słowa, ani na to, że zakonnik jest w pobliżu. I wszystko widzi.

Ginny poczuła ucisk w gardle.

- Co widzi?

- Skoczyła z wysokiego, urwistego brzegu wprost do rwącej rzeki. Nie było dla niej żadnego ratunku. Pozostały nam tylko modlitwy za jej nieszczęsną duszę.

- Nie rozumiem.

- Siostra Mary Teresa targnęła się na swoje życie, Samobójstwo, moja droga, to wielki grzech.

Sharon Sala 63

Było dziesięć po jedenastej, gdy Ginny zaczęła przytomnieć. Tylko dlatego, że zadzwonił telefon. Podniosła się z kanapy i z zapuchniętymi od łez oczyma niepewnym krokiem ruszyła w stronę aparatu. Już dotykała słuchawki, gdy nagle przypomniała sobie słowa z listu Georgii:

„Nie odbieraj telefonu, chyba że wiesz na pewno, kto dzwoni.”

27

W odruchu paniki jednym szarpnięciem wyciągnęła wtyczkę z gniazdka. Dostała dreszczy. To było czyste szaleństwo! Co Georgia miała na myśli?

Było tyle pytań, na które brakowało odpowiedzi. Ginny musiała natychmiast z kimś porozmawiać. Ale z kim?

Od razu przyszedł jej na myśl Harry Redford. Był nie tylko szefem, lecz także - w kryzysowych sytuacjach - najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek знаła. Poszła do łazienki, przemyła twarz zimną wodą i uczesała włosy, z wielkim trudem biorąc się w garść. Kilka minut później wychodziła już z domu, przyciskając mocno do piersi pakiet papierów od Georgii. Pokaże je Harry'emu. On na pewno będzie wiedział, co robić. Jedno spojrzenie na zmienioną nie do poznania, spuchniętą twarz Ginny wystarczyło, żeby Harry Redford, naczelny redaktor gazety „St. Louis Daily”, zdusił cierpką uwagę, jaką miał na końcu języka pod adresem spóźnionej reporterki. Wszedł zza biurka, posadził Ginny w fotelu i zamknął drzwi gabinetu.

- Co się stało?

Podniosła umęczony wzrok i, wpatrując się w znajomą, przyjazną twarz szefa, podała mu kopertę z papierami.

GROM 64

- O co, do diabła, chodzi? - mruknął, wracając do swojego biurka, aby obejrzeć

zawartość przesyłki.

- Nie wiem - przyznała Ginny i ponownie zaczęła płakać. - Harry, ja się boję.

Najpierw zapoznał się z treścią listu, a potem przerzucił prasowe wycinki. W miarę czytania zmarszczka na jego czole stawała się coraz głębsza. Wreszcie podniósł wzrok i wygładził czoło, nadal trzymając w ręku list siostry Mary Teresy.

- O to chodzi? Skinęła głową.

- A co twoja przyjaciółka... ta zakonnica... Co ona mówi na ten temat?

Po twarzy Ginny znów popłynęły strumienie łez.

Harry jęknął i wręczył jej pudełko z chusteczkami, wyjęte z szuflady biurka.

- Bierz, wytrzyj, do licha, nos i wreszcie zacznij gadać. Bo chyba z nią rozmawiałaś, mam rację? - zapytał.

- Ona nie żyje.

Harry pochylił się w przód, opierając dłonie o blat biurka.

- Od kiedy?

- Nawet nie spytałam. Nie znam dokładnej daty. Musiało to się stać wkrótce po tym, gdy wysłała mi te papiery. - Ginny nerwowo wciągnęła powietrze. - Harry ja się boję.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Zmarszczył czoło i przecesał palcami gęste, siwiejące włosy.

Sharon Sala 65

- Opowiedz, co wiesz. O tych kobietach. Co was właściwie łączy?

- Wszystkie chodziłyśmy do prywatnej szkoły w północnej części stanu Nowy Jork.

Jak pamiętasz, właśnie tam się wychowałam.

- Mów dalej. A więc razem się uczyłyście.

- Nie tylko. Brałyśmy udział we wspólnych dodatkowych zajęciach.

- Jakich?

Ginny wzięła następną chusteczkę i wytarła oczy.

28

- Kiedy miałyśmy po sześć lat, wprowadzono w szkole dodatkowe zajęcia dla wybranych dzieci. Było nas siedmioro. Same dziewczynki. - Wskazała listę sporządzoną ręką Georgii. - W ciągu ostatnich dwóch miesięcy wszystkie zginęły. Oprócz mnie. - Odetchnęła nerwowo. Czekwała na reakcję szefa.

Harry przybladł.

- Stoi za tym jakiś skurwysyn - wymamrotał pod nosem. Spojrzał ponownie na list. -

A kim jest Sullivan Dean?

- Nie mam pojęcia. Miałam zapytać o to Georgię, to znaczy siostrę Mary... ale teraz już... - Ginny urwała. Zabrakło jej słów.

- Ja też nie mam pojęcia, o co chodzi z tym nieodbieraniem telefonu - przyznał Harry.

- Ale wiem, co możesz zrobić.

- Co?

- Idź do swojego biurka i zacznij działać jak przystało na reporterkę. Zbadaj całą historię. Pogadaj z rodzinami tych kobiet. Dowiedz się możliwie jak najwięcej o tych telefonicznych rozmowach.

GROM 66

Siostra Mary zginęła, zanim zdołała powiedzieć wszystko, co wie, ale dzięki niej masz punkt zaczepienia. A teraz idź i rób to, czego cię nauczono.

Ginny podniosła się z miejsca. Harry miał rację. Była w szoku i przestała logicznie myśleć. Musiało jednak przecież istnieć jakieś realne tło tej ponurej historii i to ona powinna

je odkryć, i wyjaśnić całą sprawę.

- Informuj, czego się dowiedziałaś - polecił. Skinęła głową.

- Aha, jeszcze jedno...

Ginny zatrzymała się w pół kroku.

- Może... na wszelki wypadek... nie powinnaś odbierać żadnych telefonów...

Przełknęła nerwowo ślinę.

- W porządku. Skorzystam ze stałego pośrednictwa poczty głosowej.

- Nie. Będzie lepiej, jeśli po prostu twoje telefony będzie odbierał ktoś inny. Niech informuje, że pracujesz gdzieś w terenie i jesteś nieosiągalna.

Dochodziła piąta, gdy Ginny po raz ostatni odłożyła słuchawkę. Ponad dwie godziny zajęło jej odnalezienie w Oklahomie osoby, która byłaby w stanie potwierdzić to, co na temat tragedii Allison Turner opublikowano w tamtejszej gazecie. Dopiero za czwartym razem Ginny udało się skontaktować z reporterem, autorem artykułu który z kolei musiał odszukać swoje zapiski, aby móc podać jej kontakt do przyjaciółki Allison, będącej naocznym świadkiem zajścia.

Sharon Sala 67

Ginny przetarła zmęczone oczy i przeciągnęła się, aby rozprostować obolałe plecy.

Zatrzymała wzrok na sporządzonych notatkach i materiałach otrzymanych od Georgii.

Wszystko to było dziwaczne. Począwszy od pierwszej ofiary, której mąż wróciwszy do domu stwierdził, że dziecko jest u sąsiadki, a na kuchennym blacie leży odłożona słuchawka, aż do Allison, która puściwszy kierownicę, z rozłożonymi ramionami wjechała samochodem w cysternę z benzyną. Ginny uznała, że spostrzeżenia Georgii, dotyczące poprzedzających wypadki telefonicznych rozmów, miały podstawy i zasługiwały na uwagę. Nieco inaczej wyglądały fakty, które zdarzyły się bezpośrednio przed tragiczną śmiercią samej Georgii. Stary zakonnik, ojciec Joseph, stwierdził, że siostra Mary Teresa wyszła z konfesjonału, minęła go obojętnie, bez słowa, jakby był niewidzialny, i udała się wprost nad rzekę.

29

W konfesjonałach telefonów nie było. Nie było ich w ogóle w klasztornej kaplicy.

Końcówka jedynej linii znajdowała się w biurze. Ginny była jednak przekonana, że to, co przydarzyło się innym jej koleżankom, spotkało także Georgię.

Podparła głowę dłońmi i, zmęczona, odetchnęła głęboko. Jej świat rozpadł się

zaledwie dziś rano, a miała wrażenie, że minęły całe wieki. Bolały ją głowa i oczy. Przez cały dzień wylała więcej łez niż kiedykolwiek w dotychczasowym życiu. Jeśli nie będzie odbierała telefonów, może uda się jej uniknąć śmierci, ale co to będzie za życie? Za wszelką cenę musiała wyjaśnić, co się stało i kto spowodował tragedię.

Kiedy na sąsiednim biurku odezwał się telefon, Ginny aż podskoczyła.

GROM 68

Po chwili uznała, że musi odpocząć i że nie wie, czy będzie potrafiła tak żyć. Musiała wyjść z redakcji, przynajmniej na chwilę. A także poinformować Harry'ego o tym, czego się dowiedziała.

Z notatkami i torebką w rękę poszła do gabinetu naczelnego.

- Wszystko to wygląda źle - oznajmiła, opadając ciężko na fotel, stojący na wprost biurka.

Harry Redford podniósł wzrok. Odsunął na bok jakieś papiery i wyprostował plecy.

- Mów - polecił.

- Podam ci tylko niezaprzeczone, sprawdzone fakty. Ponad dwadzieścia lat temu w małej, prywatnej szkole im. Montgomery'ego siedem młodziutkich uczennic zakwalifikowano

na dodatkowe zajęcia dla wybitnie uzdolnionych dzieci. Niespełna rok później budynek spłonął od uderzenia pioruna. Sześć dziewczynek, biorących wówczas udział w tych dodatkowych zajęciach, zginęło na przestrzeni ostatnich dwóch miesięcy. Z całej siódemki przy życiu pozostała tylko ja. Ponadto udało mi się potwierdzić teorię Georgii, że każdy wypadek był poprzedzony jakąś telefoniczną rozmową. - Ginny odetchnęła głęboko i nachyliła się w przód. - Harry, jestem przerażona. To okropne uczucie. Postanowiłam niezwłocznie przekazać wszystkie te informacje policji i zaraz potem opuścić miasto. Nie wiem, dokąd pojedę. W każdym razie będę z tobą w kontakcie. Chciałabym jednak wiedzieć jeszcze jedno. Czy... czy kiedy wrócę, nadal będę miała u ciebie pracę?

Harry zachnął się.

Sharon Sala 69

- Oczywiście. I, mam nadzieję na rewelacyjny temat. Z pełną wyłącznością dla naszej gazety. Masz meldować się co najmniej raz w tygodniu, tak abym wiedział, że wszystko jest w porządku. Obiecujesz?

Ginny podniosła się z miejsca.

- Obiecuję - oświadczyła, mrugając oczyma, żeby powstrzymać łzy. - I, Harry...

- O co chodzi?

- Dziękuję.

Wstał, wyszedł zza biurka i uściskał Ginny.

- Trzymaj się, dziecko. A jeśli będzie ci zbyt trudno sobie poradzić, wracaj. Wiesz, że nie musisz sama się tym zajmować. W razie czego wymyślimy coś sensownego.

- Wiem, ale na razie poczuję się bezpieczniej, jeśli zniknę na jakiś czas.

Zebrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę wyjścia.

- Dziecino, poczekaj! - zawołał Harry. Stała i odwróciła się w stronę szefa.

- Idziesz teraz do gliniarzy?

- Tak. Ale nie mam pojęcia, czy mi uwierzą.

30

- Jeśli potraktują cię źle, dam im zdrowo popalić - zagroził.

Ginny poszła na parking. Kiedy już siedziała w samochodzie, zamknęła wszystkie zamki. I zanim odjechała, uważnie rozejrzała się wokół.

Na chicagowskim lotnisku Sullivan Dean w myśli przeklinał opóźniony lot. Ruszył w stronę automatów telefonicznych. Chciał jak najszybciej skontaktować się

GROM 70

z niejaką Yirginią Shapiro. Dzwonił do domu, ale bez skutku. A kiedy próbował złapać ją w redakcji, rozmowy przejmowała poczta głosowa. Był zły. Gdyby udało mu się nawiązać łączność z tą kobietą, poczułby się znacznie lepiej.

Odwiesiwszy słuchawkę automatu, wrócił na swój fotel, usiłując ignorować rozkrzyczane niemowlę i wyrzekania zdenerwowanej matki, siedzącej naprzeciw zajmowanego przezeń miejsca. Zgnębiony i sfrustrowany, pochylił się, oparł łokcie na kolanach i zakrył twarz dłońmi.

Wielki Boże! Georgia, młodsza siostra Toma, była martwa. Mógł sobie wyobrazić rozpacz rodziny. Do tego dochodziło jego własne poczucie winy. Wieki temu obiecał Georgii, że ją odwiedzi, i nie dotrzymał obietnicy. Aż do tej chwili. Mając przed oczyma jej spartańską celę i proste życie, jakie sobie wybrała, a także wiedząc, jak' wielką radość sprawiło jej wstąpienie do zakonu, poczuł ból serca. Kiedy stał w tym niewielkim pokoiku, niemal liczył na to, że Georgia zaraz wpadnie do celi i zrużga go za to, że przeszukuje jej rzeczy. Jak na detektywa amatora była bardzo wnikliwa i dokładna. Oprócz wszystkich już

znanych mu materiałów i notatek dotyczących zmarłych kobiet, a także szkolnej księgi pamiątkowej, rocznik 1979, która nadeszła pocztą dopiero po jej śmierci, Sully nie znalazł żadnych nowych informacji.

Walcząc z ogarniającym go smutkiem, poszedł do klasztornej kaplicy, gdzie modlił się do tego samego Boga któremu Georgia złożyła śluby i ofiarowała życie, i obojgu złożył przyrzeczenie. Postanowił poruszyć niebo i ziemię, aby odnaleźć człowieka, który ponosił winę za te nieszczęścia, a także uratować Yirginię Shapiro.

Sharon Sala 71

Ze szkolną księgą pamiątkową Georgii schowaną pieczołowicie na dnie podróźnej torby ruszył w dalszą drogę.

Do St. Louis w stanie Missouri.

Detektywa Anthony'ego Pagillia męczyły właśnie ból głowy i popołudniowa zgaga, gdy do jego biurka podeszła jakaś kobieta. Ze zmarszczonym czołem usiłował uzmysłwić sobie, skąd zna jej twarz. Przypomnił sobie dopiero wtedy, kiedy się przedstawiła. Była znaną reporterką „St. Louis Daily”.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał. Yirginia Shapiro położyła przed nim dużą, brązową kopertę.

- Zaczniemy od tego, że mam na imię Ginny, i proszę tak się do mnie zwracać - powiedziała na wstępie. - A skończymy na tym, że pan powie mi, czy jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach, czy już nie.

Anthony Pagillia uśmiechnął się lekko.

- Już dawno temu przysiągłem sobie nie mówić nigdy kobietom niczego, co może obrócić się przeciwko mnie ~ oświadczył. - Wysypał na biurko zawartość koperty. ~ O co chodzi?

- Sądzę, że ktoś chce mojej śmierci.

Na twarzy policyjnego detektywa zamarł uśmiech.

31

- Mówi pani serio?

- Proszę przeczytać to, co przyniosłam. A kiedy pan skończy, odpowiem, jeśli potrafię, na każde pytanie.

GROM 72

Po kilku minutach, jakie były niezbędne, aby zapoznać się z materiałami Ginny, Anthony Pagillia zakotłosał się wraz z krzesłem i podniósł wzrok.

- Jestem gotów - oznajmił. - Proszę mówić.

- Po przeczytaniu tych materiałów wie pan prawie tyle, co ja.

- A co ma do powiedzenia ta zakonnica, pani przyjaciółka? - zapytał.

Ginny zadrgał podbródek, ale szybko wzięła się w garść. Czasu miała niewiele. Nie mogła pozwolić sobie na dalszą rozpacz.

- Nie żyje. Wczoraj popełniła podobno samobójstwo, skacząc z urwistego brzegu do rwącej rzeki. - Ginny nachyliła się i postukała gniewnie palcami o blat biurka. - Georgia Dudley, czyli siostra Mary Teresa, nigdy sama nie odebrałaby sobie życia. Nigdy! Krzesło detektywa stuknęło o ziemię.

- A więc one nie żyją... wszystkie te dziewczynki, które chodziły razem na zajęcia?

- Tak. Wszystkie z wyjątkiem mnie. I zginęły w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Zanim przyszedłam do pana, zrobiłam małe dochodzenie. Oprócz wspólnego uczestnictwa w dodatkowych zajęciach jest jeszcze inny wspólny mianownik.

- Jaki?

- Tuż przed popełnieniem tak zwanego samobójstwa każda z kobiet odebrała jakiś telefon. Wiemy o tym, bo ich rodziny albo znalazły słuchawki zdjęte z widełek i odłożone obok aparatu, albo wręcz widziały, jak rozmawiają przez telefon. Tak było we wszystkich wypadkach.

Sharon Sala 73

Oprócz jednego. Tylko w odniesieniu do Georgii nie jestem w stanie udowodnić tego faktu.

- Nie rozumiem. Jak jakaś telefoniczna rozmowa mogła sprawić, że sześć kobiet mieszkających w różnych miastach natychmiast wyszło z domu i popełniło samobójstwa?

- Nie wiem - odparła Ginny. - W tym miejscu zaczyna się pańska rola. Czy pan mi pomoże?

- Oczywiście - odrzekł detektyw. - Zastanawiam się... czy w pozostałych miastach policja zdaje sobie sprawę z tego zbiegu okoliczności?

- Nie sądzę - uznała po chwili namysłu Ginny. - Wszystkie zdarzenia nastąpiły w odległych od siebie miejscach i, jak pan już wie z przeczytanych wycinków prasowych, wszędzie uznano je za samobójstwa lub nieszczęśliwe wypadki. Nie było podstaw do podejrzeń, że stało się inaczej.

- A więc mam od czego zacząć - uznał detektyw.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła z ulgą Ginny i podniosła się z miejsca.

- Jak mogę się z panią skontaktować? - spytał Pagillia.

- Nie może pan - odparła. - Zaraz opuszczam miasto i chyba nie muszę dodawać, że nie zamierzam odbierać żadnych telefonów.

- Ale co mam począć, kiedy okaże się, że będę musiał z panią porozmawiać?

- Sama zadzwonię - odparła Ginny. - Tyle mogę panu obiecać. Aha, proszę zatrzymać ten list i wycinki. Na Wszelki wypadek zrobiłam sobie kopie.

GROM 74

32

Detektyw Pagillia skinął głową.

- Niech pani będzie ze mną w kontakcie.

- Może pan na to liczyć - odrzekła Ginny i wyszła z gabinetu detektywa.

Przed południem, a dokładnie pięć po jedenastej, przekroczyła osłonięte markizą wejście do motelu. Na jej widok recepcjonista podniósł głowę.

- Potrzebuję pokoju - oznajmiła krótko.

- Na jedną noc? - zapytał.

Zawahała się, ale zaraz potem potwierdziła skinieniem głowy.

- Dla palących czy niepalących?

- Proszę dla niepalących.

- Samotna?

Ginny podniosła wzrok. A co to ma, do licha, za znaczenie, czy jest mężatką, czy żyje samotnie, zachnęła się w myśli.

- Przepraszam, o co pan mnie pytał?

- Czy chce pani pokój dla jednej osoby, czy też jest z panią jeszcze ktoś?

Gdyby nie była tak bardzo zmęczona, pewnie by się roześmiała.

- Och, nie ma ze mną nikogo. Jestem sama.

- Jak będzie pani płacić?

Położyła na kontuarze kartę kredytową i kiedy recepcjonista zabrał się do pracy, omiotła wzrokiem hol. Piekły ją oczy, a z głodu burczało w brzuchu. Dopiero po paru

chwilach uprzytomniła sobie, że nie wie, co to za miejsce.

Sharon Sala 75

- Gdzie ja jestem?

Recepcjonista podniósł wzrok. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Słucham? Ginny westchnęła.

- Wiem, że to motel. Ale gdzie jest jakieś najbliższe miasto i jak się nazywa?

- Hoxy trudno nazwać miastem. To nieduża osada. Leży dwadzieścia parę kilometrów stąd. W tamtą stronę. - Machnął ręką.

Wskazał zachód. Ginny skinęła głową, uzmysłowiwszy sobie, że właśnie stamtąd przyjechała.

- A jadąc na wschód? - indagowała dalej. Recepcjonista pomyślał chwilę.

- To będzie pewnie Memphis.

Tak więc miała już słabe pojęcie, gdzie się znajduje. Postanowiła jutro kupić mapę.

Powinna uważać. Jazda w nieznaną mogłaby przysporzyć kłopotów, a miała ich już wystarczająco dużo.

- Dziękuję - powiedziała, ignorując podejrzliwe spojrzenie recepcjonisty.

Nie była ani naćpana, ani po wódce, więc niech facet sobie myśli, co chce. Była tak zmęczona, że musiała znaleźć miejsce, w którym mogłaby przyłożyć głowę do poduszki. I to wszystko.

Położył przed nią wyciąg z karty.

- Pokój kosztuje czterdzieści dolarów za noc. Proszę podpisać.

Ginny złożyła podpis. Kilka minut później wsunęła klucz do zamka, weszła do pokoju i zaraz zamknęła za sobą drzwi.

33

GROM 76

Wnętrze było obskurne. Nie reagując na nic, powlokła się do łazienki. Parę minut potem padła w ubraniu na łóżko. Zasnęła natychmiast.

Wysoko ponad St. Louis boeing 747-zaczynał podchodzić do lądowania. Sullivan Dean spojrział przez okno. Popatrzył w dół. Była bezchmurna noc. Światła miasta zawsze wyglądają z samolotu jak małe diamenty rozsypane na czarnym aksamicie. Ale federalnego agenta interesowało tylko jedno. Odległość dzieląca go od upragnionego celu.

Jadę do ciebie, Yirginio. Boże, spraw, aby jeszcze żyła!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Odebrał bagaż i opuścił lotnisko. Akurat zaczęło padać, więc na chwilę zatrzymał się pod osłoną dachu. Miał konkretny plan, ale zastanawiał się, od czego zacząć. Musiał wykonać całą listę czynności, którym przyświecał jeden jedyne cel.

To, że Yirginia Shapiro nie odpowiada na telefony, było rzeczą bardzo niepokojącą.

Nie była w stanie? A może już nie żyła?

Sully postanowił zacząć od złożenia jej wizyty w domu. Przywołał taksówkę, podał kierowcy adres, oparł się wygodnie na siedzeniu i zamknął oczy, ale ani na chwilę nie potrafił się rozluźnić.

Prześladował go obraz pięcioletniej Georgii, uganiającej się za nim i Tomem, gdy byli chłopcami. Darzyła go szczeniackim uwielbieniem. Wyznała mu miłość, kiedy miał szesnaście lat. Stał wówczas na progu dorosłości, Podczas gdy Georgia jako dwunastolatka, z piegami na buzi i klamerkami na zębach, była jeszcze właściwie dzieckiem.

Do dziś miał przed oczyma wyraz jej twarzy, gdy oznajmiła, że wstępuje do zakonu.

Żarliwość w oczach Georgii była taka jak zawsze, ale emanujący z niej spokój ducha sprawił,

że Sully odczuł przyływ pokory. Po raz pierwszy w życiu zobaczył w niej wtedy kobietę, a nie tylko młodszą siostrę Toma.

GROM 78

A teraz miał uwierzyć, że była zdolna do targnięcia się na własne życie?

Nie zrobiłaby tego. Nigdy.

Sully westchnął. Nie potrafi udowodnić, że śmierć Georgii miała inny przebieg, a poza tym stary zakonnik nie miał powodu, aby kłamać. Ale, na Boga, jaki szatan wstąpił w tę dziewczynę, żeby z urwistego brzegu rzucić się do wezbranej rzeki?

Ta odruchowo sformułowana myśl spowodowała, że Sully'ego przeszły dreszcze.

Przetarł dłonią twarz. No tak, jeszcze tylko brakowało tu diabelskich sztuczek. Zacisnął mocno szczękę.

Boże, miej nas wszystkich w opiece!

Jednego był pewny. Gdy tylko zatrzyma się w jakimś hotelu, natychmiast zadzwoni do Toma. Przyjaciel zasługiwał na to, aby wiedzieć, co się dzieje, a z krótkiego, niewiele mówiącego listu Georgii można było wnioskować, że swymi podejrzeniami nie podzieliła się z rodziną.

Nadal myślał o przeszłości, gdy taksówka skręciła w prawo i zatrzymała się przed dwupiętrowym domem. Jego widok rozczerował Sully'ego. Miał bowiem przed sobą stary, wiktoriański dom w zwyczajnej dzielnicy, a nie elegancki wieżowiec z apartamentami, bardziej, jak sobie wyobrażał, pasujący do twardej, dociekliwej i ciężko pracującej reporterki, jaką była Yirginia Shapiro.

- Piętnaście siedemdziesiąt pięć - oznajmił kierowca.

Sully podał mu dwudziestodolarowy banknot.

34

Sharon Sala 79

- Proszę zatrzymać resztę.

Kiedy wysiadł z taksówki, zza zakrętu wynurzył się nieduży samochód dostawczy i podjechał pod dom. Sully'emu sprzyjało szczęście. Tuż przed wejściem dogonił młodego chłopaka z pizzerii i, korzystając z okazji, wszedł do środka. Dostawca pizzy zatrzymał się na parterze, Sully poszedł po schodach na górę. Wkrótce przekonał się, że w całym budynku wynajmowano tylko trzy lokale i jeden, należący do dozorczy. Mieszkanie Yirginii było na pierwszym piętrze.

Staął pod drzwiami, a potem, wsłuchując się w echo dzwonka po drugiej stronie drzwi, wycofał się w ciemny kąt holu. Było pięć minut po północy. Jeśli Yirginia jest w domu, o tej porze z pewnością nawet nie podejdzie do drzwi. Sully zdawał sobie z tego sprawę, ale było za późno, żeby się wycofać. Zadzwonił ponownie i gdy nadal odpowiadało mu milczenie, zaczął stukać.

Był agentem FBI i jego wyobraźnia pracowała zgodnie z wymaganiami tego zawodu.

Yirginia Shapiro nie otwierała drzwi, bo już nie żyła. Sully wiedział, że nie odejdzie, póki się nie upewni, jak jest naprawdę.

Postawił na ziemi podróżną torbę i sięgnął do kieszeni po mały wytrych. Otworzył zamek. Przed wejściem do mieszkania rozejrzał się jeszcze raz. Nie odezwał się żaden alarm. Na całym piętrze nadal panował spokój.

Rzuciwszy ponownie wzrokiem w stronę schodów, Sully zamknął za sobą drzwi.

Przywarł do nich plecami i stał przez chwilę bez ruchu, nasłuchując, czy ktoś jest w mieszkaniu. Panującej ciszy nie zakłócał jednak żaden odgłos. Nie było słyhać nawet kapania wody z kranu.

GROM 80

Po krótkiej chwili wahania Sully zapalił światło.

Wystarczyło mu kilka sekund, żeby się przekonać, że Yirginia Shapiro wyniosła się z domu.

Na podłodze leżała zrzucona poduszka. Szuflada stojącego w pobliżu stołu była, zapewne w pośpiechu, wsunięta tylko do połowy.

Zapoznawszy się z rozkładem mieszkania, Sully przeszedł się po pokojach. Łóżko było wprawdzie zasłane, ale na środku narzuty znajdowało się spore wgniecenie, odpowiadające rozmiarowi średniej wielkości walizki. Dostrzegł uchylone drzwi szafy i wysuniętą szufladę w komodzie. W kącie pokoju leżała para porzuconych pantofli. W położonej obok sypialni łazience nie było żadnych kosmetyków.

W kuchennym zlewie stały tylko brudna miseczka i szklanka. Sully odruchowo odkręcił kran i zalał wodą stwardniałe resztki płatków. Stojąc pośrodku kuchni, starał się wyobrazić sobie, co przed opuszczeniem domu robiła Yirginia Shapiro.

Postanowił dokładniej przeszukać mieszkanie, począwszy od salonu. Rozglądając się wokoło, zastanawiał się, od czego tu zacząć, gdy nagle w mieszkaniu na parterze odezwał się telefon. Słaby odgłos dzwonka, dobiegający z dołu, przypomniał Sully'emu ostrzeżenie Georgii dotyczące unikania telefonicznych rozmów i pomyślał o aparacie Yirginii Shapiro.

W pierwszej chwili w ogóle go nie zauważył, aparat znajdował się bowiem na podłodze obok kanapy. Postawił go na stoliku i podniósł słuchawkę. Telefon nie działał. Sprawdzając przyczynę tego stanu rzeczy, szybko od krył, że po prostu z gniazdka w ścianie wyciągnięto wtyczkę.

35

Sharon Sala 81

Odetchnął z niewypowiedzianą ulgą.

A więc Yirginia Shapiro już wiedziała, że nie wolno jej podnosić słuchawki! Dobry Boże... ! Jakie to szczęście!

Napięcie, jakie towarzyszyło Sully'emu od paru godzin, opadło. Teraz nie musiał już tak bardzo się spieszyć, żeby ją odnaleźć. Nie miał jeszcze pojęcia, jak potoczą się sprawy, lecz był przekonany, że w najbliższym czasie uda mu się ustalić miejsce jej pobytu.

Wystarczyło przeprowadzić kilka rutynowych działań.

Ale nie dzisiejszej nocy. Było jasne, że Yirginia Shapiro nieprędko wróci na stare śmieci, więc nie widział powodu, dla którego miałoby się marnować wygodne łóżko. Cekał go jeszcze telefon do Toma Dudleya, ale uznał, że jest zbyt późno. Zadzwoi rano, zanim opuści mieszkanie.

Gdy szedł w kierunku sypialni, rzucił mu się w oczy wiszący na ścianie obrazek.

Podszedł bliżej. Miał przed sobą fotografię przedstawiającą trzy osoby: parę starszych ludzi, czule obejmujących stojącą pomiędzy nimi młodą, ciemnowłosą kobietę. Zobaczył podpis. „Mama, tata i ja. Yellowstone 1997.”

A więc stojącą pośrodku kobietą musiała być Yirginia Shapiro. Sully zbliżył się jeszcze bardziej i z zaciekawieniem zaczął się jej przyglądać. Zdjęcie zrobiono przed czterema laty, ale od tamtej pory pewnie zmieniła się niewiele. Z jej ładnej buzi emanowały radość i chęć życia.

GROM 82

A jaka była dziś?

Zgnębiona. Przerazona. I całkowicie bezradna.

Sully wyciągnął rękę i dotknął uśmiechniętej twarzy. Natrafiwszy na szkło

oddzielające go od obrazu młodej kobiety, zmarszczył czoło.

Stojąc tak na wprost fotografii, usłyszał nagle odgłos włączającego się klimatyzatora i uprzytomnił sobie, że ma plecy mokre od potu. Rzucił ostatnie spojrzenie na oprawione w ramkę zdjęcie i ruszył do sypialni. Należało wreszcie zrzucić nieświeżą odzież i pójść do łóżka.

Nie mógł zasnąć. Poduszki były przesycone ledwie uchwytnym zapachem szamponu, a w powietrzu unosiła się leciutka woń perfum. Zmęczony, przewrócił się na brzuch i zepchnął poduszkę na podłogę. Jeszcze nigdy, nawet w szczenięcych latach, nie zdarzyło mu się mieć fioła na punkcie zdjęcia ładnej dziewczyny, i tym razem mieć go nie będzie. A jego reakcja była spowodowana po prostu tym, że zbyt długo obywatel się bez kobiety.

Sully zapadł w niespokojną drzemkę dopiero tuż przed trzecią, ale Yirginia Shapiro nie opuściła go, pojawiając się na przemian z koszmarem, jakim okazała się jego ostatnia służbowa podróż. Widział ładną kobietę, niewidzącym wzrokiem wpatrującą się w niebo. Była złana krwią.

Bainbridge, stan Connecticut

- Emile, mój drogi, załóż inny krawat. O, ten. Jest bardziej nobliwy. Emile Karnoff uśmiechnął się do żony.

Sharon Sala 83

36

- Kochanie, co ja bym zrobił bez ciebie?

Lucy Karnoff odwiesiła do szafy niepotrzebny krawat, a potem odwróciła się do męża i zlustrowała całą jego sylwetkę.

- Gdybyś jeszcze zmienił... Emile podniósł rękę.

- Reszta jest w porządku. A poza tym to przecież tylko jeszcze jedna konferencja prasowa. I nic więcej.

- Nieprawda - zaprotestowała Lucy. - Stałeś się człowiekiem bardzo ważnym.

Osobistością. Ludzie powinni usłyszeć, co masz im do powiedzenia.

Uśmiechając się nadał, Emile zabrał się do wiązania nowego krawata.

Tymczasem Lucy myszkowała po pokoju. Wyciągnęła spod łóżka skarpetkę męża, a potem poprzestawiała w szafie jego buty. Uznała, że Emile jest już w znacznie lepszej formie niż w chwili, gdy nagle stał się sławnym człowiekiem. Kiedy pojawiły się pierwsze pogłoski o tym, że zostanie nominowany do nagrody, długo potem sypiał bardzo źle, budząc się często w środku nocy obłany zimnym potem.

Lucy błagała męża, aby poszedł do lekarza, ale odmówił kategorycznie, twierdząc, że to tylko nerwy. W miarę upływu czasu czuł się chyba coraz gorzej. Dopiero od kilku dni wydawał się nieco pogodniejszy i mniej spięty. Coraz lepiej znosił swoją nową społeczną rolę. Lucy mogła tylko wyobrazić sobie, jak niezwykle trudne musiało być dla męża przeistoczenie się ze skromnego lekarza w człowieka, którego zdjęcie znajdowało się na Pierwszych stronach wszystkich magazynów.

GROM 84

Gdy przyglądał przerzedzone, siwiejące włosy, Lucy strzepnęła prawie niewidoczną nitkę z pleców marynarki. Bardzo lubiła, kiedy mąż prezentował się bez zarzutu, odczuwając wówczas pewien rodzaj dumy. Mieli za sobą długie lata kłopotów finansowych i nieprzychylnych komentarzy wielu ludzi. Dawno temu Lucy została wydziedziczona przez jej własną rodzinę, która sprzeciwiła się małżeństwu z Emile'em Karnoffem.

A teraz ten człowiek, który był przedmiotem niewybrednych dowcipów ze strony jej przyjaciół i znajomych, otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny! Stało się to

ponad miesiąc temu i powoli przestawano już o tym mówić; ale dla Lucy nie miało to żadnego znaczenia.

- Przestań skakać koło mnie - powiedział. - Wszystko jest w porządku.

- Chcę tylko pomóc - odparła. Emile odwrócił się i przesunął palcami po policzku żony, wygładzając opuszczone kąciki ust.

- Lucy, kochanie, jesteś zawsze moją podporą.

Gdy się uśmiechnął, odpowiedziała mu takim samym ciepłym uśmiechem, jak zawsze.

W jego oczach ta sześćdziesięcioośmioletnia kobieta była zawsze tą samą młodą dziewczyną.

Błogosławieństwem ich wspólnego losu było to, że tak niewiele trzeba jej było do szczęścia.

W pierwszych latach wspólnego życia jedyną pasję Emile'a stanowiła praca naukowa. Tak bardzo zaniedbywał dom, że własny syn, Phillip, stał się dla niego prawie obcym człowiekiem. Ale Lucy wytrzymała takie życie. Ufała mężowi bez granic i był jej za to szczerze wdzięczny.

Sharon Sala 85

37

Odwrócił się i po raz ostatni spojrzął w lustro. Lucy szybko opuściła pokój, mrużąc do siebie coś o konieczności upewnienia się, czy w gabinecie panuje idealny porządek i czy kwiaty są porozstawiane we właściwych miejscach. Dopiero od dwóch lat mogli pozwolić sobie na zatrudnienie sprzątaczk. Emile podejrzewał jednak, że żona niezbyt dobrze znosiła w domu obecność innej kobiety. W każdym razie teraz żyło im się wygodniej i spokojniej.

Niestety, wielu kłopotów przysparzał im dorosły syn. Rezygnował szybko z każdej pracy, a jego powtarzające się regularnie okresy depresji sprawiały, że nadal żył z rodzicami pod jednym dachem, podczas gdy żadne z nich w miarę upływu czasu nie stawało się młodsze. Ze względu na syna Lucy stała się praktycznie niewolnicą własnego domu. Nigdzie z mężem nie podróżowała z obawy, że gdy wróci, może zastać katastrofę.

Emile Karnoff poprawił krawat i sięgnął po spinki do mankietów. Wielka szkoda, że naukowe odkrycie, za które otrzymał Nagrodę Nobla, nie dawało się zastosować przy leczeniu chorób psychicznych, mimo że niegdyś sądził, iż tak właśnie się stanie. Szybko jednak odrzucił tę teorię, uzmysłowivszy sobie niebezpieczeństwa, jakie może stwarzać hipnoza zastosowana u ludzi z zachwianą równowagą psychiczną.

Usłyszawszy od strony holu odgłos zbliżających się kroków, przerwał rozmyślenia. W głosie syna dosłyszał dobrze znaną niepewność.

- Ojciec...

Emile odwrócił się w stronę drzwi i, podobnie jak czynił to od trzydziestu lat, zastanowił się przez moment, jak to się stało, że spłodził takiego syna.

GROM 86

Philip był wprawdzie wysoki i przystojny, ale o zniewieściałej urodzie, i nie miał pojęcia, czym naprawdę jest życie.

- Słucham, synu, o co chodzi?

Philip Karnoff przestępował niepewnie z nogi na nogę, nienawidząc się za to, że za każdym razem ojciec tak bardzo go onieśmiela. Był przecież od ojca o czterdzieści lat młodszy, o pól głowy wyższy i choć raz w życiu chciałby umieć znieść mężnie jego wszystko-widzący wzrok, a nie, jak zawsze, opuszczać pokornie głowę pod ciężarem autorytetu tego spokojnego mężczyzny.

- Chodzi mi... o tę konferencję prasową. Czy tym razem muszę na niej być? Tak naprawdę to ja...

- Należysz do rodziny! Będziesz siedział u mojego boku.

No, bierz odwagę, mięczaku, i powiedz ojcu, co się z tobą dzieje i jak się czujesz. A jeśli tego nie zrobisz, bo jesteś zbyt wielkim tchórzem, to odejdz i pozwól, że sam się z nim rozprawię.

Usiłując zignorować wewnętrzny głos, który słyszał bez przerwy we własnej głowie, Phillip dostał skurczu żołądka.

- Ojciec, ale po co? Przecież nic nie znaczę. W porównaniu z tobą jestem nieudacznikiem. Nie mam w życiu ani celu, ani marzeń. Nie zdołałem się usamodzielnić, nadal tkwię w rodzinnym domu i nie potrafię systematycznie pracować.

Tak, to prawda. Ale za to mógłbym pokazać ci, stary, jak wygląda odlotowy ubaw.

Sharon Sala 87

- Jesteś moim synem - oświadczył Emile. - Znajdziesz cel w życiu, gdy nadejdzie czas.

- A co będzie, jeśli to się nie uda? - zapytał Phillip. Emile zaprzeczył ruchem głowy, jakby taka możliwość w ogóle nie wchodziła w rachubę.

38

- A zresztą to nie pora na taką dyskusję - przypomniał. - Porozmawiamy w spokojniejszej chwili. Kiedy będziemy mieli więcej czasu.

Wymijając syna, klepnął go obojętnie po ramieniu i wyszedł z pokoju.

Phillip westchnął. Czas nigdy nie był jego sprzymierzeńcem. Nie miał żadnych podstaw, aby się ludzi, że coś zmieni się na lepsze. Zwłaszcza teraz. Nie miał co marzyć o dorównaniu ojcu, a co dopiero o osiągnięciu czegoś więcej. Z opuszczonymi smętnie ramionami Phillip podążył za Emile'em. Schodząc po schodach, kolejny raz uznał za rezygnację, że w żaden sposób nie potrafiłby podjąć współzawodnictwa z człowiekiem, który odkrył, jak wyzwolić uzdrawiającą moc ludzkiego umysłu. Przecież on sam, Phillip, nie był w stanie kontrolować nawet własnych myśli!

Sully obudził się nagle i usiadł na łóżku. Coś mu się coś niło. Ale co? Zapamiętał jedynie, że nie był to dobry sen. Spojrzał na zegarek, zsunął nogi na podłogę i poszedł do łazienki, gdzie od razu odkręcił kurek prysznica. Na zewnątrz starego, wiktoriańskiego domu rozpoczynał się nowy dzień. Należało zacząć działać.

Wziął prysznic i ubrał się. Chciał jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Najpierw jednak musiał odbyć telefoniczną rozmowę.

GROM 88

Nielatwą. Sully usiadł na brzegu łóżka Yirginii Shapiro i wystukał numer Toma Dudleya. Po chwili usłyszał znajomy, kobiecy głos.

- Susan, tu mówi Sully. Czy jest Tom? Muszę z nim porozmawiać.

- Sully! Jak cudownie cię usłyszeć! - szczerze ucieszyła się Susan. - Tak, jest tutaj.

Będzie uszczęśliwiony, że się odezwałeś. - I zaraz potem zapytała ściszym głosem: - Czy wiesz już o Georgii?

- Tak. Dlatego dzwonię.

- Poczekaj chwilkę. Zaraz zawołam Toma.

Sully czekał. Jak większość ludzi, nie znosił tego rodzaju rozmów. Bo cóż można powiedzieć, usłyszawszy o czyjejś śmierci, jak tylko to, że człowiekowi jest przykro? A kiedy chodzi o śmierć kogoś z zaprzyjaźnionej rodziny, takie słowa jeszcze trudniej przechodzą przez gardło.

- Cześć, stary! To naprawdę ty? - zapytał Tom. Sully uśmiechnął się mimo woli.

- Tak, ja. Jak leci?

Na drugim końcu linii zapadło milczenie, tak jakby z Toma uszło całe życie.

- Bywało znacznie lepiej - odparł po dłuższej chwili.
- Zaraz wyjaśnię, po co do ciebie dzwonię. W śmierci Georgii jest coś, co, moim zdaniem, powinna wiedzieć wasza rodzina. Zostawiam tobie przekazanie reszcie tej informacji.

- Co masz na myśli? - spytał Tom.

- Nie jestem wprawdzie oddelegowany oficjalnie do prowadzenia tej sprawy, ale...
Sharon Sala 89

- Jakiej sprawy? O czym ty, do diabła, mówisz? Georgia zabiła się sama. Ojciec Joseph był naocznym świadkiem.

- Wysłuchaj, proszę, co chcę ci powiedzieć - poprosił Sully. - I miej do mnie zaufanie. Powtórzył Tomowi wszystko, czego dowiedział się z przesyłki od Georgii, poinformował, że list otrzymał za późno, aby jej pomóc, i że teraz usiłuje odszukać ostatnią z jej żyjących koleżanek, zanim będzie za późno.

- Och, Boże! - jęknął Tom. - Sully, nie masz pojęcia, jak wielkie znaczenie ma to, co mówisz, dla naszej mamy, a także całej rodziny. W żaden sposób nie potrafiliśmy
39

wytłumaczyć sobie motywów postępowania Georgii. To, co zrobiła, zupełnie nie leżało w jej charakterze.

- Mogę to sobie wyobrazić - mruknął ponuro Sully. - Ale, Tom, chcę, abyś wyświadczył mi przysługę. To, co przed chwilą usłyszałeś, zachowaj na razie wyłącznie dla siebie. Nie wiem, czy FBI jest już włączone formalnie do tej sprawy, ale jestem przekonany, że to tylko kwestia czasu. Podczas śledztwa któryś z naszych ludzi zapewne się z tobą skontaktuje. Powiedz mu absolutnie wszystko, co będziesz w stanie sobie przypomnieć, nawet zupełne drobiazgi i rzeczy nie mające, twoim zdaniem, żadnego znaczenia.

- W porządku. Zrobię to - obiecał Tom. - Sully... wiesz, jaki jest do ciebie mój stosunek... a raczej nasz... to znaczy całej rodziny. Przez te wszystkie lata byłeś zawsze moim wielkim przyjacielem i...

GROM 90

- Nie musisz nic mówić - przerwał mu Sully. - Ja też kochałem Georgię.

- No, tak. Racja. A więc nie zatrzymuję cię dłużej przy telefonie. Zaraz dzwonię do mamy.

- Przekaż moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

- Jasne. I pamiętaj, że jesteś nam wszystkim naprawdę bardzo bliski.

Rozłączyli się. Przez dłuższą chwilę Sully siedział bez ruchu, zastanawiając się nad tym, co go czeka. Kiedy jego wzrok zatrzymał się na pomiętej poduszce, którą w nocy zrzucił z łóżka, wstał, podniósł ją z podłogi i położył na swoim miejscu. Opuszczając pokój, omiótł wzrokiem całe wnętrze, chcąc się upewnić, czy nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Zbierał swoje rzeczy i kierując się ku drzwiom, wyobrażał sobie strach Yirginii, która przechodziła z pokoju do pokoju, zastanawiając się, co zabrać, pełna lęku, że pozostawia za sobą ustabilizowaną egzystencję, na jaką pracowała przez całe lata.

Jeszcze raz zatrzymał się przed wiszącą na ścianie fotografią.

- Zostań tu, kochana - szepnął. - A ja ruszam w drogę.

- Szefie, przyszedł facet, który twierdzi, że nazywa się Sullivan Dean, i chce koniecznie z panem rozmawiać. Mówiłam, że jest pan zajęty, ale on się upiera.

Harry Redford spojrział na sekretarkę. Zmarszczył czoło.

- Skądś znam to nazwisko... - Nagle zerwał się na równe nogi. - Niech wchodzi! - krzyknął.

Sharon Sala 91

Na widok mężczyzny, który stanął na progu gabinetu, serce podskoczyło Harry'emu do gardła. Tak, to na pewno facet z listu, o którym mówiła mu Ginny. Boże, oby jego wizyta nie oznaczała, że stało się jej coś złego!

Bardzo dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas...

Harry nie wytrzymał napięcia.

- Co z nią? Wszystko w porządku? - wpadł gościowi w słowo.

Sully zmarszczył czoło.

- Słucham?

- Mam na myśli Ginny. Czy ona żyje?

Sully odniósł wrażenie, że tak jak on teraz, musiała się czuć Alicja z Krainy Czarów, kiedy wpadła do króliczej nory.

- Sądzę, że powinniśmy zacząć od ustalenia pewnych rzeczy - oznajmił. - Moje nazwisko Sullivan Dean. Jestem agentem FBI i...

40

- A więc dlatego ta zakonnica posłała panu materiały! Tym razem Sully poczuł się tak, jakby dostał cios w żołądek.

- Pan o tym wie?

- Coś niecoś - odrzekł Redford. - Od Ginny.

- Ma pan na myśli panią Shapiro? Yirginię? Redaktor naczelny „St. Louis Daily” skinął głową.

- Tak. Ale niech pan nie nazywa jej nigdy Yirginią, bo skróci pana o głowę.

- Gdzie ona jest? - zapytał Sully. Redford wzruszył ramionami.

- Gdybym to ja wiedział! Wczoraj po południu wpadła tu jak po ogień.

GROM 92

Oznajmiła, że postanowiła wszystko złożyć w ręce policji i zaraz potem opuścić miasto. Obiecała telefonować. To wszystko. Fatalnie, pomyślał Sully.

- Wie pan, z kim rozmawiała w komisariacie? Naczelny redaktor „St. Louis Daily” kiwnął głową.

- Tak, sprawdziłem. Z Anthonym Pagillią. To dobry detektyw, ale w sytuacji, w której jedynymi faktami są zgony garstki kobiet uznanych za samobójczynie, policja nie ma właściwie punktu zaczepienia do rozpoczęcia śledztwa.

Sully wręczył mu wizytówkę.

- Jeśli pani Shapiro skontaktuje się z panem, proszę dać mi znać. Dobrze? Muszę ją znaleźć. Pan wie, jakie to ważne.

- Zadzwoń, kiedy tylko Ginny się odezwie. Powiem o panu, ale nie mam pojęcia, czy zechce się z panem zobaczyć. Niczego nie mogę obiecać.

- Rozumiem. Czy ma pan książkę telefoniczną? Chciałbym zamówić taksówkę.

Zamierzam zaraz jechać na policję, żeby przed wyjazdem z miasta porozmawiać z tym detektywem.

- Mam lepszy pomysł - oświadczył Redford. - Jeden z moich reporterów właśnie tam się wybiera po jakies sądowe sprawozdania. Proszę chwilę poczekać, to pana zabierze.

- Dziękuję - powiedział Sully. - Doceniam pańską pomoc.

- Wszystko dla Ginny - odparł naczelny redaktor gazety.

Sharon Sala 93

Sully pomyślał o roześmianej kobiecie ze zdjęcia, której przyglądał się ostatniej nocy.

- Jest tutaj bardzo lubiana - powiedział.

- O, tak. A poza tym to świetna reporterka. Niech pan odszuka Ginny, a potem proszę zwrócić ją nam nienaruszoną, w jednym kawałku.

- Właśnie taki mam zamiar - oświadczył Sully.

Niedługo potem był już w drodze na komisariat. Zanim dojechał na miejsce, Harry Redford musiał wykonać co najmniej jeden telefon, gdyż Anthony Pagillia czekał przy głównym wejściu.

- Agencji Dean, cieszę się, że mogę pana poznać - powitał Sully'ego.

- Jak widzę, pan Redford zdążył już pana uprzedzić - stwierdził Sully.

- Bardzo niepokoi się o panią Shapiro, podobnie zresztą jak my wszyscy - wyjaśnił Pagillia. - Proszę wybaczyć mi ciekawość, ale jaki jest pański związek z tą niesamowitą sprawą?

- Georgię Dudley, to znaczy siostrę Mary Teresę, znałem od dziecka - odrzekł Sully. - Wychowywaliśmy się razem. Jej brat jest moim najlepszym przyjacielem. Wiedziała, że

41
potrafiłbym jej pomóc. Niestety, wiadomości dotarły do mnie zbyt późno i nie zdążyłem jej uratować.

- To przykre - przyznał detektyw. - Niełatwo wyobrazić sobie zakonnice, popełniającą samobójstwo. Sully zacisnął wargi.

- Została zamordowana - oznajmił.

- Wie pan coś, o czym ja nie wiem? - spytał Pagillia.

GROM 94

- Tak - odrzekł Sully. - Znałem Georgię. Nie umiała pływać i panicznie bała się wody.

Gdyby nawet rzeczywiście chciała się zabić, nigdy w życiu nie uczyniłaby tego, topiąc się.

- Mamy informację, że naocznym świadkiem tego zdarzenia był jakiś zakonnik.

- Nie powiedziałem, że Georgia nie utonęła. Chcę tylko oświadczyć, że ktoś kazał jej tak postąpić.

- Taką rzecz będzie piekielnie trudno udowodnić - stwierdził detektyw.

- Nie będzie, jeśli uda mi się odnaleźć Yirginię Shapiro - odparł Sully. - O ile wiemy, jest ona ostatnim żywym ogniwem, łączącym ze sobą sprawy śmierci poprzednich kobiet. Nie licząc, oczywiście, osoby, która je pozabijała.

- Zawiadomiłem pozostałe komisariaty o istniejących powiązaniach między wszystkimi sprawami. Nasza policja w St. Louis ma zająć się gromadzeniem informacji. Ponieważ zbrodnia ma charakter międzystanowy, sądzę, że nadzór nad śledztwem przejmie FBI. Mam rację?

Sully wzruszył ramionami.

- Być może, ale ja nie zostanę przydzielony do prowadzenia tej sprawy. To nie moja dziedzina.

- Rozumiem, ale chciałbym, żeby pan wiedział, że w każdej chwili może liczyć na naszą współpracę.

- Dziękuję.

- Jakie są teraz pańskie plany? - zapytał Pagillia.

- Wynajmę samochód i dotrzymam obietnicy danej mojej starej przyjaciółce.

Sharon Sala 95

Żółte linie na drodze szybkiego ruchu numer czterdzieści osiem stanu Missisipi wymagały ponownego malowania, a samochód Ginny domagał się benzyny. Było kwadrans po trzeciej po południu i strzałki obu wskaźników paliwa, zarówno w baku wozu, jak i w brzuchu kierowcy, dochodziły prawie do zera. Minąwszy zakręt, Ginny stwierdziła, że ma

przed sobą jakąś miejscowość. Odetchnęła z ulgą i zwolniła, żeby z tablicy informacyjnej odczytać napis: „Collins, stan Missisipi, 2541 mieszkańców.”

Miasteczko było wprawdzie niewielkie, lecz wystarczająco duże, by spełnić oczekiwania Ginny. Kiedy podjechała pod stację benzynową i zatrzymała się przed dystrybutorem, z budynku wyszedł jakiś mężczyzna.

- Nalać do pełna? - zapytał.

- Tak - odparła Ginny. - Proszę także sprawdzić poziom oleju.

- Dobrze, proszę pani, zaraz to zrobię. Dość gorąco jak na lipiec, prawda? Ginny skinęła głową.

- Czy jest tu w pobliżu jakiś bankomat? Mężczyzna wskazał ulicę.

- Widzi pani na rogu ten bank? Bankomat jest z tyłu budynku.

- Zaraz wracam - oznajmiła Ginny i ruszyła we wskazanym kierunku.

42

Mężczyzna napełnił bak. Właśnie mył ostatnią szybę, kiedy wróciła nieco zadyszana, biegnąc.

- Ile jestem winna? - spytała.

- Dwadzieścia trzy pięćdziesiąt.

GROM 96

Ginny odliczyła starannie wymienioną sumę i wręczyła mężczyźnie.

- Och, byłabym zapomniała. Jest mi jeszcze potrzebna mapa.

Wszedł do budynku stacji i po chwili przyniósł starannie złożoną mapę stanu Missisipi.

- Szuka pani jakiegoś konkretnego miejsca? - zapytał, kiedy płaciła za mapę.

- Niezupełnie - odparła wymijająco, wsiadła do wozu i odjechała. Przy drugiej przecznicy zauważyła samochodowy bar. Skręciła na podjazd. Zamówiła hamburgera i koktajl mleczny na drogę. Rozgrzane upałem powietrze, przesycone zapachem przypiekanego na węglu drzewnym mięsa, kojarzyło się Ginny z rodzinnymi piknikami i posiłkami na świeżym powietrzu. Odchyliła głowę i zamknęła oczy, z trudem powstrzymując się od płaczu. Gdyby rodzice nadal żyli... Gdyby tylko...

Z baru wyszła nastolatka, niosąc pełną tacę. Ginny sięgnęła po portmonetkę. Usiadłszy tak, aby móc równocześnie prowadzić i jeść, wycofała samochód z podjazdu i ruszyła w drogę, wkrótce zostawiając Collins daleko za sobą.

Odczuwała nieodpartą potrzebę znalezienia się w jakimś spokojnym, ustronnym miejscu i ukrycia się tam przed całym światem. Początkowo po prostu uciekała, żeby możliwie jak najszybciej znaleźć się daleko od St. Louis. Nie mogła jednak jechać w nieskończoność. Musiała gdzieś się zatrzymać. Potrzebne jej było jakieś odludne miejsce, położone z dala od głównych dróg. Miejsce, w którym nie zatrzymałaby się nigdy przedtem. Ale gdzie je znaleźć?

Sharon Sala 97

Ginny ugryzła spory kawałek hamburgera. Zaspokoiwszy pierwszy głód, od razu poczuła się lepiej. Mocniej przycisnęła pedał gazu, przekonana, że wkrótce natrafi na dogodną kryjówkę.

Od dwóch godzin na horyzoncie gromadziły się burzowe chmury i Ginny zaczęła się denerwować. Jechała dokładnie tam, gdzie było ich najwięcej, i wiedziała, że nie jest to rozsądne posunięcie. Zanim lunie deszcz i rozlegną się pierwsze grzmoty, powinna być już poza samochodem w jakimś zapewniającym bezpieczeństwo miejscu. Na samą myśl o nadchodzącej nawałnicy, gromach i widoku nieba rozdieranego błyskawicami odczuła

dziwną ociężałość. Zjechała na pobocze i rozłożyła mapę, aby sprawdzić, gdzie dokładnie jest i gdzie może spodziewać się najbliższego schronienia. Wiedziała, że od pewnego czasu jedzie przez tereny Narodowego Rezerwatu Leśnego DeSoto. Znajdowała się na drodze szybkiego ruchu numer dwadzieścia dziewięć, w sporej odległości na północ od Biloxi.

Kiedy studiowała mapę, spadły pierwsze krople deszczu. Spojrzała nerwowo w górę i zobaczyła, że nad jej głową skupiły się najczarniejsze chmury. Odłożyła mapę, skrzyła w jakąś kiepsko utrzymaną, dwupasmową szosę i dodała gazu. Gdzieś w pobliżu musiało być miejsce, w którym będzie mogła się zatrzymać.

Dwadzieścia minut później, jadąc w strugach ulewnego deszczu, zobaczyła kierunkowskaz. Zwolniła, żeby odczytać napis: „Ośrodek Wędkarski nad rzeką Tallahatchie - 1 mila. Domki do wynajęcia.”

43

GROM 98

- Dzięki ci, Boże! - szepnęła, odetchnąwszy z ulgą.

Chwilę później ujrzała dużą, drewnianą strzałę, z której całymi płatami odpadała stara, żółta farba. Był to następny kierunkowskaz. Nakazywał skręt w lewo.

Kiedy zjechała z szosy w boczny, żwirowy trakt, musiała bardzo zwolnić, bo z powodu nierównej nawierzchni samochodem rzucało na wszystkie strony. W głębokich koleinach spod kół tryskały słupy wody, zalewając szyby. Wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, a Ginny i tak traciła widoczność.

- Och, niech wreszcie gdzieś dojadę! Proszę, proszę, proszę - szeptała błagalnym tonem.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że mówi na głos, ani że ta desperacka prośba jest dosyć mglista. W pewnej chwili poczuła dziwne oszołomienie. Jej głowa stała się dziwnie lekka, a wzrok stracił ostrość. Przekonana, że zaraz zemdleje, pragnęła już tylko jak najszybciej wysiąść z samochodu.

Właśnie wtedy zobaczyła kilka starych domków, stojących w szeregu pod osłoną rozległych koron wysokich drzew. Jeden z nich znajdował się trochę na uboczu. To pewnie recepcja ośrodka, uznała Ginny i podjechała bliżej.

Wyskoczyła z wozu i w strumieniach ulewnego deszczu rzuciła się biegiem przed siebie. Po kilku minutach z kluczem w kieszeni podjeżdżała pod ostatni domek w szeregu, z numerem dziesięć. Porwała walizkę z bagażnika i ruszyła pędem do wejścia.

Tak więc dotarła prawie na sam koniec świata, pozostawiwszy daleko za sobą poprzedni dom i poprzednie życie.

Sharon Sala 99

Oto, w chwili, gdy wyczerpywały się jej siły witalne, a wraz z nimi i nadzieje na dalsze życie, znalazła się, i to wcale nie w przenośni, lecz dosłownie, u kresu drogi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ginny ocknęła się kilka minut po północy. Podniosła się z łóżka i, zdezorientowana, rozejrzała się nieprzytomnie dookoła. W świetle błyskawicy zobaczyła prymitywny stan wnętrza domku: drewniane ściany i podłogę z nie-heblowanych desek. Widok ten przypominał jej, gdzie się znajduje.

Uciekała.

Wraz z tą gorzką refleksją powróciła fala smutku z powodu śmierci Georgii.

Ze ściśniętym sercem Ginny powlokła się do łazienki, zdejmując po drodze ubranie.

Weszła pod rozpadający się prysznic i energicznie namydliła ciało. Gorąco zapragnęła, żeby strumienie ciepłej wody zmyły z niej cały ten horror, jaki przeżywała, tak jakby był tylko

plamą brudu.

Jak mogła walczyć z wrogiem, skoro nawet nie знаła jego twarzy?

Kiedy poczuła na ciele zimną wodę, uprzytomniła sobie, że opróżniła cały zbiornik.

Sięgnęła za plastikową zasłonę prysznic, znalazła ręcznik i zaczęła się wycierać.

Nago, z zaróżowionym ciałem, Ginny sięgnęła do walizki po coś czystego do włożenia. Wprawdzie nie było już słycać szumu deszczu uderzającego o dach, burza jednak nie skończyła się jeszcze.

44

Sharon Sala 101

Nadal wiał silny wiatr, a gałęzie drzew, pod którymi stał domek, ciągle jeszcze uderzały w gonty, niczym dopraszające się wpuszczenia do środka duchy.

Założywszy na siebie spodnie od dresu i bawełnianą koszulkę, Ginny podeszła do okna, odciągnęła zasłony i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu włącznika klimatyzatora.

Nie zwracając uwagi na grubą warstwę pokrywającego go kurzu, uruchomiła dmuchawę.

Miała nadzieję, że nie tylko ochłodzi wnętrze domku, ale przede wszystkim zagłuszy dochodzące z zewnątrz dźwięki. Nawiewane powietrze było nieświeże. Ginny z obrzydzeniem skrzywiła się, a potem wróciła do łóżka. Zасыpiając, nadal myślała tylko o tym, żeby móc się bezpiecznie ukryć. Aż po szyję naciągnęła kołdrę.

Właśnie minęło południe, gdy Sully zjechał z międzystanowej autostrady do miejscowości Grenada w stanie Missisipi. Kończyło mu się paliwo, a ponadto już dawno upłynął termin, w którym powinien był skontaktować się z szefem. Wkrótce w biurze zauważą jego nieobecność, a jako że FBI prawie na pewno przejmie od policji sprawę sześciu zdumiewających samobójstw, nie chciał sprawiać wrażenia, że pcha się nieproszony do cudzej roboty. Wyjaśnienie, dlaczego bez uzgodnienia z szefem, na własną rękę rozpoczął śledztwo, może okazać się trudne. Uważał jednak, że ze swoim prywatnym czasem wolno mu robić, co zechce.

Nabrał pełny bak benzyny, kupił butelkę coca coli i paczkę herbatników z masłem orzechowym, zjechał z szosy i wyjął komórkę

GROM 102

Czekając na połączenie, wsunął do ust kawałek herbatnika, a potem, nie przestając jeść, otworzył butelkę. Kiedy połowa jej zawartości znalazła się już w jego żołądku, usłyszał znajomy głos Myrny Page, sekretarki dyrektora.

- Dzień dobry, Myrno. Mówi Sully. Muszę rozmawiać z szefem.

- Dzień dobry, agencie Dean. Proszę chwilę poczekać.

Uśmiechając się sam do siebie, pokręcił głową. Znał tę kobietę od prawie sześciu lat, a ona zawsze zwracała się do niego tą nieodmienną, oficjalną formułą.

- Dean, miał pan dzwonić wczoraj.

Sully odstawił butelkę, a potem przeczesał palcami włosy. Odruchowo wyprostował plecy. Mimo że rozmawiał z szefem tylko przez telefon, i tak czuł potrzebę przyjęcia pozycji na baczność.

- Tak, panie dyrektorze. Wiem, ale wydarzyła się pewna sprawa.

- Związana z kobietą? Sully westchnął.

- Tak, ale to nie jest to, o czym pan myśli.

- Wobec tego proszę mnie łaskawie oświecić. Sully nabrał głęboko powietrza.

- Jestem w stanie Missisipi. Na drugim końcu linii na krótką chwilę zapanowała cisza, po czym nastąpiło gniewne prychnięcie.

- Można wiedzieć, dlaczego?

- Na początku był to wyjazd prywatny, ale teraz... podejrzewam, że to już jest sprawa naszego biura...

- Proszę mówić.

Sharon Sala 103

- Jest już panu zapewne znany fakt śmierci byłych uczennic szkoły Montgoraery'ego. Jako ostatnia zmarła zakonnica, niejaka Mary Teresa ze Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego, mającego siedzibę w północnej części stanu Nowy Jork.

45

- Do diabła, skąd pan o tym wie? Sully zawahał się na chwilę, niepewny stosunku dyrektora do jego zaangażowania się w tę sprawę.

- Zaczęło się od listu zaprzyjaźnionej osoby i zaraz po moim wyjeździe do klasztoru Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego...

- Był pan tam? Czy zdaje pan sobie sprawę, co pan robi?

- Tak, panie dyrektorze. Dlatego dzwonię. - Sully złożył szefowi szczegółowe wyjaśnienia. Na koniec powiedział: - Tak więc, jak sam pan widzi, uważam, że odnalezienie pani Shapiro i chronienie jej dopóty, dopóki nie wyjaśni się ta paskudna historia, jest nie tylko moim obowiązkiem, lecz także ostatnią rzeczą, jaką mogę uczynić dla zmarłej Georgii Dudley. - Odczekał chwilę, a potem dodał: - Muszę to zrobić, panie dyrektorze. Dla spokoju własnego sumienia. Nie udało mi się ocalić przyjaciółki, ale Yirginia Shapiro ma jeszcze szansę ratunku.

- Dysponuje pan informacjami, jakich ja nie mam? - podejrzliwie spytał dyrektor.

- Nie, proszę pana. Detektyw Anthony Pagillia z policji w St. Louis wie dokładnie tyle samo, co ja. I tyle samo, co, powinienem dodać, wie pani Shapiro. Panie dyrektorze, ona ucieka, półprzytomna z przerażenia. Proszę pozwolić mi odnaleźć tę kobietę. Sprowadzę ją, jeśli okaże się to bezpieczne.

GROM 104

W przeciwnym razie proszę pozwolić mi zostać z nią aż do wyjaśnienia sprawy.

- Rozumiem ten punkt widzenia, aczkolwiek nie mogę powiedzieć, że akceptuję do końca pański tok rozumowania. Następnym razem wolałbym, żeby najpierw pan zadzwonił, a dopiero potem zabierał się do rozbrajania bomby, jeśli kiedykolwiek trafi pan jeszcze na jakąś podobną.

- Oczywiście, że tak zrobię, panie dyrektorze. I bardzo dziękuję.

- Spodziewam się, że będzie pan z nami w kontakcie.

- Tak. Na pewno.

- Są panu potrzebne jakieś informacje? - zapytał dyrektor.

- Wczoraj sprawdzałem kwity opłat za korzystanie z dróg szybkiego ruchu i różne podobne papierki. Na nazwisko tej kobiety natrafiłem przy okazji przeglądania potwierdzeń pobierania z konta gotówki. Dowiedziałem się, gdzie po raz ostatni korzystała z bankomatu. W miejscowości o nazwie Collins, w stanie Missisipi. I tam właśnie w tej chwili jadę.

- Polecę Myrnie przeprowadzić małe dochodzenie. Czy zawiadomił pan drogówkę?

- Jeszcze nie. Chciałem najpierw porozumieć się z panem dyrektorem.

- Wobec tego proszę na razie wstrzymać się z tym. Zobaczymy, czego dowie się Myrna - oznajmił dyrektor i po chwili dodał: - Od tej pory ma pan moją zgodę na odnalezienie tej kobiety i zapewnienie jej bezpieczeństwa. Jeśli zdobędzie pan jakieś nowe informacje, proszę je nam niezwłocznie przekazać. Sprawą zajmuje się agent Howard.

Sharon Sala 105

Dań Howard był miłym facetem. Sama świadomość, że to on prowadzi dochodzenie,

podniosła Sully'ego na duchu.

- Dobrze, panie dyrektorze, przekażę.

- To wszystko na dzisiaj - oznajmił dyrektor. - Proszę tylko uważać, żeby nie zrobić jakiegoś bezsensownego kroku. Po ostatnim skandalu związanym z Białym Domem prasa wszędzie węszy i szuka dziury w całym. Nie chcę, żeby nas obsmarowali.

- Może pan być o mnie spokojny, panie dyrektorze. I bardzo panu dziękuję.

46

- A więc... niech pan ją znajdzie. Do widzenia połączenie zostało przerwane. Sully, odłożywszy komórkę, wsunął do ust następnego herbatnika, włączył silnik i wrzucił bieg, ruszając w dalszą drogę.

Niespełna godzinę później telefon dał znać, że ktoś chce z nim rozmawiać. Sully zjechał na pobocze drogi i dopiero wtedy przycisnął guzik połączenia, na wypadek, gdyby musiał coś zanotować.

- Sullivan Dean.

- Mówi Myrna. Mam dla pana informacje. Nie pomylił się. Sięgnął po notes.

- W porządku. Jestem gotowy.

- Karta kredytowa pani Shapiro została użyta jeszcze dwukrotnie. Pierwszy raz wczoraj wieczorem w Ośrodku Wędkarskim nad rzeką Tallahatchie. Wynajęła tam domek niejaka Leigh Foster. Tak nazywała się z domu matka Pani Shapiro. A drugi raz, zaledwie jakąś godzinę temu, w sklepie spożywczym w miejscowości Wingate

GROM 106

Można by sądzić, że ta kobieta zeszła do podziemia.

Sully uśmiechnął się do siebie. Przyswoiwszy sobie profesjonalną terminologię,

Myrna operowała nią w zabawny sposób.

- Czy może wie pani, gdzie jest ten ośrodek nad Tallahatchie? - zapytał.

- Oczywiście.

Sekretarka dyrektora podała dokładne dane, lokalizujące ośrodek, a gdy skończyła, Sully dorzucił:

- Myrno, jest pani doskonała. Jeśli kiedyś znudzi panią odbieranie telefonów szefa, może zostanie pani moją partnerką?

- Nie. Roześmiał się.

- Nie jestem taki zły.

- Wiem, proszę pana. Czy mam załatwić coś jeszcze?

- Na razie to wszystko. Jeśli odkryję coś nowego, dam pani znać. Zgoda?

- Tak - odparła Myrna i rozłączyła się.

Samopoczucie Sully'ego znacznie się poprawiło. Ruszył w dalszą drogę. A więc znał już miejsce pobytu Virginii Shapiro! Teraz musiał tylko tam dotrzeć.

Ginny wniosła przez drzwi ostatnią torbę z wiktuałami i zamknęła się od środka. Jedną z nielicznych zalet domku, w którym się znajdowała, była mała kuchenka. Możliwość spania i jedzenia w tym samym miejscu sprawiała, że ośrodek stanowił idealną kryjówkę. Innym plusem był brak aparatu telefonicznego. Chcąc zadzwonić,

Sharon Sala 107

w każdej chwili mogła skorzystać z własnej komórki, ale przezornie zostawiła ją w samochodzie. W razie pilnej potrzeby można też było użyć płatnego automatu w recepcji ośrodka.

Dzięki temu nie podniesie odruchowo słuchawki w środku nocy, zbyt nieprzytomna, aby uzmysłwić sobie, że połączenie może ją zabić.

Szafki były wprawdzie niewielkie, lecz pomieściły kupione jedzenie, tym bardziej że nie było tego zbyt dużo. Mleko wstawiła do lodówki, podobnie zresztą jak jajka, sok, trochę warzyw i dwie obiadowe porcje mięsa. Obok tacki na lód w mikroskopijnym zamrażalniku zmieścił się jeszcze spory kubek czekoladowych lodów.

Ginny opróżniła ostatnią torbę. Kilka puszek z jedzeniem wstawiła do szafki po prawej stronie zlewozmywaka. Już miała zamknąć drzwiczki, gdy nagle zobaczyła

47

przyklejoną do dna jednej z puszek niewielką karteczkę. Było to potwierdzenie zakupu dokonanego z karty kredytowej, które powinna zachować.

Odwróciła się w stronę stołu i sięgnęła po portfel, z zamiarem włożenia kwitu do środka, gdzie już zgromadziła wszystkie poprzednie, i nagle zamarła z wrażenia. Szeroko otwartymi oczyma i z bijącym głośno sercem popatrzyła na trzymany świstek papieru.

Drżącymi rękoma sięgnęła do portfela, wyciągnęła poprzednie kwity i rozłożyła je przed sobą na stole. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, jak straszny popełniła błąd.

- Och, Boże! Co ja zrobiłam najlepszego!?! -jęknęła z rozpaczą.

Pozostawiła za sobą dokładny ślad w postaci precyzyjnie

GROM 108

określonych punktów jej marszruty, wyznaczonej płaconymi rachunkami, rodzaj dokładnej mapy drogowej całej jazdy, począwszy od stacji benzynowej w St. Louis w pobliżu domu, potem miejscowości w stanie Arkansas i Collins w stanie Missisipi, a skończywszy na miejscu ostatniego pobytu, w Ośrodku Wędkarskim nad rzeką Tallahatchie oraz w pobliskim sklepie spożywczym w Wingate.

Równie dobrze mogła przypiąć sobie na plecach tarczę strzelniczą!

Ogarnięta paniką, Ginny podbiegła do okna i zerknęła zza zasłony. Na całym terenie nie było nikogo widać. Oprócz starego zarządcy, niejakiego Marshalla Augera, który mieszkał na miejscu, była jedynym lokatorem ośrodka. Ale jak długo jeszcze będzie tutaj sama? A może powinna natychmiast wyjechać? Jeśli tak, to dokąd? Znalazła idealne miejsce i pokpiła sprawę przez własną głupotę.

Rzuciła okiem na łóżko, zastanawiając się, ile czasu zajmie spakowanie rzeczy i co z jedzenia będzie musiała zostawić w domku. Gdy tak stała przerażona, bez ruchu, do jej uszu dotarły znajome odgłosy nadchodzącej burzy. Odwróciła się błyskawicznie w stronę okna i ujrzała nagle pociemniałe niebo. Zbliżała się następna nawałnica. Czy ta okropna pogoda nigdy się nie zmieni?

Nie wierząc w skuteczność rozpadającego się, jak wszystko w tym domku, zamka, Ginny zaklinowała klamkę, wsunawszy pod nią oparcie krzesła, a potem padła na łóżko. W tej chwili i tak żadna dalsza podróż nie wchodziła w rachubę. Odrętwienie, jakie podczas burz prześladowało Ginny, uniemożliwiło jej prowadzenie samochodu.

Sharon Sala 109

Już i tak była w niebezpieczeństwie. Nie musiała narażać się jeszcze bardziej.

Z trudem powstrzymując łzy, zwinęła się w kłębek na łóżku i, drżąc ze strachu, szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w drzwi. Wiedziała, jak to przebiega, i musiała tak trwać. Nie miała innego wyjścia.

Niedługo potem zaczął padać deszcz. Nie miotany wiatrem falami, lecz niespiesznie, równo i niezwykle obficie. Po takim deszczu stan wody w rzece Tallahatchie podniesie się zapewne przerażająco wysoko.

Półżywy ze zmęczenia, Sully podjechał pod recepcję Ośrodka Wędkarskiego nad rzeką Tallahatchie i wyłączył silnik. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak mocno zaciska ręce

na kierownicy, dopóty, dopóki nie spróbował oderwać od niej palców. Były przykurczone, podobnie zresztą jak nogi, ale najważniejsze, że udało mu się dotrzeć wreszcie na miejsce. Mimo panujących ciemności przed najdalej stojącym domkiem dostrzegł zarys zaparkowanego tam samochodu.

Wyskoczył z wozu i, osłaniając głowę przed rześistym deszczem, pobiegł do recepcji i zastukał do drzwi. Poczekał chwilę i zapukał ponownie. Kiedy wreszcie ujrzał zapalające się

48 światło i potężnego mężczyznę wewnątrz pomieszczenia, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

- Jestem Marshall Auger - przedstawił się stary człowiek. - Coś późno pan przyjechał - mruknął z niechęcią.

- Nie mogłem wcześniej, złapała mnie ulewa - wyjaśnił Sully. - Chcę się tutaj zatrzymać.

GROM 110

- Jest pan sam? - spytał zarządca ośrodka, wypatrując w ciemnościach innych osób.

- Tak.

- Za drugą osobę płaci pan ekstra. Sully wyjął portfel.

- Powiedziałem, że jestem sam. Może pan sprawdzić. Samochód nie jest zamknięty.

Marshall Auger popatrzył na lejący deszcz i ociekające wodą włosy Sully'ego.

Wzruszył ramionami.

- Dwadzieścia pięć dolców za noc plus podatek. Sully rzucił setkę na ladę.

- Jak długo chce pan zostać?

- Zdecyduję się później.

Stary człowiek wetknął pieniądze do kieszeni.

- Chciałbym wziąć domek stojący na samym końcu - oświadczył Sully.

- Zajęty. Może obok?

- Niech będzie - przystał gość. - Chyba że po sąsiedzku mieszka rodzina z gromadą krzyżących bachorów - zastrzegł.

- Jest tam tylko jedna kobieta. Spokojna. Sully odetchnął z ulgą. Bez niepotrzebnego wypytywania udało mu się uzyskać potrzebną informację!

- Biorę ten domek - zdecydował się.

- Nie ma ani telewizora, ani telefonu - uprzedził Marshall Auger, wręczając klucz. - To ośrodek dla wędkarzy. Złe pan trafił, licząc na luksusy.

- Potrzebne mi tylko miejsce do spania - mruknął gość.

- No to dobrej nocy. - Stary człowiek błysnął w uśmiechu pożółkłymi zębami.

Sharon Sala 111

Chwilę później Sully siedział z powrotem w samochodzie, jadąc powoli wzdłuż szeregu domków. Nie zatrzymał się jednak przed tym, do którego miał klucz. Podjechał pod ostatni i zaparkował tuż za stojącym tam autem. Szybki rzut oka na tablicę rejestracyjną upewnił go, że ma przed sobą samochód Yirginii Shapiro.

Z Sully'ego opadło napięcie. Przez chwilę nie był w stanie nawet się poruszyć.

Dzięki Bogu, udało mu się odnaleźć tę kobietę!

Już miał wysiadać z samochodu, kiedy przez moment zawahał się. W ostatnim domku nie paliło się światło. Widocznie kobieta spała. Czy powinien teraz budzić ją po nocy i przerazić jeszcze bardziej, czy może lepiej poczekać do rana? Instynkt podpowiadał mu, żeby nie zwlekać. W takich okolicznościach trudno kierować się jakimikolwiek względami specjalnymi.

Podchodząc do domku, Sully miał przed oczyma obraz Yirginii Shapiro z fotografii, przedstawiającej ją w otoczeniu rodziców. Szczęśliwą i roześmianą. Szybko jednak odsunął to wspomnienie i po chwili wzruszył ramionami, sam zdumiony swoją reakcją. Najważniejsze przecież, że jeszcze żyła. Zaczął głośno pukać do drzwi.

49

Ocknęła się błyskawicznie. Odruchowo, obronnym gestem, podciągnęła kołdrę aż pod brodę. Ktoś dobijał się do drzwi! Leżała bez ruchu z sercem walącym jak młot. Może to pomyłka i zaraz wszystko się uspokoi.

Rzeczywiście, głośne pukanie ustało. I zaraz po tym, jak odetchnęła z ulgą, usłyszała wyraźnie, jak ktoś woła Yirginię Shapiro! To bez sensu! Przecież w ośrodku za meldowała się pod panińskim nazwiskiem matki, jako Leigh Foster!

GROM 112

Przerażona Ginny gwałtownym ruchem zsunęła się z łóżka i zaczęła szukać czegoś, co mogłoby posłużyć do obrony. Właśnie brała do ręki leżący obok kominka pogrzebacz, gdy ponownie usłyszała męski głos.

- Pani Shapiro! Pani Shapiro! Proszę mi otworzyć!

Podeszła na palcach do okna i zerknęła zza zasłony. Dojrzała tylko zarys męskiej sylwetki. Nic więcej nie było widać.

- Niech pan odejdzie! - wykrzyknęła. - Tutaj nie ma nikogo o tym nazwisku!

Pukanie ustało znowu. Ginny podeszła cicho do drzwi i przyłożyła ucho do drewna, modląc się w duchu, aby usłyszeć oddalające się kroki.

Sully odetchnął głęboko. Usiłował nie zwracać uwagi na wodę, ściekającą mu z dachu wprost na kark.

- Pani Shapiro! Nazywam się Sullivan Dean. Georgia była moją przyjaciółką.

Przysłała mi te same informacje, które otrzymała też pani. Szukam pani od ponad dwóch dni.

Proszę wpuścić mnie do środka. Musimy porozmawiać.

Ginny jęknęła. Czy naprawdę był to ten sam człowiek, o którym Georgia wspominała w liście? Trudno było w to uwierzyć.

- Dlaczego miałabym panu zaufać? - spytała. Sully westchnął.

- Nie wiem, co powiedzieć - odrzekł. - Jeśli zapali pani lampę na ganku, to zobaczy pani moją odznakę.

- Odznakę?

Sharon Sala 113

- Tak, proszę pani. Jestem agentem FBI. Bardzo proszę, gdyby zechciała pani tylko...

Lampa na ganku prawie go oślepiła. Sięgając do kieszeni, drugą ręką osłonił na moment oczy. Po chwili ujrzał, że w prawym oknie powoli odchyła się zasłona. Dostrzegł niewyraźny zarys bladej twarzy. Kiedy zasłona opadła, Sully uprzytomnił sobie, że odruchowo wstrzymuje oddech.

- Boże, niech nie stanie mi się nic złego - wyszeptała Ginny.

Powoli otworzyła drzwi.

Stojąc w cieniu, Sully ujrzał uzbrojoną w pogrzebacz kobietę, która mimo groźnego narzędzia w ręku i wysokiego wzrostu, wyglądała niezwykle krucho.

- Pani Shapiro?

- Tak.

- Mogę wejść?

Ginny zawahała się, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że to bez sensu, bo drzwi są już otwarte, i odsunęła się na bok, nadal ściskając w ręku pogrzebacz.

Znalazłszy się w domku, Sully zapalił światło i spokojnie zamknął za sobą drzwi. Wokół jego nóg natychmiast powstała kałuża i w kąt pokoju zaczęła spływać woda.
- Jeśli ma pani jakąś szmatę, zaraz to... Ginny potrząsnęła głową. Gestem wskazała nieznanemu krzesło.

50

- Proszę... niech pan siada.

- Krzesło też zmoczę.

- Nie szkodzi. Wyschnie.

GROM 1140

Usiadł.

Nerwowym gestem Ginny przeciągnęła palcami po włosach, uprzytomniwszy sobie, że musi wyglądać okropnie. Postukując końcem pogrzebacza o podłogę, spojrzała na nieznanego i szybko odwróciła wzrok.

Sully przyglądał się jej twarzy i zastanawiał się, jak by to było budzić się co rano obok kogoś, kto tak wygląda. Codziennie, aż do końca życia.

- Czy zechce pan...?

- Pozwoli pani, że ja... ?

Odezwali się równocześnie i zaraz potem zamilkli oboje.

Sully otarł ręką twarz.

- Pani pierwsza. Ginny zawahała się.

- Pójdę po ręcznik.

Sully patrzył, jak kobieta idzie przez pokój. Kiedy złapał się na tym, że przedmiotem jego zainteresowania stały się jej długie nogi, odwrócił wzrok. Przypomniawszy sobie bowiem, że przyjechał tu dlatego, żeby pomóc Virginii Shapiro, a nie po to, aby z nią się przespać.

Podawała mu ręcznik i wycofała się na bezpieczną odległość, nadal zastanawiając się, czy zamiast wybawcy nie wpuściła przypadkiem do swego domku mordercy.

Najpierw wytarł włosy. Kiedy przyłożył ręcznik do twarzy, usłyszał pytanie:

- Skoro Georgia była pańską przyjaciółką i już nie żyje, to czemu szukał pan mnie?

Sully milczał przez chwilę. W głosie Ginny dosłyszał strach. Rozumiał tę reakcję, mimo że ta kobieta kwestionowała motywy jego postępowania.

Sharon Sala 115

- Georgia prosiła mnie o pomoc, ale nie zdążyłem jej uratować. Wywnioskowałem z listu, że pani wiele dla niej znaczy, a ona wiele znaczyła dla mnie... - W tym miejscu Sully'emu załamał się głos.

Odwrócił wzrok, żeby ukryć malujące się na twarzy uczucia.

Było już jednak na to za późno. W oczach gościa Ginny dostrzegła błysk łez, dosłyszała drganie głosu. I to jej wystarczyło. Podeszła bliżej i lekko dotknęła ramienia Sully'ego.

- Przepraszam - powiedziała, odsuwając się szybko. - Ale, jak pan widzi, byłam tak przerażona...

W oczach kobiety Sully dojrzał strach. Był tak autentyczny, że podniósł się z krzesła, chcąc natychmiast coś zrobić, żeby przestała się bać.

- Wiem - odezwał się łagodnym tonem. - Zjawiłem się najszybciej, jak mogłem.

I wtedy Ginny rozplakała się. Sully przytrzymał ją ręką.

- Zaraz pani też będzie mokra - skostatował i usiłował się odsunąć.

Zdusiła szloch i utknęła wzrok w twarzy gościa. To, w jakim stanie jest jego ubranie, nie miało żadnego znaczenia.

- Nie pozwoli mi pan umrzeć? Zaklął cicho i wziął Ginny w objęcia. Tym razem trzymał ją mocno.

- Przysięgam na swoje życie, że do tego nie dopuszczę. Kiedy dotarli do niej wypowiedziane z powagą słowa obietnicy, zeszywniała.

51

GROM 116

- Może okazać się to trudniejsze, niż pan sądzi.

- Co ma pani na myśli?

Gestem wskazała rozłożone na stole rachunki.

- Chodzi o pokwitowania z karty kredytowej. Nie pomyślałam o tym.

- Wiem - mruknął.

- Pan wie? - zdziwiła się. Miał ochotę się uśmiechnąć.

- A jak pani sądzi, w jaki sposób panią odnalazłem? Spojrzała nerwowo na drzwi.

- Ale to wcale nie było takie proste - dodał, chcąc uspokoić Ginny. - Mam znacznie łatwiejszy dostęp do takich informacji niż przeciętny śmiertelnik.

- A na jakiej podstawie uważa pan, że osoba odpowiedzialna za ten koszmar jest przeciętnym śmiertelnikiem?

Sully westchnął.

- Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Przepraszam.

- Przeprasiny przyjęte - oznajmiła Ginny i dodała: - Panu też, jak sądzę, należą się one ode mnie.

- Za co?

- Powinam najpierw podziękować.

Tym razem nie powstrzymał lekkiego uśmiechu.

- Za co? Jeszcze niczego nie zrobiłem.

- Och, zrobił pan - stwierdziła Ginny. - Jest pan tutaj.

Popatrzył na nią tak, jakby zobaczył przed sobą jakąś zupełnie nieznaną osobę. Miała długie do ramion, ciemne włosy i intensywnie błękitne oczy, a kształt jej twarzy przypominał serce. Był to widok fascynujący i co do tego Sully nie miał żadnych wątpliwości.

Sharon Sala 117

Ale najwięcej wyrazu miał wysunięty podbródek Ginny. Ta młoda dama nie poddawała się łatwo ani nie zniechęcała. Była dzielna. Miała duszę wojownika.

- Tak, jestem - przyznał i zaraz potem, aby nieco rozluźnić atmosferę, spojrzał na swoje nogi. - Kałuża, w której stoję, z minuty na minutę robi się coraz większa. Będzie lepiej, jeśli pójdę się przebrać, zanim z mojej winy utopimy się w niej oboje.

Zaskoczył Ginny. Dopiero co przyjechał i już mówi o wyjściu.

- Dokąd się pan wybiera? - spytała. Była na siebie zła, usłyszawszy drżenie własnego głosu.

- Tuż obok - odparł Sully. - Wynająłem sąsiedni domek. Nic się pani nie stanie, ale jeśli coś panią przestraszy, wystarczy tylko krzyknąć.

Bardzo chcąc, żeby gość jeszcze został, Ginny wyszła z propozycją:

- Może podgrzeję panu trochę zupy.

Sully zawahał się. Pragnął jak najszybciej pozbyć się mokrej odzieży, a w najgorszym razie tak jak stoi iść do łóżka. Było jednak jasne, że jego podopieczna wolałaby, żeby jeszcze pozostał.

- Włożę na siebie coś suchego i za kwadrans będę z powrotem - oznajmił. - Dobrze?

Zawstydzona, że niemal prosiła go, żeby nie odchodził, powiedziała:

- Tak. Ale pod warunkiem, że ma pan naprawdę ochotę coś zjeść. Jeśli nie, proszę zostać u siebie.

52

GROM 118

Ze wszystkich sił starała się zachowywać dzielnie. Było to godne podziwu.

- Chyba rzeczywiście z przyjemnością zjadłbym talerz ciepłej zupy - oświadczył.

W oczach Ginny dojrzał ogromną ulgę. Z uśmiechem ruszyła w stronę kuchni.

- Zaraz wracam - dorzucił, ale ona już wyciągała jakiś garnek i przewracała skąpą zawartość szuflady w poszukiwaniu otwieracza do puszek.

Do samochodu wracał wolnym krokiem. Nie było sensu biec, skoro już i tak był całkowicie przemoczony. Wyjął z bagażnika torbę podróżną i poszedł od razu do sąsiedniego domku, nie przestawiając samochodu. W razie gdyby pojawił się ktoś szukający Ginny, widok dwóch aut stojących obok siebie przed zajmowanym przez nią domkiem powstrzyma z pewnością jego zapędy. Dla nich obojga mógł to być ten krótki moment dzielący życie od śmierci.

Kiedy Sully otwierał drzwi, zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Zapalił światło i pomyślał, że to miejsce nie jest ani trochę lepsze niż sąsiedni domek. Ale nie przyjechał tutaj dla przyjemności. Rzucił torbę na łóżko, zlokalizował łazienkę i w pośpiechu ściągnął mokre ubranie. Po niespełna dziesięciu minutach był umyty, ubrany i gotowy do wyjścia.

Deszcz trochę zelżał. Sully ruszył biegiem w stronę domku Ginny, rozpryskując kałuże wody. Zapukał i zaraz potem nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte od wewnątrz. Wszedł do środka.

Zaskoczona hałasem, odwróciła się nerwowo, lecz na jego widok od razu się rozluźniła.

Sharon Sala 119

Dean. Sullivan Dean. Usiłowała przyswoić sobie to nazwisko.

- Zupa gotowa - oznajmiła. - Czy powinnam zwracać się do pana po nazwisku, panie Dean, czy też mówić agencie Dean lub...

- Sully. Mam na imię Sully i tak proszę mnie nazywać.

- Pod warunkiem, że pan będzie mówił do mnie Ginny.

Uśmiechnął się.

- Harry Redford uprzedzał mnie, że na inne brzmienie swojego imienia nie reaguje pani dobrze. Oczy Ginny rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Znasz Harry'ego?

- Spotkaliśmy się - odparł krótko Sully. - Bardzo się o ciebie martwi.

Ginny zaczęła nalewać zupę.

- To dobry szef. Lubię go.

Sully skinął głową i zmienił temat.

- Apetycznie pachnie.

Ginny postawiła na stole talerze z zupą.

- To tylko wołowina z jarzynami prosto z puszek. Wystarczyło dodać trochę wody i podgrzać. Masz ochotę na krakersy?

- Oczywiście - odparł Sully. - Mogę ci w czymś pomóc?

Potrząsnęła głową.

- Wszystko jest gotowe. Jaka pijesz kawę?

- Bez cukru i mleka - odrzekł, kiedy stawiała kubek obok jego talerza.

GROM 120

Siedzieli naprzeciw siebie i jedli w ciszy, przerywanej od czasu do czasu stukaniem łyżek o talerze.

W pobliżu lewego ucha gościa Ginny zauważyła długą, przecinającą szyję cienką bliznę. Wolała nie wyobrażać sobie, jak powstała. Sullivan Dean był mężczyzną barczystym i postawnym, o długich, umięśnionych nogach. Jako agent FBI z pewnością musiał dbać o kondycję. Włosy miał krótkie, grube i proste, o barwie gorzkiej czekolady, o dwa tony jaśniejsze niż oczy, które wydawały się czarne jak węgle. Nagle Ginny uzmysłowiła sobie, że jej gość zobaczył, jak się na niego gapi.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie mam zwyczaju nikomu się przyglądać, ale czy nie mówiono ci, że jesteś bardzo podobny do Harrisona Forda?

Skrzywił się.

- Być może.

- To była uwaga bez znaczenia. - Ginny podniosła się, zabrała ze stołu swój talerz i kubek, i wstawiła do zlewu. - Dolać ci kawy?

- Nie, dziękuję - odrzekł. - Nie mógłbym zasnąć. Ginny rzuciła okiem na zegarek.

- Minęła pierwsza. Jesteś z pewnością wykończony. Sully uznał to spostrzeżenie za znak do odwrotu

- Dziękuję za posiłek.

Wyjęła mu z rąk brudne naczynia.

- Zostaw, sama się tym zajmę. Dziękuję, że chciałeś mi pomóc.

Teraz, gdy nadeszła pora wyjścia, Sully sam zaczął tego żałować.

- Mieszkam po sąsiedzku - przypomniał. A kiedy Ginny skinęła głową, poczuł się w obowiązku dorzucić: - Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała. Mam lekki sen.

Sharon Sala 121

- Dobrze.

- No to... jesteś pewna, że będziesz czuła się dobrze? Ginny splotła przed sobą dłonie, jak dziecko, które zamierza zaraz coś wyrecytować.

- Będę czuła się dobrze... dlatego, że tu jesteś.

Ufność malująca się na jej twarzy przeraziła Sully'ego. Kiedy szedł w stronę drzwi, miał ściśnięte serce. Boże, błagam, pomyślał, nie pozwól mi schrzanić tej sprawy! Otworzył drzwi, zatrzymał się i odwrócił. Ginny patrzyła na niego z drugiego końca pokoju. Czuł się niepewnie, chciał jeszcze coś oświadczyć, ale uprzytomnił sobie, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Skinąwszy głową, opuścił domek. Parę sekund później usłyszał odgłos ryglowania drzwi.

Stojąc w ciemnościach i czekając, aż Ginny pogasi światła, czuł, jak wiatr rozwiewa mu włosy nad czołem. Deszcz ustał, wszystko tonęło w lekkiej mgłę. Z daleka dochodził głośny szum spienionej rzeki. Po kilku minutach w domku Ginny zgasło światło.

Sully rozejrzał się wokoło. Stwierdził z zadowoleniem, że w pobliżu nikogo nie ma.

Wszedł do siebie, usiadł na krawędzi łóżka i wyjął z kieszeni komórkowy telefon. Należało zdać sprawozdanie.

- Mówi agent Dean - przedstawił się. Dyrektor przysunął się do brzegu łóżka i ściszył głos, żeby nie obudzić żony.

- Wie pan, która godzina?

- Tak, panie dyrektorze. Bardzo przepraszam, ale uznałem, że chciałby pan wiedzieć, że ją znalazłem.

GROM 122

- W porządku. Jutro powiadomię o tym agenta Howarda.

- Dziękuję, panie dyrektorze.

- I jak pan to widzi?

Pomyślawszy o kobiecie, która płakała w jego objęciach, Sully westchnął.

- Jest przerażona, ale dość dzielna, zważywszy na okoliczności.

- Czy lokum jest bezpieczne? Sully rozejrzał się wokoło i powstrzymał się przed prychnięciem.

- To sprawa dyskusyjna, panie dyrektorze. Kiedy się stąd ruszymy, niezwłocznie pana zawiadomię. Czy jest jakiś postęp w prowadzonym dochodzeniu?

- Nie ma. Niech pan idzie spać i odpocznie.

- Dobrze, panie dyrektorze. Właśnie zamierzam tak postąpić.

- Aha... Sully?

Sully'ego aż zatkało z wrażenia. Szef nigdy nie zwracał się po imieniu do żadnego ze swych agentów.

- Słucham, panie dyrektorze.

- Dobra robota.

- Chętnie bym to potwierdził, ale, szczerze powiedziawszy, cała zasługa należy się Georgii Dudley, czyli siostrze Mary Teresie. To ona powiązała wszystkie fakty. Jest mi piekielnie przykro, że nie zdążyłem jej uratować.

- Czasami tak bywa. Idź spać i bądź w kontakcie.

Sully położył telefon na nocnym stoliku, a potem podszedł do okna. Po raz ostatni omiół wzrokiem zalany deszczem parking. Jedyna lampa w ośrodku, ustawiona Sharon Sala 123

w pobliżu domku zarządcy, rzucała nikłe światło na pomarszczone powierzchnie kałuż. Ciszę nocy zakłócał jedynie dochodzący przez cienkie, drewniane ściany szum klimatyzatora pracującego u Ginny.

Uspokojony, że nic się nie dzieje, Sully odwrócił się od okna i już miał włączyć dmuchawę, gdy uprzytomnił sobie, że jeśli to zrobi, może nie dosłyszeć wołania sąsiadki. Zrzucił ubranie, otworzył okno przy łóżku, na stoliku obok telefonu położył pistolet i kaburę, a potem wsunął się pod koc. Zamknął oczy.

Mimo skrajnego zmęczenia długo czekał na sen.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Woda była wszędzie. Sączyła się ze ścian, drobnymi strumyczkami wydobywała się spod podłogi. Zapadał się dach. Wszystkie meble przybrały trupią barwę. Pod stopami Ginny zaczęły uginać się deski, poczuła, że tonie. W pierwszej chwili była tylko zła, że ubrudzi błotem pantofle, ale gdy bezskutecznie usiłowała przytrzymać się czegoś stałego, wpadła w panikę.

Nagle rozległ się głośny huk. Nad głową Ginny przetoczył się po niebie grom, po którym nagle stała się bezwolna. Straciła siły do walki o ratunek. Była tak słaba, że nie potrafiła nawet się poruszyć.

Woda podchodziła coraz wyżej. Siegała kolan, powoli ogarniając spódnicę. Chwytnąjąc się nieistniejącego brzegu stałego lądu, Ginny zaczęła płakać. Gdy woda sięgnęła jej brody i zaczynała wlewać się do ust, odchyliła głowę i krzyknęła z całych sił.

- Pomóż mi! Błagam, pomóż! Nie pozwól mi się utopić! Nie pozwól umrzeć!

55

Ginny obudziła się z jękiem i usiadła nieprzytomnie na łóżku. Prześcieradła oplatały

ściśle jej nogi i, mimo włączonego klimatyzatora, miała włosy mokre od potu i przylepione do karku. Nadal cała się trzęsąc, zsunęła nogi na ziemię, oparła łokcie na kolanach i zakryła twarz.

Sharon Sala 125

Na szczęście, był to tylko sen. Koszmarny. Idiotyczny.

Kiedy trochę oprzytomniała, zataczając się, poszła do łazienki i przemyła zimną wodą szyję i twarz. Nie chciała wracać do łóżka z przykrym wspomnieniem snu, tkwiącym tak świeżo w pamięci. Zapaliła światło w kuchni i postanowiła zrobić sobie kawę. Dwa stojące w zlewie brudne talerze uzmysłowiły jej, że nie jest już sama. Poczula się lepiej.

Kiedy w małym pomieszczeniu kuchennym rozszedł się smakowity aromat świeżo parzonej kawy, wlała ją sobie do kubka, wsunęła ranne pantofle i otworzyła frontowe drzwi. Pragnąc poczuć zapach nowego dnia, wyszła na ganek i głęboko wciągnęła powietrze. Niebo było dość czyste, mimo że jeszcze gdzieś gdzieś pokrywały je szare, strzępiaste chmury. Ciemność nocy ustępowała miejsca świtowi i pierwszym promieniom wschodzącego niebawem słońca.

Ginny wypiła ostrożnie łyk kawy, rozkoszując się ciepłem promieniującym od przełyku wzdłuż całego ciała, a także wzmacniającą dawką kofeiny. Obejrząwszy starannie śliskie schodki, usiadła na najwyższym, żeby dokończyć kawę. Dopiero wtedy zauważyła, że samochód Sullivana Deana jest zaparkowany tuż za jej własnym. Rzuciła okiem w stronę jego domku. Pewnie jeszcze spał.

Lekki wiatr zwichrzył jej włosy, osuszając wilgoć potu. Żeby obejrzieć niebo, Ginny uniosła twarz. Wyglądało na to, że pogoda się poprawia. To dobrze, uznała. Nie będzie więcej deszczu. Ani burz. Oddziaływały na nią w tak okropny sposób, że była wykończona, a ostatnio miała już stanowczo zbyt wiele nieprzyjemnych doznań.

GROM 126

Z pobliskiego drzewa odezwał się jakiś ptak. Odpowiedział mu inny, zza pleców Ginny. Zaciekawiona, odstawiła kubek, obeszła róg domku i idąc przed siebie, w gałęziach drzew wypatrywała śpiewaka. Kiedy odeszła już spory kawałek, dotarł do niej inny odgłos. Tym razem nieprzyjazny, wręcz groźny. Szum wody uderzającej o brzeg.

Rzeka! Po tak obfitych deszczach z pewnością bardzo przybrała i wypełniała teraz całe koryto. Uzmysłowienie sobie tego faktu przywołało natychmiast z pamięci Ginny obraz innej, wzburzonej rzeki i spadającej z urwiska Georgii. Z połami habitu jak rozłożonymi w locie skrzydłami.

W jednej chwili piękny poranek stracił cały urok.

Zawróciwszy, Ginny usłyszała nagle warkot silnika nadjeżdżającego samochodu.

Wprawdzie czuła się dość bezpiecznie, pamiętała jednak o tym, że w tej głuszy już raz została odnaleziona. A jeśli potrafił tego dokonać Sullivan Dean, równie dobrze mógł uczynić to każdy inny człowiek. Nagle ogarnięta przerażeniem, rzuciła się biegiem w stronę swojego domku.

Właśnie dotarła spomiędzy drzew na otwarty teren, gdy pod recepcję ośrodka podjechała mała, odkryta ciężarówka. Wypełniona po brzegi kijami i mnóstwem innych wędkarskich przyborów. Ginny patrzyła, jak z kabiny wysiadają trzej mężczyźni, rozbawieni i przekrzykujący się nawzajem. Jeden z nich cisnął na ziemię puszkę po piwie, a potem sięgnął do ciężarówki i z opróżnionego do połowy pojemnika z lodem wyjął następną.

Kiedy otworzył piwo i odwrócił się, żeby pociągnąć

56

Sharon Sala 127

pierwszy łyk, zobaczył Ginny. Obleśny uśmiech na jego twarzy sprawił, że poczuła się niepewnie. Popęła błąd, nie powinna była przyglądać mu się. Udając pewną siebie, dość szybkim, lecz swobodnym krokiem ruszyła w stronę własnego domku, mimo że najchętniej uciekałaby w popłochu.

- Hej, mała! Poczekaj! - wrzasnął za nią mężczyzna. - Co tak pędzisz? Jak cię przelecę, nie będziesz mogła nawet chodzić.

Ginny wydawało się, że dwaj pozostali mężczyźni mówią mu, żeby się zamknął i odczepił od niej, ale pijak nie dawał się przekonać.

Była już dość blisko domku, gdy nagle za plecami usłyszała szybko zbliżające się kroki. Mężczyzna gonił ją. Rzuciła się pędem do ucieczki.

Nie myśląc, zareagowała odruchowo. Sully powiedział przecież, że jeśli będzie go potrzebowała, ma tylko głośno krzyknąć.

Wrzasnęła więc na cały głos. Dwukrotnie. Najgłośniej jak tylko potrafiła.

Trudno powiedzieć, kto był zaskoczony bardziej. Ona sama czy nieznajomy. Z sąsiedniego domku wypadł jak błyskawica półnagi mężczyzna. Uzbrojony. Wprawdzie bosy i bez koszuli, ale z determinacją w oczach i pistoletem w ręku wyglądał nadzwyczaj groźnie. Sprawdziwszy szybko wzrokiem, czy Ginny jest zdrowa i cała, rzucił w jej stronę stanowcze polecenie:

- Wchodź do środka.

Rzuciła się pędem w stronę wejścia i zatrzymała dopiero wtedy, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi. Podbiegła szybko do okna i wyjrzała ukradkiem zza zasłony.

GROM 128

Nieznajomy leżał na ziemi, a Sully przeszukiwał mu kieszenie, równocześnie trzymając pozostałych mężczyzn na muszce. Nie słyszała rozmowy. Po kilku minutach pod czujnym wzrokiem federalnego agenta mężczyźni odjechali. Gdy mała ciężarówka zniknęła, Sully odwrócił się i spojrzał w stronę Ginny.

Miała ochotę wybiec mu naprzeciw i podziękować gorąco. Kiedy jednak zobaczyła, że sam idzie w jej kierunku, postanowiła przywitać go spokojniej. Otworzyła drzwi i stanęła w progu.

- Chyba zareagowałam zbyt nerwowo - usprawiedliwiła się.

Sully chętnie by się przyznał, że prawie stanęło mu serce. Przewrzenie w głosie Ginny wyrwało go z głębokiego snu i w ciągu sekundy postawiło na nogi. Nie zastanawiając się ani chwili, wciągnął spodnie i złapał za broń, oszalały ze strachu, czy także tym razem jego pomoc nie okaże się spóźniona.

Zamiast tego wzruszył ramionami.

- Zrobiłaś, co powinnaś zrobić. Ginny kiwnęła głową, lecz zaraz potem przeszedł ją dreszcz i objęła się rękoma, jakby z zimna.

- Był pijany?

- I naćpany.

- Boże! - szepnęła. - Sądzisz, że jeszcze tu wrócą?

- Bardzo możliwe. To synowie kierownika ośrodka. Ginny skrzywiła się.

- Nie ma to jak wygrać z kimś, kto rządzi - wymamrotała z goryczą w głosie.

57

Sharon Sala 129

- Oświadczyłem, że należysz do mnie i że mają dać ci święty spokój.

Twarz Ginny wyrażała zaskoczenie, ale nie zamierzał niczego wyjaśniać. Niech sama sobie to wytłumaczy.

O dziwo, powstrzymała się od komentarza, co z kolei zdziwiło Sully'ego. Podobnie jak to, że, wskazując ręką ganek, powiedziała nieoczekiwanie:

- Czy byłbyś uprzejmy przynieść stamtąd mój kubek?

Była to ostatnia rzecz, jakiej się w tej chwili po niej spodziewał. Odwrócił się, zobaczył kubek z kawą i podniósł go ze schodków.

- Masz ochotę? - spytała, kiedy wszedł do środka.

Słowa Ginny wywołały u Sully'ego nerwowy skurcz żołądka. Ochotę na co? To, czego w tej chwili chciał, nie miało absolutnie nic wspólnego z kofeiną.

- Tak - potwierdził. - Jeśli zaparzyłaś więcej. Skinęła głową.

- Znów jestem twoją dłużniczką. Dotknął jej ramienia. Lekko, bo nie mógł pozwolić sobie na nic więcej.

- Tego ostatniego proponuję nie uwzględniać w obliczeniach.

Słowa Sully'ego skwitowała uśmiechem i ruszyła do kuchni po kawę.

Patrzył z westchnieniem, jak odchodziła. Miała dziurę u dołu bawełnianej koszulki, spranej i spłowiałej aż do bezbarwnej szarości. Spodnie od dresu też nie prezentowały się lepiej. Wysoka i tak szczupła, że prawie chuda, wyglądała nadal piekielnie ładnie. Bolesnie ponętnie.

Sully odłożył pistolet na stół i przeganiał palcami włosy.

GROM 130

Siadając, wybrał krzesło, z którego miał najlepszy widok na krzątającą się w kuchni Ginny. Po niespełna pięciu sekundach uzmysłowił sobie, że traci dystans i jego stosunek do tej kobiety staje się zbyt osobisty.

Westchnął.

Wyłączył z niego zwykły skurczybyk.

Nie należało spać w jej łóżku.

Kiedy odwróciła się, udał, że ziewa, aby ukryć zmieszanie. Podziękował za przyniesioną kawę.

- Skoro już nie śpisz... Uśmiechnął się krzywo.

- Usmażę jajka. Masz ochotę? - zapytała. Mając do wyboru jeszcze dwie godziny snu albo siedzenie przy stole na wprost tej kobiety, wybrał to drugie.

- Dobry pomysł. Potrzebna ci pomoc? - zapytał. Ginny spojrzała na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

- Potrafisz gotować?

- Nieźle mi to wychodzi.

- Nie mogę tego powiedzieć o sobie - wymamrotała. - Bierz swoją kawę. - Powzięła decyzję. - Usmażysz bekon.

- A co ty zamierzasz robić? - spytał.

- Patrzeć, jak pracujesz.

Zdziwiony Sully uniósł brew, kiedy prowadziła go do kuchni. Do licha, ta kobieta całkiem go zawojowała.

W czasie gdy przygotowywali śniadanie, trzech mężczyzn, których wygonił Sully, kombinowali coś zupełnie innego. Jak świat światem, jeszcze nigdy żaden z braci Augerów

58
Sharon Sala131

nie został wyrzucony z ośrodka prowadzonego przez ich własnego tatuśka!

Carneyowi, Dale'emu i Freddiemu chodziło przecież tylko o miejsca do spania podczas trzydniowej wyprawy na ryby. Wprawdzie nie pierwszy już raz, i z pewnością nie ostatni,

więcej czasu spędzali na picciu niż na wędkowaniu, ale wszyscy trzej byli jednego pewni. W stanie, w jakim się znajdowali, żaden z nich nie mógłby pokazać się na oczy własnej małżonce. Nie byłoby końca babskim utyskiwaniom.

Najbardziej rozwścieczony był Carney, ten z braci, który napalił się na Ginny. Od prawie godziny nie przestawał złorzeczyć i narzekać na to, jak haniebnie został potraktowany.

- Do cholery! Żaden skurwysyn nie będzie kazał mi kłaść się na ziemi. Prędejj sam w niej się znajdzie, i to głęboko, zanim zdąży opowiedzieć komuś o tym, co zrobił ze mną.

Freddie, który w tym czasie prowadził ciężarówkę, nie zamierzał komentować gadania Carneya. Niech go pociesza Dale. Odkąd sięgał pamięcią, najmłodszy z braci Augerów nigdy nie miał własnego zdania i robił to, co pozostali. Trzymał zawsze z nimi i chętnie brał udział we wspólnych eskapadach.

- Wcale ci się nie dziwię - oświadczył. - Nie miał prawa grozić ci spluwą. Przecież nie zrobiłeś nic złego. Chciałeś tylko trochę się zabawić.

- Jasne! - potwierdził Carney, pociągając następny łyk piwa.

Przejechali kilka dalszych mil i Carney zdążył zalać się na amen. Po pijanemu stawał się jeszcze bardziej agresywny niż zwykle.

GROM 132

Ni stąd, ni zowąd rąbnął pięścią w błotnik ciężarówki.

- Brachu, zawracaj - wybełkotał. - Muszę zobaczyć tatuśka.

- Carney, przestań rozrabiać, bo wgnieciesz mi wóz - zaprotestował Freddie. - Spoko!

Tatuśka odwiedzimy jutro, kiedy trochę wytrzeźwiejesz, dobra?

- Nie. Muszę zobaczyć go zaraz. Tatusiek się starzeje. Co będzie, jeśli tej nocy odwali kite, a ja nawet się z nim nie pożegnaj? - Kiedy myśli Carneya stały się jeszcze bardziej bezładne, jego pijackie uzalanie zamieniło się w pełną agresji furję. - Jeśli tak się stanie, wszystkiemu będzie winna ta wredna suka. Wrzeszczała jak opętana. Co, do cholery, sobie pomyślała? Że co jej zrobię?

Freddy zmierzył brata karcącym wzrokiem.

- Dobrze wiesz, do czego jesteś zdolny, kiedy popijesz i się naćpasz. Pewnie uznała, głupku, że chcesz ją zgwałcić. Nic dziwnego, skoro nawet ja sam myślałem, że pewnie to zrobisz.

- Fakt, Carney, przecież zapowiedziałeś dziwce, że ją przelecisz - do rozmowy wtrącił się Dale. Carney uderzył go w ramię.

- Przestań pieprzyć - warknął i przez okno ciężarówki cisnął na drogę jeszcze jedną pustą puszkę. - Weźmiemy sobie pokój w motelu i pójdziemy spać. A tatuśka odwiedzimy jutro rano.

Bracia sprzeczekali się jeszcze przez chwilę, ale Carney nadal gotował się ze złości.

Poprzysiągł sobie, że zrobi tej suce i jej facetowi to, co się im należy.

Sharon Sala 133

Sully właśnie kończył się ubierać, kiedy odezwała się komórka. Obszedł łóżko i sięgnął po aparat po trzecim dzwonku.

- Sullivan Dean.

- Cześć. Mówi Dań Howard. Jak leci? Sully usiadł na brzegu łóżka.

- Dobrze. Dzwonił do ciebie szef. Mam rację?

59

- Tak. Uznał, że powinienem dać ci znać, co się dzieje. We wszystkich sześciu miastach mam ludzi, którzy zbierają informacje na temat każdej z ofiar. Na samą myśl o tej sprawie przechodzą mnie ciarki. Cholernie dziwna historia. Wszystkie dziewczyny zginęły

niejako z własnej ręki.

- Wiem, co masz na myśli - przyznał Sully. - Ale najbardziej nieprawdopodobne jest, moim zdaniem, samobójstwo siostry Mary Teresy.
- Słyszałem, że się przyjaźniliście. Jest mi naprawdę przykro.
- W gruncie rzeczy, to ona spowodowała, że dałem się wciągnąć w tę sprawę.
- A co z tą Shapiro? Sądzisz, że coś wie?
- Nie. Jest śmiertelnie przerażona, ukrywa się przed całym światem i jak ognia boi się wszystkiego, co jest związane z telefonami. Muszę jednak przyznać, że ma charakter. I hart ducha. To twarda kobietka.
- I dobrze. Gdyby nie była twarda, może już byłoby po niej.
- Może - mruknął Sully.
- Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? - zapytał Dań.
- Dziś rano miałem tutaj starcie z trzema miejscowymi typami.

GROM 134

Nie sądzę, żeby było to coś poważnego, ale na wszelki wypadek chciałbym ich sprawdzić.

- Uważasz, że mają coś wspólnego z naszą sprawą?
 - Nie. Ich ojciec jest zarządcą tego ośrodka. To był chyba tylko niekorzystny zbieg okoliczności. Mieliśmy pecha.
 - W razie, gdybyś czegoś się dowiedział, daj mi znać.
 - Ty też to zrób - powiedział Sully i rozłączył się.
- Siedział, przez chwilę zastanawiając się, jak najlepiej zasięgnąć języka, kim właściwie są trzej bracia. Zdecydował się zadzwonić do Myrny. Gdyby w tę sprawę zaangażował lokalne władze, zbyt wielu ludzi dowiedziałoby się, że jest agentem FBI, a to nie było mu na rękę. Wystukał numer służbowy szefa.
- Federalne Biuro Śledcze - oznajmiła po chwili Myrna.
 - Mówi Sully.
 - Dzień dobry, agencje Dean. Przykro mi, ale dyrektor przez cały dzień ma narady na Kapitolu.
 - Nie chcę rozmawiać z szefem. Dzwonię do pani.
 - W czym mogę panu pomóc? Sully uśmiechnął się krzywo. Ta kobieta była diabelnie bystra.
 - Wiem, że nie leży to bezpośrednio w zakresie pani obowiązków, ale spotkałem tutaj trzech braci, których muszę sprawdzić. Czy może pani załatwić to dla mnie i dowiedzieć się, czy te typy nie mają przypadkiem na sumieniu jakichś gwałtów?
 - Tak. Mogę.

Sharon Sala 135

Kiedy Myrna zaakcentowała słowo „mogę”, Sully uśmiechnął się ponownie.

- Zrobi to pani? - zapytał.
- A czy umoczy to mego szefa? Jeszcze bardziej rozśmieszyła Sully'ego. Miała więcej ikry, niż można było przypuszczać.
- Nie, Myrno. Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby przysporzyć pani kłopotów z dyrektorem. A ponadto wie o tym agent Howard, który kieruje całą sprawą.

60

- Wobec tego potrzebne mi nazwiska.
- Już podaję - odparł Sully i przekazał Myrnie dane o Augerach.
- To wszystko? - spytała beznamiętnie.

- Jest pani nadal pewna, że nie chce zostać moim partnerem?

Sully'emu wydawało się, że słyszy krótkie prychnięcie i zaraz potem przerwano połączenie.

Rozbawiony, wsunął telefon do kieszeni w spodniach, opuścił swoje lokum i ruszył w stronę sąsiedniego domku. Musiał powziąć dalsze decyzje w celu zapewnienia bezpieczeństwa Ginny. Skłaniał się do przewiezienia jej do któregoś z tak zwanych bezpiecznych domów. Tam przynajmniej będzie łatwiej obserwować otoczenie.

- To ja - oznajmił, pukając do drzwi.

Zastał Ginny siedzącą pośrodku łóżka z notatnikiem na kolanach i rozłożonymi wkoło materiałami od Georgii.

Kiedy stanął przed nią, nawet nie podniosła wzroku.

- Co robisz? - zapytał.

- Różne zestawienia.

GROM 136

- Czego?

- Po jednej stronie wypisuję podobieństwa, a po drugiej różnice.

Sully zerknął do notatnika Ginny. Był pod wrażeniem, bo pracowała niezwykle sumiennie.

- Skąd to wiesz? - zapytał, wskazując na jedną z notatek na temat Jo-Jo Henley, którą umieściła w swoim zestawieniu po stronie różnic.

- Z rozmowy z właścicielem baru, w którym pracowała.

- Miała raka jajników?

- Tak twierdził. I dodał, że oprócz niego nikt o tym nie wiedział.

Sully przyciągnął sobie krzesło i usiadł bliżej łóżka, coraz bardziej zainteresowany zarówno robotą Ginny, jak i rzeczowym sposobem podchodzenia przez nią do całej sprawy.

- Ten fakt mógł zaważyć na zeznaniach ludzi, które dotyczyły przyczyn jej śmierci - uznał. - No, wiesz, może postanowiła odebrać sobie życie, bojąc się cierpienia i wiedząc, że prawdopodobnie i tak nie potrwa to długo.

- Tak. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale jeśli Jo-Jo zależało tak bardzo na tym, by jak najszybciej skończyć ze sobą i w ten sposób ustrzec się przed czekającym ją cierpieniem, to dlaczego nie połknęła tabletek nasennych czy czegoś w tym rodzaju? Skoro tak bardzo obawiała się bólu, to czemu postanowiła opuścić ziemski padół, biorąc w objęcia nadjeżdżającą ciężarówkę? - Dopiero teraz Ginny podniosła wzrok i popatrzyła na Sully'ego.

- W całej tej sprawie nie ma ani odrobiny logiki.

Sharon Sala 137

- Zgoda. Uznajmy więc, że tragicznym wydarzeniom towarzyszą różne, nie zawsze logiczne okoliczności. Żadna z ofiar nie przyłożyła sobie, w dosłownym znaczeniu tego słowa, pistoletu do głowy i nie pociągnęła za spust. Ale wszystkie stworzyły sytuacje, które bezpośrednio doprowadziły do ich własnej śmierci. Bo... gdzie można wylądować, gdy skacze się z mostu, lub, w przypadku Georgii, z urwiska nad rzeką?

Ginny odłożyła notatnik i zerwała się z łóżka, zbyt poruszona, by nadal siedzieć spokojnie.

61

- Nie wiem! Nie wiem! Gdybym umiała to wyjaśnić, nie ukrywałabym się na końcu świata, drżąc przed własnym cieniem.

Sully czekał spokojnie, aż Ginny się wyłóci. Był to znacznie zdrowszy sposób na pozbycie się dojmującego uczucia bezradności niż umieranie ze strachu.

- Czy masz jeszcze jakieś informacje, których ja nie znam? - zapytał. Rozłożyła ręce.
- Nie wiem! Nawiązałam kontakt z rodzinami zmarłych. Ty też?

Zdumiony Sully odchylił się na krzesło.

- Kiedy zdążyłaś to wszystko zrobić?
- Zanim wyjechałam z St. Louis. Gdy dowiedziałam się o śmierci Georgii.
- Robiłaś notatki?
- Agencie Dean, co ty sobie właściwie myślisz? -niemal warknęła Ginny. - Przecież jestem reporterką.
- Myślę, że cię nie doceniałem. A poza tym zechciej przypomnieć sobie łaskawie, że mam na imię Sully.

GROM 138

Jej złość wyparowała w ciągu sekundy.

- Przepraszam - mruknęła i ze smętnie opuszczonymi ramionami przysiadła na krawędzi łóżka, tuż obok swojego gościa.

Dostrzegł żyłkę pulsującą na szyi Ginny i drobniutkie kropelki potu nad górną wargą. Musiały być słone.

Drgnął nagle tak, jakby go ktoś uderzył, chociaż Ginny nie mogła wiedzieć, jakie dziwaczne myśli krążą mu po głowie.

- Nie przepraszaj. Musimy współpracować.
- Wezmę notatki - powiedziała i odchyliła się na łóżku, żeby sięgnąć po odrzucony przed chwilą notatnik. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Zachłysnęła się powietrzem i zamarła. Oczyma rozszerzonymi z przerażenia patrzyła, jak Sully wyjmując z kieszeni komórkę.
- Ginny, uspokój się. Mój telefon nie zrobi ci krzywdy.

Rozluźniła się, zmieszana tak nieoczekiwanie gwałtowną własną reakcją. Aparat Sully'ego rzeczywiście nie stanowił dla niej zagrożenia.

- Wiem o tym - wymamrotała i wyszła na ganek. Zaklął pod nosem i odebrał telefon. Dzwoniła Myrna.

- Ford model z 1994 roku, licencja stanu Missisipi numer 4XJ99, należy do Freddiego Joego Augera z Hemphill, w stanie Missisipi. Zatrzymany dwukrotnie za pijackie rozróbki, facet nie ma na koncie niczego poważniejszego. Dale Wayne Auger, także z Hemphill, dziewięciokrotnie karany mandatem za przekroczenie prędkości. Natomiast niejaki Carney Gene Auger ma za sobą listę popełnionych gwałtów dłuższą niż włosy Lady Godivy. Podać wszystkie szczegóły? - rzeczowym tonem spytała Myrna.

Sharon Sala 139

Sully poczuł nagły skurcz żołądka. Powinien był wiedzieć, że z tym facetem nie pójdzie mu tak łatwo, jak początkowo się spodziewał.

- Nie. Chciałbym usłyszeć tylko to, co najważniejsze.
- Ma na koncie przywłaszczenia, zatrzymania związane z narkotykami, kradzież i napaść z bronią w ręku. To prawdziwy harcerzyk.
- Może przypadkiem jest teraz na zwolnieniu warunkowym?
- Nie.

62

Sully westchnął.

- Jasne, że nie. To byłoby zbyt łatwe.
- Ich ojciec, Marshall Auger, jest bratem miejscowego sędziego. A także właścicielem, a zarazem zarządcą, wędkarskich terenów nad rzeką Tallahatchie, jakieś sto mil na północ od

Biloxi.

Tyle to Sully sam wiedział.

- W porządku. Myrno, jestem twoim dłużnikiem. Tym razem wielkim. Po powrocie do Waszyngtonu postawię ci największy stek, jaki można dostać w tym mieście.

- Jestem wegetarianką. Sully roześmiał się.

- Czyżby? Widziałem na własne oczy, jak podczas zeszłorocznego bożonarodzeniowego przyjęcia pochłaniałaś z apetytem gigantyczne ilości krewetek.

- Zesłałam ze złej drogi. Mam to już za sobą.

- Myrno, czy mogę zadać pani osobiste pytanie?

- Nie.

GROM 140

Na drugim końcu linii połączenie zostało przerwane. Sully odłożył telefon, zanotował w pamięci, żeby wysłać Myrnie kwiaty, gdy będzie po wszystkim, i wyszedł z domku poszukać Ginny.

Siedziała na schodkach, wpatrując się w ziemię.

- Chcę przewieźć cię do bezpiecznego domu. Drgnęła, zaskoczona nagłym pojawieniem się Sully'ego i tym, co oznajmił.

- Dlaczego? Czy rozmowa, którą przed chwilą prowadziłaś, ma z tym coś wspólnego? Wiedzą, kto spowodował...

Sully ujął Ginny za ramię.

- Nie, nie, uspokój się na chwilę i pozwól mi mówić. Zamilkła, ale jej napięcie nie ustąpiło.

- Rozmowa dotyczyła nie śmierci twoich dawnych koleżanek, lecz faceta, który cię dziś rano napastował. Ginny zmarszczyła czoło.

- A co ten typ ma wspólnego z naszą sprawą? Sądziłam, że to tylko jakiś miejscowy łobuz, który...

- Miejscowy - potwierdził Sully. - Jego ojcem jest zarządca tego ośrodka, a to oznacza, że facet w każdej chwili może tu wrócić, żeby się na nas odegrać. Dziś rano dałem mu w kość, nie sądzę, żeby to tak zostawił, na pewno będzie szukał możliwości rewanżu.

Ginny westchnęła. Zgnębiona, odgarnęła włosy palcami.

- Nie! Do diabła, nie!

- Co masz na myśli?

- Już ukrywam się przed kimś, kto mi zagraża i kogo nie potrafię zidentyfikować. Nie zamierzam znowu uciekać.

Sharon Sala 141

Lepszy wróg, którego się zna, niż anonimowy. Nie pojedę do żadnego miasta. Jest tam zbyt wiele ludzi i miejsc, w których musiałabym mieć się stale na baczności. Nie zamieszkać w żadnym z tych bezpiecznych domów, gdzie od świtu do zmierzchu będę pod obserwacją waszych agentów, którzy zarejestrują wszystko, nawet to, że płaczę przez sen, i ile razy siusiam w nocy. Ginny zaskoczyła Sully'ego tak otwartym i jednoznacznym postawieniem sprawy. Poczul się zbity z tropu.

- Płaczesz przez sen? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

63

- Czasami.

Miał ochotę dotknąć jej współczującym gestem, ale uznał, że będzie lepiej, jeśli zachowa dystans.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem. Widocznie śni mi się coś przykrego. Rano nigdy nic już nie pamiętam, ale kiedy się budzę, mam mokre policzki.

- Jezu! - mruknął Sully, myśląc o pozostałych sześciu nieszczęsnych ofiarach i zastanawiając się, czy też płakały przez sen.

- Nie każ mi stąd wyjeżdżać - poprosiła Ginny.

Była zła, że w jej głosie pobrzmiwają tony niemal błagalne. Instynkt nakazywał jej jednak pozostać tu, gdzie jest. Zbyt długo była reporterką, żeby ignorować przecucia. Sully westchnął.

- Poczekamy i zobaczymy, co będzie dalej - powiedział. - Jeśli te typy wrócą i sytuacja zrobi się niewesoła, nie będziesz miała wyboru.

GROM 142

Ginny wzruszyła ramionami.

- Na to wygląda - potwierdziła niechętnie.

- Wracając do twoich notatek; zechcesz podzielić się ze mną zebranych informacjami?

Zapytał, a nie polecił, co, zdaniem Ginny, dało federalnemu agentowi jeszcze jeden punkt. Był mężczyzną piekielnie przystojnym, a, rozebrany do pasa, wyglądał, o czym miała okazję przekonać się dziś rano, jeszcze lepiej niż w ubraniu. Przybył do niej z odsieczą. Nie z obowiązku, lecz z miłości i szacunku dla Georgii, ich wspólnej przyjaciółki. I nadal starał się zapewnić jej bezpieczeństwo. Wszystko wskazywało więc na to, że musiała bardzo uważać, żeby nie zaangażować się uczuciowo. Był przecież zupełnie nieznanym człowiekiem, o którym właściwie nic nie wiedziała.

Pomachała ręką w kierunku domku.

- Sully, idź pierwszy.

Zwróciła się do niego po imieniu. Wyraźnie sprawiło mu to przyjemność, bo w podzięce obdarzył ją długim, zniewalającym uśmiechem.

Ginny z wrażenia straciła na chwilę oddech. Oj, czemu ten facet był tak podobny do Harrisona Forda, a nie, na przykład, do Fernandela?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Palce Phillipa Karnoffa przesuwają się po klawiaturze, podczas gdy on sam nie odrywał wzroku od ekranu komputera. Cierpiąc na bezsenność, godzinami „rozmawiał” przez Internet. W tej chwili nie spali jeszcze tylko on i jakiś osobnik, posługujący się pseudonimem Cyber-Szczur. Phillip zdradzał mu swe obawy, o których na głos nigdy nie powiedziałby nikomu.

SynDok: „Żyję pod maksymalną presją. Nie mam pojęcia, jak jeszcze długo będę w stanie to znieść.”

CyberSzcZur: „Człowieku, zajmij się sobą. To twoje życie. Nie dopuść do tego, żeby cię załatwili.”

SynDok: „Nic nie rozumiesz. Nie potrafię nigdzie zahaczyć się na dłużej. Za każdym razem, gdy dostaję jakąś robotę, mój wewnętrzny głos z taką siłą zmusza mnie do tego, bym wszystko spieprzył, że robię to.”

64

CyberSzcZur: „Stary, to wygląda kiepsko. Może powinieneś pójść do lekarza?

Korzystałeś już z psychoterapii? Leczę się w ten sposób od lat.”

Po policzkach Phillipa potoczyły się łzy. Miałby iść do lekarza? Czysta farsa. Przecież mieszkał z lekarzem i, jak do tej pory, w niczym mu to nie pomogło.

SynDok: „Każdemu pomaga co innego. Ja się do tego nie nadaję.”

GROM 144

CyberSzczur: „Nie chrzań, stary. Musisz wywalić wszystko z siebie do końca, bo inaczej zła karma pożre cię żywcem.”

Phillip zawahał się. Ciągnięcie tej wymiany zdań mogło okazać się niebezpieczne. Musiał jednak zrzucić z siebie ten psychiczny ciężar ponad jego siły. Odczuwał potrzebę otworzenia przed kimś duszy. Co to może mu zaszkodzić? Przecież nie zna i nigdy nie pozna swego rozmówcy. Anonimowość Internetu jest wystarczającym zabezpieczeniem. A może CyberSzczur ma rację? Może trzeba po prostu przed kimś się wywnętrzyć? Jeśli to zrobi, nic się nie stanie.

SynDok: „Zaczynam świrować.”

CyberSzczur: „Dlaczego tak sądzisz?”

SynDok: „Słyszę wewnętrzny głos.”

CyberSzczur: „Stary, to poważna sprawa. Czy robili ci kiedyś jakieś badania? Brałeś jakieś leki?”

SynDok: „Nie.”

CyberSzczur: „A czy ktoś wie, że zaczynasz świrować?”

SynDok: „Nie.”

CyberSzczur: „Słuchaj, stary. Nie znam cię osobiście, ale gdybyś był moim przyjacielem, poradziłbym ci iść do specjalisty od takich rzeczy. Pewnie nie chcesz zrobić tego, żeby nie przynieść wstydu swojej rodzinie? Mam rację?”

Phillip doznawał dziwnych uczuć, zaczął tak bardzo drżeć, że nie potrafił skupić myśli. Jak urzeczony wpatrywał się w klawiaturę komputera. Widział swoje palce, które zawisły nad klawiszami, ale nie był w stanie opuścić rąk niżej. Och, Boże! Co się dzieje?
Sharon Sala 145

Wyłącz się, Phillipie. Natychmiast, ty idioto.

CyberSzczur: „Stary, jesteś tam jeszcze?”

Phillip poruszył się energicznie, jakby chcąc strząsnąć z siebie głos innego człowieka. I zaraz potem załkał. Innego człowieka? Jakiego? Przecież nikogo obok niego nie było.

CyberSzczur: „Stary! Stary! Człowieku, nie przerywaj rozmowy. Gadaj dalej ze mną.”

Phillip wzdrygnął się, a potem osunął w przód. A kiedy podniósł głowę, szyderczy uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, mówił sam za siebie.

SynDok: „SynDok nie może więcej z tobą rozmawiać, bo już go tu nie ma. A ty pieprzysz mi tutaj głodne kawałki. Zmywaj się, póki czas. To ja kontroluję sytuację.”

Phillip wyłączył komputer i poderwał się z miejsca. Idąc, rozpinał na sobie ubranie.

Phillip to kretyn. Mam już po dziurki w nosie ciągłego ustawiania i trzymania w karbach tego mięczaka, a także noszenia tych cholernych ciuchów, w których wygląda jak grzeczny student.

Podszedł do szafy i przesunął wiszące tam ubrania. Najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. To, czego szukał, znalazł w głębi szafy. Zdjął z wieszaka czarne spodnie i włożył je. Obcisłały pośladki i, tak jak lubił, uwidoczniły pokaźne rozmiary penisa. Zapiał spodnie, a potem wygładził je z przodu, przeciągając dłonią w dół, i ponownie sięgnął do

65
szafy. Grzebiąc w stosie czystych i starannie poskładanych koszul i swetrów, znalazł czarną bawełnianą koszulkę i wciągnął ją przez głowę. Znakomicie podkreślała jego płaski brzuch.

GROM 146

Potem przed wysokim lustrem, umieszczonym na wewnętrznych drzwiach łazienki, zburzył palcami włosy, przekształcając porządną, elegancką fryzurę zadbanego młodzieńca w zwichrzoną szopę ulicznego rozrabiaki. Spodobał mu się ten widok, bo uśmiechnął się do

swojego odbicia.

- Tony, chłopie, przystojny z ciebie skurczybyk.

- Phillipie? Nie śpisz?

Pukanie, towarzyszące jęklivemu pytaniu Lucy, sprawiło, że błyskawicznie odwrócił się, podszedł do drzwi i otworzył je zdecydowanym ruchem.

- Wstałem - oznajmił krótko, wpatrując się w twarz matki Phillipa. Był przekonany, że to z jej winy ten facet był tak piekielnym nieudacznikiem.

Ujrzawszy dziwnie ubranego syna, Lucy Karnoff z niepokojem zmarszczyła czoło.

- Phillipie, ten strój nie nadaje się do wyjścia. Zapomniałeś, że rano musisz zawieźć ojca na lotnisko. Jutro ma w Irlandii ważne konsultacje.

- Niech zamówi sobie taksówkę. Mam do zrobienia inne rzeczy.

W obawie, żeby Phillip nie uciekł, zanim zdąży wszystko mu powiedzieć, Lucy złapała syna za rękę.

- Twoje sprawy mogą poczekać - oznajmiła. - Przecież nie chodzisz do pracy, gdzie odbija się kartę zegarową.

Naprawdę miał ochotę ją uderzyć, ale tylko zacisnął pięści.

- Nie wiesz nic o mojej robocie, więc puść mnie, stara babo.

Odepchnął matkę od siebie. Od kilku miesięcy miewał

Sharon Sala 147

od czasu do czasu takie złe dni, ale dziś po raz pierwszy dopuścił się czegoś takiego.

- Phillipie, jak śmiesz? - wykrzyknęła, zaskoczona zachowaniem się syna. - Po tym wszystkim, co zrobiliśmy dla ciebie, powinieneś przynajmniej...

- Phillipa już nie ma, ty stara suko. Ciebie też diabli wezmą, jeśli nie odpieprzysz się od mojego życia.

Nienawiść malująca się na twarzy syna przeraziła Lucy, ale jeszcze gorsze było spojrzenie jego oczu. Wyglądał jak obcy człowiek. Co miały oznaczać słowa, że Phillipa już nie ma? Zanim zdołała opanować stargane nerwy, syn minął ją jakby była powietrzem, wyszedł z domu, zdążył wsiąść do samochodu i odjechać. Lucy z trudem opanowała chęć opowiedzenia mężowi o tym przykrym i zdumiewającym incydencie. Nie mogła tego zrobić. Emile'a czekała podróż. Bardzo ważna z punktu widzenia jego kariery.

Przygładziła włosy i opuściła piętro. Zanim dotarła do kuchni, zdążyła przekonać samą siebie, że w gruncie rzeczy nic się nie stało.

Dopiero wiele godzin później, po odjeździe Emile'a, kiedy została w domu tylko z dochodzącą sprzątaczką, Lucy pozwoliła sobie wrócić myślami do porannych wydarzeń. Nie ulegało wątpliwości, że z Phillipem działo się coś złego. W jego obecności czuła się tak, jakby miała do czynienia z dwoma zupełnie różnymi ludźmi.

Uświadomienie sobie tego faktu pociągnęło za sobą jeszcze bardziej przerażającą myśl. Co będzie, jeśli okaże się, że Phillip jest chory, i to poważnie? Co będzie, jeśli okaże się tak bardzo niestabilny psychicznie, że uczyni coś, co ściągnie im na głowę żadnych sensacji dziennikarzy?

66

GROM 148

Zdenerwowana Lucy zaczęła drobnymi krokami przemierzać pokój. Coś tak strasznego nie miało prawa się wydarzyć. Nie teraz! Nie w chwili, gdy znaleźli się na szczycie i każdy ich ruch był odnotowywany przez całą prasę.

Musiała coś z tym zrobić. Ale co?

Mój Boże, gdyby genialne odkrycie Emile'a znajdowało zastosowanie w odniesieniu

do chorób psychicznych! Wiele lat temu, kiedy pracowali wspólnie - ona jako jego asystentka, a zarazem sekretarka - Emile sprawdzał eksperymentalnie kilka własnych teorii, prowadzących w tym kierunku. Lucy zatrzymała się i ze zmarszczonym czołem usiłowała przypomnieć sobie, gdzie też mogły znajdować się stare kasy magnetofonowe męża, na których rejestrowali wspólnie jego ówczesne doświadczenia. Może, jeśli ona sama... W ciągu kilku sekund Lucy opanowała nerwowość i zaczęła, jak zwykle, rozumować racjonalnie, karcąc się w myśli za to, że przez chwilę myślała o Phillipie nie jak o własnym synu, lecz o laboratoryjnym zwierzątku, na którym prowadzi się naukowe eksperymenty. W holu stary zegar wybił drugą. Lucy wyjrzała przez okno, modląc się o to, aby zobaczyć, jak samochód Phillipa podjeżdża pod dom. Niestety, w zasięgu wzroku dostrzegła tylko ogrodnika sąsiadów, strzygącego żywopłot. Gdyby Emile był na miejscu! Zanim rano opuścił dom, powinna była opowiedzieć mu o tej sprawie. Nie było na świecie ważniejszej rzeczy niż ich własna rodzina. I niż ich własny syn.

Lucy opadła ciężko na stojące w pobliżu krzesło i za niosła się płaczem

Sharon Sala 149

Wszystko stało się tak okropnie skomplikowane... Robiła wszystko, co możliwe, żeby zbudować idealną rodzinę, a teraz nagle coś zaczynało się psuć. Co powinna zrobić? Carney Auger otworzył oczy i zobaczył, że leży na ziemi. W pierwszej chwili nie wiedział, co się z nim dzieje. Głośne chrapanie i smród puszczonego bąka, dochodzące ze stojącego obok łóżka, uświadomiły mu, że nie jest sam. Uniósł się na kolanach i, podparty na łokciach, spojrzął na łóżko. Ujrzał twarz Dale'a.

- Cholera - zaklął.

Na miejscu, które właśnie zajmował jego własny brat, wolałby zobaczyć jakąś kobietę. Rozżłoszczony smrodem i brakiem dogodnego miejsca, w które mógłby włożyć stwardniałego penisa, trzepnął Dale'a w gębę, a potem podniósł się z trudem na nogi. Brat obudził się natychmiast i, przerażony, zacisnął pięści. Oczy miał zmętniałe i przekrwione.

- Ktoś dał mi po mordzie! - wrzasnął, budząc Freddiego, trzeciego z braci Augerów, który spał na kanapie po drugiej stronie pokoju.

- Przymknij się - warknął Freddie i naciągnął na głowę poduszkę.

- Ktoś dał mi w gębę - narzekał nadal Dale, spoglądając złym okiem na Carneya, który szedł do łazienki.

W pokoju zapanowała cisza. Rozżalony Dale spojrzął z wyrzutem na zamknięte drzwi, za którymi zniknął brat, a potem obrócił się na drugi bok i zasnął.

GROM 150

Jednak Carney nie zamierzał spać dłużej. Miał napięte nerwy. Czaszkę rozsadzał mu ból. Jego organizm domagał się natychmiastowej porcji alkoholu. A poza tym musiał się na kimś wyładować.

67

Wszedł pod prysznic. Po chwili zobaczył, jak na dnie brodzika gromadzi się błoto z resztkami trawy i liści. Musiał się gdzieś zdrowo wytarzać, ale nie pamiętał, gdzie. Gorącym strumieniem wody splukał wyszorowane ciało, do czego w ciągu kilku minut zużył całe motelowe mydło. Czuł się przy tym całkiem nieźle. Dopiero gdy nachylił się, aby umyć stopy, przypomniał sobie nagle, jak padał twarzą w przód. Wyprostował powoli plecy, a potem zastygł w bezruchu, próbując przywołać z pamięci zamglone obrazy. Stojąc w oparach gorącej wody, zamknął oczy. I nagle ujrzał przed sobą jakąś twarz. Była to twarz kobiety.

Carney zmarszczył czoło. Ale skąd się wzięła? Gdzie ją widział? Nabral głęboko powietrza, usiłując rozluźnić się pod silnym strumieniem wody. Przez kilka sekund pod zamkniętymi powiekami nie widział nic, a potem nagle mignęła mu przed oczyma inna twarz. Tym razem należąca do mężczyzny. Rosłego faceta. Zaraz potem Carney ujrzał pistolet i usłyszał przeraźliwy wrzask.

Uniósł powieki. Przypomniawszy sobie, jak pada na ziemię twarzą w dół. Niemal czuł w ustach metaliczny smak krwi z przygryzionego języka. Ale gdzie, do cholery, to się działo? I nagle olśniło go. Już wiedział, gdzie. W ośrodku wędkarskim. Spędzili tam w trójkę całą noc, popijając i gapiąc się na wzburzoną rzekę.

Sharon Sala 151

Pamiętał, że zakładali się, ile piw wypije jeszcze Dale, zanim się wyrzyga. Któryś z nich, on sam, a może Freddie, zaproponował, żeby przed powrotem na łono szacownych małżonek pójść się oporządzić do jednego z domków ojca.

Nie widząc porozbijanych kafelków ani zardzewiałych rur, Carney wbił wzrok w ścianę. W pewnej chwili za oknem łazienki usłyszał klakson. Zaskoczony, odwrócił się w stronę, z której dochodził dźwięk, i nagle wszystko sobie przypomniał.

Co za suka! Swoim przeraźliwym wrzaskiem sprowadziła mu na głowę jakiegoś półnagiętego idiotę. Usiłował wyjaśnić, że nic się nie stało, ale facet nie chciał słuchać, popchnął go głową prosto w błoto, a potem zagroził, że jeśli odważy się poruszyć, odstrzeli mu jaja.

Carney zakręcił kurek. Ściągnął ręcznik z wieszaka i energicznymi ruchami wytarł się z furii. Jeszcze wilgotny wpadł do pokoju, trzaskając za sobą drzwiami łazienki.

Na widok Dale'a podrywającego się z piętami z łóżka, syknął ze złością:

- Ś mierzysz, pierdzielu. Leć się umyć. Ja muszę gdzieś skoczyć.

Rozbudzony Freddie przewrócił się na bok i popatrzył z niechęcią na Carneya.

- Zapomniałeś, że nie masz ani grosza? A tym razem nie dam ci forsy na to, żebyś znów wachał.

- Nie zamierzam ćpać - warknął Carney. - Chcę tylko wyrównać rachunek.

Tym razem Freddie usiadł na łóżku. Zdarzało mu się już wcześniej oglądać ten dziwny wyraz twarzy brata.

GROM 152

Wiedział, co oznacza.

- Ostatnim razem, kiedy wyrównywałeś rachunki, wylądowałeś w mamrze. Masz ochotę znaleźć się tam jeszcze raz?

- Nikt nie będzie wpychał mnie bezkarnie głową w błoto i potem żył sobie dalej! Dale zbladł.

- Nie zamierzam mieć nic wspólnego z morderstwem.

68

- Nie pamiętam, żebym cię o to prosił, pęta - warknął Carney. - A teraz ubieraj się, i to szybko. Ty to samo, Freddie. Jadę złożyć wizytę tacie.

- Ja też w to nie wchodzę - zastrzegł się Freddie, podobnie jak Dale.

- Nic z tego - warknął Carney. - Zawiesz mnie na miejscu. Zapomniałeś, że nie mogę prowadzić wozu, od kiedy zabrali mi prawo jazdy?

- Nie zapomniałem - odparł Freddie. - Ale jesteś za bardzo nabuzowany. Dobrze ci radzę, odpuść sobie. Daj spokój porachunkom.

Na twarzy Carneya ukazał się szeroki uśmiech.

- Jestem ciekawy, co pomyśli sobie Wanda, kiedy się dowie, że jej mały Freddie

przeleciał kasjerkę z supermarketu.

Freddie podniósł się z łóżka. Poczzerwieniał ze złości.

- Jak tylko się urodziłeś, ojciec powinien włożyć cię do worka, tak jak zrobił to swego czasu z moimi szczeniakami, i utopić w Tallahatchie.

Carney z gniewem zmrużył oczy.

- Może i powinien. A teraz zrobisz, co ci każe. Chyba że chcesz, żebym zaczął gadać, a wtedy Wanda już nigdy w życiu nie wpuści cię do chałupy.

Sharon Sala 153

Nie odezwał się ani słowem, Freddie wszedł do łazienki i z furią zatrzęsął za sobą drzwi.

Carney popatrzył groźnie na Dale'a, który zbladł jeszcze bardziej i zaczął się nerwowo ubierać.

- To ciebie powinno się utopić - mruknął Carney. - Idę na drugą stronę ulicy, żeby napić się kawy. Potrzebuję trochę forsy.

Dale rzucił portfel na łóżko. Skrzywił się widząc, jak brat wyciąga cały plik banknotów.

- To moja forsa na paliwo - przypomniał. - Bez benzyny nie dam rady dojeżdżać do pracy w przyszłym tygodniu.

- Nie potrzebujesz paliwa. Wystarczy, jak popierdzisz sobie do baku - stwierdził Carney i opuścił pokój, trzaskając za sobą drzwiami.

- Zamknij się - warknął Dale, ale dopiero wtedy, kiedy był pewny, że brat już go nie usłyszy.

- Poczekaj - poprosiła Ginny i zatrzymała się pod drzewem. - Coś wbiło mi się w kostkę.

- Niech popatrzę - powiedział Sully, kucając obok niej. - Oprzyj stopę na moim kolanie.

- Mam zabłocone buty. Pobrudzę ci spodnie. Podniósł wzrok.

- Nie szkodzi. Dadzą się wyprać.

Zrobiła, co zaproponował. Żeby, stojąc na jednej nodze, nie stracić równowagi, objęła Sully'ego za szyję i dopiero wtedy postawiła but na jego kolanie. Spacerowali

GROM 154

po okolicy prawie godzinę, rozmawiając o tym, co zapamiętała na temat pozostałych sześciu szkolnych koleżanek, chodzących razem z nią na te nieszczęsne dodatkowe zajęcia, ale nie doszli do żadnych konkretnych wniosków. Działo się to dawno temu, a ponadto dziewczynki miały wtedy zaledwie po sześć lat.

Ginny zagryzła dolną wargę i usiłowała nie patrzeć na silne ramiona Sully'ego, gdy wsuwał palce pod jej skarpetkę.

69

- Już go mam - oznajmił. - Utkwił ci w nodze kawałek ostrej trawy - wyjaśnił, podnosząc się i prostując plecy. - Lepiej?

Ginny stała jak urzeczona, podświadomie czekając na coś więcej. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że Sully zadał jej pytanie.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Jak noga? Mniej boli?

- Tak. Dziękuję - odparła nieoczekiwanie obco i odwróciła wzrok. - Jesteśmy chyba blisko rzeki.

Sully usiłował nie reagować na nierówne zachowanie się Ginny, ale zaczynała go

denerwować. W jednej chwili była przyjacielska i na luzie, a w następnej podminowana, zaczepna i obca. Do tej pory starał się obchodzić z nią jak z jajkiem, było to jednak dosyć wyczerpujące zajęcie.

- Yirginio?

Zwrócił na siebie jej uwagę.

- Wolałabym, żebyś nie...

- Wiem doskonale, czego nie lubisz - stwierdził krótko. - Ale nie mam pojęcia, co robię źle. Jeśli obraziłem | cię lub nieopatrznie czymś uraziłem, to przepraszam.

Sharon Sala 155

Ginny wyglądała na zaskoczoną.

- Nie zrobiłeś nic złego. Skąd przyszło ci to do głowy?

- Bo zachowujesz się dziwnie. Jeśli, jak twierdzisz, nie z mojej winy, to dlaczego?

Musimy przebrnąć razem przez to wszystko, co się dzieje, czy ci się to podoba, czy nie.

Będzie więc znacznie łatwiej, jeśli powiesz, kiedy mam zamilknąć i dać ci spokój. Nie będziesz wówczas musiała zamykać się w sobie i idiotycznie zmieniać temat rozmowy.

Ginny westchnęła. Obecność Sully'ego coraz bardziej działała jej na nerwy, ale nie bardzo wiedziała, dlaczego. Jak więc mogła wyjaśnić mu swoje zachowanie, jeśli sama go nie rozumiała?

- Nie chodzi o ciebie - stwierdziła. - Przysięgam. - Wsunęła Sully'emu rękę pod ramię i uściśnęła je lekko. - Pospacerujmy jeszcze - poprosiła. - Lepiej mi się myśli, kiedy jestem w ruchu.

- Mnie też - potwierdził.

- No, widzisz, a więc jednak mamy ze sobą coś wspólnego - uznała pogodnie.

- Mieliśmy, i to od samego początku - poprawił ją Sully.

Zatrzymała się, zaskoczona.

- Co takiego?

- Czyżbyś zapomniała o Georgii? To ona nas łączy. Sprawiała, że tutaj jestem.

Oczy Ginny wypełniły się łzami.

- Nie zapominałam o niczym - powiedziała szybko i, nie zwracając uwagi na swego towarzysza, ruszyła przed siebie.

GROM 156

Poszedł za nią.

- Nie zamykaj się, Ginny. Pogadajmy. Powiedz, co cię dręczy. Czemu w stosunku do mnie raz zachowujesz się przyjaźnie, a raz wrogo? Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mogę chronić osoby, która nie ma do mnie zaufania.

Zawahała się, a potem odwróciła i z uniesioną hardo głową i zdeterminowanym wyrazem twarzy popatrzyła Sully'emu prosto w oczy.

70

- Mam do ciebie zaufanie.

- No, to o co chodzi?

- Zwykłam polegać tylko i wyłącznie na sobie. Jestem sama od wielu lat. Moi rodzice nie żyją. Mam niewielu krewnych, z którymi nie utrzymuję żadnych stosunków.

- Czy w twoim życiu nie ma nikogo wyjątkowego? Żadnego mężczyzny? Czy jest to jedyny powód?

Gdy Sully już zadał te pytania, z wrażenia, że się na to odważył, aż wstrzymał oddech.

Chyba obawiał się odpowiedzi.

Ginny prychnęła nieelegancko.

- Ostatni mężczyzna mojego życia sypiał z kobietą, która mieszkała w tym samym domu co ja, po drugiej stronie korytarza. Działo się to cztery lata temu i od tamtej pory nie mam najmniejszej ochoty na poznanie nikogo innego.

Mimo woli Sully odetchnął z ulgą. Pewnie było to nie fair, ale nagle ogarnęła go radość, że Ginny nie jest związana z żadnym facetem.

- Musiało to być dla ciebie ciężkie przeżycie - powiedział, zdobywając się na współczucie.

Sharon Sala 157

Wzruszyła ramionami.

- Przyznaję, nauczka była dotkliwa i nie zamierzam już nigdy w życiu popełnić podobnego błędu.

Gdy tylko wymówiła te słowa, od razu pojęła, gdzie leży przyczyna jej dziwnego traktowania Sully'ego. Starła się trzymać go na dystans właśnie dlatego, że się jej podobał, z czego nie była zadowolona. Obawiała się emocjonalnego zaangażowania. Już nigdy więcej nie chciała zostać skrzywdzona przez żadnego mężczyznę.

Sully wziął Ginny za rękę i ruszyli dalej przed siebie. Czując silne palce zaciskające się na jej dłoni, potknęła się z wrażenia. Uchwycił ją za łokieć i bez słowa poczekał, aż odzyska równowagę. Kiedy ponownie ruszyli przed siebie, nadal trzymał ją za rękę. Dwie minuty później zatrzymał się nagle i zwrócił w stronę Ginny. Wyrwała dłoń i zignorowała nieprzychylnie spojrzenie Sully'ego.

- Dziwi mnie jedna rzecz - oświadczył. - Nigdy nie słyszałem, żeby Georgia mówiła o tobie, a podobno swego czasu byliście w bardzo zażyłych stosunkach.

- Przy mnie też nigdy nawet nie wspomniała o twoim istnieniu, a mam wrażenie, że była ci bardzo bliska.

- Jej brat, Tom, był i nadal jest moim najbliższym przyjacielem. Rodzinę Dudleyów poznałem, gdy sprowadzili się do Connecticut. Wydaje mi się, że Georgia miała wtedy prawie siedem lat.

Oczy Ginny rozszerzyły się ze zdumienia.

- To było tuż po pożarze, który zniszczył naszą szkołę. Przedtem mieszkaliśmy drzwiami w drzwi, tuż obok siebie. Po przeprowadzce odwiedzałam Georgię w nowym domu, a potem przez jeden semestr mieszkaliśmy razem w akademiku, dopóki nie zmieniłam kierunku studiów.

GROM 158

- Dziwne, że nigdy się nie spotkaliśmy. Odwiedzałem wtedy Georgię.

Ginny zmarszczyła czoło, usiłując przywołać dawne wspomnienia.

- Pamiętam, że była szaleńczo zakochana w jakimś facecie. Mówiła, że jest od niej, niestety, znacznie starszy, i dodawała, że ten człowiek w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

71

Sully odwrócił wzrok.

- Mogło chodzić o mnie. Lubiłem Georgię, to fakt, ale widziałem w niej zawsze tylko małą dziewczynkę. Na litość boską, przecież rosła na moich oczach. Dla mnie była zawsze tylko i wyłącznie młodszą siostrą Toma.

Oczy Ginny rozszerzyły się jeszcze bardziej ze zdumienia.

- To niesamowite! Co za ironia losu! Bo ja z kolei swego czasu podkochiwałam się w Tomie. Miałam wtedy jakieś dziewięć lub dziesięć lat. Miłość skończyła się w dniu, w którym do kieszonki w bluzce wpuścił mi świerszcza. Uznałam wtedy, że chłopcy są okropnie głupi. - Uśmiechnęła się krzywo. - Czasami zdarza mi się nadal tak myśleć.

Sully roześmiał się na cały głos, co sprawiło, że serce Ginny niemal przestało bić. Po raz pierwszy miała okazję słyszeć jego szczerzy, prawdziwy śmiech i zobaczyła w nim zupełnie innego człowieka.

- Powinieneś robić tak częściej - wymamrotała.

Sharon Sala 159

- To znaczy, co?

- Śmiać się. Jest ci z tym do twarzy.

Niezadowolona, że powiedziała zbyt wiele, Ginny zaczęła już odwracać głowę, ale dłoń Sully'ego znalazła się błyskawicznie na jej policzku.

- Znow to robisz - stwierdził łagodnie. - I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. - Powiedziałaś coś miłego i natychmiast się najeżyłaś. Co ci chodzi po głowie?

Ginny przymrużyła gniewnie oczy.

- Sądziłam, że jesteś moim ochroniarzem, a nie psychiatrą.

- Ginny...

- To nie ma z tobą nic wspólnego - powiedziała, cicho wzdychając. - Chodzi wyłącznie o mnie.

- Nieprawda. To ja, złotko, jestem narażony na twoje zmienne nastroje.

Sarkazm przebijający w głosie Sully'ego stał się dla Ginny przysłowiową kroplą przepełniającą kielich. Nie wytrzymując atmosfery napięcia, z zaciśniętymi pięściami doskoczyła do Sully'ego.

- Chcesz wiedzieć, skąd się to wszystko bierze? Dlaczego tak się zachowuję? - wykrzyknęła łamiącym się głosem. - Pociągasz mnie jako mężczyzna, a ja sobie tego nie życzę! Ktoś usiłuje pozbawić mnie życia, a ja zaczynam durzyć się, jak jakaś głupia geś, w facecie z FBI, który, gdy tylko skończy się cała sprawa, natychmiast zniknie! Teraz już wiesz, dlaczego taka jestem! Chodzi o... o ten chiński syndrom, czy jak tam to się nazywa.

GROM 160

- Sztokholmski - wymamrotał pod nosem Sully, zbyt zaszokowany słowami Ginny, by powiedzieć coś więcej.

- Do diabła, o czym ty gadasz? - warknęła zdenerwowana.

- Sądzę, że chodziło ci o syndrom sztokholmski: ofiara zakochuje się w swym oprawcy.

Dramatycznym gestem Ginny rozłożyła przed sobą ręce.

- Piękne dzięki! Jestem ci niezmiernie wdzięczna za uświadomienie mi tej straszliwej pomyłki - wycedziła drwiącym tonem. - W sumie oznacza to, że robię z siebie jeszcze większą idiotkę!

Żeby po swym bohaterskim wyznaniu nie wybuchnąć płaczem, Ginny obróciła się na pięcie i z uniesioną głową ruszyła szybko przed siebie.

72

Sully został. Był kompletnie oszołomiony. Powinien albo tak właśnie zareagować, jak to zrobił, albo strzelić sobie w łeb i uwolnić się od cierpienia. Nie był jednak jeszcze gotowy na ostateczne rozstrzygnięcie. Nie akurat teraz, kiedy najładniejsza kobieta, jaką zdarzyło mu się spotkać od lat, oświadczyła, że ją pociąga.

Twarzy Sully'ego rozjaśnił błogi uśmiech. Do licha. Ona go polubiła. Naprawdę. To jasne, że musiał znaleźć jakiś sposób, żeby uporać się z jej zalem i urazą. Nie szkodzi, uznał po chwili namysłu. Zawsze lubił współzawodnictwo i wszelkie wyzwania. A znalezienie sposobu na poradzenie sobie z humorami Yirginii Shapiro mogło okazać się najważniejszą próbą sił w jego życiu.

Ruszył za Ginny dopiero wtedy, kiedy uprzytomnił sobie, że znalazła się na granicy pola widzenia. Z krzaków po prawej stronie ścieżki dobiegł go nagle trzask łamanych gałęzi.
Sharon Sala 161

Zatrzymał się i zaczął się uważnie przyglądać pobliskim zaroślom. Odetchnął z ulgą, kiedy ujrzał biegnącego królika. Nie przyszło mu jednak do głowy, że tak mały zwierzak nie potrafiłby narobić aż tyle hałasu. Stracił czujność. Jego umysł był zbyt zaprzątnięty myślami o Ginny.

Kiedy facet poszedł dalej, Carney pomyślał, że miał szczęście. Gdyby nie królik, ten wredny typ odkryłby jego kryjówkę. Znajdował się wprawdzie zbyt daleko, żeby dosłyszeć, o czym rozmawiała ta para, ale zorientował się, że o coś się kłócili. Tak czy inaczej, było jasne, że facetowi bardzo zależy na babce. To wystarczyło Carneyowi, aby zmienić postanowienie co do sposobu zemsty za swoje upokorzenie. Załatwi tego typu, i to na amen, ale najpierw odbierze mu kobietę. To zrobi na początek. Dobrze wiedział, że baba to najślabszy punkt każdego zakochanego mężczyzny.

- Jeszcze nie wiesz, draniu, co cię czeka - wymamrotał pod nosem, obserwując odchodzącego Sully'ego. - Ale tej nocy będziesz gorzko żałował, że w ogóle się urodziłeś.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mimo że od jej gwałtownego wybuchu podczas spaceru w lesie upłynęło sporo czasu, Ginny nadal była zamknięta w sobie. Sully miał jednak na tyle zdrowego rozsądku, by nie wracać do poruszonego przez nią tematu. Zamiast tego poprosił, żeby Ginny zajęła miejsce na krześle i rozpoczął przesłuchanie. Bezlitosne, jakby osobą podejrzaną o popełnienie zbrodni była ona. Wypytywał o wszystko, co dotyczyło jej dzieciństwa, niemal o każdą przeżytą wówczas chwilę.

Odpowiadanie na pytania Sully'ego było wyczerpujące, pozwoliło jednak Ginny uspokoić się i opanować nerwy, uzmysłowiło też istotną przyczynę, która sprawiła, że tkwili tu razem. Działając ręką w rękę, musieli zrobić wszystko, aby wyjaśnić tę okropną sprawę. Szczegółowe przesłuchanie okazało się bezskuteczne. Było to bardzo dziwne, ale Ginny nie pamiętała nic, co miało związek z dodatkowymi zajęciami w szkole Montgomery'ego, oprócz tego, że odbywały się raz w tygodniu i trwały godzinę. Nie miała pojęcia, czego ją uczono i dlaczego znalazła w wąskiej grupie wybranek. Była, jak twierdziła, zupełnie przeciętnym dzieckiem, niespecjalnie inteligentnym, a do tego bardzo słabowitym i w tym czasie często chorującym. Męczyły ją okresowe ataki astmy, które, na szczęście, w miarę upływu czasu stawały się coraz rzadsze i, gdy miała kilkanaście lat, ustąpiły całkowicie.

73

Sharon Sala 163

Wreszcie Sully dał spokój wypytывaniu i Ginny, zmęczona, poszła do kuchni, żeby przygotować kanapki. Zaofiarował pomoc, ale z miejsca ją odrzuciła. Zamiast poczuć się urażony, uśmiechnął się lekko. A więc jego bliska obecność działała Ginny na nerwy. I dobrze. Lepsze to niż ignorująca obojętność.

- Chcesz kawy? - spytała, składając razem kawałki pieczywa.

- Wolałbym piwo, ale zadowolę się colą.

- Zadowolisz się tym, co dostaniesz. Arogancja w głosie Ginny zirytowała go na tyle, że zapomniał o ostrożności.

- W moim położeniu człowiek nie może wybierać. Bierze, co ma pod ręką. Zamierzam tak zrobić.

Ginny zamarła, odwrócona plecami do Sully'ego, z kromką chleba w jednej ręce i

nożem w drugiej. Po chwili przyłapała się na tym, że się uśmiecha. Oddawał ciosy i nie pozwalał sobie dmuchać w kaszę. Zawsze lubiła tę cechę u mężczyzn.

Odwróciła się z obojętnym wyrazem twarzy.

- Nie pochlebiajcie sobie, agencie Dean. Może i mnie pociągasz, ale nie jestem jakąś napaloną nastolatką. Nalej sobie do szklanki czegoś do picia i usiądź wygodnie. Jedzenie czeka.

Z szerokim uśmiechem na twarzy Sully wyminął Ginny i wyjął z szafki dwie szklanki.

Otworzył lodówkę i zajrzał do środka.

GROM 164

- Mleko, pomarańczowy sok... O, jak widzę, z myślą o mnie zadbałaś o wszystko - oznajmił z satysfakcją, sięgając w głąb lodówki i wyciągając dwie małe, zamknięte butelki schłodzonego wina.

Ginny położyła na stole kanapki. Żeby dostać się do talerzy, musiała precyzyjnie się obok Sully'ego. Rozmyślnie odsuwał się powoli. Gdy mile zaokrąglonym biodrem otarła się o jego udo, poczuł się radośnie jak młody chłopak.

- Chcesz? - zapytał, unosząc jedną z małych butelek.

- Nie, dziękuję. Napiję się mleka. Wstawił alkohol na miejsce i wyciągnął dzbanek z mlekiem.

- Ty naprawdę pijasz coś takiego? - zapytał, krzywiąc się niemilosiernie.

- Mam zwyczaj brać do ust tylko to, co lubię - mruknęła.

Sully popatrzył zachłannie na jej usta. Zastanawiał się, jaka byłaby reakcja Ginny, gdyby ją pocałował, i czy oddawane przez nią pocałunki okazałyby się tak drażniące, jak jej słowa.

Podawała mu szklankę, ale ponieważ wyraźnie stracił zainteresowanie czymś do picia, zabrała stojący przed nim dzbanek i nalała sobie mleka.

- Na zdrowie - uniosła szklankę, wznosząc toast. - Och, jakie to dobre i zimne. Siadaj, zacznijmy wreszcie jeść.

Usadowiła się przy stole, położyła przed sobą połówkę kanapki i z dopiero co otwartej torby nasypała na talerz trochę ziemniaczanych chipsów. Kiedy otworzyła usta, żeby ugryźć pierwszy kęs, Sully oprzytomniał.

Sharon Sala 165

Zdjął nakrętkę z butelki z winem, zajął drugie krzesło, wrzucił na talerz całą, przepołowioną piętrową kanapkę, a potem otworzył szerzej torbę z chipsami i ustawił ją przed sobą, aby mieć łatwy dostęp do prażynek. Wyciągnął kilka jednocześnie i od razu wepchnął do ust.

74

- Doskonałe - pochwalił, nie przerywając jedzenia. Ginny uniosła brew.

- Dlatego, że nie są mojej roboty.

Sully uśmiechem skwitował zabawne oświadczenie i wbił zęby w piętrową kanapkę.

Między jej warstwami coś chrupnęło. Ale co? Widział przecież, jak Ginny kładzie do środka mięso, majonez i ser. I to było wszystko.

- Coś... coś chrupnęło - oznajmił.

- To na pewno rzodkiewki.

Przełknął bohaterstwo trzymane w ustach kęs i odłożył resztę kanapki na talerz.

Zastanawiał się, jak by tu dostać się do środka apetycznie wyglądającego sandwicza, nie obrażając przy tym Ginny. Oszczędziła mu kłopotu.

- Jeśli nie lubisz rzodkiewek, to po prostu je wyrzuć.

Sully skinął głową, uniósł górną warstwę chleba i zabrał się do usuwania białych krążków z czerwonymi obwódkami, oblepionych majonezem.

- Hm... Ginny, czy mogę zadać ci pytanie? Skinęła głową, nie przerywając jedzenia.

- Nie twierdzą, że mam awersję do rzodkiewek. Ja po prostu nigdy nie jadłem czegoś takiego w kanapkach z mięsem i serem.

- Naprawdę?

- Aha.

GROM 166

Sharon Sala 167

Ginny rozłożyła własną kanapkę i z całą powagą rozpoczęła wykład:

- Chodzi o zasadę kompletności pożywienia. Mamy tu, oczywiście, mięso i chleb. A także nabiał w postaci sera, a więc inną postać białka niż to, które jest w mięsie. Majonez to tłuszcz. Rzodkiewki są warzywami. Na deser będzie jeszcze jabłko, a więc owoc. Tak więc wymieńmy jeszcze raz wszystkie składniki: pieczywo, mięso, nabiał, warzywo, owoc i tłuszcz. Wszystko to składa się na tak zwany posiłek zbilansowany, to znaczy idealnie wyważony, w którym nie brakuje niczego. Jasne?

Po wysłuchaniu tego referatu Sully'emu zabrakło słów. Gapił się na Ginny, która ponownie złożyła swoją kanapkę i ugryzła następny kęs. Nawet z miejsca, w którym siedział, mógł słyszeć słaby odgłos chrupania rzodkiewek. Wbił wzrok we własny talerz i po chwili, wzruszywszy ramionami, zaczął powoli wkładać białe krążki z czerwonymi obwódkami na ich poprzednie miejsce.

- Zmieniłeś zdanie? - spytała Ginny.

- Kiedy wejdiesz między wrony... - wymamrotał początek znanego przysłowia i zabrał się do jedzenia sandwicza.

Serce Ginny zabiło jak szalone. Odkąd sięgała pamięcią, żaden mężczyzna nigdy nie dokończył przyrządzonego przez nią posiłku. Nawet jej własny ojciec, który kochał ją nad życie. Sullivan Dean, wybawca, po prostu rycerz w lśniącej zbroi, nie miał pojęcia, że jego pancerz właśnie nabrał wyjątkowego blasku.

Jedzenie deseru przerwało im stukanie do drzwi. Zanim Ginny zdołała się poruszyć, Sully już był przy wyjściu. Zerknąwszy na zewnątrz zza zasłony w oknie, dał znać, że nie ma podstaw do obaw, i stanął w uchylonych drzwiach.

- Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku, bo wybieram się do Wingate - oznajmił zarządca, ośrodka.

- Wszystko w porządku - potwierdził Sully.

Marshall Auger usiłował zajrzeć mu przez ramię i zobaczyć, co dzieje się w środku, ale nie powiodło mu się. Sully ustawił się tak, aby całkowicie zasłonić Ginny. Na widok tego wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny, stojącego na nieco rozstawionych nogach i z rękoma opartymi o framugę drzwi, znów drgnęło jej serce. W przyпіływie złego humoru

75

nazwała Sully'ego swoim ochroniarzem, lecz w końcu musiała przyznać się sama przed sobą, kim stał się dla niej naprawdę.

- Wobec tego nic tu po mnie - z rozczarowaniem w głosie oznajmił Auger. -

Wyjeżdżam na dwie, najwyżej trzy godziny. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, w każdej chwili możecie zadzwonić z automatu, który jest obok recepcji.

- Dziękuję panu - powiedział Sully. - Damy sobie radę.

- No, to w porządku... Do zobaczenia. Sully chciał zamknąć drzwi, gdy nagle zarządca ośrodka złapał je i przytrzymał.

- Byłbym zapomniał... - zaczął. - Jak długo zamierza pan tu właściwie zostać?
- Dam panu znać - oznajmił krótko Sully i zatrzasnął drzwi przed samym nosem Augera.

Przez chwilę, lekko odsuwając dłonią zasłonę, obserwował wyjazd Marshalla Augera z ośrodka, a potem zwrócił się w kierunku Ginny.

GROM 168

Właśnie zbierała ze stołu brudne talerze i niosła je do kuchni.

- Poczekaj - poprosił. - Ty gotowałeś, więc ja pozmywam.

- Użyłam zaledwie jednego noża, dwóch szklanek i dwóch talerzy - wyliczyła. - To, co robiłam, nie miało nic wspólnego z gotowaniem.

Sully uniósł palcem podbródek Ginny, zmuszając ją, aby spojrzała mu w oczy.

- Nakarmiłeś mnie.

- A ty się o mnie troszczysz. Ciepłe słowa Ginny stanowiły pełną rekompensatę.

Wyrównali rachunki.

- To najfajniejsza robota, jaką kiedykolwiek miałem do wykonania.

Ujął w dłonie twarz Ginny i musnął wargami jej czoło.

Z wrażenia aż zamarła. Gdy Sully odsunął głowę, jej kobiecy instynkt pozwolił jej dostrzec w jego oczach pragnienie czegoś więcej. W pokoju zapanowało niezręczne milczenie. Po chwili powiedział:

- Odpocznij sobie. Poczytaj książkę. Zdrzemnij się. A ja w tym czasie pozmywam i załatwię kilka telefonów. Zgoda?

Ginny ogarnęło nagle pragnienie objęcia Sully'ego i przytulenia głowy do jego piersi.

Ale, oczywiście, zamiast tego tylko skinęła potakująco głową.

Uznał, że musi się trochę zdystansować do tej kobiety. Odwrócił się i napuścił wody do zlewu. Ginny przez chwilę przyglądała się ruchom jego rąk, a potem opuściła małe pomieszczenie kuchni.

Sharon Sala 169

Kiedy skończył robić porządek i wszedł do pokoju, leżała na łóżku, udając, że z zainteresowaniem czyta jakąś książkę. Spojrzał na nią i powiedział:

- Zaraz wrócę.

Nie podnosząc wzroku, skinęła głową.

Ponownie wsunęła się do swojej skorupki, ale już nie tak głęboko, jak przedtem. Sully wyszedł na ganek, żeby zatelefonować do Dana Howarda. Miał nadzieję, że uzyska jakieś nowe informacje. Gdy znalazł się przed domkiem, pod drzewami po przeciwnej stronie parkingu dostrzegł jakiś ruch. Chwilę bardzo uważnie obserwował to miejsce i uznał, że to zapewne tylko przelot stadka ptaków z jednych gałęzi na inne. Mimo to jednak przyglądał się otoczeniu dopóty, dopóki się nie upewnił, że nie dzieje się nic niezwykłego.

76

Zauważył oczywiście, że zostały wynajęte jeszcze dwa domki. Na drodze przed pierwszym z nich stał samochód ciągnący przyczepę z łodzią, a obok drugiego domku parkował jakiś dżip. Oba pojazdy były wypełnione sprzętem wędkarskim. Sully'emu przyszło do głowy, że jeśli nawet poziom rzeki trochę opadnie, to i tak trudno będzie w zmałowanej przez ostatnie deszcze wodzie złapać jakieś ryby.

Po paru chwilach z obu domków wyszło pięciu mężczyzn. Ujrzawszy Sully'ego, pomachali mu ręką i po chwili odjechali wąską, brukowaną drogą, która na tyłach domków prowadziła ku rzece.

Zadowolony, że w ośrodku ponownie zapanował spokój, Sully zabrał się do

telefonowania. Niestety, Dan Howard nie miał dla niego żadnych nowych wiadomości, podobnie zresztą jak Anthony Pagillia z St. Louis. Przy okazji rozmowy z detektywem Sully dowiedział się tylko, że policja założyła podsłuch na obu liniach Ginny, zarówno domowej, jak i służbowej, ale posunięcie to nie dało jeszcze żadnych rezultatów. Zaczęło go ogarniać coraz większe zniechęcenie. Wrócił do domku.

Ginny spała. Zwinięta w kłębek, ze stopami wsuniętymi pod poduszkę i piąstkami pod brodą, tak jakby było jej zimno.

Sully zamknął cicho drzwi i podszedł bliżej. Obserwując śpiącą dziewczynę, poczuł nagle dojmujący ból samotnego życia. Z prawdziwą rozkoszą położyłby się na łóżku obok Ginny i otoczył ją opiekuńczym ramieniem, nie zastanawiając się ani chwili nad następstwami takiego spontanicznego zachowania. Zamiast jednak uczynić to, czego, patrząc na nią, tak bardzo pragnął, przykrył Ginny pledem i - kierując się resztkami zdrowego rozsądku - najciszej jak umiał opuścił domek.

Rozgrzany i zmęczony, czuł się tak podle, jak skopany pies, co jeszcze bardziej wzmoгло jego furię. Freddie i Dale wysadzili go z ciężarówki jakieś kilkaset metrów od ośrodka, nie zamierzając przykładać rąk do zamierzonej przez niego zemsty i oznajmiając, że nie chcą mieć j nic wspólnego z żadną rozróbą. Co gorsza, ojciec nie dał mu klucza do żadnego domku, twierdząc, że wszystkie są zarezerwowane.

Carney opuścił więc recepcję i, klęcząc na czym świat stoi, poszedł w kierunku lasu.

Sharon Sala 171

Zamierzał wyrównać rachunki z facetem z najdalszej chałupy, a potem oświadczyć całej rodzinie, że ma ją gdzieś, jako że zamierza na zawsze opuścić Missisipi. Spotykają go tutaj tylko same przykrości i kłopoty. Jeśli facet nie może liczyć na ojca i własnych braci, to znaczy, że naprawdę nie ma na kim się oprzeć. Miał także dość żony. Jędza bez przerwy zatruwała mu życie, chcąc, żeby wziął się do lepszej i intratniejszej roboty. Do jasnej cholery, przecież to nie była jego wina, że dekarze pracują sezonowo i nie mają regularnych godzin pracy. Ich robota zależy od pogody. Kiedy pada lub jest zimno, zostają na lodzie i nic się na to nie da poradzić.

Siedząc w ukryciu, rozżalony na cały świat, a do tego z piekielnym bólem głowy, Carney zobaczył nagle ojca wychodzącego z biura. Stary polazł na sam koniec szeregu domków, wrócił po paru minutach, a potem wsiadł do samochodu i odjechał.

Zadowolony Carney podniósł się z miejsca. Los mu sprzyjał. Sprawdziwszy, czy nikt go nie widzi, obszedł domek ojca i przez tylne drzwi wślizgnął się do środka. Wnętrze było przesiąknięte gryzącą wonią spalonego bekonu i stęchlizną, ale Carney nie był wybredny. Wiedział, gdzie tatuńcio trzyma butelkę. Po dwóch głębszych przeszukał lodówkę, żeby znaleźć coś do jedzenia, a potem rozwalił się na ojcowskiej kanapie, wziął pilota do ręki i włączył telewizor.

No, wreszcie poczuł się lepiej. W takich warunkach mógł z powodzeniem czekać, aż się ściemni. Znał dobrze zwyczaje ojca i wiedział, że stary wróci najwcześniej za

77

GROM 172

dwie lub trzy godziny. Z pełnym brzuchem i lekko podpity, Carney ułożył wygodnie plecy i zamknął oczy.

Obudził się dopiero tuż przed zmierzchem. Przeciągnął się na przykrótkiej kanapie i podrapał w głowę, usiłując zlokalizować dźwięk, który tak nagle go obudził. W tej samej chwili usłyszał trzaśnięcie drzwi. Wyprostował się błyskawicznie. Wrócił ojciec!

Chwyciwszy pilota, który spadł mu na kolana, zdążył wyłączyć telewizor i uciec tylnymi

drzwiami, akurat w chwili, gdy Marshall Auger wchodził od frontu. Carney skierował kroki ku drzewom i tam się ukrył. Gdy upewnił się, że nikt go nie widział, zawrócił zakolem przez las, tak że po jakimś czasie znalazł się dokładnie na tyłach domku Ginny i tam postanowił czekać dalej. Wcześniej czy później ta dziwka zgasi światło, a wtedy on złoży jej wizytę. Na myśl o szczupłej sylwetce i długich nogach Ginny na wargach Carneya ukazał się szeroki, oblesny uśmiech.

Tym razem da tej suce prawdziwy powód do podniesienia wrzasku.

Sully właśnie kroił warzywa do omletu, który zamierzał przyrządzić, kiedy odezwał się telefon. Niewiele myśląc, krzyknął przez ramię:

- Odbierz, Ginny! - Sekundę później gwał jak szalony do aparatu, nawet nie zauważywszy, że nadal ma w ręku nóż. - Przepraszam, przepraszam! - Chwycił leżący na stole aparat. - Nie pomyślałem.

- Ale ja to zrobiłam - mruknęła. - Nie przejmuj się.

Sharon Sala 173

- Spojrzała na komórkę tak podejrzliwym wzrokiem, jakby krył się tam jadowity wąż.

Wyjęła nóż z rąk Sully'ego i ruszyła w stronę kuchni.

- Tylko posiekaj! - zawołał. - Resztę zrobię sam.

Uśmiechnęła się pod nosem. Już zdążył poznać jej kulinarne umiejętności. Widział kątem oka, jak bierze do ręki świeżą paprykę i ją kroci. Nie umiała gotować. No to co? Może kiedyś zapisze się na kurs gotowania. Problem polegał na tym, że nie potrafiła skorzystać z żadnego przepisu, mimo że zazwyczaj pamiętała, co należy wrzucić do garnka. Ale kiedy i w jakiej kolejności? Właśnie to zniechęcało ją do tej czynności.

Pokroiła resztę warzyw, odłożyła nóż na blat i nad zlewem opłukała ręce. Kiedy odwracała się, żeby je wytrzeć, dostrzegła dziwny wyraz twarzy Sully'ego. Podeszła bliżej, usiłując podsłuchać, czego dotyczy rozmowa, ale właśnie się rozłączył. Zaraz potem podniósł wzrok i zobaczył stojącą blisko Ginny.

- O co chodzi? - spytała.

Sully powoli wciągnął do płuc powietrze, zastanawiając się, co powinien powiedzieć.

Nie wiedział, czy usłyszana przed chwilą wiadomość bardzo przerazi Ginny, czy tylko pogłębi jej frustrację, stając się jeszcze jednym poznanym, przykrym faktem.

- Mam prawo wiedzieć - oznajmiła.

- Wcale nie mam zamiaru utrzymywać cię w nieświadomości - odrzekł, rzucając komórkę na łóżko.

- Więc o co chodzi? Rozmawiałeś z agentem Howardem?

- Nie, z detektywem Pagillią z policji w St. Louis

78

GROM 174

- wyjaśnił Sully. Podniósł wzrok i z ciekawością przyjrzał się Ginny. - Wiedziałaś, że założyli ci podsłuch, zarówno w domu, jak i w pracy? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- A więc to zrobili. Pagillia mówił, że weszli do twojego mieszkania, wetknęli wtyczkę z powrotem do gniazdka i włączyli automatyczną sekretarkę. W ciągu ostatnich dwóch dni było do ciebie czternaście telefonów i za każdym razem ktoś, kto dzwonił, od razu przerywał połączenie.

Ginny wzdrygnęła się nerwowo. Skrzyżowała ręce na piersiach, zakładając jedną na drugą.

- Udało się wykryć, skąd telefonowano?

- Nie.

- Przy dzisiejszym rozwoju techniki nie ma sposobu sprawdzenia, z jakiego dzwoni się numeru? - spytała zdziwiona.

- Pagillia mówił coś o jakimś bloku na drugim końcu linii. W każdym razie policji udało się stwierdzić, że były to połączenia międzymiastowe, pochodzące z innego stanu. Ginny przysiadła na rogu łóżka. Sully położył rękę na jej czole.

- Dobrze się czujesz? - zapytał łagodnie. Westchnęła, a potem podniosła wzrok i kiwnęła głową.

- Jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

Pragnął wymazać rozpacz, wyzierającą z jej oczu.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Może coś do jedzenia?

- Pod warunkiem, że dotrzymasz mi towarzystwa.

Sharon Sala 175

Sully wyciągnął przed siebie rękę i czekał. Po chwili Ginny podała mu swoją. Pomógł jej podnieść się z łóżka.

Po kilku minutach wyłożył na talerz Ginny idealnie wysmażony omlet i zaczął przygotowywać następny dla siebie.

- Jedz. Nie czekaj na mnie - powiedział. - Bo wystygnie.

Wzięła do ręki widelec i wbiła go w omlet, wdychając z lubością zapach jajek i czubkiem języka próbując stopiony ser. Włożone do środka jarzyny były przyrządzone idealnie.

- Gdybyś kiedykolwiek zdecydował się rzucić rządową robotę, mógłbyś otworzyć restaurację - oświadczyła. Jesteś doskonałym kucharzem. Sully odwrócił się w jej stronę, nadal trzymając łyżkę w ręku.

- Jestem doskonały, Yirginio, nie tylko w kuchni.

Z niewyraźną miną zaczęła rejestrować różne sceny, które podpowiadała jej wyobraźnia. Sully mrugnął do niej łobuzersko i z całym spokojem zabrał się ponownie do przerwanej roboty. Zgrabnie zarzucił połówkę omleta na jarzyny i zsunął go na talerz.

Usiadł przy stole, wziął widelec do ręki i obdarzył Ginny niewinnym uśmiechem.

- Co to, nie jesz? Masz już dość? Zmierzyła Sully'ego surowym wzrokiem, a potem wycelowała w niego widelcem.

- Nie ze mną takie numery - oznajmiła równie surowo. Uśmiechnął się, a potem wziął do ust spory kawałek omletu i z zachwytem podniósł wzrok ku niebu.

GROM 176

W pierwszej chwili miała ochotę zrzucić mu na kolana zawartość swego talerza, ale była zbyt głodna, aby zdobyć się na taki gest. Ograniczyła się więc tylko do obdarzenia

79
Sully'ego jeszcze jednym, zdecydowanie karcącym w jej mniemaniu spojrzeniem i zabrała się do jedzenia.

Skończyli posiłek prawie w milczeniu. Dopiero gdy zmywali naczynia, Sully rzucił następną bombę.

- Opowiedz mi o Yellowstone - odezwał się nagle.

- Która część rezerwatu najbardziej ci się podoba?

Ginny znieruchomiała, z rękoma nadal w wodzie, a potem powoli odwróciła się w stronę Sully'ego i zatopiła wzrok w jego oczach.

- Skąd wiesz, że znam Yellowstone?

- Widziałem fotografię na ścianie.

- Byłeś w moim mieszkaniu? - zapytała z niekłamanym oburzeniem w głosie.
- Zapomniałaś, że szukałem cię?
- Ale czemu...

Sully ujął Ginny za nadgarstek i uściśnił go lekko.

- Yirginio, jak widzę, nic nie rozumiesz. Zaniepokoiłem się, kiedy nie zareagowałaś na dzwonek do drzwi.
- Odwrócił wzrok, przypominając sobie dokładnie, jak wielki ogarnął go wówczas strach. - Nie wiedząc, co się z tobą dzieje, nie mogłem tak po prostu pójść sobie do hotelu. Czy to rozumiesz?
- Tak. Rozumiem.
- No to powiedz mi o Yellowstone. Ginny westchnęła.
- Och, wydaje mi się teraz, że od tamtej pory upłynęły całe wieki.

Sharon Sala 177

- . W tym samym roku zginęli moi rodzice, tuż przed Bożym Narodzeniem.
- Bardzo mi przykro. Jak to się stało? Ginny poczuła przyływ dawnej złości.
- Tak łatwo można było tego uniknąć! W ich domu zepsuła się instalacja grzewcza. Powstała jakaś nieszczelność i z rur zaczął ulatniać się dwutlenek węgla. Zmarli we śnie. Śmierć rodziców Ginny była tak absurdalnie tragiczna, że nie sposób było cokolwiek powiedzieć. Sully milczał, podczas gdy ona mówiła dalej.
- Tamto lato było dla nas wyjątkowo radosne. Po raz pierwszy od lat robiliśmy wszystko razem... Spędziliśmy cudowne dwa tygodnie w domku myśliwskim w Yellowstone, postanawiając wrócić tam następnego roku. -Wzruszyła ramionami, a potem spojrzała na Sully'ego, tym razem nie unikając jego wzroku. - Ale wiesz, co są warte nawet najpiękniejsze plany. W każdym razie pozostała mi fotografia. Jestem bardzo przywiązana do tej pamiątki.
- Przepraszam, że poruszyłem tak przykry temat -powiedział Sully. Rozłożył szeroko ręce. - Masz ochotę na przyjacielski uścisk?

Z lekko drżącą brodą Ginny po chwili skinęła głową.

Gdyby musiała opisać, jakie to uczucie znaleźć się w ramionach Sullivana Deana, powiedziała, że w jego objęciach zatraciła się całkowicie. Potężne ciało i silne uderzenia męskiego serca jak obronny bastion odgradzały ją od wszelkich niebezpieczeństw i niepowodzeń. Stali bez słowa, każde na swój sposób chłonąc tak bliską obecność drugiej osoby, i zastanawiając się, jak by to było, gdyby posunęli się o krok dalej.

80

GROM 178

Nagle Sully drgnął, niemal podskoczył w miejscu. Chwyciwszy Ginny za ramiona, odsunął ją od siebie.

- Ale jestem głupi! Jak mogłem o tym zapomnieć?
- To znaczy o czym?
- O albumie rocznika - wyjaśnił Sully. - Co ze mnie za agent! Zupełnie zapomniałem o tej pamiątkowej księdze Georgii. Mam ją w samochodzie.
- O czym ty mówisz?
- O księdze pamiątkowej ze szkoły Montgomery'ego - wyjaśnił już prawie spokojnie. Oczy Ginny rozszerzyły się ze zdumienia.
- Boże! Nawet nie wiedziałam, że było coś takiego!
- Znalazłem ją w klasztorze. Georgia telefonicznie poprosiła matkę o przysłanie tej księgi. Niestety, nie zdążyła jej odebrać.
- Skąd wiesz, że dotyczy interesującego nas okresu? - zapytała Ginny. - Przecież

budynek szkoły spłonął całkowicie przed końcem roku.

- Wiem. Jestem pewny. To rocznik 1979. Widziałem ciebie na fotografii - odrzekł Sully. - Okręcił na palcu kosmyk jej włosów. - Dla amatora uśmiechniętych, szczerbatych buziek byłaś całkiem ładną dziewczuszką.

- Mów dalej - warknęła Ginny. - Kpij sobie ze mnie. Założę się, że twoje zdjęcia z pierwszej klasy nie są ani na jotę lepsze.

- Są gorsze - pogodnie przyznał Sully. - Miałem podbite oko i plaster na nosie. Zawdzięczałem je nowej deskorolce i zamkniętej bramie.

Sharon Sala 179

Ginny parsknęła śmiechem.

- Oj, oj!

- Masz rację, naprawdę było czego żałować. Podbite oko wyglądało nieźle. Zanim wróciło do normy, z czarnego przez długi czas zmieniało barwy z tęczową różnorodnością. Gdy Sully ruszył ku drzwiom, Ginny usiłowała wyobrazić sobie tego potężnego mężczyznę jako małego chłopca.

- Zastanawiam się, jak to się stało, że nasza księga pamiątkowa nie spaliła się podczas pożaru szkoły - powiedziała.

Zatrzymał się w miejscu.

- Też byłem tym zdziwiony - przyznał - więc sprawdziłem. - Gdy wybuchł pożar, księga znajdowała się jeszcze w drukarni.

- Dlaczego ja nie mam swojej? - głośno zastanawiała się Ginny.

- Może po prostu rodzice nie zamówili dla ciebie egzemplarza, a może szkoła nie dysponowała twoim nowym adresem. Mówiłaś przecież, że zaraz po pożarze rozjechałyście się w różnych kierunkach. Niektóre z was przeniosły się do szkół publicznych, inne wyjechały gdzieś daleko, nawet do innego stanu. Sądzę, że trudno było ustalić wszystkie nowe adresy.

Ginny skinęła głową.

- Pewnie tak było. - Podekscytowana, zacisnęła dłonie. - Nie mogę się doczekać! Chciałabym zobaczyć tę księgę. Gdzie teraz jest?

- W moim wozie. W bagażniku. Zaraz ją przyniosę. To nie potrwa długo.

- Pospiesz się - Ginny ponagliła Sully'ego. - Może znajdziemy tam coś, co pomoże rozwiązać tę piekielną szaradę.

- Zamkniesz za mną drzwi? - zapytał, wychodząc z domku.

- Po co? Przecież zaraz wrócisz.

81

Stanąwszy na ganku, z zawodowego przyzwyczajenia przeczesał wzrokiem otoczenie, a dopiero potem zszedł po schodkach i ruszył w stronę zaparkowanego tuż obok samochodu. Niebo było czyste i usiane gwiazdami. Powietrze nieruchome i parne. Zewsząd rozlegały się odgłosy przyrody, cały chór świerszczy i żab.

Sully zobaczył, że dżip i samochód z przyczepą znowu stoją przed domkami, a to oznaczało, że piątka wędkarzy wróciła już znad rzeki. Z jednego z domków dobiegały odgłosy wesołych rozmów i śmiechu. Pewnie mężczyźni opowiadali dowcipy i popijali piwo. Z męskiego punktu widzenia był to zdecydowanie najlepszy fragment wyprawy na ryby.

Sully usiłował właśnie przypomnieć sobie, gdzie zapakował księgę pamiątkową Georgii, gdy nagle za plecami usłyszał czyjeś kroki. Odwrócił się, ale już nie zdążył zareagować. Poczul potworny ból z boku głowy i stracił przytomność.

Ginny była w łazience, gdy zaskrzypiały zawiasy drzwi do domku.

- Zaraz wychodzę! - krzyknęła, wycierając ręce. Usłyszawszy, że ktoś w sąsiednim pokoju nastawił głośno radio, zmarszczyła z niepokojem czoło. Zanim

Sharon Sala 181

otworzyła drzwi łazienki, żeby wyjść i sprawdzić, co się dzieje, zrobił to za nią ktoś z zewnątrz. Wszystko działo się w ułamkach sekund. Zdziwienie ustąpiło miejsca zaskoczeniu, które natychmiast wyparł strach.

- Nie musisz się spieszyć - oznajmił Carney Auger. - Już do ciebie idę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Krzyknęła, ale z miejsca uciszył ją mocnym uderzeniem w twarz. Potem chwycił za ramiona i z całej siły cisnął nią o ścianę. Ginny uderzyła głową w lustro. Dopiero brzęk roztrzaskującego się szkła uprzytomnił jej, że to się dzieje naprawdę. Przez ułamek sekundy widziała w lustrze rozwścieczoną męską twarz. Zaraz potem Carney złapał ją za piersi. Zdarł koszulę i rozerwał pasek szortów.

- Nie! - krzyknęła, z pięściami rzucając się na napastnika. - Wynoś się! Zostaw mnie w spokoju!

- Nigdzie, suko, nie pójde i ty też zostaniesz tutaj - warknął rozjuszony i całym ciałem naparł na Ginny.

Miejsce przerażenia zastąpiła wściekłość. Broniąc się, Ginny przeorała mu paznokciami twarz, a potem wepchnęła palce do oczu.

Carney wrzasnął z bólu, zaklął i chwycił ją za ręce, usiłując odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Nie docenił jednak przeciwnika.

Przy akompaniamencie przeraźliwie głośnej muzyki z radia stojącego w sąsiednim pokoju Ginny kopała, gryzła i krzyczała jak opętana, starając się zadawać napastnikowi ból we wszystkich wrażliwych miejscach ciała, których tylko zdołała osiągnąć.

Sharon Sala 183

- Przestań! - zawył Carney, usiłując zapanować nad rozszalałą, atakującą go kobietą.

Wreszcie mu się powiodło. Uchwycił rękę Ginny. Zaraz potem złapał elektryczną suszarkę do włosów. Owinął sznur wokół lewego nadgarstka Ginny i właśnie sięgał po drugi, gdy udało się jej rąbnąć go pięścią w nos. Trysnęła krew. Carney zawył z wściekłości i bólu.

82

Odruchowo zakrył dłońmi twarz i wtedy kopnęła go w odsłonięty brzuch. Zatoczył się tyłem w stronę kabiny prysznicowej, usiłując utrzymać równowagę. Ginny jak szalona wypadła z łazienki, wołając Sully'ego, ale po sekundzie napastnik znalazł się tuż za nią. Już przekreślała klamkę, gdy dopadł ją ponownie, tym razem łapiąc Ginny za włosy. Szarpnął i cisnął nią o podłogę. W jednej chwili znalazł się na niej, przygniatając potężnym cielskiem i zmniejszając do zera szansę ucieczki. Wielokrotnie ustępując Carneyowi pod względem siły, Ginny wytrzymała umysł do granic możliwości, rozpaczliwie szukając sposobu, w jaki mogłaby się ratować. Kiedy płaską dłońią uderzył ją ponownie w twarz, ciało Ginny nagle zwiotczało i stało się nieruchome. Postanowiła udawać, że zemdlała.

Dopiero po paru sekundach Carney uprzytomnił sobie, że przeciwniczka przestała walczyć, ale nawet wtedy nie odmówił sobie przyjemności uderzenia jej w brzuch. Zaraz potem rozciągnął na boki jej nogi i zakołysał się na obcasach.

Z podbródka kapłała mu krew. Zaczęły puchnąć oczy. Był obolały na całym ciele. A na dodatek czuł, że ma złamany nos. Co za suka! Jeszcze nigdy w życiu Carneya nie roznosiła aż taka złość

GROM 184

Zemsta za to, że jej fagas kazał mu leżeć z głową w ziemi, była niczym w porównaniu z tym, co zamierzał teraz zrobić. Rozszarpie dziwkę na kawałki. A kiedy z nią skończy, fagasowi z parkingu niewiele zostanie do pogrzebania w ziemi.

Z włączonego radia nadal płynęła przeraźliwie głośna muzyka. Przy słowach jakiejś żalostnej ballady Carney wepchnął ręce pod koszulę Ginny i rozerwał tkaninę na całej długości, odsłaniając gładką, kremową skórę i biustonosz z różowej koronki, którego pozbył się szybko.

Zareagowała dopiero wtedy, kiedy wsunął rękę pod pasek jej szortów i zaczął ściągać je w dół. Młóćąc rękoma, uderzyła napastnika najpierw w jądra, a potem ponownie w nos. Oślepiiony nieznośnym bólem, osunął się na bok, trzymając oburącz za krocze.

Dzięki temu Ginny udało się wyswobodzić jedną nogę. Nie miała jednak szczęścia, bo Carney natychmiast złapał ją za kolano. Chwiał się na nogach, zwijając z bólu, ale uchwyt ręki nadal miał miążdzący.

- Pomocy! Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! - krzyczała, kopiąc napastnika drugą nogą.

Po jego twarzy płynęły łzy wymieszane ze świeżą krwią.

- Pożałujesz, suko! Pożałujesz! - ryknął, a potem sięgnął za plecy i zza pasa wyciągnął nóż.

Ginny wpatrywała się z przerażeniem w błyszczące ostrze śmiertelności narzędzia. Odchyliła głowę i zaczęła krzyczeć tak przeraźliwie głośno, jak jeszcze nigdy. Dźwięk ran jej gardło i, głośniejszy niż muzyka, rozrywał bębniaki uszu Carneya, sprawiając, że jeszcze bardziej bolała go głowa.

Sharon Sala 185

. Nigdy nie przepadał za kobietami i nie uganiał się za nimi, chyba że zmógł go męski temperament. Nie znosił babskiego podstępного i kłamliwego zachowania. W tej chwili ze wszystkich dziwek, jakie nosiła ziemia, nie znosił najbardziej tej, którą miał przed sobą.

- Już nie ma, suko, nikogo, kto mógłby ci pomóc, więc wreszcie się zamknij.

Nagle rozległ się huk wystrzału. Plastikowa obudowa radia rozpadła się na kawałki.

Zamilkło.

83

Carney i Ginny zamarli, najpierw przez sekundę spojrzawszy na siebie, a potem w stronę, z której nastąpił strzał.

- Ty skurwysynu - powiedział Sully.

Ginny dojrzała najpierw zalaną krwią twarz, a ułamek sekundy później w rękach Sully'ego zobaczyła broń. Zaraz potem oddał następny strzał, tym razem pakując kulę w ramię Carneya. Bandyta wypuścił nóż z ręki, padł na ziemię i znieruchomiał.

Przez krótką chwilę słyszała tylko urywany oddech Sully'ego i walenie własnego serca. Sully chwiejnym krokiem postąpił w przód, zepchnął bezwładne ciało Carneya z Ginny i uniósł ją w ramionach. W tym momencie w drzwiach ukazali się wędkarze z sąsiednich domków. Wszyscy mówili i krzyczeli naraz.

Z największym wysiłkiem Sully doniósł Ginny do łóżka. Usiadł przy niej tak blisko, że ledwie mogła oddychać.

- Niech ktoś dzwoni po pogotowie, i to szybko, bo jeśli ten skurwysyn oprzytomnieje, zanim zjawi się karetka, przysięgam, że go zabiję.

GROM 186

Dwóch wędkarzy pobiegło do automatu telefonicznego, pozostali weszli do środka.

Dla wszystkich było oczywiste, co się tu stało i co usiłował zrobić Carney Auger. Widok

twarży Ginny i jej poszarpanej na strzępy odzieży był przerażający, podobnie zresztą jak wyraz oczu Sully'ego.

- Jak możemy pomóc? - zapytał go jeden z mężczyzn.

Sully czuł, że traci przytomność. Potrząsnął jednak silnie głową, wiedząc, że ból stanie się bodźcem, który pozwoli mu zachować świadomość. Zaciskając zęby, żeby nie zajęczeć, wskazał ręką pled leżący na jednym z krzesel.

- Proszę to podać - powiedział słabym głosem. - Ten bydlak zdarł z niej prawie wszystko. - Nakrył delikatnie Ginny, równocześnie zdając sobie sprawę, że zjawił się zbyt późno, aby uchronić ją przed przemocą.

Ginny odczuwała potworny ból głowy, podobnie zresztą jak całego ciała. Na domiar złego doznała szoku. Kiedy zaczęła dygotać jak w febrze, Sully ciśniej owinął ją pledem i zaczął kołysać w objęciach.

- Dziecinko, już wszystko dobrze - szeptał łagodnym głosem. - Wszystko dobrze. Jesteś ze mną. Ten człowiek już nigdy więcej nie zrobi ci krzywdy.

Ginny bardzo chciała porozmawiać z Sullym, dowiedzieć się, dlaczego połowa jego twarzy pokryta jest krwią, ale tak bardzo szczękały jej zęby, że nie była w stanie mówić. Ktoś położył mokry ręcznik na jej poranionym policzku. Jęknęła z bólu.

Sharon Sala 187

- Delikatniej, do cholery - warknął Sully.

- Przepraszam - powiedział mężczyzna, który chciał pomóc. - Może powinien pan zrobić to sam.

Sully, jedną ręką trzymając Ginny blisko siebie, drugą wytarł jej z twarzy krew. Rzut oka na rozciętą dolną wargę i krwawiący nos wystarczyły, aby doprowadzić go do szału. Już nawet pomyślał, czy nie wpakować jeszcze jednej kuli w bezwładne cielsko Carneya Augera, gdy nagle do domku wpadł zarządca ośrodka.

- Do cholery, co tu się dzieje? - wrzasnął.

- Pański syn usiłował nas zamordować - powiedział Sully. - Ale zanim powie pan w jego obronie choć jedno słowo, musi pan wiedzieć, że całą siłą woli powstrzymałem się, żeby nie strzelić mu w łeb.

84

Marshall Auger był wstrząśnięty. Po chwili z niedowierzaniem potrząsnął głową, a w jego głosie zabrzmiała bezradna rozpacz i łzy.

- Czasami ojciec dowiaduje się o swoich dzieciach takich rzeczy, jakich nigdy nie chciałby usłyszeć. - Stary człowiek spojrział na Sully'ego, a potem na kobietę w jego objęciach. - Czy ona...? Czy on...?

- Poranił ją, ale jeszcze nie zdążył zgwałcić, jeśli tego chce się pan dowiedzieć - odparł Sully.

Zarządca ośrodka opuścił smętnie ramiona. W ciągu paru chwil postarzał się o wiele lat.

- Jest mi bardzo przykro - oświadczył. Popatrzył na nieruchome ciało najstarszego syna. - Zrobiliby pan nam wszystkim wielką przysługę, gdyby pierwszy pański strzał był dla niego ostatni. - Uniósł głowę i odetchnął głęboko. - Wyjadę teraz na główną szosę i dopilnuję, żeby karetka i policja nie ominęły prowadzącej tu drogi. W ciemnościach trudno ją dostrzec.

GROM 188

Po chwili do trójki wędkarzy dołączyli dwaj pozostali. Trzymali straż przy wejściu do domku i pilnowali Sully'ego i Ginny. Nie było to już wprawdzie potrzebne, ale nic innego nie mogli dla nich zrobić.

Ambulans gnał do Hattiesburga jak szalony. Przerażliwy dźwięk syreny wbijał się w mózg Sully'ego jak nóż, a mimo to ten ból był niczym w porównaniu ze strachem, jaki zapanował w jego sercu. Sanitariusze opatrzyli mu głowę jeszcze w ośrodku. Rana wymagała szycia, a ponadto, o czym wiedział z doświadczenia, doznał wstrząśnienia mózgu. Ale to wszystko da się przeżyć. Znacznie gorsza była świadomość, czy uda mu się zapewnić bezpieczeństwo Ginny.

Dowiedziawszy się od Myrny o mrocznej przeszłości Carneya Augera, powinien był zdawać sobie sprawę z tego, że taki człowiek będzie szukał zemsty, więc natychmiast po tamtym wydarzeniu należało, mimo protestów Ginny, opuścić ośrodek. A ponadto, idąc na parking, żeby zabrać z wozu pamiątkową księgę Georgii, on sam powinien okazać się bardziej spostrzegawczy. Nie odrywał wzroku od noszy, na których leżała Ginny, podczas gdy karetka gnała szosą jak szalona. Za popełnione przez niego błędy ta nieszczęsna kobieta zapłaciła bardzo wysoką cenę.

Gdy dojeżdżali do szpitala, Sully poczuł, że zaczyna tracić przytomność. Nie potrafił skupić myśli, ale zdawał sobie sprawę z tego, że nie może zaufać miejscowym władzom, nieświadomym skali zagrożenia.

Sharon Sala 189

Obawiał się, że nie potrafią zapewnić bezpieczeństwa Ginny. Kiedy wreszcie ambulans się zatrzymał i sanitariusze wyciągnęli nosze z karetki, ruszył za nimi chwiejnym krokiem.

Przed wejściem do szpitala dyżurny pielęgniarz podsunął mu wózek.

Sully czekał cierpliwie, aż znajdą się w środku szpitalnego budynku, ale gdy mijali recepcję, zsunał nogi z podpórki, podniósł się z trudem i sięgnął po telefon.

- Przepraszam pana - zaprotestowała siostra dyżurna - ale to nie jest aparat do publicznego użytku.

- Jedziemy dalej - ponaglił pielęgniarz. - Trzeba zająć się pańską głową - dorzucił, usiłując posadzić pacjenta z powrotem na wózek.

Sully wyciągnął odznakę agenta FBI.

85

- To sprawa państwowej wagi - oznajmił. - Jak z tego aparatu wyjść na międzymiastową? - zapytał. Oczy pielęgniarzki rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Proszę wcisnąć dzwonek. Wskazał ręką nosze z Ginny.

- Siostrzo, proszę zostać z tą kobietą i ani na sekundę nie spuszczać jej z oczu. Niech pani nie pozwoli nikomu zbliżyć się do niej, poza lekarzem oczywiście.

Pielęgniarka zawahała się na chwilę, ale zaraz potem przywołała koleżankę, przechodzącą właśnie przez hol.

- Posiedź w recepcji, dopóki nie wrócę - poprosiła i ruszyła za sanitariuszami z pogotowia, którzy wnosili Ginny na oddział pierwszej pomocy.

Sully zamknął oczy, usiłując przypomnieć sobie numer telefonu, pod który powinien zadzwonić, ale plątały! mu się w głowie różne cyfry.

GROM 190

Gdyby miał przy sobie własną komórkę, do uzyskania połączenia wystarczyłoby -, mu naciśnięcie jednego klawisza. Wciągnął powietrze do płuc. Kiedy się rozluźnił, wszystkie cyfry znalazły się nagle na swoim miejscu.

Połączenie nastąpiło po drugim dzwonku.

- Tu Howard.

Sully poczuł nagle w głowie tak ostry ból, że z trudem stłumił jęk.

- Dan, to ja. Sully. Wydarzyło się coś nie mającego związku z naszą sprawą, ale potrzebuję pomocy.

Agent Howard z niepokojem zmarszczył czoło. Sullivan Dean nie należał do ludzi, którzy zwykli prosić o pomoc. Musiało więc dziać się coś naprawdę bardzo złego.

- Co się stało? - zapytał.

- Za długo by mówić - mruknął Sully. - W każdym razie wylądowaliśmy w szpitalu. Mam rozbitą głowę, a lekarze właśnie składają do kupy naszego świadka.

- Do licha, Sully, o czym ty mówisz? Mielście wypadek?

- To był napad dokonany przez miejscowego bandytę... zupełnie nie związany z naszą sprawą.

- Jesteś pewny?

- Tak. Ale nie mogę zaufać lokalnym władzom. Życiu tej kobiety zagraża zbyt wiele.

- Gdzie jesteście?

- W Hattiesburgu, w stanie Missisipi, ale nie mam pojęcia, w jakim szpitalu.

Sharon Sala 191

- Tym się nie przejmuj - odparł Dan. - Zaraz sprawdzę, skąd dzwonicz. Mam włączony identyfikator połączeń. Zostań tam. Przyślę ci kogoś w ciągu godziny.

- Dzięki - szepnął słabym głosem Sully. - Będę twoim dłużnikiem.

- Sully?

- O co chodzi?

- A ona... czy z tego wyjdzie?

- Tak. Pod względem fizycznym - odparł, westchnąwszy, Sully.

To, czego nie dopowiedział, zaniepokoiło Howarda.

- Co się stało?

- Została zmasakrowana. Podczas usiłowania gwałtu była o krok od śmierci.

- Jezu!

- Załatw mi jakieś wsparcie - powiedział Sully. - Kończę. Nie mogę dłużej rozmawiać.

Howard mówił coś jeszcze, ale Sully, tracąc przytomność, osunął się na ziemię.

86

Rozczarowany Emile Karnoff z niechęcią odłożył słuchawkę. Niech licho porwie automatyczne sekretarki. Jeśli nie uda mu się załatwić tego telefonu, nie będzie w stanie odprężyć się na tyle, ile wymagał jego udział w konsultacji. Za niespełna kwadrans miał przyjechać po niego kierowca i zawieźć ponownie do szpitala. W Dublinie czekała go dzisiaj jeszcze jedna, ostatnia sesja.

Młoda pacjentka z bardzo zaawansowaną chorobą nowotworową zaczęła już wykazywać oznaki poprawy. Miała lepsze wyniki analizy krwi. Spadła wysoka jak dotąd temperatura ciała.

GROM 192

Wprawdzie dwóch lekarzy z dublińskiego szpitala uznało, że reakcja ta to tylko skutek zastosowanej chemioterapii, ale większość personelu medycznego była pod wrażeniem osiągnięć Emile'a Karnoffa. Mimo że pracował zawsze tylko sam na sam z pacjentem, tym razem zgodził się na nagranie sesji kamerą wideo.

Dla zwykłego obserwatora to, co robił, wyglądało na pozór niezwykle prosto.

Najpierw wprowadzał pacjentaj w trans hipnotyczny, a potem wydawał mu polecenie, żeby uzdrowił się sam. W rzeczywistości jednak leczenie! było niezwykle skomplikowane. Jak ludzki umysł.

Podczas jednego z etapów prowadzonego niegdyś eksperymentu Emile Karnoff

odkrył, że różne części mózgu reagują na różne tony muzyki. Zaczął więc manipulować umysłem, posługując się serią dzwonek. Programując pacjenta tak, aby reagował na ściśle określone dźwięki, otwierał sobie drogę do jego podświadomości.

Przebijając się przez dawno pogrzebane w pamięci wspomnienia, docierał do tej części mózgu, która zarządzała układem nerwowym, i jeszcze głębiej - aż tam, skąd były wysyłane sygnały alarmowe, gdy ciało zagrażała fizjologiczna śmierć.

Używając stopniowo coraz to wyższych tonów dzwonek, Emile Karnoff uzyskiwał dostęp do miejsc rejestrowania występującego bólu. Także w częściach mózgu odpowiedzialnych za napięcia i stresy.

Podstawą tej metody było zdobycie zaufania pacjenta, który potem bez problemu pozwalał uzdrowicielowi dostać się do swego umysłu. Tak więc, stworzywszy sobie Sharon Sala 193

drogę, Emile Karnoff wydawał pacjentowi szereg dźwiękowych poleceń, na skutek których umysł chorego przekazywał ciału informacje, w jaki sposób i w którym miejscu samo ma się leczyć.

Wszystko to brzmi tak nedorzecznie i nieprawdopodobnie, jakby działo się w jakimś starym filmie fantastyczno-naukowym. Pamiętajmy jednak, że jeszcze nie tak dawno ludzie za nedorzeczną uznawali teorię, jakoby za ludzkie zdrowie i śmierć były odpowiedzialne drobnoustroje. Jak coś tak małego i niewidocznego mogło zagrażać ludzkiemu życiu? Czas dowiódł jednak, że twórcy tej teorii okazali się ludźmi dalekowzrocznymi, gdyż bakterie istniały naprawdę. Życie potwierdziło więc coś, co wydawało się niewiarygodne.

Podobnie miała się rzecz z hipnozą. Stosowano ją od lat do odzwyczajania ludzi od palenia tytoniu i różnych złych nawyków pokarmowych, a także leczono nią między innymi załamania psychiczne i urazy natury seksualnej. Ponadto prowadzono na szeroką skalę badania nad pewnymi azjatyckimi nakazami religijnymi. Podobno mnisi buddyjscy siłą woli, a więc własnym umysłem potrafili kontrolować ból i utratę krwi.

Tak więc wszystko, co uczynił Emile Karnoff, posuwało tego rodzaju teorie o krok do przodu. Posługiwanie się ludzkim umysłem do uzdrawiania ciała wydawało się działaniem 87

logicznym i niezwykle prostym. Nie trzeba było wykonywać żadnych transplantacji, a pacjenci nie musieli przyjmować leków zapobiegających odrzuceniu przeszczepu. Jedyne niezbędne cięcie odbywało się nie skalpelem, lecz dźwiękiem, łagodnie wypowiedzianymi GROM 194

słowami i poleceniami. Był to następny krok ku doskonałości świata. Krok nadzwyczaj doniosły.

Emile Karnoff wznosił się na szczyty. Przed samym sobą przyznawał się do popełnienia, wiele lat temu, paru błędów, ale należało się z tym liczyć. Niektóre badania okazują się bezowocne, inne mogą prowadzić nawet do śmierci. Na szczęście, nie spędził życia na kroczeniu błędnymi drogami. Stało się to oczywiście we wczesnym etapie prowadzonych przez niego badań. Już podczas swych pierwszych eksperymentów, których przedmiotem stali się ludzie cierpiący na konkretne choroby, zaczął dostrzegać możliwości uzyskania pozytywnych wyników leczenia.

Emile Karnoff wrócił myślami do tamtych, jakże odległych czasów. Do dziś pamiętał małe dzieci, które, obdarzywszy go pełnym zaufaniem, pozwalały mu przeniknąć do własnych umysłów. Stanowiły najwładźniejszy przedmiot badań. Najłatwiej poddawały się leczeniu i najlepiej reagowały na stosowane przezeń metody.

Właśnie przyjechał kierowca, aby zawieźć noblistę do szpitala. W drodze przyszedł

Emile'owi na myśl własny syn i od razu spochmurniał. To okropne, uznał, że wraz z dojrzwaniem dzieci znika ich niewinność. Phillip nie miał żadnych życiowych celów ani marzeń. Ten młody człowiek po prostu istniał -jak cień małżeńskiej miłości. Na myśl o żonie Emile popatrzył ponownie przez okno jadącego samochodu, jak zawsze zachwycony wiejskim krajobrazem.

Westchnął. Irlandia podbiła jego serce. Odpowiadały mu zarówno prosty tryb życia i piękno tego kraju, jak

Sharon Sala 195

i wrodzona życzliwość mieszkających tu ludzi. Podczas ciągłych podróży z hotelu do szpitala i z powrotem Emile zastanawiał się, w jaki sposób namówić Lucy na kupienie w Irlandii drugiego domu. On sam zyskałby tu spokój i idealne warunki do dalszej pracy. A podróżować mógłby stąd równie łatwo jak z Bainbridge w stanie Connecticut, gdzie teraz mieszkali.

Takie rozwiązanie byłoby niemożliwe, gdyby prowadził prywatną praktykę i miał wielu stałych pacjentów. On jednak przez większość życia zajmował się wyłącznie pracą badawczą i dopiero teraz, kiedy otrzymał Nagrodę Nobla, zaczęto zwracać się do niego z prośbą o konsultacje. Gdyby zechciał, mógłby stać się wkrótce bogatym człowiekiem. Ale zanim jego metody przejmą inni, wykwalifikowani lekarze, on sam będzie już stary i pieniądze stracą dla niego jakiegokolwiek znaczenie. A poza tym robił wszystko nie z myślą o dochodach i rodzinie, lecz dla dobra ludzkości.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - oznajmił kierowca. - Czy mam na pana poczekać?

Spojrzawszy na zegarek, Emile Karnoff potrząsnął głową.

- Nie. Niech pan jedzie do domu. Wrócę do hotelu taksówką.

- Chętnie poczekam - oświadczył kierowca.

- Nie wiem, jak długo pozostanę w szpitalu. Proszę jechać do domu i spędzić popołudnie z rodziną. Chciałbym móc zrobić to samo.

- Dobrze, proszę pana. I bardzo dziękuję - odrzekł kierowca.

GROM 196

88

Chwilę później Emile znalazł się w gmachu szpitala, z umysłem całkowicie już zaprzątniętym tym, co tutaj na niego czekało. Pacjentka, którą się zajmował, była młoda; miała trzydzieści dwa lata. Cieszyło go, że dzięki niemu mózg tej kobiety odkrył już drogę do uleczenia ciała. Dowodem tego były zarówno lepsza morfologia krwi, jak i wygląd zewnętrzny. Jej skóra utraciła nieprzyjemny, żółtawy odcień. Zgodnie z przewidywaniami Emile^A, przed upływem sześciu miesięcy kobieta powinna być całkowicie zdrowa. W odniesieniu do pacjentki, której nie dawano już szans na przeżycie, można było uznać to za prawdziwy cud.

Zanim Emile dotarł na trzecie piętro, jego krok stał się bardziej niż dumny. A właściwie dlaczego miałby iść inaczej, mniej zuchwale? Bądź co bądź kroczył pod rękę z Panem Bogiem. Tylko jeden człowiek na tej ziemi potrafił uzdrawiać tak, jak on robił to teraz. Tamten zginął ukrzyżowany. Emile'owi nie groził taki los.

- Hej, chłoptysiu, obudziłeś się? Kiedy jakaś ręka zamknęła się wokół jego penisa, Phillip jęknął z wrazenia i po chwili stoczył się z łóżka.

- Kim, do diabła, jesteś? - wymamrotał, spoglądając z niedowierzaniem na chudą, wyuzdaną blondynkę, leżącą z rozłożonymi nogami na łóżku, które właśnie opuścił.

- Chodź tutaj, chłoptysiu, bo jestem napalona - wyjęczała i na oczach Phillipa włożyła sobie ręce między nogi.

- Boże, Boże! - jęknął i zaczął rozglądać się rozpaczliwie za własnym ubraniem.

Sharon Sala 197

Nie było to jednak najgorsze ze wszystkiego. Zupełnie nie wiedział, gdzie jest ani jak się tu dostał.

- Moje ubranie - wymamrotał. - Gdzie moje ubranie? Wulgarna blondynka wykrzywiła twarz i pokazała mu język.

- Powiem ci, jak się zabawimy.

Zdumienie Phillipa przerodziło się w przerażenie. Miałby kochać się z taką kobietą?

Dobry Boże, bałby się nawet dotknąć tej narkomanki! Miała ręce i nogi pokryte śladami po zastrzykach.

Zaczął chodzić nerwowo po obskurnym pokoju, wyciągając szuflady i otwierając szafy w poszukiwaniu własnej odzieży.

- No, szybciej, chłoptysiu! Podejdz wreszcie! Jestem strasznie napalona. - Kobieta zamknęła oczy i, nie wysuwając rąk spod brzucha, zaczęła coraz gwałtowniej miotać się na łóżku.

Phillip nie mógł znieść tego okropnego widoku. Wpadł do sąsiadującej z sypialnią łazienki i zaraz potem tego pożałował. Tu także było obrzydliwie. Okropnie brudno.

- Nie, nie, nie - zajęczał i pobiegł do drugiego pokoju.

W pierwszej chwili nie rozpoznał czarnych spodni i koszuli. Nie mając wyboru sięgnął po nie i po chwili zorientował się przerażony, że pasują na niego idealnie. Była to jeszcze jedna zagadka, której nie potrafił wyjaśnić. Kiedy jednak z kieszeni marynarki powieszzonej na oparciu krzesła wyciągnął pęk kluczy, rozpoznał je od razu. Należały do niego.

GROM 198

Z sypialni dochodziły coraz głośniejsze jęki podniecającej się kobiety. Kiedy, osiągnąwszy orgazm, zaczęła niemal wyć, Phillip rzucił za siebie ostatnie spojrzenie, modląc się o to, aby nie zostawić tu żadnej ze swoich rzeczy, i nacisnął klamkę.

89

W sąsiednim pokoju wycie przerodziło się w krzyk.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

Lucy Karnoff rzuciła słuchawkę na widełki i wybuchła głośnym płaczem. Do tej pory wszystko układało się idealnie, lecz teraz zaczęło się psuć. Przez całe dwa dni szukała Phillipa. Bezskutecznie. Dzwoniła do wszystkich miejsc, o których wiedziała, że syn je zna, i spędziła wiele godzin w taksówkach, odwiedzając obskurne knajpy i bary.

To było naprawdę niesprawiedliwe. Przez całe życie stawała na głowie, aby Emile miał wszystko, czego potrzebował, aby móc skupić się wyłącznie na pracy. I akurat teraz, gdy jego osiągnięcia zostały należycie docenione i zyskały powszechne uznanie, zaczęła rozpadać się cała ta idealna rodzinna konstrukcja, którą z takim trudem zbudowała i o którą dbała bezustannie. Na tym przecież polegały jej obowiązki. Dom musiał funkcjonować i funkcjonował idealnie.

Niestety, w ciągu ostatnich dwóch lat znacznie nasiliła się intensywność zmian, jakim podlegała osobowość Phillipa. Lucy robiła wszystko, by ukryć je przed mężem. Sporą część oszczędności wydała na kaucje za Phillipa zatrzymywanego notorycznie w areszcie, na mandaty za jego zbyt szybką jazdę, na naprawę wyrządzanych przez

Sharon Sala 199

niego szkód, za zniszczone samochody, tak żeby poszkodowani nie zgłaszali ich firmom ubezpieczeniowym. Raz nawet w pobliskim mieście zapłaciła tysiąc dolarów za

doprowadzenie do porządku wnętrza nocnego klubu, zdemolowanego przez Phillipa. Ale do tej pory nigdy nie zniknął z domu na tak długo.

Lucy opadła ciężko na fotel przy biurku Emile'a i zakryła twarz rękoma. Nie udało jej się odnaleźć syna. Była rozdarta wewnątrz. Z jednej strony wstydziła się tego, co mógł zrobić, z drugiej zaś obawiała się, że może już nigdy go nie zobaczyć. W tej chwili chyba bardziej odpowiadało jej drugie rozwiązanie. Zaraz potem jednak się rozpłakała, bo przecież chodziło o jej własne dziecko. Jedyne, bezcenne dziecko. Pragnęła powrotu syna, bez względu na to, co uczynił.

Podniosła głowę i wytarła łzy. Przecież Phillip był także dzieckiem Emile'a. Nadeszła pora, aby zdjąć z jej barków część obaw i odpowiedzialności za syna. Otworzyła szufladę w biurku męża i zaczęła przerzucać papiery w poszukiwaniu numeru telefonu hotelu w Dublinie, gdzie się zatrzymał. Po chwili znalazła go i odetchnęła z ulgą.

Skontaktuje się z mężem. Emile będzie wiedział, co należy zrobić.

Lucy podniosła słuchawkę i zaczęła wystukiwać znaleziony numer, gdy nagle usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Z bijącym sercem poderwała się z fotela.

- Phillipie, czy to ty? - zawołała.

Usłyszała zbliżające się kroki. Nie mogąc dłużej znieść napięcia, ruszyła ku wyjściu. Zobaczyła syna. Stał w drzwiach, z twarzą zalaną łzami. Miał zmierzwiłone włosy i obłęd w oczach nabiegłych krwią. Drżała mu dolna warga.

GROM 200

Na widok Lucy rozłożył szeroko ręce.

- Mama! - Przytuliła Phillipa do piersi i poklepała po plecach, tak jak robiła to przed laty, gdy był smutny i trzeba było go pocieszyć.

- Tak, synku, mama jest z tobą. Niczym się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

90

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ocknął się nagle. Światło padające z okna po prawej stronie raziło go w oczy.

- A więc... obudził się pan. Jak samopoczucie, panie Dean?

- Gdzie ja właściwie...? - O, mój Boże! Ginny! - Jak długo tu jestem?

Pielęgniarka zajrzała do karty Sully'ego.

- Prawie dwa dni.

- Jezu! - jęknął. - Muszę wstać. Zaczął zrzucać z siebie okrycie i manipulować przy umieszczonym na ręku wenflonie.

- Nie! Nie! Nie wolno panu wyłączać kroplówki! - krzyknęła pielęgniarka, starając się odsunąć drugą dłoń pacjenta.

Sully zacisnął palce na nadgarstku jej ręki, ale to brzmiało w jego głosie stanowczość sprawiła, że pielęgniarka dała mu spokój.

- Siostrze, muszę wstać, bez względu na to, czy siostra mi pomoże, czy nie. A więc jak będzie?

Wiedząc, że sama nie da sobie rady z tak silnym i potężnie zbudowanym mężczyzną, sięgnęła do dzwonka, ale za późno, Sully bowiem zdążył już odłączyć wenflon.

GROM 202

- Proszę poczekać! Jest pan cały we krwi!

- Da się zmyć - odparł z kamiennym spokojem. Gdzie jest Ginny?

- Kto?

- Yirginia Shapiro. Przywieziono nas do szpitala tą samą karetką.

- Aha, to o nią chodzi.

- Co to ma znaczyć? - Serce Sully'ego niemal przestało bić.
- Drzwi pokoju, w którym leży, pilnuje strażnik. Odetchnął z ulgą.
- W jakim jest stanie?
- Stan pacjentki to sprawa jej samej i lekarza prowadzącego.
- Siostra nie rozumie. Była pod moją opieką, kiedy to się stało. Gdybym...
Nagle pielęgniarka zrozumiała całą sytuację i przestała mieć do Sully'ego pretensję.
- Przepraszam, nie zdawałam sobie z tego sprawy - wyjaśniła łagodnym tonem. - Zaraz porozumiem się z lekarzem. Jeśli się zgodzi, będzie pan mógł odwiedzić pacjentkę i przekonać się na własne oczy, jak się czuje. Ale bardzo proszę pozostać w łóżku do mego powrotu. Miał pan wstrząśnienie mózgu. Byłoby kiepsko, gdyby się pan przewrócił i wyładował z powrotem w łóżku w gorszym stanie.
Sully spochmurniał.
- Nic mi nie jest.
- To nieprawda - odparła pielęgniarka. - Jest pan spocony i blady. Założę się o całe pięć dolarów, jakie mam w portfelu, że jeśli spróbuje pan się podnieść, zrobi się panu słabo.
Sharon Sala 203

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

Mężnie wytrzymała wzrok krnąbrnego pacjenta.

- A więc zostanie pan w łóżku czy mam zadzwonić po pielęgniarkę?

Myśl, że ktoś może użyć wobec niego przemocy, nie przypadła Sully'emu do gustu.

- Jak siostra widzi, ciągle leżę - odwarknął, a kiedy ruszyła w stronę wyjścia z pokoju, dodał: - Ale nie zamierzam tkwić tu w nieskończoność.

91

- Zastosuje się pan do poleceń lekarza - oświadczyła, zamykając za sobą drzwi.

Sully uniósł się na łóżku i spuścił nogi. Wstał. Zakreśliło mu się w głowie. Usiadł z powrotem.

- Ale ze mnie niezdar! - warknął zirytowany.

Wyglądało na to, że pielęgniarka miała rację. A poza tym dotrzymała słowa, gdyż po dziesięciu minutach zjawił się lekarz.

- Co tam, panie Dean? Czyżby zamierzał pan wstać?

- Sam odłączy mi pan kroplówkę czy zrobi to siostra? - zapytał Sully, kątem oka spoglądając na pielęgniarkę, która także znalazła się w pokoju.

Fakt, że odpowiedział pytaniem na pytanie, nie umknął uwagi lekarza, podobnie jak zdeterminowany wyraz twarzy nieposłusznego pacjenta.

- Miał pan solidny uraz głowy - przypomniał.

- Nie pierwszy raz.

Wiedząc, gdzie pracuje Sully, lekarz uśmiechnął się lekko.

GROM 204

- Mogę to sobie wyobrazić. - Obszedł łóżko, zbadał źrenice pacjenta, a potem zajrzał do jego karty. - Czy wstawał pan? - zapytał.

- Tak - przyznał się Sully, ignorując wyraz niezadowolenia malujący się na twarzy pielęgniarki.

- Jak pan się czuł?

- Trochę kręciło mi się w głowie. I byłem słaby. Lekarz uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję za szczerość. Gdybym usłyszał coś innego, wiedziałbym, że pan kłamie.

- Och, ja zawsze mówię prawdę. A to, czy się panu podoba, czy nie, jest wyłącznie pańską sprawą. Zamierzam teraz wstać z łóżka i iść do pokoju Yirginii Shapiro, bez względu

na to, czy pan mi pozwoli, czy nie.

Lekarz zmarszczył brwi.

- W zasadzie chodzi nie o to, czy jest pan w stanie do niej pójść, ale czy ona zechce mieć z panem do czynienia.

- Dano mi do zrozumienia, że czuje się lepiej. - Sully utkwiał w pielęgniarce gniewny wzrok. - A więc co to wszystko ma znaczyć?

- Tak, czuje się istotnie lepiej, zdrowiej - potwierdził lekarz. - Ale od chwili, w której znalazła się w szpitalu, nie odezwała się do nikogo ani słowem.

- O, do diabła - warknął Sully i zaraz potem spuścił nogi z łóżka i zaczął odłączać kroplówkę. - Albo zabierzecie to, albo zaraz sam się tego pozbędę.

- Siostro, czy zechce pani pomóc pacjentowi, zanim ubrudzi się krwią? - zapytał lekarz.

- Oczywiście, panie doktorze.

Sharon Sala 205

- Gdzie moje ubranie? - warknął Sully.

- W szafie - odparła pielęgniarka. - Proszę chwileczkę poczekać, zaraz je przyniosę.

- Byłoby jednak lepiej, gdyby pan nie wstawał - powiedział lekarz.

- Tak. Wiem. Jeśli padnę na twarz i rozkwaszę sobie nos, nie wytoczę o to nikomu procesu. Jasne? Proszę podać mi spodnie.

Lekarz wcale nie był zachwycony niezbyt grzecznym zachowaniem się Sully'ego i jego niecierpliwością.

92

- Chyba zdaje sobie pan sprawę z konsekwencji ponownego urazu głowy. Zarówno dla pana, jak i dla tej kobiety.

Sully zatrzymał się. Rzucił lekarzowi chłodne spojrzenie.

- Wobec tego mogę oczekiwać, że pomożecie mi, prawda?

Lekarz westchnął.

- Siostro, proszę zadzwonić po wózek. Jedyne, co w tej sytuacji możemy zrobić, to zafundować panu jazdę.

Pielęgniarka skinęła głową, położyła ubranie Sully'ego na łóżku i poszła wykonać polecenie.

Nie zwracając uwagi na lekarza, Sully podniósł się powoli, kurczowo zaciskając palce na poręczy łóżka. Tym razem poczuł tylko lekki zawrót głowy, który szybko ustąpił.

- Jak pan się czuje? - zapytał lekarz, patrząc jak pacjent z trudem wkłada spodnie.

- Cholernie źle.

- Pani Shapiro... Ta kobieta wiele dla pana znaczy, jak rozumiem?

GROM 206

Sully zatrzymał się, odetchnął głęboko i skinął głową.

- Jeśli pan znaczy dla niej tyle, co ona dla pana, życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego - powiedział lekarz.

Poklepał pacjenta po ramieniu i opuścił pokój.

Nieświadomie utrafił w najczulszy punkt Sully'ego, który jęknął tak, jakby otrzymał cios w żołądek, i opadł z powrotem na krawędź łóżka. Wbił wzrok w podłogę, ale świadomość podsuwała mu tylko obraz zakrwawionej! twarzy Ginny. Kiedy zacisnął powieki, mignęło mu przed oczyma jej zdjęcie jej z rodziną, zrobione w Parku Narodowym Yellowstone.

Słodki Boże, czy ta dziewczyna jeszcze kiedykolwiek będzie potrafiła tak się śmiać?

Drżącymi rękoma Sully zapiął dzinsy. Sięgnął po koszulę, ale zobaczył, że jest zakrwawiona, odłożył ją więc na bok, pozostawiając na sobie górę szpitalnego stroju. Był już przy drzwiach, kiedy pojawił się pielęgniarz z wózkiem.

- Wskakuj, człowieku - powiedział. - Słyszałem, że jest pan gotów do przejażdżki.

- Zawieź mnie do pokoju Yirginii Shapiro - mruknął I Sully.

- Wiem. Do tej pacjentki z ochroniarzem.

W holu przed drzwiami pokoju, w którym leżała, uderzył o podłogę długi kij od szczotki. Usłyszawszy ten! dziwny hałas, Ginny drgnęła i zaraz potem całym jej ciałem znów zawładnął ból. Gdy usiłowała zdusić jęk, łzy napęłniły jej oczy.

Nie miała żadnych złamań, jedynie pokaleczone i po tłuczone ciało

Sharon Sala 207

Niczego nie trzeba było operować ani szyć. Zważywszy na potężne rozmiary noża Carneya Augera, mogła uznać się za prawdziwą szczęściarę. Gdyby nie Sully, który zjawił się w ostatnim momencie, bandyta pociąłby ją na kawałki. Na samą tę myśl Ginny zacisnęła mocno powieki, chcąc usunąć sprzed oczu wspomnienie straszliwego przeżycia. Ale obrazy nie dawały się wymazać. Ani na jawie, ani podczas snu. Od chwili gdy znalazła się w szpitalu, towarzyszyły jej bez przerwy.

Poczucie winy, świadomość, że to z jej powodu został zraniony Sully, pogłębiało jej i tak fatalny stan psychiczny; odwróciła twarz do poduszki. Słyszała wszystkie rozmowy prowadzone przy jej łóżku przez lekarzy i pielęgniarki, przekonanych, że pacjentka śpi.

93

Wiedziała, że od chwili gdy zemdlął w szpitalnym holu, Sully był nieprzytomny. Co będzie, jeśli umrze? Ginny wiedziała, że mając coś takiego na sumieniu, nie potrafi dalej żyć.

Była jeszcze jedna sprawa. W tym samym budynku leżał także Carney Auger. Pod policyjnym dozorem, jak twierdzili lekarze, ale nie zmieniało to faktu, że znajdował się pod tym samym dachem co ona. Na tę myśl Ginny robiło się niedobrze. Co się stanie, jeśli bandyta wymknie się strażnikom? I przyjdzie do niej i Sully'ego, żeby skończyć rozpoczętą robotę?

Wokół Ginny kręciło się mnóstwo lekarzy i pielęgniarek, pojawił się także mężczyzna, co do którego podejrzewała, że - podobnie jak Sully - pracuje w FBI. Pierwszego dnia przyszedł dwukrotnie. Od tamtej pory Ginny wprawdzie więcej go nie widziała, ale jacyś inni ludzie nie opuszczali jej ani na chwilę. Chcieli usłyszeć, co się stało

GROM 208

Ze wszystkimi potwornymi detalami, jak Auger porwał na niej ubranie, bił ją i dotykał każdego kawałka jej ciała. Chcieli, żeby opowiedziała, jak się poderwał, a potem krzyknął, gdy kula Sully'ego utkwiała w jego ciele. Chcieli wiedzieć, jak to się stało, że krew Augera znalazła się na jej twarzy i rękach. Chcieli, aby to wszystko zeznawała.

Czy ci ludzie nie byli w stanie pojąć, że gdyby opowiedziała na głos, co się stało, cała tragedia odżyłaby dla niej na nowo? Nie mogli zrozumieć, że przeżywałaby ją jeszcze raz i że jedynym lekarstwem na to, by pozostała przy zdrowych zmysłach, było udawanie, że wszystko to było tylko koszmarnym snem, z którego kiedyś się obudzi?

Nagle zeszywniała. Bez przerwy zza zamkniętych drzwi pokoju docierały do niej z holu głosy ludzi rozmawiających o rzeczach, o których mówić nie należało. Tak jakby chorzy stawali się także głusi. Zwykle ludzie! ci odchodzili po chwili, ale nie tym razem. Zobaczyła otwierające się drzwi.

Podciągnęła prześcieradło aż pod brodę i wstrzymała oddech, wiedząc, że nie jest już w stanie niczego znieść.

I zaraz potem ujrzała Sully'ego. Podnoszącego się z wózka i idącego w jej stronę.
Och, Boże! Och, Boże!

Serce Ginny zaczęło walić jak szalone. Tym razem Sully nie szedł tak dobrze jej znanym, lekko kołyszącym się krokiem. Na widok przerażenia malującego się na jego zmienionej twarzy poczuła się okropnie. Musiała wyglądać brzydko.

Sharon Sala 209

Wręcz paskudnie. Wiedziała, że dawnej urody już nigdy nie odzyska.

Odważyła się spojrzeć jeszcze raz na ukochaną męską twarz. Sully płakał. Jeszcze nigdy nie widziała w takim stanie dorosłego mężczyzny. Dobry Boże, płakał, bo było mu jej żal! Nie mogąc znieść jego litości, zamknęła oczy.

- Ginny... Ginny, popatrz na mnie, słoneczko. Drgnęła, gdy musnął jej ramię.

- Przepraszam... przepraszam... Tak bardzo mi przykro - powiedział z niezmierną łagodnością. - Nie pomyślałem...

Usłyszała, jak westchnął. Poczucie porażki przebijające w głosie Sully'ego sprawiło, że Ginny zrobiło się wstyd. Przecież ten człowiek pod żadnym względem nie był podobny do Carneya Augera. Przecież ten człowiek obiecał, że nie dopuści do tego, by umarła, i dotrzymał słowa. A teraz chciał tylko zobaczyć jej wzrok. Było to naprawdę niewiele spośród wszystkich rzeczy, które była w stanie dla niego uczynić.

Otworzyła oczy i zobaczyła, jak z Sully'ego niemal ulatuje życie. Ogromne napięcie nerwowe spowodowało, że stracił resztkę sił i ledwie trzymał się na nogach. Kiedy zaczął się

niebezpiecznie chwiać i wydawało się, że traci równowagę, do pokoju wpadł pielęgniarz. Na widok obcego mężczyzny w oczach Ginny pojawił się strach.

Sully odwrócił się.

- Wyjdź! Wynoś się stąd! - rzucił gniewnie w stronę pielęgniarza. - Idź i zostaw nas samych. Nie zemdlej.

- Ale jest pan zbyt słaby, żeby zostawać samemu...

- Jazda stąd! - warknął Sully.

GROM 210

Po chwili za pielęgniarzem zamknęły się drzwi.

Sully odwrócił się w stronę łóżka i zobaczył, że Ginny badawczo mu się przygląda.

Kiedy ujrzała bandaż na jego czole, a pod nim rząd szwów, zaczęły drzeć jej wargi.

Sully jęknął.

- Słoneczko... proszę... Przysięgam na Boga, że nie zrobię ci krzywdy, ale muszę cię dotknąć. Po prostu muszę. - Załamał mu się głos. - To wszystko moja wina. Dopuściłem do tego, że dorwał cię i...

Oczy Ginny zaszkliły się łzami.

- Uratowałeś mi życie - wyszeptła i sięgnęła po rękę Sully'ego.

Zamarł. Były to ostatnie spośród słów, jakie spodziewał się usłyszeć.

Przytuliła twarz do rozpostartej męskiej dłoni. Sully poczuł na skórze łzy.

- Byłam przekonana, że nie żyjesz. Nie wiedziałam, gdzie jesteś, i sądziłam, że on cię zabił - mówiła drżącym głosem.

- Jezu! - jęknął Sully.

Krawędź łóżka uchroniła go przed upadkiem. Usiadł. Ginny miała nadal rozszerzone ze strachu źrenice. Jej głos przeszedł w szept.

- Wiesz, że on tutaj jest. W tym szpitalu.

- Masz na myśli Carneya? - Sully zeszywniał.

Zacisnęła kurczowo palce na ramieniu Sully'ego. Nerwowymi, krótkimi ruchami szarpała jego szpitalny strój.

- Nie zasypiaj - dodała jeszcze ciszej. - To niebezpieczne.

Sharon Sala 211

- Jezusie - wymamrotał Sully i szybko podniósł się z miejsca. - Zaraz wrócę. - Ruszył w stronę drzwi.

Zaskoczony wartownik, którego złapał za ramię, sięgnął po broń.

- Masz natychmiast powiedzieć człowiekowi, który odpowiada za zatrzymanie w tym szpitalu Carneya Augera, żeby zabrał stąd skurwysyna. W przeciwnym razie sprzątnę go sam.

- Nie wolno mi opuszczać posterunku - oświadczył wartownik.

- Przecież masz radio - warknął Sully. - Więc użyj go. Powiedz, że domagam się natychmiastowego zabrania stąd Augera. A jeśli ktoś będzie miał z tym kłopoty, przyślij go do mnie.

Wartownikiem był świeżo upieczony agent, od niespełna roku pracujący w FBI.

Wiedział jednak, kim jest Sullivan Dean, i znał jego doskonałą reputację. A fakt, że sam dyrektor biura interesował się tą sprawą, oznaczał, że nie należało protestować.

- Dobrze, proszę pana.

- I ostatnia rzecz - dodał Sully.

- Słucham, proszę pana.

- Dziękuję ci za opiekę nad panią Shapiro. Młody agent skinął głową.

95

- Robię to z przyjemnością - zapewnił i zaraz potem dodał: - To okropne, co się z nią stało. Jest mi bardzo przykro.

- Mnie też - mruknął Sully. Wszedł z powrotem do pokoju i zamknął drzwi. Ginny leżała dokładnie tak, jak ją zostawił. Idąc w jej stronę,

GROM 212

z każdą chwilą czuł się coraz gorzej, ale teraz nie mógł sobie pozwolić na zasłabnięcie. Nie mógł też pozwolić, aby położono go z powrotem do łóżka. Musiał pozostać przy Ginny dopóty, dopóki nie zniknie z jej oczu paniczne, niemal obłąkane przerażenie.

- Zanim zapadnie zmierzch, już go tu nie będzie - oświadczył. - Przysięgam.

Skinęła głową i ponownie ujęła Sully'ego za rękę. Zacisnęła palce na jego nadgarstku.

- Zostań ze mną - wyszeptala błagalnym tonem. Poczł nagły skurcz serca.

- Nigdzie się nie wybieram, słoneczko... - Uśmiechnął się krzywo. - Jestem tak piekielnie słaby, że nie mógłbym, gdybym nawet chciał...

- To połów się przy mnie.

Sully poczuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek. Miałby położyć się przy niej?

Wielki Boże, modlił się, daj mi siłę, żeby niczego nie popsuł.

- Naprawdę tego chcesz?

Kiedy Ginny skinęła głową, wciągnął głęboko powietrze i po chwili je wypuścił.

- Nie jestem pewny, czy powinienem. A jeśli cię urażę?

- Proszę. Sully. Boję się zamknąć oczy.

Jedno krótkie słowo „proszę” przesądziło sprawę. Usiadł tuż przy Ginny i otoczył ramieniem jej szyję. Znieruchomiał, kiedy drgnęła nerwowo.

- Nie chodzi o ciebie - wyjaśniła. - Przez chwilę poczułam jego ręce na mojej... -

Przełknęła ślinę. - Tylko mnie trzymaj.

Sharon Sala 213

Ułożył się na łóżku i przyciągnął Ginny do siebie. Z drugiej strony chroniła ją

podniesiona poręcz.

- Nie jestem za blisko? - chciał się upewnić, obawiając się, że ciężar jego ciała może przywołać koszmarnie wspomnienia.

Westchnęła.

- Nie.

- Muszę podnieść poręcz, bo zsunę się do tyłu i spadnę z łóżka.

- Dobrze.

Sięgnął ręką za plecy, odszukał po omacku metalową balustradę i szarpnął nią w górę.

Od razu wskoczyła na swoje miejsce i się zablokowała. Teraz oboje z Ginny znajdowali się w wąskim łóżku, chronieni z obu stron, w szczególny sposób zjednoczeni.

- Boli? - zapytał szeptem Sully.

- Już nie.

Usłyszał, jak westchnęła, a potem się rozluźniła. Przez długie minuty obserwował, jak powoli zaczynają opadać jej powieki. Oddychała coraz spokojniejszym rytmem. Tylko od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał dreszcz. Wtedy Sully przytulał ją jeszcze mocniej. Szeptął do ucha:

- Jestem przy tobie, słoneczko. Nie pozwolę ci umrzeć.

Zasnęli oboje.

Pielęgniarka, zaniepokojona, że pacjent z pokoju 411, którego powierzono jej opiece, nie wrócił do łóżka, poszła go szukać. Nie było to trudne.

96

Znalazła Sully'ego i Ginny, przytulonych do siebie i śpiących. Znała ich historię.

Wiedziała także, że od pierwszej chwili pobytu w szpitalu kobieta ani słowem nie odezwała się do nikogo.

GROM 214

Gwałt lub choćby próba tego przestępstwa były okropną rzeczą. A ta kobieta została ponadto pobita prawie na śmierć. I jeśli istniał mężczyzna, który mógł wziąć ją w objęcia i przy którym czuła się bezpieczna, to bardzo dobrze, bez względu na zasady panujące w szpitalu.

Pielęgniarka odwróciła się i bez słowa wyszła z pokoju.

Dan Howard czekał w holu w pobliżu frontowych drzwi szpitala. Mógł wprawdzie wysłać po Sullivana któregoś ze swych ludzi, ale chciał porozmawiać osobiście z Yirginią Shapiro. Tak więc przyjazd na miejsce wydawał mu się rozwiązaniem najbardziej odpowiednim.

Nagle w otwartych drzwiach windy ukazał się Sullivan. Od razu spostrzegł stojącego przy wejściu Howarda.

- Jest - powiedział.

Chwilę później z kabiny wyjechał wózek, na którym siedziała Ginny. Po tygodniu hospitalizacji czuła się tak, jakby wypuszczano ją z więzienia.

- Niech pan pozwoli mi wstać - poprosiła pielęgniarkę.

- Nie mogę. Obowiązują szpitalne zasady. Wstanie pani dopiero na zewnątrz budynku.

Ludzie spoglądali na nich ze zwykłej ciekawości, jak na pacjentów opuszczających szpital, ale niektórzy zatrzymywali na dłużej wzrok na twarzy Ginny, zastanawiając się, skąd ma na twarzy tyle śladów potłuczeń, a także przecięte wargi i brew.

Sharon Sala 215

Dla Ginny było to okropne. Wyobrażała sobie, że widok jej twarzy mówi wszystkim od razu, co ją spotkało. Czuła się jak rozebrana do naga.

- Dzień dobry, pani Shapiro. Miło mi panią znów widzieć.

Drgnęła nerwowo. Znów? Czyżby poznała go przedtem?

Dan Howard zorientował się, że Ginny go nie zapamiętała. W drodze do miejsca, które na jakiś czas miało być jej bezpiecznym domem, musiał zadać jej kilka pytań, także, niestety, niezbyt przyjemnych.

- Przyjechałem zobaczyć panią, gdy tylko znalazła się pani w szpitalu - wyjaśnił. -

Pewnie pani mnie nie pamięta. Były to dla pani bardzo ciężkie chwile.

- Ach, więc to był pan. Przypominam sobie.

- Wsiądźmy do samochodu, tam będzie chłodniej - powiedział. - Sully może usiąść z przodu, obok mnie, tak że będzie pani mogła położyć się na tylnym siedzeniu. Najpierw czeka nas krótka jazda na miejsce przylotu śmigłowca, a potem, zanim dotrzemy do domu, w którym pani zamieszka, spędzimy jeszcze dwie godziny w powietrzu.

Ginny rzuciła Sully'emu załęcznione spojrzenie.

- Wszystko w porządku, słoneczko - zapewnił.

Bez oporów wsiadła do samochodu i zapięła pas, ale rozluźniła się dopiero wtedy, kiedy ruszyli w drogę. Wówczas ułożyła się wygodnie na tylnym siedzeniu i postanowiła udawać, że śpi. Wiedziała, że w ten sposób dowie się znacznie więcej, niż gdyby miała zadawać konkretne pytania.

97

GROM 216

Uzmysłowiła sobie cały absurd powstałej sytuacji. Przeżyła napad, ale jej życie nadal było w niebezpieczeństwie. Wydawało się prawie nieprawdopodobne, żeby po tak koszmarnych przeżyciach mogło jej się przytrafić coś jeszcze gorszego. Niestety, nadal ktoś pragnął jej śmierci. I nadal ten wróg nie miał twarzy. Gdyby nie człowiek siedzący obok Dana Howarda, z pewnością postradałaby już zmysły.

Ginny, wbrew swoim ambitnym zamierzeniom, ukołysana spokojną jazdą samochodu, prawie natychmiast usnęła.

- Dokąd jedziemy? - spytał Sully.

- Najbliższy, przez nikogo w tej chwili nie zajęty bezpieczny dom znajduje się w pobliżu Phoenix. Wiem, że o tej porze roku panuje tam piekielny upał, ale na terenie posesji, zresztą pięknie położonej, jest przyzwoity basen.

- Gdzie to jest, nie ma dla nas znaczenia - odparł Sully. - Ginny potrzebuje spokoju.

Oraz czasu.

- Muszę z nią pogadać - oświadczył Dań.

- Jeszcze nie teraz - zastrzegł Sully.

- Chłopie, czy ty niczego nie rozumiesz? Przecież usiłujemy ocalić jej życie.

Proponuję, żeby sama zdecydowała, czy chce mówić, czy nie.

Sully ściszył głos, tak aby Ginny nie słyszała dalszej rozmowy.

- To ty niczego nie chwytasz. Ta kobieta to strzępek nerwów. Pod względem psychicznym jest ledwie w stanie przetrwać dzień, i to tylko wtedy, kiedy nikt nie zakłóca jej spokoju. Jeśli wywrzesz na nią zbyt silną presję, może tego nie wytrzymać.

Sharon Sala 217

- Nie zamierzam przypierać Ginny do muru. Muszę tylko z nią porozmawiać - odparł

Dan. - Odłóżmy tę sprawę do przyjazdu do Phoenix. Wtedy zastanowimy się, co robić dalej.

Zgoda?

Sully spochmurniał, ale przecież zdawał sobie sprawę z tego, że Dan ma rację. Po to, aby rozwiązać tę koszmarną sprawę, potrzebowali informacji. Od nich zależał postęp

śledztwa.

- Zgoda - odparł. - O, właśnie ląduje śmigłowiec.
- Jak widzę, przyleciał punktualnie.
- Dan, zapomniałem spytać. Gdzie są nasze rzeczy, które zostały w lesie, w ośrodku?
- W bagażniku mojego wozu.
- Wszystkie? Także z mojego samochodu?
- Tak. Zwróciliśmy go do wypożyczalni, a wóz pani Shapiro oddaliśmy na przechowanie w Biloxi. Kwity i klucze masz w bagażu.
- Dziękuję.
- Nie ma za co. Przecież to rutynowe postępowanie. Sam byś tak zrobił. Aha, jeszcze jedno. Stary człowiek w tym wędkarskim ośrodku zwrócił ci pieniądze nadpłacone za wynajęty domek i podarł rachunek Ginny. Oznajmił, że żałuje, iż tylko to może dla was zrobić.

Sully skinął głową, a potem zerknął przez ramię na tylne siedzenie, aby się upewnić, że Ginny nie słyszy rozmowy.

- A co z Augerem?
- Prokurator okręgowy oskarży go o napad i próbę gwałtu, ale nie o usiłowanie zabójstwa. Rozzłoszczony Sully zacisnął pięści.

98

GROM 218

- Powinienem był wykończyć tego faceta, kiedy miałem po temu okazję. Na samą myśl, że zbrodniarz nadal będzie chodził po ulicach miasta, robi mi się niedobrze.
- Rozumiem. Nasz wymiar sprawiedliwości pozostawia wiele do życzenia i obaj dobrze o tym wiemy. No, ale mimo wszystko ten człowiek trafi za kratki przynajmniej na parę lat.

Samochód stanął. Ginny poruszyła się nerwowo.

- Co się dzieje, Sully? Natychmiast otoczył ją ramieniem.
- Dojechaliśmy na miejsce. Teraz przeładujemy bagaże. Za chwilę po ciebie przyjdę.

Zgoda?

- Zgoda.

Popatrzyła na obu mężczyzn opuszczających samochód, a potem usiadła. Niestety, przespła prawie całą drogę i nie słyszała, o czym rozmawiali.

Po chwili Sully otworzył tylne drzwi.

- Chodź, Kopciuszku. Kareta czeka.
- Dokąd jedziemy? - spytała, gdy pomagał jej wysiąść z wozu.

Przechylił głowę Ginny i złapał ją za czubek nosa.

- Na bal.

Roześmiała się i zaraz potem oniemiała z wrażenia na dźwięk własnego śmiechu. Dwa dni temu gotowa była przysiąc, że już nigdy więcej nie będzie się niczym cieszyć. Może więc miała przed sobą jeszcze jakąś szansę?

- Nie mogę. Nie mam pantofelków.
- To nieważne. Jeśli zaraz nie ruszymy, helikopter zamieni się w dynię.

Kiedy podchodzili do śmigłowca, Ginny co chwila oglądała się przez ramię.

Sharon Sala 219

Przypatrywało im się dwóch mężczyzn, którzy zrobili sobie krótką przerwę w pracy, a na drodze, którą przed chwilą przyjechali, pojawiła się ciężarówka. Sully i Dan pomogli Ginny wsiąść do wnętrza i przypiąć się pasem. Kiedy wreszcie skończy się ten koszmar? Czy

przez resztę życia będzie bez przerwy oglądała się za siebie?

Sully zajął miejsce obok niej, a Dan usiadł obok pilota.

Gdy helikopter wznosił się w powietrze, ze strachu zamknęła oczy. Przestała się bać dopiero wówczas, gdy poczuła dotyk ręki Sully'ego.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Z trudem przełknęła ślinę.

- Wszystko będzie w porządku dopóty, dopóki ta maszyna będzie w powietrzu i dopóki agent Howard i pilot nie zamienią się w myszy.

Śmigłowiec zmienił kurs i skierował się ku zachodowi, a Sully wciąż jeszcze śmiał się i śmiał.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Czy ma pan jeszcze jakiś bagaż do zniesienia do holu? - zapytał chłopiec.

- Nie, są tylko te dwie walizki - odparł Emile Karnoff. - Muszę jeszcze zadzwonić i zaraz potem zejść na dół. Aha, jeszcze jedno. Proszę zamówić taksówkę, kurs na lotnisko.

- Dobrze, proszę pana.

Emile poczekał, aż za hotelowym chłopcem zamkną się drzwi, i z kieszeni marynarki wyciągnął notes z adresami. Zaraz potem sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do hotelowej centrali.

99

- Zamawiam międzynarodową - oznajmił. - Proszę połączyć mnie ze Stanami Zjednoczonymi.

- Dobrze, proszę pana. Jedną chwileczkę - odrzekł operator.

Zaraz potem, usłyszawszy sygnał, Emile wystukał numer.

Kiedy w redakcji gazety „St. Louis Daily” poproszono do telefonu Yirginię Shapiro, osoba dzwoniąca nie miała pojęcia, że rozmowa została automatycznie przełączona na biurko inspektora policji St. Louis, niejakej Bonnie Smith. Z chwilą gdy podnosiła słuchawkę, włączył się

Sharon Sala 221

nagrywający rozmowę magnetofon i inny inspektor policji zaczął sprawdzać, skąd pochodzi telefon.

- „St. Louis Daily”. Tu Shapiro.

Na drugim końcu linii nastąpiła chwila milczenia, a potem rozległ się krótki trzask.

Bonni Smith wydawało się, że w tle połączenia słyszy dziwny szum, a potem coś w rodzaju odległego gromu. Później do jej uszu dotarły jeszcze inne dźwięki, podobne do wydawanych przez dzwonki przy drzwiach, tyle że wyraźniejsze niż odgłos pioruna. Bonnie Smith czekała w napięciu, aż ktoś rozpocznie rozmowę, ale zamiast ludzkiego głosu, nadal słyszała tony dzwonka. Tak jakby ktoś nacisnął go raz, a potem drugi. Przy trzecim zapytała:

- Halo? Halo? Czy jest tam ktoś?

W odpowiedzi usłyszała tylko odgłos nerwowo wciąganego powietrza i trzask odkładanej słuchawki. Połączenie przerwano.

- Czy zdołałeś coś ustalić? - spytała kolegę inspektora.

- Niestety, za szybko się wyłączyli.

- Szkoda. - Westchnęła. - Może zadzwonią jeszcze raz. Zrób kopię nagrania i skontaktuj się z detektywem Pagillia. Zawiadom go, że taśma w drodze.

Lucy Karnoff stała w korytarzu tuż obok pokoju syna. Cały ranek spędziła na załatwianiu różnych spraw i przygotowywaniu domu na przyjazd męża, a teraz spadły jej na głowę następne kłopoty! Z góry rozgrzeszyła się z podsłuchiwania pod drzwiami Phillipa.

Robiła to wyłącznie dla jego dobra. W jaki sposób mogłaby pomóc synowi, nie mając pojęcia,

co mu dolega?

GROM 222

To, co robił teraz Phillip w swoim pokoju, nie miało żadnego sensu. Wiedziała, że jest tam sam, a mimo to głośno z kimś rozmawiał.

Lucy przyłożyła ucho do drzwi, gdy zaczął krzyżeć po raz drugi.

- Słuchaj, ty stuknięty skurwielu, mam już dość likwidowania tego, co narozrabiasz! Nie słyszałeś o aids? A twój gust, jeśli chodzi o kobiety... O rany, chcesz, żeby zgnił ci kutas, a potem odpadł?

To nie ja jestem świrem, lecz ty, Phil. Masz bigos w głowie. W przeciwieństwie do ciebie dobrze wiem, kim jestem. I to ja kieruję tobą. Umiem powiedzieć ludziom, żeby dali mi święty spokój i poszli do diabła, a ty nawet tego nie potrafisz. Gdybyś miał choć trochę charakteru, kazałbyś swemu staremu, żeby się od ciebie odpieprzył.

- Wygadujesz obrzydliwe rzeczy - oświadczył skrzywiony Phillip. - Nie muszę dłużej słuchać tych świństw. Wynoś się.

I tutaj, stary, się mylisz. Jestem Tony. To ja prowadzę tę grę, a ty jesteś od tego, aby mnie słuchać. I nigdzie nie pójde, bo tkwię w twojej głowie, ty kretynie.

100

Phillip nie był w stanie znieść dłużej tej rozpaczliwej prawdy. Osunął się na kolana, rękoma zatkał uszy, tak jakby chciał w ten sposób stłumić głos we własnej głowie, ale to się nie udało. Tony nadal wymyślał mu i dokuczał, doprowadzając niemal do obłędu. Ale Phillipa najbardziej przerażało to, że Tony stawał się coraz silniejszy i z dnia na dzień zyskiwał nad nim większą przewagę. Coraz częściej zdarzały się chwile, w których Phillip miał tego

Sharon Sala 223

wszystkiego dość i nabierał przekonania, że dłużej nie potrafi tak żyć i skończy ze sobą.

O, co to, stary, to nie. Nie skończysz z sobą, bo ci na to nie pozwolę. A poza tym pamiętasz chyba, że jesteś ukochanym synkiem mamusi? Co poczęłaby bez swego małego chłopczyka?

- Zamknij się! Zamknij się wreszcie! - wymamrotał załamany Phillip.

W porządku. Ja też już jestem zmęczony. A teraz, chłoptysiu, pobaw się sam. A kiedy wrócę, pokażę ci, jak zachowuje się prawdziwy mężczyzna.

Phillip na czworaka podpełznął do łóżka, podciągnął się na rękach i padł na materac.

- Ojciec niebieski, wybac mi, bo zgrzeszyłem - wymamrotał i zamknął oczy.

Żeby nie krzyknąć, Lucy przyłożyła dłoń do ust i po cichu odeszła od drzwi. To, co działo się w pokoju syna, było gorsze, znacznie gorsze niż to, co sobie wyobrażała i z czym mogłaby uporać się sama. Pobieгла do telefonu i wystukała numer dublińskiego hotelu, w którym zatrzymał się Emile, ale powiedziano jej, że właśnie się wyprowadził i udał się na lotnisko. Lucy pozostawało więc tylko czekać, aż mąż odezwie się sam. Z tego, co wiedziała, jechał właśnie udzielać następnych konsultacji.

Sprawa Phillipa czekać jednak nie mogła.

Lucy przyszło nagle do głowy, że w gabinecie Emile'a uda jej się znaleźć coś, co pomoże jakoś złagodzić krytyczną sytuację. Bądź co bądź była przed laty jego asystentką. Pracowali razem. Sądziła, że potrafi odnaleźć kartoteki i taśmy magnetofonowe z zarejestrowanymi na

GROM 224

nich eksperymentami. Swego czasu pomagała przecież mężowi katalogować nagrania.

Bez chwili wahania szybkim krokiem poszła do gabinetu Emile'a.

Wszystkie taśmy były opisane bardzo starannie i o-znaczone datą przeprowadzonego eksperymentu. Lucy uznała, że powinna szukać czegoś, co dotyczyłoby motywacji samego siebie. To powinno w jakiś sposób załatwić sprawę. Phillipowi potrzebny był pozytywny bodziec, który popchnąłby go we właściwym kierunku.

Lucy zaczęła przesuwając palcem wzdłuż wykazu tematów, odczytując w myśli początek listy:

Badanie ludzkiej psychiki.

Cechy behawioralne: genetyczne czy nabyte?

Uwypuklenie indywidualnych cech jednostki.

Był to nie kończący się spis dziedzin, których dotyczyły eksperymenty Emile'a.

Lucy wyciągnęła szufladę z nagranyimi taśmami i zaczęła odczytywać etykiety. W

pewnej chwili natrafiła na „Wysyłanie komunikatów do podświadomości”. Wyjęła kasetę.

Tak, potrzebowała właśnie czegoś takiego! Wiedziała doskonale, że Phillip nigdy nie zgodziłby się na poddanie się żadnej terapii. Musiała więc zrobić coś, co zacznie oddziaływać na niego bez jego wiedzy, a więc, na przykład, podczas snu.

101

Wsunęła kasetę do magnetofonu i zaczęła odtwarzać nagranie, żeby się przekonać, czy taśma została opisana poprawnie. Usłyszawszy dobrze znajomy, głęboki głos męża, poczuła pod powiekami łzy.

Sharon Sala 225

Och, Emile'u! Emile'u... Jesteś mi tak bardzo potrzebny...

Była przekonana, że wybrane nagranie pomoże synowi. Wieczorem, gdy Phillip zaśnie, umieści magnetofon z kasetą pod jego łóżkiem.

Posłuży się wynikami eksperymentów nieobecnego niestety męża do uzdrowienia psychiki syna. Była przekonana, że dziają się cuda.

Detektyw Anthony Pagillia odłożył słuchawkę. Na jego twarzy malowało się poruszenie. Właśnie rozmawiał z inspektorem Bonnie Smith. To, że nie zdążyła sprawdzić, skąd pochodził telefon, było niemal niczym w porównaniu z faktem, iż udało się nagrać to dziwne połączenie! Poleciał Bonnie zrobić dodatkową kopię taśmy i wysłać ją do waszyngtońskiej centrali FBI, dla agenta Dana Howarda.

Anthony Pagillia zatarł z zadowoleniem ręce i szybko podniósł się z krzesła. Tak więc w tej koszmarnej sprawie mieli wreszcie pierwszy trop. Postanowił zaraz zadzwonić do Howarda z informacją, że wysyła mu nagranie.

Dan pomagał właśnie Sully'emu wyładowywać bagaże ze śmigłowca, gdy odezwała się jego komórka.

- Odbierz telefon - powiedział Sully. - Z resztą poradzę sobie sam.

Ruszył w stronę domu, podczas gdy Dan zatrzymał się i wyjął aparat.

- Mówi detektyw Pagillia z policji w St. Louis.

- Cześć, Anthony. Czy coś się dzieje?

GROM 226

- Był telefon do pani Shapiro. Ktoś zadzwonił do redakcji.

- Co pan powie! - ucieszył się. - Namierzyliscie rozmówcę?

- Niestety, nie, bo zbyt szybko się rozłączył, ale mamy nagranie. Może wasi specje z laboratorium w Quantico znajdą w nim jakiś sens. To ciekawe i zaskakujące, bo nie słycać żadnego ludzkiego głosu, tylko jakieś dźwięki.

Dań, ciągle z telefonem przy uchu, ruszył żwawo w stronę domu Ginny.

- To świetna wiadomość - stwierdził. - Przyślijcie mi taśmę do biura w Waszyngtonie. Wracam tam dziś wieczorem.

- Zrobi się, proszę pana.

- Dobra robota, detektywie.

- Dziękuję. Im wcześniej nakryjemy tego szaleńca, tym szybciej wszystkim nam wróci spokojny sen.

- Fakt - przyznał Dan.

- Aha... jeszcze jedno... Jeśli wolno spytać: jak czuje się pani Shapiro? Dostałem pańską wiadomość o tym, co się stało.

Na wszelki wypadek Dan zatrzymał się przed domem, bo nie chciał, żeby rozmowa dotarła do uszu Ginny.

- Jest w pobliżu. To wszystko, co na razie mogę powiedzieć. Było to dla niej koszmarne przeżycie.

- A co z agentem Deanem? O ile dobrze zrozumiałem, on też był ranny...

- Tak. Napastnik niemal rozłupał mu czaszkę, ale jakimś cudem Deanowi udało się opanować sytuację w

102

Sharon Sala 227

ostatniej chwili. Jest teraz jeszcze gorszy niż kwoka opiekująca się pisklętami, a właściwie jednym, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Rozumiem. Sam widziałem, co się dzieje. Kiedy poznałem Deana, chciał za wszelką cenę odnaleźć panią Shapiro. Dziękuję za informacje.

- Ja też - powiedział Dan i rozłączył się. - Hej, Sully! - zawołał. - Są dobre wiadomości.

Przemierzyła dwukrotnie wzdłuż i wszerz cały ów „bezpieczny dom”, aby zorientować się w rozkładzie pomieszczeń, sypialni i łazienek, a także poznać agentów, którzy mieli strzec ją i Sully'ego.

Posesja była bardzo ładna. W innych warunkach Ginny cieszyłaby się pobytem w tym miejscu. Niski, ceglany budynek w wiejskim stylu był zwrócony na zachód, ku górcom Maricopa. Od wschodu, jak poinformował ją jeden z agentów, graniczył z indiańskim rezerwatem. Ale poza tym Ginny nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdują. Wiedziała jedynie, że bujna zieleń wokół domu jest wyłączną zasługą systemu nawadniającego, gdyż cała okolica miała zdecydowanie pustylny charakter, mimo że, lecąc śmigłowcem, widzieli po drodze wiele żywych pól.

Ze wszystkich stron dom otoczony był prawdziwym lasem olbrzymich kaktusów.

Większości gatunków Ginny nie potrafiła zidentyfikować. Rozpoznała tylko saguaros.

Gigantyczne i smukłe, o długich, strzelistych ramionach wzniesionych ku niebu, wywoływały skojarzenia. Ale jakie? Nie potrafiła ich odnaleźć w pamięci.

GROM 228

Postanowiwszy iść w stronę, z której dochodził odgłos rozmów, zawróciła do salonu, przyglądając się ponownie grubym, ceglanyścianom, wysokim, wąskim oknom i sklepionym sufitem. Dom był zbudowany w sposób energooszczędny.

Weszła w chwili, gdy Sully z zadowoloną miną klepał po plecach Dana Howarda.

- Ominęło mnie coś wesołego? - spytała. Sully odwrócił się w jej stronę.

- Jest wreszcie pierwszy ślad w naszej sprawie - oznajmił. - Policja ma taśmę z nagraniem podejrzanej rozmowy telefonicznej. Ktoś dzwonił do ciebie do redakcji „St. Louis Daily”.

Ginny zamarła.

- Taśmę? Jaką taśmę? Co na niej jest? I czego chciał rozmówca?

- Nie przesłuchaliśmy jeszcze nagrania - odezwał się Dań. - Wiem tylko tyle, ile powiedział mi detektyw Pagillia. Twierdzi, że nie słyhać niczyjego głosu, ale przede wszystkim jakiś szum, ale może naszym specjalistom z laboratorium uda się po szczegółowej analizie materiału dowiedzieć czegoś więcej.

- Co to za szum? - dociekała Ginny.

- Niech sobie przypomnę. Inspektor policji, Bonnie Smith, która przedstawivszy się twoim nazwiskiem podniosła słuchawkę, twierdzi, że tam, skąd dzwono, musiała akurat nadchodzić burza, gdyż słyszała daleki grom. A potem odezwał się dzwonek. Wielotonowy, taki jak gong u drzwi. Raz, drugi i trzeci. Natrętny, bo człowiek, który chciał z tobą rozmawiać, trzymał nadal słuchawkę

Sharon Sala 229

i nie otwierał drzwi. Bonnie Smith sądzi, że to właśnie zjawienie się nieoczekiwanego gościa spowodowało rozłączenie się twojego rozmówcy.

103

Opowiadanie Dana poruszyło w głowie Ginny jakieś odległe wspomnienia. Zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie coś więcej, ale się nie udało. Sully ujrzał jej dziwną minę.

- Ginny, o co chodzi?

Zmarszczyła czoło, a potem potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Chyba o nic. Czy przesłuchamy to nagranie?

- Tak, oczywiście, natychmiast, gdy... - potwierdził Dan, ale Sully przerwał mu ostro.

- Nie. Ginny nie będzie w tym brać udziału - oświadczył stanowczym tonem.

- Ale przecież... - zaczęła protestować.

- Nie przesłuchasz nagrania dopóty, dopóki nie będę w stu procentach pewny, że nie uruchomi ono w twojej głowie bomby zegarowej.

- Oczywiście. - Ginny zbladła. - Masz rację. O tym nie pomyślałam.

Sully objął ją i przytulił do piersi.

- Dlatego tutaj jestem - powiedział. Oczy Ginny zalśniły podejrzeniem.

- A jak długo ja tutaj będę?

Żaden z mężczyzn nie potrafił, niestety, powiedzieć nic pocieszającego. Opuściła smętnie ramiona, odwróciła się i wyszła.

- Nie jest w najlepszej formie - stwierdził Dan. Sully zmierzył go ostrym wzrokiem.

GROM 230

- Ty też nie byłbyś, gdyby przed tygodniem usiłował wypatroszyć cię jakiś szaleniec.

- Przepraszam. - W geście poddania Dan uniósł ręce. - Nie zamierzałem nikomu nastąpić na odcisk... ani na serce - dodał z przekornym uśmiechem.

Gdyby wzrok Sully'ego mógł zabijać...

- Czy nie powinieneś już ruszać w drogę? - zapytał cierpkim tonem.

Dan spojrzął na zegarek.

- Szczerze powiedziawszy, powinienem. Jesteście pod opieką trzech agentów. Żaden nie będzie wchodził wam w drogę. Mieszkają w pawilonie gościnnym na tyłach domu i robią to, co im kazano. Nie będziesz miał z nimi w ogóle do czynienia, chyba że zechcesz załatwić coś szczególnego. Dwaj z tych ludzi to bracia, Winston i Franklin Chee. Indianie. Pochodzący z tych okolic Nawahowie. Należą do najlepszych agentów, jakich ma FBI. Trzeci, Kevin Holloway, też jest dobry. Kilkakrotnie z nim pracowałem.

Sully skinął głową.

- Znam procedury.
- Wiem. Ale nie chcę, żebyś brał zbyt wiele na swoje barki. Pamiętaj, że dopiero co wyszedłeś ze szpitala. Jeśli będziesz musiał wykonać jakąś trudną robotę, poproś o pomoc.
Sully uśmiechnął się krzywo.

- Dobrze, mamusiu.

Dan odwzajemnił uśmiech.

- Jeśli już chcesz tak pogrywać, to pocałuj mamusię na pożegnanie, bo musi już jechać.

Sharon Sala 231

Tym razem poddał się Sully. Podniósł ręce.

- Punkt dla ciebie. Nie dam rady, jesteś zbyt paskudny.

- Fakt - przyznał Dan. - Może nie za piękny, ale za to wierny.

- Powiedz to żonie. Ja nie jestem zainteresowany.

- Zadzwoń - obiecał Dan, machając na pożegnanie.

104

Sully patrzył, jak śmigłowiec wznosi się w powietrze, a potem znika w słońcu.

Odwrócił się i, powracając do swej zwykłej roli agenta, obszedł cały budynek. Sprawdził zabezpieczenia i odnotował w pamięci ich słabe punkty.

Na Ginny natknął się dopiero wtedy, kiedy wyszedł przed dom i znalazł się na otoczonym murem patio. Siedziała na brzegu małej sadzawki i muskała stopami wodę.

- Czemu nie pójdziesz popływać? - spytał. - Dobrze ci to zrobi po długim locie.

- Nie mam kostiumu.

- Chodź ze mną.

Wziął Ginny za rękę. Szła za nim, zostawiając na ciemnoczerwonych kafelkach ślady mokrych stóp.

W położonej najbliżej głównego holu sypialni Sully wskazał szafę.

- Już tu zaglądałem. Może znajdziesz coś odpowiedniego.

Ginny otworzyła drzwiczki i ujrzała sporo odzieży, także różnych kąpielowych strojów, zarówno damskich, jak i męskich.

- Jak widać, nie jestem pierwszą osobą, która pakuje się i ucieka - stwierdziła, nawiązując do faktu, że w tym

GROM 232

tak zwanym bezpiecznym domu musiało ukrywać się przedtem wielu innych ludzi.

- Znajdź też coś dla mnie - poprosił Sully. - Pójdę zrobić coś zimnego do picia.

Ginny uśmiechnęła się i ponownie odwróciła w stronę szafy, zaczynając przeszukiwanie szuflad i półek. Poprawił jej się nastrój, uznała, że może jednak mimo wszystko nie będzie aż tak źle.

Zjawiła się w kuchni, gdy Sully myszkował w dobrze zaopatrzonej lodówce, chcąc znaleźć coś do przegryzienia. Długie do ramion włosy ściągnęła w wysoko związany koński ogon. Miała na sobie jako tako dopasowany czarny dwuczęściowy kostium. Skromny, wyglądający jak zwykła młodzieżowa bielizna, a nie jak bikini. Ginny zawsze uważała, że jest zbyt chuda, i gdyby miał ją oglądać ktoś inny oprócz Sully'ego, pewnie w ogóle nie miałyby odwagi, żeby się rozebrać.

- Położyłam na łóżku spodenki, które powinny być na ciebie dobre - oznajmiła. - Co mamy do picia?

Sully odwrócił się w jej stronę z paczką precelków w ręku. Uśmiech zamarł na jego wargach. Wielokrotnie widział ślady pobicia na twarzy i ramionach Ginny, ale dopiero teraz

po raz pierwszy miał okazję oglądać je na ciele, nadal były żywym świadectwem tego, co przeszła.

- Do końca życia będę żałował, że nie zabiłem tego członka - oznajmił cichym głosem.

Zawstydzona i skonsternowana, skrzyżowała ręce na plecach, zakrywając się nimi.

- Nie rób tego - powiedział i rozsunął jej ramiona. i tylko...

Sharon Sala 233

Ujął w dłonie twarz Ginny. Stała bez ruchu, obserwując reakcję Sully'ego. Mrugał oczyma i rozszerzał nozdrza. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Oboje czekali na ten moment chyba całą wieczność. Odkąd po raz pierwszy zapukał w deszczu do jej drzwi.

- Sully...

- Ciii... - szepnął i przesunął delikatnie palcem po rozciętej wardze. - Nie chcę cię urazić.

105

- Nie zrobisz mi nic złego - zapewniła go cicho. - Przecież jestem twarda. Czyżbyś o tym zapomniał? - A poza tym i tak mnie skrzywdzisz, kiedy już odejdziesz i zostawisz samą, pomyślała z bólem serca.

Odetchnął głęboko i zniżył głowę. Wargi miał miękkie i kuszące. Wsunął palce we włosy Ginny i przyciągnął ją ku sobie. Boże, jakże chętnie pocałowałby tę kobietę, a nawet zrobiłby o wiele więcej, nie był jednak pewien, czy mu wolno.

Cała fala obiekcji spowodowała, że się wycofał. Jęknął w duchu, a potem czołem dotknął głowy Ginny, czując przy tym na piersi jej ciepły oddech.

- Wybacz, proszę. Posunąłem się za daleko.

Między brwiami Ginny ukazały się dwie niewielkie zmarszczki, gdy patrzyła mu prosto w oczy, starając się odczytać wyraz jego twarzy. Zaraz potem potrząsnęła głową i odeszła.

Miał ochotę zawołać, żeby wróciła, ale nie wiedział, co powiedzieć. Do licha, miał przecież ogromną ochotę kochać się z tą kobietą. Większą niż na cokolwiek do tej pory. Ale jego bez troskę Yirginia Shapiro już raz prawie przyplącała życiem. Musiał być czujny.

GROM 234

W kuchennych drzwiach stał tak długo, dopóki nie stwierdził, że znalazła się bezpiecznie w wodzie. Wiedział, że zza narożnika domu strzeże jej jeden z agentów.

Uspokojony, szybkim krokiem poszedł się przebrać.

Ginny usiłowała przepłynąć basen wzdłuż, ale okazało się to zbyt wyczerpujące.

Położyła się więc nieruchomo na wodzie. W panującym wokoło nieznośnym upale było to rozkoszne uczucie. Im dłużej leżała, tym bardziej stawała się świadoma tego, co ją otacza.

Wokół panował całkowity spokój. Brak samochodów, samolotów, jakichkolwiek dźwięków. Nie było nawet słyhać żadnych ludzkich głosów. Ciszę przerywał tylko chłopot wody o brzeg basenu i sporadyczny szum włączającej się automatycznie centralnej klimatyzacji.

- Ginny, wyjdź na chwilę z wody.

Podniosła głowę i zobaczyła Sully'ego stojącego niemal tuż nad nią na brzegu basenu.

Kiedy zauważył, że otworzyła na moment oczy, zamachał w powietrzu małą, plastikową buteleczką. Dziwny kąt widzenia nadawał mu wygląd olbrzyma.

- Olejek do opalania z filtrem przeciwsłonecznym - wyjaśnił.

Dotknęła ramion. Były nagrzane.

- Dobrze.

Wysunęła rękę i Sully wyciągnął ją z wody.

- Au! Jaki ten beton gorący! Aż parzy - zajęczała, przestępując z nogi na nogę. Sully rzucił na ziemię ręcznik.

- Stań na nim - poradził. Posłuchała i odetchnęła z ulgą.

Sharon Sala 235

- To potrwa tylko chwilę - zapewnił. - Żeby posmarować ramiona i plecy, muszę rozpiąć ci górę kostiumu.

Skinęła głową i przytrzymała dłońmi obie miseczki stanika. Po chwili poczuła na plecach dłoń Sully'ego, wcierające olejek.

Kiedy drgnęły jej mięśnie, natychmiast przerwał.

- Och, przepraszam, Ginny. Nie pomyślałem, że pewnie wolisz sama się posmarować.

Potrząsnęła głową.

106

- Nie. Napięłam mięśnie odruchowo, bo olejek jest zimny.

Mówiła nieprawdę i Sully podświadomie zdawał sobie z tego sprawę. Postanowił jednak bardziej uważać na to, co robi i mówi.

- Zaraz skończę - oznajmił. - Pochyl głowę do przodu, muszę posmarować ci jeszcze kark.

Zrobiła, o co prosił, chłonąc doznania, jakich dostarczały jej skórze ręce Sully'ego.

Nagle ni stąd, ni zowąd pojawił się przed jej oczyma obraz Carneya Augera, napierającego na nią całym ciałem. Zanim jednak zdążyła wpaść w panikę, rysy twarzy gwałciciela przybrały inne kształty. I nagle zniknęło gdzieś całe przerażenie Ginny i zastąpiło je odczucie obecności Sully'ego w najintymniejszych miejscach jej ciała. Była przekonana, że jego pieszczoty byłyby doskonałe, z myślą wyłącznie o partnerce i o tym, jak sprawić jej największą przyjemność.

Ginny aż westchnęła, wyobrażając go sobie w takiej roli.

Ręka Sully'ego natychmiast znieruchomiła.

- Uraziłem cię, słoneczko?

GROM 236

- Nie. Jest mi po prostu dobrze.

- Sądzę, że już wystarczy - stwierdził, jęknąwszy w duchu. Był fizycznie podniecony.

- Sama posmaruj sobie nogi.

Wręczył Ginny olejek i, nie namyślając się ani chwili, skoczył do wody, odetchnąwszy z ulgą, że może się ukryć w ten sposób.

Ginny zapięła górną część kostiumu, a potem szybko posmarowała olejkiem nogi.

Kiedy wyprostowała się, ujrzała Sully'ego przed sobą. Czekał na nią, zanurzony po piersi w wodzie.

- Jesteś gotowa wracać do basenu? - zapytał.

- Tak.

- Pomóc ci?

- Dam sobie radę - odparła, lecz kiedy odplynał od brzegu, poczuła przypływ rozczarowania.

Tego wieczoru kolacja odbyła się w prawie tak samo napiętej atmosferze, jaka panowała niegdyś w domku nad rzeką, gdy oboje dosłownie skakali sobie do oczu. Z tym, że teraz Sully zdawał już sobie sprawę z tego, co leży u podstaw takiego zachowania.

Czy podobali się sobie? Tak.

I pożądali nawzajem? Jeśli o niego chodzi, to cholernie.

Było jednak, przynajmniej z jego strony, coś jeszcze. Gdy tylko ujrzał twarz Ginny na

fotografii wiszącej na ścianie jej mieszkania, stała się dla niego czymś więcej niż tylko przyjaciółką Georgii i potencjalną ofiarą zbrodni. Stała się dla niego postacią rzeczywistą, z krwi i kości.

Sharon Sala 237

A potem, gdy wsunął się do jej szpitalnego łóżka i położył głowę na poduszce, wydawało mu się, że stanowią jedność. Stało się to zbyt szybko, a uczucie okazało się bardzo głębokie.

I było już za późno, aby potrafił się wycofać.

Zaczynał kochać tę kobietę, i to w chwili najbardziej po temu nieodpowiedniej.

Ginny usiłowała nie gapić się na Sully'ego, ale bardzo silnie reagowała na jego naturalny wdzięk. W białej koszulce polo i bładoniebieskich spodniach wyglądał tak, jakby

107
właśnie zszedł ze stronic katalogu męskiej mody. Nadzwyczajna uroda i pierwszej klasy elegancja były dla Ginny prawdziwym zaskoczeniem, gdyż do tej pory widywała Sully'ego tylko w spranych dżinsach i bawełnianych podkoszulkach. Zastanawiała się, czy eleganckie ciuchy woził ze sobą, czy też zdobył je tutaj, na miejscu. Prezentował się naprawdę doskonale. Nawet małe wygolone miejsce na głowie, tam, gdzie zszywano mu ranę, zaczynało zarastać. Zresztą całkiem dobrze harmonizowało z punkowym sposobem zaczesywania włosów w szpic.

- Nie smakuje ci hamburger? - zapytał Sully, widząc że Ginny prawie nie tknęła jedzenia.

Wróciła do rzeczywistości. Zamrugła oczyma, a potem popatrzyła na swój talerz.

- Smakuje - odparła. - Jest zupełnie dobry.

Poczuła nagle głód. Wzięła hamburgera w obie ręce i ugryzła spory kęs.

Sully pokręcił głową, a potem dołożył sobie ziemniaczanej sałatki. Jako że zdążył już poznać kulinarne talenty

GROM 238

Ginny, uznał, że każda gotowa potrawa będzie lepsza niż cokolwiek, co miałyby przygotowywać ona.

- Trochę przypiekło ci słońce - stwierdził, wskazując palcem nos Ginny.

Przełykając kęs mięsa, skinęła potakująco głową.

- Skóra chyba nie zejdzie - dodał. - Jest tylko nieco zaczerwieniona.

Ginny odłożyła hamburger na talerz i papierową serwetką wytarła usta. Ta rozmowa coraz bardziej działała jej na nerwy. Miała dość gadania o niczym.

- Skończ, Sully.

Zaskoczony, przełknął ledwie przeżuty kawałek mięsa.

- Co mam skończyć?

- Tę bezsensowną rozmowę. Na litość boską, myślałam, że mamy już takie kretyńskie rozmówki za sobą. Sully odłożył widelec i odchylił się w krzesło.

- A więc wyklucasz salonową konwersację?

- Tak. Strzepnęła odruchowo okruszki z jedynej czystej sukienki, jaką posiadała, myśląc o tym, że powinna znaleźć jakąś chemiczną pralnię, bo wkrótce nie będzie miała co na siebie włożyć. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że w tym domu jest chyba wszystko, bo zauważyła wcześniej pralkę i suszarkę.

- Wobec tego o czym mamy mówić? Z pewnością nie o wydarzeniu, które spowodowało, że oboje wylądowaliśmy w szpitalu. I na pewno nie chcesz, żebym zaczął wypytywać cię ponownie o to, co działo się w szkole Montgomery'ego.

- Nie chcę.

Sharon Sala 239

- Tak więc skoro wykluczamy wzajemną wymianę dalszych opowieści z dzieciństwa, gdyż ten temat chyba wyczerpaliśmy podczas pobytu w ośrodku wędkarskim, pozostają nam tylko seks i gry planszowe. Jestem prawie pewny, że gry w monopol tu nie mają.

Ginny dosłownie zatkało, ale szybko odzyskała rezon. Nie mogła pozwolić Sully'emu na takie aluzje. Robił to już po raz drugi.

- O czym gadają faceci, kiedy się spotkają?

- O sporcie, pracy, dziewczynach i seksie. Zmrużyła oczy, przyglądając mu się badawczo.

- Kpisz sobie ze mnie? Sully uśmiechnął się krzywo.

108

- No, wreszcie coś cię ruszyło. Mam rację? Przez sekundę mierzyła go karcącym wzrokiem, ale zaraz potem zaczęła się śmiać.

- Jesteś nieznośny - uznała. - Mam rację? Natychmiast spowaźniał.

- Złotko, jestem najłagodniejszym facetem pod słońcem. Tak spokojnym i łatwym w pożyciu, że gdybyś miała okazję o tym się przekonać, z miejsca zakreśliłoby ci się w twojej uroczej główce.

Oczyma duszy Ginny ujrzała dwa nagie, splecione ciała. Szybko zerwała się z krzesła.

- Dokąd idziesz? - zapytał Sully.

- Zaczepnąć trochę powietrza.

- Ale na dworze jest goręcej niż tutaj, w domu.

- Ja bym się o to nie zakładała - wymamrotała i opuściła salon, uznając, że Sully może komentować sobie jej uwagę tak, jak mu się żywnie podoba.

GROM 240

Ruszył odruchowo za Ginny, lecz po chwili zatrzymał się. A więc znów popełnił ten sam błąd. Wywierał na tę kobietę zbyt silną presję, zamiast dać jej trochę luzu i możliwości zachowania dystansu. Zły na siebie, zebrał ze stołu brudne talerze i zaniósł do kuchni, ale uznał, że pozmywa je potem. Teraz nie zamierzał spuszczać Ginny z oka nawet na chwilę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ginny była przekonana, że jest sama. Ledwie jednak stanęła nad basenem i zaczęła przysłuchiwać się uderzaniu wody o brzeg, tuż za plecami usłyszała głos Sully'ego.

- Chodź ze mną do środka. Odwróciła się i w świetle księżyca spojrzała mu w twarz.

Chętnie poznałaby jego myśli.

- Proszę... - dodał.

Westchnęła i zaraz potem, zaskoczywszy także samą siebie, przytuliła się do Sully'ego i oparła mu głowę na piersi.

- Nie mam pojęcia, jak grać w tę grę - stwierdziła. - Przekroczyliśmy granicę, której istnienie zauważyłam dopiero wówczas, gdy było już za późno na odwrót. Ale przyznam się szczerze, że nie jestem pewna, czy wcześniej bym się zatrzymała.

Sully zamilkł. Otwartość wyznania Ginny wywarła na nim wielkie wrażenie.

Odsłaniała duszę, a jemu brakowało odwagi, by w jakikolwiek sposób odpowiedzieć.

- I to nie jest kult bohatera - dodała z twarzą ukrytą w ciemności. - Chociaż dwukrotnie stałeś się moim wybawcą.

Potrząsnął głową. Nie potrafił nad sobą zapanować.

GROM 242

Jeszcze nigdy nie pożałował niczego ani nikogo tak bardzo, jak teraz tej kobiety. Chciał

kochać się z nią natychmiast. Tu, nad basenem, w świetle księżyca.

- Wiem, Sully, i czuję, że ci na mnie zależy. Ale nie mam pojęcia, jak bardzo. Czy stajesz się moim rycerzem w błyszczącej zbroi ze zwykłego poczucia obowiązku, czy też kieruje tobą tylko i wyłącznie zwykłe pożądanie?

- A to ci historia - mruknął od nosem. Miał ochotę mocno potrząsnąć Ginny, ale na szczęście przypomniał sobie o jej niedawnych urazach. - Zachowujesz się jak typowa kobieta. One zawsze muszą wszystko analizować.

109

- Może masz rację, a może przemawia przeze mnie po prostu reporter. Zanim zrobi kolejny krok, chce dokładnie poznać wszystkie fakty.

Sully nie odpowiadał.

Jego milczenie złamało Ginny serce, ale za żadne skarby świata nie chciała, żeby Sully to dostrzegł.

- Przepraszam, chyba za bardzo się wychyliłam - powiedziała. - Ale nie powinieneś się tym przejmować. Nie zamierzam przeobrazić się w zapłakane stworzenie, które wrywa sobie włosy z głowy i rozpacza, bo jakiś facet go nie chce.

Ginny wysunęła się z objęć Sully'ego i nagle zrobiło się jej zimno. Przeszyły ją dreszcze.

- Wiesz, co ci powiem? Myliłeś się. Wtedy, kiedy mówiłeś o temperaturze. Tutaj jest chłodniej niż we wnętrzu domu. A ponadto jestem zmęczona, i to bardzo. Idę teraz wprost do łóżka, a rano, kiedy się obudzimy, oboje uznamy tę rozmowę za nieprzyjemny sen.

Sharon Sala243

W oczach Ginny zalśniły łzy i to one przesądziły sprawę. Sully był na granicy wytrzymałości psychicznej.

- Poczekaj.

Napięcie w jego głosie sprawiło, że przystanęła. Nie potrafiła jednak zdobyć się na to, aby na niego spojrzeć.

- O co chodzi?

- Uważasz, że nie jesteś dla mnie fizycznie atrakcyjna? Sądziś, że cię nie pożądam?

Kobietko, całe noce spędzam bezsennie, wymyślając pozycje, w jakich chciałbym się z tobą kochać. Marzę o tym, by znaleźć się w tobie najgłębiej jak to możliwe i patrzeć, jak mętnieją ci oczy tuż przed doznaniem największej rozkoszy. I nie przemawia przeze mnie, jak się obawiasz, ani powinność, ani żądza. Nie mam pojęcia, jak to nazwać, ale powiem ci jedno. Przez resztę swoich dni będę miał twój obraz wyryty w pamięci. - Dotknął tyłu głowy Ginny, wziął do ręki pasemko długich, jedwabistych włosów i zaraz potem je puścił. - Chcesz usłyszeć prawdę? To ci ją powiem. Boję się do ciebie zbliżyć. Boję się piekielnie, że jeśli cię dotknę, natychmiast przypomnisz sobie wszystko, co stało się między tobą a Carneyem Augerem. Że jeśli znajdziesz się w moich objęciach, jedynym mężczyzną, jakiego wówczas zobaczysz, będzie on.

Ginny odwróciła się.

- Och, Sully, tak się nie stanie! - powiedziała spokojnie. - Nigdy. Nigdy, gdy chodzi o ciebie. Przecież w szpitalu trzymałeś mnie w objęciach, a kiedy obudziłam się rano, ogromnie żałowałam, że... że między nami nie... stało się nic więcej. Wielokrotnie zastanawiałam się, jak by to było obudzić się obok ciebie. Byłam przekonana, że tamtej nocy będziemy się kochać. A potem... Nie chciałam tak zostać, pobita, brzydka i na dodatek odchodząca od zmysłów.

GROM 244

Słowa te jak ostrze noża przecinały w mózgu Sully'ego bariery ochronne, których istnienia nawet się nie domyślał. Nie zastanawiając się ani przez chwilę, przyciągnął Ginny do siebie, a kiedy objęła go w pasie, zrozumiał, że przepadł z kretesem.

- Brzydkie było to, co przeżyłaś, ale ty sama jesteś śliczna - powiedział zwyczajnie Spojrzała Sully'emu w oczy. W ciemnościach pustynnej nocy jego rysy były ledwie widoczne. Uzmysłowała sobie nagle, że nie musi widzieć wyrazu twarzy Sully'ego, aby wiedzieć, że mówi prawdę. Przebijała w głosie i czułym dotyku rąk.

110

Westchnęła, a potem złożyła głowę na męskiej piersi.

- No więc...? - zawiesiła głos.

Uśmiechnął się mimo woli, nie potrafiąc się powstrzymać wobec jej nieświadomej kokieterii. Ginny zachowywała się jak szczeniak, który trzymał w zębach kość.

- No, przyznaję, że coś nas łączy - stwierdził. - Czy to chciałaś usłyszeć?

- Tak.

- Czy jest jeszcze coś, co mogę dla ciebie zrobić? - wymamrotał. - Może podciąć sobie gardło, zanim zrobię z siebie jeszcze większego dumnia?

Nie odpowiedziała. Przez chwilę stali w milczeniu, wpatrując się w siebie z napięciem.

- A jednak trochę boję się posunąć dalej i zaufać ci. Och, mogę się domyślać, że doskonale o mnie zadbasz

Sharon Sala 245

pod względem fizycznym, ale teraz w niebezpieczeństwie jest nie moje ciało, lecz serce. I muszę uwierzyć, że mówisz prawdę.

- Do licha, Ginny, wciąż nie wiem, co jeszcze mógłbym. ..

- Poczekaj - poprosiła i, żeby zamilkł, położyła mu palec na wargach. - Usiłuję powiedzieć, że... że jeśli to jest tylko iluzja, jeśli mówisz tylko to, co uważasz, że powinnam usłyszeć, to... to nie chcę tego słuchać.

Urażony i zły, ledwie opanował chęć odejścia. W jakimś sensie potrafił jednak zrozumieć Ginny. Przeżyła piekło i nadal znajdowała się w niebezpieczeństwie. Nie był to więc odpowiedni moment na pozbywanie się jedynej rzeczy, jaka jej jeszcze pozostała, a mianowicie własnego serca.

- Ponawiam prośbę - powiedział. - Wracaj ze mną do środka.

- Dobrze. Sądzę, że nadszedł na to czas.

Kiedy ją rozbierał, na podłodze kładło się srebrem księżycowe światło. Ginny wydawało się, że obserwuje samą siebie. Wszystko wokół wydawało się nierzeczywiste. Jej sukienka wyglądała jak duży kleks rozlanego na ziemi atramentu. Reszta wnętrza nikła wśród cieni.

Sully sięgnął do pleców Ginny i rozpiął biustonosz. Czują na twarzy jego ciepły oddech. Od chłodu panującego w klimatyzowanym pokoju stwardniały koniuszki jej piersi.

Staneły na baczność, jakby dopraszając się pieśczoły.

Obwiodł językiem sterczący sutek. Ginny wciągnęła

GROM 246

nerwowo powietrze. Gdy po chwili drugi koniuszek piersi znalazł się między zębami Sully'ego, przyciągnęła go bliżej, pragnąc silniejszych doznań, zarówno przyjemności, jak i bólu. Poprzestał jednak na krótkiej pieśczoły, bo na dłuższą nie nadeszła jeszcze pora.

Wsunął rękę pod plecy Ginny, a potem pod majteczki, i szybko rozebrał ją do naga.

Ponownie pochylił głowę, odszukał obrzeże ucha. Ssał je, pieścił czubkiem języka i po

chwili puścił. W miejscu, które rozgrzał wargami, Ginny poczuła chłód. Zadrżała. Przechodząc do następnego etapu pieszczot, Sully wziął ją na ręce i położył pośrodku łóżka. Wzrokiem niemal obojętnym patrzyła, jak sam zaczyna się rozbierać. Robił to powoli i metodycznie, odsłaniając kolejno szeroki tors, płaski brzuch i długie, umięśnione nogi. Zanim zdjął bieliznę, dostrzegła, że jest podniecony. A kiedy rozebrał się do końca, zaskoczyły ją duże rozmiary członka.

Usłyszał, jak zachłysnęła się powietrzem i spojrzał w dół.

111

- Nie zrobię ci krzywdy.

- Nie o to chodzi.

- Boisz się? Jeśli tak, wystarczy, że to powiesz, i natychmiast zniknę.

- Nie o to chodzi - powtórzyła.

- To o co? - zapytał.

- Widzisz, bardzo pragnę zbliżenia. Chcę, żeby dla ciebie liczyło się tak bardzo jak dla mnie.

- Czemu jednak wyczuwam jakieś niewypowiedziane „ale”?

Sharon Sala 247

- Nie przyjmuj tego źle. Sully westchnął.

- Dziewczyno, jestem teraz bezbrony jak niemowlę. Mów wprost, co masz do powiedzenia. I po prostu zobaczysz moją reakcję. Dobrą lub złą.

- Sully, to pierwszy raz od tamtej pory... Nie wiem, jak się zachowam, ale muszę wymazać z pamięci przykre wspomnienia. Czy będziesz w stanie wybaczyć mi, jeśli się wycofam? Rozplączę lub dostanę dreszczy? Czy mimo to zechcesz kochać się ze mną? Muszę zamknąć oczy i obok twarzy tego człowieka ujrzeć coś jeszcze...

Kiedy Sully kładł się obok Ginny, trzęsły mu się ręce. Niemal modlił się o to, aby nie popełnić żadnego błędu. Musnął dłonią jej brzuch. Drgnęła nerwowo.

- Sully, ja...

- Ciii... Nic nie mów. Tylko odczuwaj. A jeśli może ci to pomóc, dziecinko, zamknij oczy. I bez względu na to, co będzie się działo, pamiętaj, na litość boską, że to ja jestem przy tobie.

Po twarzy Ginny potoczyły się łzy. Sully scałował je, uniósłszy się na łokciu. A potem rozpoczął wędrówkę po ciele Ginny, której żadne z nich nigdy nie zapomni.

Przeczołgał się na brzeg łóżka i usiadł, a potem ujął w dłonie jedną z jej stóp i zaczął ją masować. Kolistymi ruchami i lekkimi uderzeniami pieścił delikatny łuk, a potem przesunął palce ku pięcie Ginny, starając się zmniejszyć napięcie mięśni.

Poczuła mrowienie w palcach i zaczęła się rozluźniać. gdy Sully położył sobie na kolanach jej drugą nogę,

GROM 248

była już przygotowana na ból, który chciał usunąć. W jakimś momencie nabrała przeświadczenia, że wszystko pójdzie dobrze. Pełna akceptacja męskich rąk na ciele nie była łatwa, a mimo to Ginny poddawała się bez oporów tej wstępnej pieszczocie.

Sully przesunął teraz dłonie wzdłuż całych jej nóg. Aż po uda. W cudowny sposób uderzając, a czasami nawet uciskając zbite w kłębek mięśnie, wywoływał mieszaninę bólu i przyjemności. Gdy jego pracowite palce spoczęły wysoko, tam gdzie łączą się uda, Ginny była przekonana, że zna miejsce ich przeznaczenia. Po chwili jednak poczuła ze zdziwieniem, że Sully jedynie wierzchem dłoni musnął newralgiczny punkt, i zaraz potem przeniósł ręce wyżej, na jej brzuch.

Lekkiymi ruchami, zawsze bardzo ostrożnie, ze świadomością istnienia na ciele Ginny stłuczeń i siniaków, przesuwając dłonie po powierzchni jej skóry dopóty, dopóki nie poczuła się jak struna gitary, którą zbyt mocno napięto. Kiedy wreszcie ujął w dłonie piersi Ginny i kolistymi ruchami zaczął pocierać koniuszki, wygięła się odruchowo w łuk. Jęknęła, chwytając Sully'ego mocno za ramiona.

- Jeszcze nie czas, dziecinko. Jeszcze nie czas - wyszeptał.

Opadła, wbijając palce w materac.

112

Znajdował się na granicy wytrzymałości. Nadal jednak nie chciał zaspokoić własnych zmysłów wcześniej, niż zrobi to Ginny. Pochyliwszy głowę, czuł na twarzy jej gorący oddech. Nakrył wargami rozchylone usta, tłumiąc jej krótkie, chrapliwe jęki. Kiedy wbiła mu palce we włosy i złapała zębami dolną wargę, wiedział, że nadszedł właściwy czas.

Sharon Sala 249

Spokojnym ruchem Sully przesunął się nad Ginny i otoczył udami jej nogi, uważając przy tym, aby nie poczuła na sobie ciężaru męskiego ciała. Jego ruchliwe ręce znalazły się między jej udami. Tym razem zatrzymały się na dłużej tam, gdzie tego oczekiwała. To w tym miejscu rozkosz zaczynała się i kończyła.

- Otwórz oczy - zażądał.

Kiedy zobaczył, że Ginny unosi powieki, zaczął ją pieścić. Przerazenie, jakie odczuła, ujrawszy tuż nad sobą mężczyznę, zginęło w fali najcudowniejszej rozkoszy. Sully słyszał, jak wzdycha i jęczy, ale nie przerywał pieścioty. Nadal wykonywał palcem koliste ruchy wokół newralgicznego punktu, przedłużając ekstazę, jaką przeżywała Ginny. Pragnąc go do nieprzytomności, rozchyliła szerzej nogi. więc wsunął głębiej rękę, a kiedy Ginny wygięła ciało w łuk, uznał, że nadeszła chwila zespolenia.

Spojrzał na twarz Ginny. Miała znów zamknięte oczy i, stracona dla siebie i reszty świata, oddała się we władanie jego dłońmi. Sully nie mógł dłużej czekać. Mąciło mu zmysły wszechogarniające pożądanie. Musiał natychmiast znaleźć się w Ginny, zanim będzie za późno.

- Dziecinko...

Dziwna czułość brząca w głosie Sully'ego sprawiła, że Ginny nieco oprzytomniała.

Otworzyła oczy akurat w chwili, gdy zmieniał pozycję. Wydawało się jej, że na nią naciera, wypełnia sobą i wchodzi głęboko...

- Spójrz na mnie... spójrz na mnie... - błagał. Wyczuła jego ogromne napięcie.

Otworzyła oczy

GROM 250

i przez sekundę wydawało się jej, że czas zatrzymał się w miejscu. Ciałem wstrząsały dreszcze podniecenia. Znajdowała się u progu ekstazy. Objęła Sully'ego za szyję. Była gotowa.

Wsunął się głębiej i zaczął powoli poruszać.

Osiągnęła orgazm zaledwie po paru sekundach, wydając rozdzierający jęk. Sully poczuł skurcz jej wewnętrznych mięśni. Była gorąca i wilgotna.

Oszalał z rozkoszy.

Ginny obudziła się. Zegarek wskazywał czwartą nad ranem. Musiała pójść do łazienki, ale nie potrafiła wyplątać się z objęć Sully'ego.

- Muszę wstać - szepnęła. Ocknął się błyskawicznie.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Muszę iść do łazienki.

- Jasne.

Wypuścił Ginny z objęć i patrzył, jak idzie przez pokój w blasku nienickiej księżycowej poświaty. Potem przewrócił się na brzuch i zamknął oczy, ale nie opuszczała go świadomość faktu, że pokochał tę kobietę.

Obdarzył Ginny uczuciem prostym i czystym. Dotychczas nigdy nie zdarzyło mu się uprawiać seksu i równocześnie przyjaźnić się z jakąś kobietą lub, co więcej, kochać ją. Taka kombinacja miała siłę mniej więcej bomby atomowej.

113

W Sallym walczyły o dominację dwa uczucia. Instynkt opiekuńczy i pociąg fizyczny.

Nie wiedział, czy wnieść Ginny na półboski piedestał, czy też ściągnąć

Sharon Sala 251

w dół, potraktować jak poduszkę i kochać się z nią do szaleństwa.

Usłysawszy, że Ginny wraca, przetoczył się na bok i otworzył przed nią ramiona.

Szczęśliwa wsunęła się w objęcia Sully'ego, oparła mu rękę na piersi i błyskawicznie usnęła.

Leżał bez ruchu. Cudowne uczucie rozpierało go od wewnątrz.

A więc tak wyglądała miłość. Do licha, jeśli jest to tak wspaniałe, to dlaczego tak piekielnie się tego bał?

Po zmierzchu zaczął wiać wiatr, zapowiadający zmianę pogody. Lucy miała nadzieję, że wreszcie zaczną padać. Patrzyła z żalem na kwiaty więdnące na rabatkach i miejscami pożółkłą już trawę. Jutro z samego rana odszuka i uruchomi ogrodowy spryskiwacz. Zbliżał się powrót Emile'a, więc cały dom musiał znajdować się w idealnym stanie.

Usiadłszy przy biurku, załatwiała korespondencję, odpowiadając na otrzymane w ostatnim tygodniu listy. Dziś robiła to niemal automatycznie i bez radości towarzyszącej zwykle temu zajęciu. Bez przerwy myślała o Phillipie. W ciągu ostatnich dwóch lat nastąpiły w nim ogromne przemiany. Kiedyś był serdeczny i przyjacielski, zawsze chętny do pomocy. Druga, ciemna strona jego osobowości przerażała Lucy. Czasami nawet bała się wtedy syna. Szybko jednak skarciła się za te myśli. Były idiotyczne, jak mogła obawiać się własnego dziecka?

Rzuciła okiem na zegar i nakleiła znaczek na ostatniej kopercie. Uznała, że nadszedł czas działania. O tej porze

GROM 252

Phillip zwykle już spał. Ścieląc mu łóżko, widziała, jak połykał tabletki nasenne.

Zwykle upomniałaby go za zbyt pochopne ich przyjmowanie, dziś jednak było jej to bardzo na rękę.

Lekkim, szybkim krokiem ruszyła korytarzem, przyciskając do piersi magnetofon.

Emile byłby z niej dumny, gdyby wiedział, jaką podjęła inicjatywę. Terapia, którą postanowiła zastosować, da z pewnością dobre wyniki. Musi. Nic nie może zakłócić tak wspaniale rozwijającej się kariery męża, nawet kłopoty zdrowotne syna.

Zajrzała do pokoju i wstrzymała oddech. Phillip leżał na boku, odwrócony plecami do drzwi. Unosząca się rytmicznie klatka piersiowa i lekkie pochrapywanie świadczyły o tym, że spał. Lucy zdjęła pantofle, przeszła na palcach przez pokój, a potem uklękła przy łóżku syna i ostrożnie wsunęła pod nie magnetofon. Mimo że ustawiła wcześniej odpowiednią głośność nagrania, zaczęła dopóty, dopóki nie upewniła się, że dźwięk z taśmy nie obudzi Phillipa. Nagranie było przygotowane tak, aby oddziaływać na podświadomość pacjenta.

Przez chwilę stała, patrząc na śpiącego syna i zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze przeobrazi się w prawdziwego mężczyznę. Marzyła o tym, aby mieć synową - młodą kobietę, której mogłaby się zwierzać i z którą dzieliłaby swą miłość do domu. Matkę jej

wnuków, których tak bardzo pragnęła. Na razie jednak Phillip nie był w stanie założyć rodziny. Przedtem musiał znaleźć stałą pracę i nauczyć się znosić towarzyszące jej rygory. Fakt, że syn nie zwracał dotychczas większej uwagi na przedstawicielki płci przeciwnej, dla Lucy nie miał żadnego znaczenia.

114

Sharon Sala 253

Była przekonana, że kiedy na horyzoncie pojawi się odpowiednia kobieta, wszystko potoczy się jak należy.

Potrząsnęła głową, żeby przerwać rozważania, włączyła magnetofon i zamieniła się w słuch.

- „Będziesz słyszeć tylko i wyłącznie mój głos. Oczyszczisz całkowicie własny umysł. Jak kreda starta z tablicy, znikną zeń wszystkie myśli. Stoisz u stóp długich schodów, pnących się wysoko, na sam szczyt. Kierując się moim głosem, idź po schodach w górę, a dojdziemy razem do wspaniałego światła. Ty ze mną. Ja z tobą.”

Ciała Lucy przeszły dreszcze. Mimo upływu wielu lat głos Emile'a nie uległ zmianie. Był jak zawsze piękny, głęboki i zniewalający. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie w stronę syna, aby upewnić się, czy śpi nadal, wyszła na palcach z pokoju i wzięła do ręki zdjęte pantofle. Zanim zamknęła za sobą drzwi, jeszcze raz odwróciła się w stronę Phillipa i posłała mu całusa.

- śpij dobrze, kochany - szepnęła miękkim głosem. - I o nic się nie martw. Mama zadba o wszystko.

Dań Howard odsunął na bok dostarczone przed chwilą akta i, zdusiwszy w ustach przekleństwo, podszedł do okna.

- To niewiarygodne! Naprawdę nie ma tam nic, co mogłoby posłużyć nam za trop? Pracownik laboratorium wzruszył ramionami.

- Przykro mi, proszę pana, ale zrobiliśmy wszystko, co możliwe. Na tej taśmie nie ma żadnych zakodowanych komunikatów ani w ogóle żadnych słów, choćby wypowiedzianych najlżejszym szeptem

GROM 254

. Jest tylko to, co słyszał każdy z nas.

- Ten cholerny dzwonek, który ktoś naciska, a w tle odgłosy nadchodzącej burzy.

Równie dobrze mógłbym dodać jakieś gwizdy, mielibyśmy przynajmniej jakąś rozrywkę, słuchając.

- Przykro mi - powtórzył pracownik laboratorium. - Czy ma pan dla mnie jeszcze jakieś...? - zawiesił głos.

- Nie mam.

Gdy tylko został sam, Dań Howard pomyślał ze smutkiem, że wrócili do początkowego punktu śledztwa. Mieli sześć nieżyjących kobiet i żadnych nowych śladów. Postanowił zadzwonić do Sully'ego. Może jemu w tej koszarnej sprawie przydarzył się jakiś cud.

Wrócił do biurka, wyszukał odpowiedni numer telefonu i wystukał go na aparacie.

Dopiero wówczas, gdy spojrział na zegarek, uprzytomnił sobie, że jest bardzo wcześnie. Ale, do diabła, to nie powinno mieć żadnego znaczenia. Czas i zbrodnia nie czekały na nikogo.

Gdy odezwał się telefon, Ginny natychmiast obudziła się, z głośno bijącym sercem, w pierwszej chwili nie wiedząc, gdzie się znajduje. Liczyła na to, że Sully przejmie rozmowę w innej części domu, ale niemal w tym samym momencie usłyszała szum wody, dochodzący od strony łazienki. Pewnie brał prysznic.

- Sully! - krzyknęła, ale nie odpowiedział. Telefon odezwał się po raz drugi, a potem trzeci. Ginny wyskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi łazienki.

- Telefon!

115

Sharon Sala 255

Ustał szum wody. Po chwili ukazał się Sully. Rzucił się w stronę aparatu, zostawiając za sobą na podłodze mokry szlak.

- Halo?

- Cześć. To ja, Dan.

Sully mrugnął do Ginny, że wszystko w porządku, i gestem poprosił o ręcznik. Z uśmiechem na twarzy zniknęła w łazience.

- Co się dzieje? - spytał Sully.

- Ta cała taśma to wielka lipa.

- Jesteś pewny?

- Ludzie z laboratorium nie znaleźli niczego, co mogłoby stanowić jakiś punkt zaczepienia.

- Cholera.

- Słuchaj, wiem, że ryzykuję i narażam Ginny na potencjalne niebezpieczeństwo, ale chciałbym, aby wysłuchała tego nagrania.

- Sam nie wiem - z ociąganiem odparł Sully. Zobaczył Ginny, wychodzącą z łazienki z dwoma ręcznikami.

- Co się stało? - spytała.

- Poczekaj chwilę - powiedział Sully do Dana, a potem zakrył dłonią mikrofon. - Dan mówi, że taśma to lipa. W laboratorium nie znaleziono na niej niczego, co mogłoby nam pomóc.

Na wargach Ginny zamarł uśmiech. A więc stracili nadzieję na jakiś ślad, a ona być może na dalsze życie.

- Są tego pewni? - zapytała. Sully wzruszył ramionami

GROM 256

- Tak. Ale Dan chce, żebyś jednak mimo wszystko posłuchała tego nagrania.

Ginny opuściła głowę i roztargnionym wzrokiem wpatrywała się w mokre ślady, jakie zostawił Sully.

- Posłuchaj, słoneczko, nie musisz tego robić. Szczerze powiedziawszy, osobiście wolałbym...

- Powiedz Danowi, żeby przywiózł tę taśmę.

Teraz gdy Ginny przejęła pałeczkę, podejmując decyzję, Sully wpadł w panikę.

Byłoby prościej, gdyby od razu sam zaprotestował. Ale chodziło o jej życie, a ponadto, jak twierdził Dan, na taśmie nie było właściwie czego słuchać.

- Naprawdę tego chcesz?

Skinęła głową.

Sully westchnął i powiedział do mikrofonu:

- Ginny prosi, żebyś przywiózł taśmę. Ale ostrzegam, jeśli coś pójdzie źle...

- Będę u was dziś po południu - oznajmił Dan.

- Dobrze. Aha, jesteś tam jeszcze?

- Tak. O co chodzi?

- Skoro przyjeżdżasz, to może mógłbyś przywieźć nam dwie butelki szampana i pudełko czekoladek Godivy. Oczy Ginny rozblęły z radości.

- A jaką to mamy okazję do świętowania? - zapytał niechętnie Dań.
- Nie powiedziałem, że ma to coś wspólnego z tobą - sucho odparł Sully. - Załatwisz to? Dan roześmiał się krótko.
- Jasne. Chodzi ci o nią. Czyżby niezdojbyty Sullivan Dean, odporny na kobiece wdzięki, wreszcie wpadł.

116

Sharon Sala 257

- Odczep się! Nie twoja sprawa - warknął Sully. -Zrób tylko to, o co proszę.
- Dobrze, już dobrze. Trzymaj się. A może lepiej się... puść. - Dan zaśmiał się z własnego, niewybrednego dowcipu.

Sully odwiesił słuchawkę i miał właśnie odwrócić się od telefonu, gdy poczuł, że po tylnych częściach jego nóg przesuwa się coś ciepłego i miękkiego. Ginny go wycierała! Stał w milczeniu, chłonąc z lubością dotyk jej rąk do chwili, kiedy wsunęła mu ręcznik między nogi. Odwrócił się, wyciągnął go i rzucił na podłogę.

- Chcesz być u dołu czy u góry? - zapytał chrapliwym głosem.

- I tu, i tu - odparła, zadziwiając Sully'ego wybuchem radości.

Popchnął ją tyłem na łóżko i, zastępując całą grę wstępną jednym pocałunkiem, wsunął się między jej nogi.

Wystarczyła im śliskość mokrej warstewki pokrywającej męskie ciało. A kiedy rozkołysali się w odwiecznym rytmie miłości, Sully byłby gotów przysiąc, że woda przekształciła się w parę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Od telefonu Dana upłynęły dwie godziny. Sully wiedział, że powinien już wstać z łóżka. Docinki kolegów na temat tego, że zakochał się w kobiecie, którą miał ochraniać, były ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył. Poza wszystkim innym nie chciał także, by jego uczucie stało się przedmiotem pogaduszek w męskiej szatni. Zakochany po uszy, był rozdarty wewnętrznie między potrzebą zaopiekowania się Ginny a czysto fizycznym jej pożądaniem. Od kilku już minut była w łazience. Usłyszawszy szum odkręcanego prysznica, Sully zapragnął do niej dołączyć. Nie poddał się jednak pokusie, wstał z łóżka, poszedł do swego pokoju i wśród nielicznych ubrań zaczął szukać czegoś świeżego do włożenia.

Sięgnął do szuflady z czystymi koszulami, ale kiedy zaczął je przegarniać, wyczuł coś twardego. Odsunął koszule i zobaczył tylną stronę okładki jakiejś publikacji. Dopiero gdy wyjął ją z szuflady i odwrócił, uprzytomnił sobie, co trzyma w ręku. Widocznie, zbierając i pakując jego rzeczy, ludzie Dana Howarda wsunęli książkę między odzież, a on sam, kiedy rozpakowywał się wczoraj wieczorem, w pośpiechu nie zauważył jej.

Sharon Sala 259

To zupełnie niewiarygodne, ale wszystko wskazywało na to, że ta sprawa wypadła mu całkowicie z głowy! Silne przeżycia ostatniego tygodnia spowodowały, że po prostu o niej zapomniał.

- No, no! - mruknął do siebie pod nosem. - Wszystkiemu winien Carney Auger, bo rozwalił mi głowę. Przestała sprawnie pracować.

Sully uznał, że tak nieoczekiwanie odnalezioną pamiątkową księgę musi natychmiast pokazać Ginny, istniała bowiem szansa, że widok szkolnego rocznika i zamieszczonych w nim zdjęć obudzi w niej jakieś wspomnienia. Ubrał się szybko i wrócił do jej pokoju.

Akurat wciągała przez głowę czystą bawełnianą koszulkę. Mokre włosy przywierały jej do karku.

- Nie działa moja suszarka - powiedziała. - Czy możesz pożyczyć mi swoją, jeśli

oczywiście masz w ogóle coś takiego?

Sully dostrzegł drzenie warg Ginny, ale w pierwszej chwili nie zwrócił na to większej uwagi.

- Poczekaj chwilkę, słoneczko. Mam suszarkę i zaraz ci ją przyniosę.

117

Był już w połowie drogi przez hol, gdy dotarło do niego, że to właśnie sznurem od suszarki Auger usiłował związać ręce Ginny! Teraz wzięła do ręki to cholerne urządzenie i wszystko jej się przypomniało!

Chwycił swoją suszarkę i wrócił szybko, gotowy za wszelką cenę uspokoić Ginny.

- Siadaj tutaj. Sam zajmę się twoimi włosami, a ty w tym czasie przejrzyj sobie tę pamiątkową księgę rocznika 1979, którą miała Georgia.

GROM 260

- Och! - jęknęła Ginny. - Całkiem o niej zapomniałam.

- Podobnie jak ja - przyznał się Sully, pocierając demonstracyjnie bliznę na głowie. - Nic dziwnego.

Ginny skinęła głową, usiłując nie myśleć o zalanej krwią twarzy Sully'ego i ciężarze ciała Augera, gdy przyciskał ją do podłogi.

- Nie za gorące? - spytał Sully, kierując na włosy Ginny strumień powietrza.

- Trochę. Zmień ustawienie.

- Już się robi, dziecinko. A teraz oprzyj wysoko stopy, otwórz rocznik i udaj się na spacer ścieżką wspomnień. A jeśli odkryjesz coś, co może pomóc w rozwiązaniu sprawy, daj głos. Jest nam niezmiernie potrzebny jakiś punkt zahaczenia. Coś, od czego moglibyśmy zacząć. Zazaczyłem stronice, na których znajduje się fotografia dzieciaków z twojej klasy, a pod nią zdjęcie grupki najbardziej uzdolnionych.

- W porządku.

Czując dłonie Sully'ego rozdzielające jej włosy na pasemka, aby szybciej schły, przykre myśli zaczęły powoli odpływać i Ginny rozluźniła się.

- Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się rzucić dotychczasową profesję, będziesz mógł z powodzeniem pracować jako stylistka - oświadczyła Sully'emu.

- Mogę robić to wyłącznie dla ciebie.

- Uważasz, że to niemęskie zajęcie?

- Aha.

- Przynajmniej jesteś szczerzy - stwierdziła, uśmiechnęła się do siebie i otworzyła rocznik na jednej z zaznaczonych przez Sully'ego stronic.

Sharon Sala 261

Od razu wróciła myślami do dawnych czasów. Do pierwszego dnia nauki w szkole.

Bała się wówczas okropnie, podczas gdy mała, dzielna Georgia, z piegowatą buzią i warkoczykami jak mysie ogonki, z przyjemnością raz po raz zsuwała się z dziecięcej zjeżdżalni. Były to niezapomniane czasy bezpiecznego dzieciństwa. Ginny westchnęła głęboko. Nie sposób było uwierzyć, że nie ma już Georgii, podobnie zresztą jak żadnej z pozostałych sześciu jej koleżanek. Pozostała tylko ona sama.

Przeglądanie się roześmianym buziom dziewczynek, nieświadomych losu, jaki je czeka, wydawało się teraz Ginny czymś bardzo niestosownym.

Sully nachylił się nad nią.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, wyłączając suszarkę. Skinęła głową.

Wiedział, jak trudna będzie dla niej dalsza rozmowa, ale nie miał innego wyjścia.

- Czy coś sobie przypomniałaś? Masz jakieś skojarzenia?

- Właściwie nie. Od chwili gdy spłonęła nasza szkoła, tylko Frances nie spotkałam już nigdy więcej. Pozostałe koleżanki widywałam od czasu do czasu. Rodziny niektórych z nich pozostały w tych stronach, w których dorastałyśmy. - Czubkiem palca Ginny przesunęła po uwiecznionych na fotografii dziecięcych buziach. - Byłyśmy takie słodkie...

118

Sully usiadł obok niej.

- Gdy w rzeczach Georgii po raz pierwszy zobaczyłem tę pamiątkową księgę, zauważyłem, że zdjęcie waszej małej grupki różni się od innych.

GROM 262

- Pod jakim względem?

- Widzisz pozostałe fotografie? Spójrz, na każdej z nich jest jeszcze jakiś nauczyciel czy opiekun. Ale na waszym nie ma nikogo. Dlaczego?

Ginny zmarszczyła czoło.

- Nie mam pojęcia.

- Być może to fakt bez znaczenia. Prawdopodobnie wasz nauczyciel lub nauczycielka akurat zachorowali, a nie chciano fotografować z wami kogoś zastępującego wychowawcę, ale czy nie sądzisz, że nazwisko nieobecnej osoby powinno być wymienione w wykazie nauczycieli?

Z pochmurną miną Ginny zaczęła przerzucać stronice rocznika.

- Zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie ma tu nigdzie jego nazwiska.

- Jego?

Zamrugła oczyma, a potem podniosła wzrok.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak powiedziałam. Zrobiłam to odruchowo.

- Mówiłaś, że nie pamiętasz, kto prowadził z wami dodatkowe zajęcia, ale czy na kartach tej księgi potrafiłabyś go rozpoznać?

- Sama nie wiem. Dopiero rozpoczynałam szkolne życie. Byłam bardzo nieśmiała. I gdyby nie Georgia, pewnie nie odezwałabym się ani słowem przez cały rok.

- Ty? Nieśmiała? - zdziwił się Sully i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

Ginny skrzywiła w uśmiechu usta.

Sharon Sala 263

- Zdażyłam z tego wyrosnąć.

- W każdym razie obejrzyj dokładnie wszystkie stronice, zdjęcia, nazwiska i tak dalej.

I powiedz, jeśli ktoś wyda ci się znajomy. A ja tymczasem pójde zaparzyć dzbanek mocnej kawy. Zaraz powinien zjawić się Dan, a o ile go znam, kawa jest dokładnie tym, czego zażąda natychmiast, gdy tylko stanie w drzwiach.

- Dobrze - odrzekła Ginny.

- Zaraz wracam.

Ginny wróciła do pierwszej stronicy rocznika i zaczęła z uwagą przyglądać się twarzom nauczycieli. Niektórych przypominała sobie od razu, innych znała tylko z nazwiska. W pierwszej klasie uczyła ją pani Milam. Ginny szybko odnalazła wśród innych jej znajomą twarz. Gdy dotarła do ostatniej stronicy księgi, była przekonana, że osoby, która prowadziła dodatkowe zajęcia, nie ma na żadnej fotografii.

- I co, znalazłaś coś? - zapytał Sully, wróciwszy do pokoju.

- Nic. Tutaj go nie ma.

- Znów używasz rodzaju męskiego. Przez moment się zawahała, a potem kiwnęła głową potakująco.

- Tak, wydaje mi się, że to był mężczyzna. Nie pamiętam jednak ani jego twarzy, ani

nazwiska, lecz tylko jakąś niezwykłą siłą jego osobowości i przytłaczającą obecność. Sully spochmurniał. W stosunku do nauczyciela była to dość dziwna charakterystyka.

- A co sądzi Dan? - spytała Ginny.

Sully uśmiechnął się krzywo.

119

- Na razie nic. Zażąda, mojej głowy, bo nie pokazałem mu tej waszej książki.

- Dlaczego?

- Jeszcze jej nie miałem, kiedy zaczęła się cała sprawa. Wstępną rozmowę odbyłem tylko z dyrektorem mojego biura. Dotyczyła przede wszystkim pozostałych kobiet. Przekazałem mu wówczas wszystkie informacje, jakie uzyskałem od detektywa Pagillii. Georgia nie żyła, byłem jak oglupiały. - Sully zaczął chodzić po pokoju. - Chociaż „ogłupiały” to złe określenie. Miałem piekielne poczucie winy, że nie zdążyłem być przy niej, kiedy najbardziej mnie potrzebowała. A ponadto ogarniała mnie wściekłość na myśl o tym, że policja uwierzyła w samobójstwo tej dziewczyny. Znam... to znaczy znałem Georgię tak dobrze, jakby była moją siostrą, i wiem, że nigdy nie targnęłaby się na własne życie. - Przeczesał palcami włosy, tak że stały się jeszcze bardziej nastroszone niż zwykle. - Później podjąłem wyścig z czasem, usiłując odszukać ciebie, zanim zdoła to zrobić ktoś inny. A kiedy odebrałem z klasztoru tę waszą pamiątkową książkę, włożyłem ją do mojego bagażu i zupełnie o niej zapomniałem. Zanim cię odnalazłem, miałem głowę zaprzątniętą tylko tym, żeby zdążyć... A po historii z Carneyem Augerem... myślałem już wyłącznie o tobie. Jak na agenta FBI moje postępowanie było niezbyt profesjonalne.

Ginny uśmiechnęła się lekko.

- Nie zgłaszam zażalenia.

- Ale robi to Dan.

Sharon Sala 265

- Przecież oglądałam tę książkę i nie znalazłam w niej niczego, co wskazywałoby na jakiś związek z naszą sprawą. Jedyne spostrzeżenie to fakt, że nigdzie nie figuruje w niej nauczyciel, który prowadził z nami dodatkowe zajęcia.

- Tak, ale jeśli Danowi uda się zlokalizować pozostałych pedagogów, może ludzie ci będą w stanie powiedzieć nam coś, o czym ty nie pamiętasz.

- Och, o tym nie pomyślałam. - Ginny odszukała szybko jakąś stronicę. - Tutaj - powiedziała, wskazując jedną z fotografii. - To pan Fontaine. Dyrektor szkoły. Nadzwyczaj sympatyczny człowiek. Kto jak kto, ale on z pewnością pamięta tamtego nauczyciela. Był nie tylko dyrektorem, ale także organizatorem naszej szkoły. Sam zatrudniał i zwalniał personel, starał się również o środki finansowe.

Sully popatrzył z podziwem na Ginny.

- Dobra robota, słoneczko. Być może uda ci się uratować moją głowę, gdy zjawi się Dan.

- Zrobię to z największą przyjemnością - odparła Ginny. - Zapłatę wezmę potem. W całuskach.

Sully mruknął coś pod nosem i już zaczął nachylać się w jej stronę, gdy nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Otworzę - oświadczył Sully, wstając. - To pewnie jeden z naszych ochroniarzy. Po chwili zobaczył przed sobą Franklina Chee, który skłonił lekko głowę i wszedł do pokoju. W za dużej koszuli, zwisającej luźno na dżinsach, można było wziąć go za młodego człowieka na wakacjach.

GROM 266

- O co chodzi? - zapytał Sully.

- Dzwonił szef. Uprzedził, że przyjedzie trochę później, niż przewidywał. Zapomniał o jakiejś Godivie. Sully roześmiał się.

120

- Dziękuję. - Zwrócił się do Ginny: - Przedstawiam ci Franklina Chee. On i jego brat, Winston, to Nawahowie. Pochodzą z tych okolic i tu się wychowali. Trzecim agentem, który nas chroni, jest Kevin Holloway. Widziałś go wczoraj, kiedy pływałaś.

Ginny uśmiechnęła się i podała Franklinowi rękę. Odwzajemnił uśmiech.

- Bardzo jestem wdzięczna, że pan tu jest - powiedziała. - Kiedy zaczął się ten cały koszmar, sądziłam, że będę musiała radzić sobie sama. Nie ma pan pojęcia, ile dla mnie znaczy wasza obecność.

Franklin Chee skłonił głowę. Starał się nie patrzeć na blizny i siniaki nadal widoczne na twarzy Ginny.

- To nasza praca, ale tym razem także przyjemność - oświadczył szarmancko.

- Zechce pan przekazać moje podziękowania bratu i koledze?

- Bardzo chętnie. - Franklin spojrzał na Sully'ego.

- Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

- Tak. Sprawisz cud?

Na twarzy młodego agenta ukazał się lekki uśmiech.

- Jestem dobry, Sullivan, ale nie aż tak. Nawahowie to wspaniali ludzie. Mogą wiele, ale powinni nauczyć się jeszcze chodzić po wodzie.

Sully parsknął śmiechem. Przez chwilę Ginny czuła się dobrze. Gdyby nie to, że myślała bez przerwy o swojej sprawie, mogłaby udawać, że akurat wpadł z wizytą jakiś ich wspólny znajomy.

Sharon Sala 267

Kiedy jednak Franklin odwrócił się w stronę drzwi, pod jego koszulą dostrzegła zarys rewolweru.

Pogodny nastrój Ginny prysł nagle jak mydlana bańka.

Wróciła ponura rzeczywistość.

Sully zamknął drzwi, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że jest w pokoju sam.

- Ginny, gdzie jesteś? - zawołał.

- W kuchni. Poszedł za nią.

- A więc mamy chwilę oddechu. Dan jest już w drodze, ale przyjedzie później, niż zamierzał. - Sully spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. - Jesteś głodna, słoneczko? Jeśli tak, wystarczy, że powiesz słowo.

- Ci ludzie codziennie narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo? - raczej stwierdziła, niż spytała.

Sully oparł się o szafkę i, skrzyżowawszy ręce na piersi, przyglądał się z uwagą poważnej minie Ginny.

- Tak, ale my wszyscy sami podejmujemy decyzję o wstąpieniu do FBI. Nasza praca niewiele odbiega od pracy policjanta. Różnica polega przede wszystkim na tym, że patrolujemy większy obszar.

- Pewnie tak. Nie zmniejsza to jednak mojego poczucia winy, że jesteście tutaj ze względu na mnie.

- Co do tego bardzo się mylisz. Jesteśmy tutaj dlatego, że ktoś spowodował śmierć sześciu kobiet. Nie wiemy tylko, w jaki sposób to uczynił.

Ginny opuściła smętnie ramiona.

- Chyba najgorsze dla mnie jest to, że nie mogę wziąć

121

GROM 268

udziału w polowaniu na tego człowieka. Jestem reporterką, przyzwyczajoną do tropienia faktów, a nie do unikania ich i ukrywania się.

- Nadzwyczajne sytuacje wymagają stosowania nadzwyczajnych środków. Jesteś celem, Ginny. Jeśli chcesz żyć, musisz trzymać się na uboczu.

- Nie znoszę tego.

- Ja też. Ale jakaś część mojej osoby godzi się z tą przykrą prawdą. Gdyby nie to, co się wydarzyło, nigdy bym cię nie poznał, a bez ciebie nie mogę wyobrazić sobie dalszego życia. W mojej pracy już przed laty nauczyłem się jednego. Jeśli człowiek chce przeżyć, musi zachować obiektywizm. W stosunku do ciebie nie potrafię być obiektywny. Można by powiedzieć, że znajduję się zbyt blisko ognia. - Sully uśmiechnął się i wziął Ginny w objęcia. Starał się złagodzić jej napięcie, głaszcząc po plecach. - Dowiemy się, kto wykonywał te wszystkie telefony, a kiedy już to ustalimy, będziemy mieli go w garści. Póki to nie nastąpi, pozostaniesz tutaj.

- Dobrze.

- W porządku. Co z lunchem? Chyba przed przyjazdem Dana uda nam się coś przekąsić. Możemy zostawić dla niego jakieś resztki. O pamiątkowej księdze opowiemy mu potem. Może będzie w lepszym nastroju, kiedy się naje.

- Jesteś głodny? - spytała Ginny.

- Tak, ale mam ochotę nie na jedzenie, lecz na ciebie. - Sully ugryzł lekko dolną wargę Ginny, a potem czubkiem języka delikatnie przeciągnął po zranionym miejscu.

Sharon Sala 269

- Sully, ja...

Potrząsnął głową, a potem przytulił Ginny mocno do serca, starając się pokonać własny strach przed poczuciem niemożności zapewnienia jej bezpieczeństwa.

- Co powiesz na kanapki z szynką? - zapytał. W odpowiedzi Ginny tylko westchnęła.

- Jeśli chcesz, dołożę rzodkiewki - zaofiarował się bohatercko.

Schowała głowę pod jego ramieniem.

- Czy już zawsze będę musiała wysłuchiwać uwag na ten temat?

Sully skrzywił się.

- Z faktu, że jesteś kobietą, naprawdę nie wynika, że musisz umieć gotować. A więc zjesz kanapkę czy nie?

- Zjem. Sama je zrobię.

Sully zawahał się na chwilę, lecz zaraz potem wzruszył ramionami. W kanapce z szynką nie da się przecież zepsuć zbyt wiele.

- Dobrze. Moją proszę z musztardą.

- Masz ochotę na ser?

- Tak, oczywiście. Dodaj trochę. A więc chleb, szynka, musztarda i ser - wyliczył na wszelki wypadek.

- Uspokój się - mruknęła Ginny. - Kanapka to tylko kanapka.

- Dziękuję.

Celowo zachowywał się głupawo i Ginny o tym wiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - stwierdziła, a potem dodała z krzywym uśmiechem: - A teraz idź sobie i pozwól mi przystąpić do domowych obowiązków.

122

GROM 270

- Będę w salonie. Pooglądam telewizję.

- Rób, co chcesz - powiedziała Ginny, zabierając się do wyciągania z lodówki wiktuałów potrzebnych do kanapek.

Sully jeszcze raz obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem i opuścił kuchnię, powtarzając sobie, że kocha tę kobietę, więc będzie jadł wszystko, co przyrządzą jej małe rączki, nawet gdyby to miało go zabić.

Dopiero kiedy Ginny wyłożyła na blat kuchenny wszystkie potrzebne składniki, uzmysłowiła sobie z niechęcią, że kanapki będą wyglądały bardzo zwyczajnie. W jaki więc sposób mogły zrobić wrażenie na Sullym jej kulinarne starania?

Nie licząc się z faktem, że nigdy nie miała żadnych osiągnięć w tej dziedzinie i niczym nie mogła się popisać, zaczęła przeszukiwać szuflady i półki. Musiała znaleźć coś, co pozwoli nadać zwykłym kanapkom niecodzienny charakter. Przypomniała sobie życzenia Sully'ego, dotyczące składników. W porządku, będzie je miał. Ale nie było mowy o tym, jak mają wyglądać.

Kiedy natrafiła na pudełko z foremkami do wycinania ciastek o przeróżnych kształtach, wpadła na znakomity pomysł.

Odezwał się w niej wrodzony geniusz twórczy.

Sully przerzucił się z kanału na kanał, równocześnie nasłuchując, czy nie nadlatuje śmigłowiec Dana, kiedy zawołała do niego z kuchni:

- Sully?

Sharon Sala 271

- Słucham?

- Jedzenie gotowe.

Odłożył pilot i poszedł do kuchni.

- Umieram z głodu - oznajmił. - Mam nadzieję, że zrobiłaś... - Jego spojrzenie padło na półmisek z kanapkami i chociaż usiłował ukryć szok, po wyrazie twarzy Ginny natychmiast poznał, że nie jest zbyt dobrym aktorem. - To są króliki! - jęknął.

Wzruszyła ramionami. Nalewając do szklanek mrożoną herbatę, miała ochotę trzepnąć go w nos.

- Nie. To są kanapki z szynką i serem o kształcie królików.

- Tak, jasne. Właśnie to miałem na myśli. O kształcie - powtórzył.

- Nie zamierzasz zasiąść do stołu? - spytała Ginny.

- Najpierw zrób to ty - zaproponował.

Jak przystało na dżentelmena, poczekał, aż dama zajmie miejsce przy stole, czym zdobył sobie jeden mały punkt. Ale kiedy opadł na krzesło, wziął widelec i zatrzymał go w powietrzu nad najwyższym leżącym na półmisku królikiem, Ginny nie wytrzymała.

- Są martwe. Możesz mi wierzyć.

Sully zmierzył ją nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Yirginio, nie czepiaj się mnie. Zechciej łaskawie zauważyć, że nie powiedziałem ani jednego złego słowa o przygotowanym przez ciebie jedzeniu.

- Jesteś okropnie konwencjonalny - wymamrotała, nakładając na własny talerz dwa króliki, garść patyczków z surowej marchewki i dwie faszerowane zielone oliwki, żeby przybrać jedzenie.

GROM 272

Jeśli chodziło o jarzyny, Sully czuł się bezpieczniej. Miały przynajmniej rozpoznawalne kształty.

- Nie wiedziałem, że je lubisz - powiedział, wpychając do ust dwie oliwki.

123

- Nie lubię - stwierdziła Ginny i odgryzła królikowi jedno ucho.

Sully gapił się na zawartość jej talerza, wiedząc, że to, co powie, obróci się przeciw niemu. Ale chciał mimo wszystko uzyskać pewne informacje, choćby po to, aby móc postępować ostrożniej i więcej się nie narażać.

- Skoro nie lubisz oliwek, to czemu kładziesz je sobie na talerzu? - chciał się dowiedzieć.

Ginny wzniosła ku niebu oczy z taką miną, jakby było to najgłupsze pytanie pod słońcem.

- Bo ładnie wyglądają. Estetyka jest ważnym elementem każdej potrawy.

- Aha. No, tak. Racja.

Odgryzając królikowi drugie ucho, Ginny wymamrotała:

- O rany, co za idiotyczne pytanie!

Sully wepchnął do ust marchewkowy paluszek, aby było jasne, że nie jest w stanie prowadzić dalszej rozmowy. Z głodu burczało mu w brzuchu, a zapach szynki i sera był zbyt nęcący, żeby go ignorować. Spojrzał w okno, chcąc się upewnić, czy nikt nie dostrzeże przypadkiem tego, co zamierzał zrobić, i błyskawicznie zgarnął na swój talerz trzy króliki. Z pierwszym rozprawił się niemal od razu. Stwierdził ze zdumieniem, że kanapka jest smaczna.

- Ginny, to jest naprawdę smaczne.

Sharon Sala 273

Z trudem oparłszy się chęci obdarzenia Sully'ego cynicznym uśmiechem, skinęła głową.

- Dziękuję.

- Na górnej półce lodówki widziałem jakiś sos czy dressing. Podać ci go do marchewkowych paluszków?

- Proszę. To dobry pomysł.

Znalazłszy się ponownie na bezpieczniejszym gruncie, Sully podniósł się z krzesła i pewnym siebie krokiem podszedł do lodówki. Już całkiem nieźle nauczył się, jak należy postępować z tą kobietą. Chwalić wszystko, co robi. Gdy robi coś dziwnego, nie zauważać. Przytulić, jeśli płacze. Na koniec zostawił sobie najważniejszą mądrość życiową. Jeśli kobieta się złości, nie pytać, dlaczego, tylko przeproszać. Na dłuższą metę takie postępowanie daje mężczyźnie spore korzyści i pozwala zaoszczędzić wiele czasu.

Wyciągnął z lodówki pojemnik z sosem i ruszył z powrotem w stronę stołu.

Podziwiając przy okazji kształtny zarys szyi Ginny, usłyszał warkot zbliżającego się śmigłowca.

- To Dan - stwierdziła i zerwała się z krzesła. - Wezmę trzeci talerz.

Sully nerwowym wzrokiem obrzucił panoszące się na stole zwierzaki. Nie miał szans dokończenia rozmowy i dowiedzenia się od Ginny, dlaczego wybrała akurat króliki...

- Dań na pewno nie jest głodny - uznał. - Skończyłaś? Pomogę ci posprzątać.

Ginny zabrała sos i wypchnęła Sully'ego z kuchni.

- Nie, jeszcze nie skończyłam. Przecież dopiero zaczęliśmy jeść.

GROM 274

Idź teraz po swojego kumpla i powiedz, żeby się pospieszył. Chleb wysycha.

Sully ruszył w stronę drzwi, ale Dan wszedł do salonu. bez pukania.

- Przywożę prezenty - oznajmił, wręczając Sully'emu butelkę szampana i duże, opakowane złotą folią pudło najlepszych czekoladek Godivy, a potem podał jeszcze od siebie

dla Ginny tuzin czerwonych, długich róż. - Pomyślałem, że dama zasłużyła sobie na trochę przyjemności. Mam rację?

- Dzięki - mruknął Sully. - Jestem twoim dłużnikiem.

- To fakt - przyznał Dan. - Dwie setki powinny załatwić sprawę.

- Dostaniesz swoją forszę - mruknął Sully.

Był spięty. Nie chciał, aby Dan uraził Ginny. Powinien uprzedzić go, co będzie jadł, tak żeby facet nie wyrwał się z jakimś głupim komentarzem. Ale nie zdążył, bo na progu salonu stanęła Ginny.

- Jak się masz, śliczna? - przywitał się gość i dorzucił. - Stęskniliście się za mną?

Ginny uśmiechnęła się krzywo.

- Tak bardzo lubisz to miejsce, że musisz co jakiś czas tu wpadać. Mam rację?

- Są dla ciebie - oznajmił szybko Sully i rzucił w Ginny różami, mając nadzieję, że przynajmniej opóźnią czekającą ją kuchenną porażkę. Ucieszył się, gdyż na twarzy Ginny zakwitł promienny uśmiech.

- Och, już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś podarował mi kwiaty.

Sharon Sala 275

Sully odetchnął z ulgą. No, skoro szło tak dobrze, postanowił sięgnąć po złoto.

Wręczył więc jej także czekoladki.

- Godivy! - jęknęła Ginny z zachwytem. - Czyżbym znalazła się w niebie?

- Skoro masz zajęte obie ręce, sam zajmę się szampanem - oznajmił Sully. Rzucił Danowi chłodne spojrzenie. - A poza tym alkoholem nie zamierzam się z nim dzielić.

Po krótkim wahaniu Ginny pocałowała Sully'ego w policzek.

- Bardzo dziękuję - szepnęła. - Pójdę włożyć róże do wody. - Kiedy zwróciła się w stronę Dana, jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Właśnie zaczęliśmy jeść lunch. Siadaj z nami do stołu.

- Wspaniale! - ucieszył się Dan. - Padam z głodu. Wziął Ginny pod rękę i oboje opuścili salon. Przybity Sully powlókł się za nimi do kuchni, mamrocząc:

- Mam wszystko w nosie. Przecież to tylko króliki.

- Przed jedzeniem chciałbym umyć ręce - oświadczył Dan.

- Łazienka jest na końcu holu - poinformowała Ginny.

- Wystarczy mi zlewozmywak. Szybko namydlił i umył dłonie, po czym sięgnął po ręcznik, odwrócił się i zapytał:

- Co jest na lunch?

- Tylko kanapki z serem i szynką - odparła Ginny. - Siadaj, proszę.

GROM 276

Przysunawszy sobie krzesło, Dan rzucił okiem na stół.

- A gdzie są... - Nagle poczuł bolesny cios w goleń. - Co, do diabła...

Sully podsunął mu usłużnie półmisek.

- Weź dwa - powiedział, powoli cedząc słowa.

Wymienili krótkie spojrzenia, ale gdy tylko Dan zobaczył kanapki, szybko zorientował się, w czym rzecz. Z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu nałożył sobie potulnie na talerz trzy szynkowe stworzonka, garść marchewkowych paluszków i kilka oliwek, mimo że wołałyby zwykłe chipsy. Mrugnął do Ginny, odgryzł solidny kawałek chleba, a potem zawołał z przesadnym zachwytem:

- Mniam... mniam... Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem jadłem królika.

Ginny cisnęła w niego oliwką i skrzywiła się zde gustowana.

Dań uśmiechnął się z pełnymi ustami, a potem zaczął gryźć. Po chwili podniósł głowę.

- One są naprawdę dobre.

- Wiem - z powagą potwierdziła Ginny.

- Wobec tego czy mogę zadać ci pytanie? I to całkiem serio, nie dla żartu. Po prostu chcę wiedzieć. Ginny westchnęła lekko.

- No, to pytaj.

- Dlaczego akurat króliki?

Sully wychylił się w krzesło, zadowolony, że Dan zapytał o coś, co sam chciał usłyszeć, wprost umierając z ciekawości.

- Bo są śliczne - odparła.

Sharon Sala 277

Obaj mężczyźni popatrzyli na Ginny, a potem na siebie. Trzeba przyznać, że byli idealnie opanowani. Na ich twarzach nie ukazał się nawet cień uśmiechu.

- Jasne - powiedział Dan. - Śliczne.

I aby dowieść, że mówi całkiem serio, zakołysał nad stołem jednym z królików i włożył go sobie do ust.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dopiero gdy skończyli jeść, Sully przyznał się gościowi do istnienia szkolnej księgi pamiątkowej i do tego, że o niej zapomniał. Odetchnął z ulgą, gdy Dan podszedł rzeczowo do sprawy i zaczął szybko wypisywać nazwiska nauczycieli, robiąc przy tym jakieś notatki i od czasu do czasu zadając pytania Ginny.

- To dobry materiał. Naprawdę dobry - uznał, a potem rzucił Sully'emu znaczące spojrzenie. - Miło, że zechciałeś podzielić się ze mną tymi informacjami.

Sully westchnął. Wiedział, że i tak mu się upiekło. Zasłużył na znacznie gorszą reprimendę.

Ginny skarciła wzrokiem Dana za drwiącą uwagę. Postanowiła skierować rozmowę na inny tor.

- Czy trudno będzie dotrzeć do tych nauczycieli? - spytała. - Wiem, że po spaleniu się szkoły pan Fontaine przeszedł od razu na emeryturę. Słyszałam wielokrotnie opowiadania mamy o pożarze.

- Da się ich znaleźć. Przed służbami państwowymi trudno się ukryć.

- Może się okazać, że odnajdziecie pana Fontaine'a, ale on nie potrafi niczego sobie przypomnieć. Ma teraz jakieś osiemdziesiąt lat, może nawet więcej. Wszystko

Sharon Sala 279

to działo się przed ponad dwudziestu laty, a on już wtedy robił wrażenie starego człowieka.

- Nie wiem - odparł Dan. - Musimy działać krok po kroku. - Spojrzał na Ginny i dodał: - Dużo nam pomogłaś. Mamy teraz nowy punkt zaczepienia. Już wcześniej staraliśmy się znaleźć wykaz twoich nauczycieli, ale podczas pożaru szkoły spłonęły wszystkie papiery. Z budynku pozostały jedynie zgliszcza.

- Dan, podziękowania za to, że śledztwo rusza wreszcie z miejsca, należą się nie nam, lecz Georgii - oświadczył Sully. - To ona powiązała z sobą wszystkie, pozornie odosobnione

126

fakty. - Odwrócił wzrok i dodał nieswoim głosem: - Fatalne, że nie pomogło to ocalić jej życia.

Ginny oparła głowę na ramieniu Sully'ego i ujęła go za rękę.

- Georgia powiedziała ci, że jej życie już zostało uratowane.
Prosta prawda zawarta w tych słowach była jak balsam dla udreżonej duszy Sully'ego. Objął Ginny i przytulił ją do siebie.

Dan podniósł się z miejsca.

- Muszę się rozlokować - oznajmił. - Zaraz wrócę. Wyszedł z pokoju.

- Zamierza spędzić tu noc - z ponurą miną stwierdził Sully, kiedy zostali sami. Ginny wzruszyła ramionami.

- Mamy przecież dwie dodatkowe sypialnie.

- Nie obawiasz się, że Dan może się dowiedzieć, że sypiamy razem? - zapytał, muskając wargami jej usta.

- Nie. - Po chwili jednak zamyślona zmrużyła oczy.

GROM 280

- Ale czy agentowi FBI wolno aż tak zbliżyć się ze świadkiem? Będziesz miał z tego powodu jakieś kłopoty? Sully wzruszył ramionami.

- Nie - odparł. - A poza tym śledztwo w tej sprawie prowadzi Dan. Jestem tutaj, bo o to poprosiłem, a nie dlatego, że przydzielono mnie do niej. Tak więc to, co robimy, jest moją sprawą i nikogo nie powinno obchodzić. Zapytałem wyłącznie z myślą o tobie.

- Mam dwadzieścia osiem lat, prawie dwadzieścia dziewięć. I jestem współczesną kobietą w pełnym znaczeniu tego słowa. Nie muszę pytać nikogo o zgodę na to, z kim mam sypiać lub też w kim się zakochać.

Sully z wrażenia zaniemówił. Po raz pierwszy Ginny użyła tego słowa. Nie miał jednak okazji nic odpowiedzieć, bo do pokoju wrócił Dan.

- O mały włos, a byłbym zapomniał - powiedział, rzucając Sully'emu na kolana jakąś kasetę.

- To ta taśma?

Skinął głową.

Ginny złapała Sully'ego za ramię.

- Chcę ją przesłuchać. - A kiedy się zawahał, dodała: - Proszę. Jesteśmy tutaj razem.

Nic mi nie grozi. A poza tym Dan mówił, że ludzie z waszego laboratorium nie znaleźli na niej nic konkretnego. Czyżbyś o tym zapomniał?

- Nie zapomniałem - mruknął Sully, obracając w palcach małą, plastikową kasetkę. - Ale to mi się nie podoba.

- W porządku. Zapamiętam twoje obiekcje - oznajmiła Ginny. Spojrzała na Dana. - Przywiozłeś ze sobą magnetofon?

Sharon Sala 281

- Tak.

Dan wręczył go Sully'emu, który włożył kasetę, ale nie uruchomił taśmy.

- Chcę najpierw sam tego posłuchać - oświadczył.

- Ś wietnie - oschłym tonem stwierdziła Ginny. - Mam tu sobie spokojnie siedzieć, czekając, aż obaj skończycie kierować moim życiem?

Nie reagując na jej sarkazm, Sully wziął magnetofon z kasetą i wyszedł na korytarz, nieświadomy, że sklepiony sufit ma doskonałą akustykę. Spojrzał w stronę Ginny, uznał, że znajduje się w bezpiecznej odległości, i włączył odtwarzanie nagrania. Dan podążył za nim.

127

Najpierw usłyszał zapowiedź burzy. Grom. Daleki, lecz wyraźny. Później rozpoczęło się dzwonienie. Od dźwięków niskich do coraz wyższych. Powtórzyły się trzy krótkie sekwencje, a potem nastąpiła głucha cisza.

- To chyba nie oznacza nic - uznał Sully. - Bo co tutaj mamy? Zapowiedź burzy i uporczywe dzwonięcie do drzwi.

- I to właśnie jest tak cholernie frustrujące - mruknął Dan. - A więc chyba możemy pozwolić Ginny, żeby wysłuchała nagrania? Może okaże się, że ma ono dla niej jakieś znaczenie? Osobiście w to wątpię. W każdym razie nie powinno jej zaszkodzić.

- Masz rację, ale ja... - Sully rzucił okiem w stronę pokoju, w którym zostawili Ginny, i zapomniał, co chciał powiedzieć. Sposób, w jaki siedziała, wydał mu się bardzo dziwny.

- Ginny?

Miała zamknięte oczy i opuszczoną głowę, tak że podbródkiem dotykała piersi.

GROM 282

W całej jej postaci było jakieś pełne oczekiwania napięcie.

- Do diabła! - zaklął Sully. Podał Danowi magnetofon i rzucił się w stronę Ginny. Padł przed nią na kolana i spojrzał jej w twarz. - Dan, chodź tutaj! Szybko!

Sully złapał Ginny za ramiona. Kiedy to się stało? I co oni zrobili najlepszego?

- Ginny!

Potrząsnął ją lekko i nagle zobaczył, że nieprzytomna, z opuszczonymi ramionami, pochyła się sztywno w przód i pada mu wprost na tors.

Dań złapał Sully'ego za rękę.

- Co się stało?

- Ty mi to powiedz! - krzyknął Sully i poderwał Ginny na nogi. - Obudź się! Obudź, na litość boską!

Jej głowa potoczyła się wokół szyi, jak u szmacianej lalki. Sully potrząsnął ponownie Ginny, a potem, przyłożywszy dłoń najpierw do jednej strony jej twarzy, a potem do drugiej, zaczął krzyczeć na cały głos.

- Ginny! Ginny! Obudź się!

Po chwili, ku jego nieopisanej uldze, poruszyła powiekami. Ale kiedy wreszcie otworzyła oczy, radość Sully'ego prysła. Wzrok Ginny był zupełnie pusty.

- Słodki Jezu! - jęknął z rozpaczą. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak bardzo

przeżony. Zaraz potem jednak wziął górę instynkt i Sully zaczął wołać: - Yirginio! Spójrz na mnie. Otwórz oczy! Już jest po wszystkim. Po wszystkim! Czy ty mnie słyszysz?

Nienaturalnie zamrugała powiekami, ale kiedy na niego spojrzała, tym razem jej wzrok był już przytomny.

Sharon Sala 283

- Sully?

- Dzięki Bogu - szepnął i objął mocno Ginny. Ręce mu się trzęsły, a serce waliło jak szalone. Z czymś, czego nie pojmowali, obaj z Danem postąpili bardzo nierozważnie. Byli prawie bliscy utraty tej kobiety! - Przepraszam, ogromnie mi przykro. Klnę się na Boga, słoneczko, że nie mieliśmy pojęcia.

- O czym? - spytała. - Kiedy wreszcie pozwolicie mi wysłuchać tej taśmy?

Dań gwizdnął przez zaciśnięte zęby, a potem powoli potrząsnął głową.

- Wydaje się, że już to zrobiłaś.

Na twarzy Ginny odmalował się niepokój.

- Co się stało? Co takiego zrobiłam?

128

- Akustyka - powiedział Sully, spoglądając na wysokie sklepienie. - Ale ze mnie kretyn! Nie pomyślałem o akustyce tego pomieszczenia. Ginny musiała słyszeć wszystko, co było na kasecie.

- Tak, ale co na niej właściwie jest? - spytał Dan.

- Co takiego zrobiłam? - ponownie spytała Ginny, z każdym wypowiedzianym słowem podnosząc głos. - Czy ktoś zechce odpowiedzieć mi na to pytanie, zanim zacznę krzyczeć?

- W jednej chwili zgasała jak zdmuchnięty płomyk - powiedział Sully. - A dla nas taśma nie znaczyła absolutnie nic. Zarejestrowano na niej tylko jakiś cichy odgłos gromu i uporczywe dzwonienie do drzwi.

Słowa te poruszyły wspomnienia Ginny. Niestety, zbyt jednak odległe w czasie, by potrafiła wydobyć coś z pamięci.

GROM 284

- Burza zawsze działa na mnie dziwnie. Gdy słyszę uderzenie pioruna, od razu robię się...

- Śpiąca - dokończył Sully. - Już przedtem o tym mówiłaś. - Spojrzał na Dana. - Gromy wprawiają ją w...

- Trans - dodała Ginny, zastanawiając się po raz pierwszy, czy jest to naturalna reakcja.

- Jeszcze raz puśćcie taśmę - powiedziała.

- Nie - ostro zaprotestował Sully.

- Udało ci się przecież wyprowadzić mnie z tego dziwnego stanu, więc możesz zrobić to jeszcze raz. Czy widzieliście, co się właściwie stało? Obserwowaliście moje zachowanie? Obaj mężczyźni spuścili głowy.

- Tak myślałam. Żaden z was nie ma pewności, że była to reakcja na nagranie. Puśćcie taśmę drugi raz. Tu, tuż przede mną, tak, aby nie było żadnych wątpliwości.

- Wobec tego ściągajmy pozostałych agentów - zaproponował Sully. - Może któryś z nich spostrzeże coś, czego my nie widzimy.

- Dobry pomysł - uznał Dan i ruszył w stronę drzwi.

Sully chciał jeszcze przedyskutować zamierzone posunięcie, ale mu się to nie udało. Miał bowiem przed sobą zupełnie odmienioną Ginny. Zdecydowaną natychmiast przeprowadzić swoją wolę.

Z pochmurną miną odgarnął kosmyk włosów, opadający jej na twarz.

- Nie jestem do końca pewny...

- Ale ja jestem - wtrąciła szybko. Zmarszczył czoło, ale zanim zdołał wytoczyć nowe argumenty, wrócił Dan w towarzystwie pozostałych

Sharon Sala 285

trzech agentów. Wyjaśnił im po drodze, o co chodzi, gdyż nie wydawali się zaskoczeni.

- A więc zaczynamy - oznajmił Sully. - Chcę, abyście przez cały czas uważnie przyglądali się Ginny. Coś, co znajduje się na taśmie, gasi ją jak świecę. Potem, gdy będzie po wszystkim, poproszę was o opinie i sugestie. Tylko nie proponujcie wysłania pani Shapiro do jednego z naszych specjalistów, bo to nie wchodzi na razie w rachubę...

Ginny dotknęła ramienia Sully'ego.

- Zaczynaj.

129

Zapragnął nagle wyrwać taśmę z magnetofonu i wrzucić ją do ognia, ale nie rozwiązałoby to niczego. Gdzieś w ukryciu, czekając na dogodny moment, czaił się zabójca.

Gdy choć na chwilę spuszcza z oczu Yirginię Shapiro, stanie się następną jego ofiarą.

Sully jeszcze raz spojrzął na Ginny. Widząc determinację na jej twarzy, skinął głową.

Kiedy zajęła ponownie miejsce w fotelu, uruchomił taśmę i zwiększył głośność odtwarzania.

Uderzył grom. Gdy na tle odgłosów burzy zabrzmiało dzwonięcie, Sully wstrzymał oddech.

Oczy Ginny zrobiły się puste. Jej głowa potoczyła się po szyi i po chwili opadła, tak że podbródek dotknął piersi.

Sully poczuł się tak, jakby dostał pięścią między oczy.

Mimo że sekwencja dźwięków dzwonka powtórzyła się jeszcze dwukrotnie, Ginny tkwiła nieruchomo z opuszczoną głową. Wyglądała tak, jakby na coś czekała. Na co?

GROM 286

Sully zatrzymał taśmę, a potem popatrzył na pozostałych mężczyzn. Byli równie zdumieni, jak on sam. Odstawił magnetofon i wyciągnął rękę ku Ginny, gdy nagle Franklin złapał go za ramię i przytrzymał.

- Pozwól, że ja to zrobię - wyszeptał cicho. A potem ukląkł przed Ginny i, wcale jej nie dotykając, uważnie popatrzył w twarz. - Czy słyszysz mnie? - zapytał. Kiedy skinęła głową, mówił dalej: - Czas, żebyś się przebudziła. Będę liczył od dziesięciu wstecz i kiedy powiem „teraz”, otworzysz oczy. Jesteś gotowa?

Z wrażenia Sully był ledwie żywy. Ginny westchnęła, a potem skinęła głową.

Franklin rozpoczął odliczanie.

- Dziesięć. Dziewięć. Osiem. Siedem. Czujesz się lekka, bardziej ożywiona. Słyszysz mój głos wyraźniej niż przed chwilą. Sześć. Pięć. Cztery. Jest już prawie rano i jesteś gotowa się przebudzić. Kiedy otworzysz oczy, będziesz wesola i szczęśliwa. I nie będziesz się bała. Trzy. Dwa. Jeden. Teraz.

Ginny podniosła głowę i otworzyła oczy. Ujrawszy klęczącego przed nią Franklina Chee, zapytała z łobuzerskim uśmiechem:

- Czy to oświadczyń? Agent podniósł się z ziemi.

- Sądzę, że Sullivan Dean zamordowałby mnie nawet za samą taką myśl - powiedział wesółym tonem. Odwrócił się w stronę pozostałych mężczyzn.

- Jak udało ci się to zrobić? - zapytał Sully.

- W jakimś momencie życia pani Shapiro została poddana hipnozie, podczas której zaprogramowano ją tak, aby pod wpływem ściśle określonych bodźców wykonywała ściśle określone polecenia.

Sharon Sala 287

Niestety, nigdy potem tego nie anulowano.

- Ale na taśmie nie było żadnych słów - przypomniał Dan.

- Bo nie są potrzebne. Zamiast nich może to być dowolna rzecz, na przykład sekwencja dźwięków. Bez względu na to, co to jest, pod wpływem takiego ściśle określonego bodźca odpowiednio zaprogramowana osoba wpada w trans i czeka na rozkazy. Jest to metoda dość często stosowana przez profesjonalnych hipnoterapeutów.

- Skąd wiesz takie rzeczy? - zapytał Sully. Franklin wzruszył ramionami.

- Czytało się to i owo.

- Zaczynasz coraz bardziej mnie interesować - powiedział Dan. - Może powinienem przestudiować uważniej twoje akta.

130

- Panowie...

Przestali rozmawiać między sobą i popatrzyli na Ginny.

- Proszę wybaczyć, że przerywam wam dyskusję, ale czy ktoś zechce mi łaskawie powiedzieć, czy zrobiłam to ponownie?

- Tak - potwierdził Sully.

- Co właściwie zrobiłam? - dociekała Ginny. Do rozmowy włączył się Franklin.
- Zamknęła pani oczy i, tak jak panią nauczono, czekała pani na głos.
- Jaki głos?
- Głos człowieka, który to pani zrobił.

GROM 288

Na myśl, co ten mężczyzna jeszcze zrobił siedmiu małym dziewczynkom, gdy znajdowały się w hipnotycznym śnie, Ginny zrobiło się niedobrze.

- W porządku - odezwał się Dan. - Dziękuję wam za pomoc. - Odprowadzając agentów do drzwi, poklepał Franklina po ramieniu. - Zwłaszcza tobie. Jak widzę, jesteś wszechstronnie utalentowanym facetem.

Franklin skinął głową, a potem puścił oko do brata.

- Jeśli to kogoś interesuje, Webster całkiem nieźle naśladuje Johna Wayne'a - poinformował z łobuzerskim uśmiechem, chcąc rozluźnić napiętą atmosferę.

Wszyscy roześmieli się. Franklin jeszcze raz spojrzał na Ginny, a potem poszedł w ślady Kevina i brata.

Dan przegarniał palcami włosy i sięgnął do kieszeni po komórkę.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał Sully.
- Trzeba odnaleźć Edwarda Fontaine'a. Oby pamiętał, kto dwadzieścia lat temu prowadził w jego szkole dodatkowe zajęcia.

Orlando, stan Floryda

Edward Fontaine schodził powoli po schodkach małego domku, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby przepędzić laską jakieś żyjątka, przebiegające mu pod nogami. Zza rogu na trójkołowym rowerku wyjechał mały chłopiec. Tuż za nim równym krokiem biegła jego młoda mama.

- Cześć, Martin, jak ci się wiedzie? - zawołał Edward.

Chłopiec rozpromienił się i odkrzyknął:

- Umiem już szybko jeździć. Niech pan tylko popatrzy, to sam się pan przekona. Spoglądając na chłopca jadącego na rowerku, Edward zastanawiał się nad tym, czy rzeczywiście był kiedykolwiek tak młody i ruchliwy.

- Dzień dobry - powitała go matka chłopca. Nie przerywając joggingu, pomachała Edwardowi ręką na powitanie.

- Dzień dobry, Patricio. Jak widzę, Martin jest od rana w dobrej formie.

Młoda kobieta skinęła głową i po chwili zniknęła wśród palm, rosnących na rogu.

Edward podniósł głowę i głęboko wciągnął powietrze. Ranek był naprawdę piękny.

Powinien dziękować Bogu, że w ogóle go dożył, będąc w tak zaawansowanym wieku.

Z uśmiechem na twarzy przeszedł przez jezdnię, idąc jak co dzień nad ocean.

Uwielbiał patrzeć na niezmierzoną przestrzeń wody i rozkoszować się ciepłem słońca. Było dobre na jego artretyzm, podobnie zresztą jak codzienne spacerowanie.

O tej porze dnia molo, ulubione miejsce wszystkich spacerowiczów, było jeszcze prawie opustoszałe. Jak zawsze, gdy nie padał deszcz, Edward zamierzał dojść aż na sam koniec, a wracając wstąpić do małej kawiarni na rogu, gdzie miał zwyczaj wypijać kawę i zjadać pączka. Lekarz zalecił mu wprawdzie ograniczenie słodczy, ale Edward nie miał

131
zamiaru go słuchać. Miał już osiemdziesiąt trzy lata. I wolał co rano być szczęśliwy, jedząc pączek, niż dożyć setki, odmawiając sobie tego, co dobre.

GROM 290

Parę kroków przed nim na molo szerokim lotem opadła mewa. Edward pomachał

laską.

- Zejdź mi z drogi, skrzydlata żebraczko - mruknął pod nosem, a potem roześmiał się głośno.

Ledwie spojrzał na jakąś parę, która, jedząc śniadanie, rzucała w górę kawałki chleba, podziwiając mewy nurkujące w powietrzu.

Turyści, pomyślał z niesmakiem Edward. My zachowujemy się lepiej.

Wiatr od oceanu zwichrzył mu siwe włosy. Sterczały teraz za uszami jak śmieszne, białe skrzydełka. Jeszcze tylko kilka kroków i znajdzie się na końcu mola. Już niemal czuł w ustach smak ciastka. Zwykle wybierał pączek nadziewany malinową konfiturą, ale dzisiaj może spróbuje innego. A gdyby tak zjeść zwyczajny? Bez konfitury?

Doszedł do końca mola i na znak, że dotarł do celu, stuknął w nie laską. A potem podniósł głowę i popatrzył na niebieskie wody Atlantyku. Na horyzoncie widać było jakąś żaglową łódź. Nad głową Edwarda rozwrzeszczało się stado mew, wyrażając głośno niezadowolenie z powodu jego obecności.

- Przepraszam. Czy pan Edward Fontaine? Odwrócił się.

- Tak. Przepraszam, ale chyba nie miałem przyjemności...

- Właśnie ją pan ma. Przykro mi, ale tak będzie lepiej.

- Przykro? O co właściwie...? Wystarczyło lekkie pchnięcie. Edward Fontaine padł plecami w dół, tak zaskoczony, że nawet nie krzyknął.

Sharon Sala 291

A kiedy woda zalała mu twarz, ostatnią jego myślą było to, że żyjąc na ziemskim padole tak wiele lat, powinien był nauczyć się pływać.

Emile Karnoff zapłacił taksówkarzowi, wziął walizkę i ruszył w stronę frontowego wejścia, gdy otworzyły się drzwi domu.

- Już jesteś, kochany! Co za cudowna niespodzianka! Emile postawił walizkę i wziął w objęcia swą małą żonę.

- Dobrze jest wracać do domu - stwierdził i, zamknąwszy oczy, pocałował Lucy w czubek głowy. Miała na sobie sukienkę liliowego koloru, który tak bardzo lubił. Pachniała cytryną i tymiankiem. Uśmiechnął się. Domyślił się, że była w ogrodzie. W chwilach takich jak ta zawsze zastanawiał się, czemu w ogóle opuszczał dom.

- Wejść do środka - powiedziała. - Czy coś jadłeś? Phillip będzie zachwycony twoim powrotem. Nie dalej jak wczoraj oboje narzekaliśmy na tak długą twoją nieobecność.

Lucy nie zamierzała mówić mężowi, że syn jest w jednym ze swych wiejskich nastrojów, dodatkowo zły na ojca, że nie ma go w domu. Przestała zamartwiać się stanem Phillipa, ponieważ co noc uruchamiała taśmę pod jego łóżkiem, przekonana, że panuje nad sytuacją.

Emile wolał nie komentować faktu, że o tej porze syn jest w domu, a nie w jakiejś pracy. Nie była to chwila odpowiednia na poruszanie tego drażliwego problemu. Powrót do domu miał być przyjemnością, a nie porą rodzinnych porachunków.

132

GROM 292

- Dali mi w samolocie trochę orzeszków i jakiś sok - powiedział do żony. - Teraz marzę o filiżance zaparzonej przez ciebie herbaty i o domowych ciasteczkach. Powiedz, proszę, że je upiekłaś.

- Upiekłam - potwierdziła. - I to te, które najbardziej lubisz. Z żurawinami.

Emile wziął do ręki walizkę i ujął ramię Lucy.

- Jesteś najcudowniejszą żoną pod słońcem. Zresztą z pewnością zdajesz sobie z tego

sprawę. Mam rację?

Lucy promieniała. Wiedziała, że jest doskonałą żoną. A to, że Emile wyrażał jej uznanie, było dodatkową nagrodą.

Phillip stanął na górnym podejściu schodów i przysłuchiwał się rozmowie wchodzących do domu rodziców. Jak zawsze zajmowali się tylko sobą. Pozostając gdzieś daleko na obrzeżu ich pola widzenia, czekał, aż zostanie wreszcie dostrzeżony.

Hej, fajtłapo... czemu nie zejdziesz na dół i nie skręcisz tatuškowi karku?

- Zamknij się - szepnęła Phillip.

Usłyszawszy głośny wybuch śmiechu, odbijający się echem w jego własnej głowie, spochmurniał jeszcze bardziej. Kiedy rodzice opuścili hol, zacisnął pięści i obrócił się na pięcie. Wszystko było jak zwykle tak samo. Skąd przyszło mu w ogóle do głowy, że może być inaczej?

Jeśli chcesz, żeby było inaczej, wiesz, co możesz zrobić.

- Nie słyszę cię - powiedział Phillip głosem tak ciekim, że niemal dziecięcym.

- Słyszysz, słyszysz, chłoptysiu. A pewnego dnia także posłuchasz.

Sharon Sala 293

Wróciwszy do siebie, Phillip zatrzasnął drzwi. Podeszedł do toaletki. Nachylił się, oparł rękoma o blat i popatrzył na własne odbicie w lustrze.

- Chcesz, żebym cię słuchał? - warknął głośno. - Uważasz, że mam wokół siebie zbyt mało ludzi, którzy bez przerwy mówią, co mam robić? Sądzisz, że jestem na tyle głupi, by poddać się jeszcze czyjejś woli? Jeśli tak uważasz, to weź pod uwagę jeszcze jedną rzecz. Jestem zmęczony. Mam już wszystkiego dość. I jeśli nie zostawisz mnie zaraz w spokoju, to skończę ze sobą.

Trzęsąc się wprost ze złości, Phillip czekał na następną porcję uragań, przeświadczony, że jedna obelga więcej przepelni miarę i że reszta dnia stanie się dla niego prawdziwym piekłem. Ale, o dziwo, wewnętrzny głos zamilkł na dobre.

Ponurą i skrajnie przygnębioną minę Phillipa zastąpił szeroki uśmiech. Zalśniły mu oczy i zadrgały mięśnie szczęki. Wyprostował się, wypchnął prowokacyjnie tors i po raz pierwszy od lat poczuł się panem samego siebie.

Kiedy schodził po schodach, żeby przywitać się z ojcem, tak wiele myśli przebiegało mu przez głowę, że nie zdawał sobie sprawy, dlaczego przestał słyszeć ten koszmarny wewnętrzny głos. A przyczyna była prosta. Zagroził, że rozstanie się z życiem.

Na dole Emile płał się w żoninym uwielbieniu. Był szczęśliwym człowiekiem. Jego życie było niemal idealne.

- Kochana - zwrócił się do Lucy. - Siądź obok mnie i opowiedz, co robiłaś podczas mojej nieobecności. Lucy usiadła w fotelu z rękoma złożonymi skromnie

GROM 294

na kolanach, tak jak nauczono ją w dzieciństwie, i skrzyżowała nogi.

- Och, moje zajęcia są nieistotne w porównaniu z twoimi - powiedziała do męża. -

Opowiedz, proszę, o twojej podróży. Czy konsultacje okazały się sukcesem?

133

Emile rozpromienił się. Kolejna szansa mówienia o uwielbianej pracy, i to z osobą, która bardzo go kochała, uszczęśliwiała go.

- Tak - przyznał. - Stan pacjentki poprawia się z dnia na dzień. Mojej metody nauczyłem jednego z młodych lekarzy, tak że będzie można kontynuować leczenie tej kobiety, aż całkowicie wróci do zdrowia. - Zmienił nieco temat. - Och, Lucy, kochanie, powinnaś koniecznie zobaczyć Irlandię! To najcudowniejsze miejsce na świecie. Śliczne

miasteczka, zielone wzgórza i ukryte wśród nich malownicze doliny. Owce, które pasą się na łąkach, wyglądają z daleka jak małe, białe kłębuszki wełny. A co za wspaniałe powietrze! Takie, jakie musiało być na świecie jakieś sto... nie, dwieście lat temu. Idealnie czyste. No, i trzeba pamiętać o ludziach. Są nadzwyczaj sympatyczni i przyjacielscy. Większość z nich chodzi na piechotę lub jeździ na rowerach, nie zważając na to, że mogą się ubrudzić. Bardzo by ci się tam podobało.

Lucy posłusznie skinęła głową, aczkolwiek na ten temat miała odmienne zdanie. Nie chciała nigdzie chodzić pieszo ani jeździć rowerem. Miała po dziurki w nosie wiejskiego, prymitywnego życia. Wychowując się na ojcowskiej farmie w stanie Kansas, przez długie lata marzyła o miejskiej egzystencji. Teraz więc, gdy pragnienia

Sharon Sala 295

spełniły się, nie zamierzała porzucić tego lepszego w jej odczuciu życia. Dla nikogo.

Nawet dla Emile'a.

Lucy westchnęła, a potem z uśmiechem przytakiwała mężowi skinieniami głowy, gdy opowiadał z zachwytem o Dublinie. Była osobą mądrą, aczkolwiek od czasu do czasu przychodziło jej na myśl, że Emile nie jest do końca o tym przekonany. Niekiedy rzucał różne uwagi, przygotowując grunt do zaplanowanej przeprowadzki. Ale ona nie zamierzała przenosić się na stałe do żadnego obcego kraju, choćby najpiękniejszego w świecie.

Gdy ujrzała wchodzącego Phillipa, odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że rozmowa przejdzie teraz na inne tory.

- Ojczy, witaj w domu!

Czoło Emile'a przecięła na chwilę pionowa zmarszczka. Nie lubił, gdy mu przerywano. A Phillip musiał przecież widzieć, że jest w trakcie opowiadania.

- Dzień dobry, synu. Dobrze wyglądasz.

- Nic dziwnego, nie jestem chory - niemal odwarknął, z obowiązku cmokając ojca w policzek.

Emile'a zdziwił ostry i niesympatyczny ton głosu Phillipa. Zazwyczaj syn zachowywał się dość potulnie.

Lucy zaczęła miać w palcach rąbek spódnicy i zaśmiała się nerwowo. Boże, jęknęła w duchu, nie pozwól, aby akurat dzisiaj był jeden ze złych dni mego chłopca.

- Phillip ma dla ciebie miłą wiadomość - oznajmiła, a potem uniosła głowę, obdarzając uśmiechem mężczyznę, który w jej życiu zajmował drugie miejsce, niemal równie ważne jak pierwsze. - Synku, opowiedz tatusiowi, co robiłeś.

Phillip spochmurniał. Tę część życia wolał zachować

GROM 296

dla siebie... przynajmniej na razie. Ale matka, jak zawsze, wtrąciła się. Zaczął żałować, że nie powiedział jej o swoich kłopotach, ale szybko odpędził tę myśl. Jeśli nie będzie się mógł na niej oprzeć, nie pozostanie mu już nikt.

- Mów - zachęcił Emile. - Powiedz, co teraz robisz ze swoim życiem.

W głosie ojca przebijało potępienie.

134

- Postanowiłem wykorzystać to, że ukończyłem filologię angielską. Piszę książkę.

Zdziwił ojca tym wyznaniem. Była to jednak dobra wiadomość. Gdy Emile spojrział na syna, przyszło mu do głowy, że to bardzo dobry pomysł. Takie zajęcie może rzeczywiście odpowiadać Phillipowi.

- Dlaczego... ? To świetnie - poprawił się szybko, podniósł z fotela i uściśnął synowi rękę. - Nie będę więc zakłócał spokoju twórczemu umysłowi, pytając, o czym traktuje dzieło.

Jestem pewny, że we właściwym czasie sam nam to powiesz.

Phillip miał ochotę krzyknąć z poczucia głębokiego rozczarowania. Odkąd sięgał pamięcią, stawał na głowie, żeby przypodobać się ojcu. Zrobić coś, co zyska jego uznanie. Marzył o tym, aby w ojcowskich oczach dojrzeć błysk aprobaty, a przede wszystkim zainteresowania.

- Tak. Tata ma rację. Dopiero zaczynam pisać pierwszą, wstępną wersję - wymamrotał.

Emile uśmiechnął się, a potem uczynił coś, co nie zdarzyło mu się od dwudziestu pięciu lat. Objął syna i poklepał po plecach.

Sharon Sala 297

Zrobiłeś to. A teraz nie pozostaje ci nic innego, jak tylko zabrać się naprawdę do pisania, bo w przeciwnym razie znów zadrzesz ze swoim starym.

Błogi uśmiech na twarzy Phillipa przemienił się w wybuch śmiechu. Tak głośnego, że niemal zagłuszył szyderczy, wewnętrzny głos.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jęknęła cicho przez sen i zmieniła położenie ciała. Sully obudził się natychmiast i z bijącym głośno sercem patrzył, jak Ginny odwraca się do niego tyłem. Leżał bez ruchu dopóty, dopóki się nie upewnił, że nie dzieje się jej nic złego, wstał po cichu z łóżka, włożył szorty i opuścił pokój.

Kiedy szedł przez hol, rudobrazowe kafelki, którymi wyłożono podłogę, przyjemnie chłodziły mu stopy. Kierując kroki ku wyjściu, słyszał dobiegające z korytarza słabe, równomierne pochrapywanie Dana.

Był dziwnie podminowany. Nie mógł zasnąć. Nawet po długim kochaniu się z Ginny i osiągnięciu tak gigantycznego orgazmu, jakiego nigdy przedtem nie doznał, nie potrafił się rozluźnić.

Wiedział, dlaczego.

Bez przerwy miał przed oczyma obraz Ginny wpadającej w hipnotyczny trans. Jej pusty wzrok i opadająca jak u szmacianej lalki głowę. Ponadto bezustannie przychodziły mu na myśl Georgia i pozostałe pięć nieszczęsnych ofiar. Z nimi też na początku musiało dziać się podobnie. Tylko że potem usłyszały straszliwy rozkaz, który doprowadził do ich rychłej śmierci.

Sully był zrozpaczony. Mój Boże... co za zdumiewająca tragedia!

Sharon Sala299

W imię czego zginęły te wszystkie kobiety? Co, do diabła, takiego strasznego zrobił im tamten mężczyzna, że po latach postanowił pozbawić je życia? Tak bardzo obawiał się, że coś sobie przypomną? Co to było? Molestował te dziewczynki i pozbawił je niewinności?

135

Sully'ego przeszły ciarki. Już przedtem przyszło mu do głowy, że być może nauczycielem, który prowadził dodatkowe zajęcia, był nie kto inny, lecz sam Edward Fontaine. Było to całkiem możliwe. W przeciwnym razie z grupką najbardziej uzdolnionych dziewcząt zostałby sfotografowany jakiś inny szkolny pedagog.

Otworzył lodówkę i wyciągnął puszkę coli. Wolałby napić się piwa. Dobrego, zimnego, wprost z butelki. Ale nie teraz. Nie w sytuacji, gdy trzeba było skoncentrować wszystkie wysiłki na odnalezieniu mordercy i uratowaniu Ginny.

Sully wyłączył system alarmowy, otworzył drzwi prowadzące do patio i wyszedł na dwór. W pierwszej chwili ogarnęła go ochota zrzucenia szortów i wskoczenia do basenu, ale szybko odrzucił tę myśl. Nie pływał nago od lat. Przypomniały mu się dawne, szczeniące

czasy, kiedy to mieszkał wraz z rodzicami w pobliżu Little Rock i skakał z brzegu do rzeki Arkansas. Razem z bratem spędzali w wodzie wszystkie upalne dni.

Zatęsknił nagle za rodzinnym domem. Od miesiący nie kontaktował się z Joem, a powinien. Sprawa, którą teraz się zajmował, uprzytomniła mu, jak krótkie może okazać się życie. Postanowił, że gdy tylko wszystko się skończy, zadzwoni do brata, choćby po to, aby zapytać,

GROM 300

co u niego słyhać. Miał jeszcze matkę, ale ona już utraciła kontakt z otoczeniem. Nie rozpoznawała nikogo. Dzięki Bogu, ojciec nie dożył chwili, w której zaczęło się to dziać. Sully popatrzył na wodę i usiadł na ogrodowym krzeselku. Chwilę potem od strony zwirowej ścieżki dobiegły go odgłosy kroków.

Obok domu ukazał się Franklin Chee. Widocznie tej nocy trzymał wartę.

- Chcesz coli? - zapytał Sully. - Mamy jej dużo. Franklin odmówił, kręcąc głową.

- Kofeina.

Sully wznosił toast podniesioną do góry puszką:

- Za rozwiązane sprawy i spokojne noce.

- Dobry zestaw słów - uznał Franklin. Sully wypił colę, postawił puszkę obok krzesła i nachylił się, opierając łokcie na kolanach.

- Powiedz mi o Ginny.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Powiedz, jak działa polecenie wydane w hipnozie. Czy coś takiego da się zlikwidować?

- Tak. Nawet sam tego próbowałem, ale przypadek Ginny jest wyjątkowy. Nie jesteśmy w stanie ustalić, co ten człowiek właściwie zrobił, i na ile głęboko polecenie zostało umiejscowione w jej mózgu. Eksperymentując, mógłbym wyrządzić tej kobiecie więcej krzywdy, niż przynieść pożytku.

- Jak w takim razie je usunąć? Franklin wzruszył ramionami.

- Znajdź tego człowieka i każ to zrobić jemu.

Sharon Sala 301

- Jezu - jęknął Sully. - Chyba nie mówisz serio! Szukamy mężczyzny, który spowodował śmierć sześciu niewinnych kobiet, a ty spodziewasz się, że w przypadku tej jednej zrobi coś odwrotnego? Musi istnieć jakiś inny sposób.

- Może istnieje - przyznał Franklin. - Ale ja się na tym nie znam. Musisz gdzie indziej szukać odpowiedzi.

Sully uśmiechnął się krzywo.

- Czy to oznacza, że nie masz pojęcia, co robić?

136

- Tak.

Sully zaśmiał się głośno. Echo poniosło ten dźwięk aż na pustynię. Kojot przerwał pościg za szcurem, a w głębi domu obudziła się Ginny. Przewróciła się na drugi bok i zobaczyła, że jest sama w łóżku.

Czując się niepewnie z dala od Sully'ego, ruszyła nago w stronę drzwi. Dopiero uprzytomniwszy sobie, że dzisiaj nocuje tu Dań, szybko zawróciła i włożyła szlafrok. Idąc korytarzem, usłyszała głos Sully'ego i skierowała kroki w tamtą stronę. Kiedy zobaczyła, że nie jest sam, stanęła za drzwiami w miejscu, w którym panował mrok. Nagle usłyszała wypowiedziane głośno własne imię.

Sully mówił o tym, co przydarzyło się jej tego popołudnia. Miał prawo. Prowadzenie

tego rodzaju dochodzeń było jego zawodowym obowiązkiem, ale mimo to poczuła się w jakimś sensie przez niego zdradzona. Czyżby agenci prowadzili rozmowy za jej plecami? To jasne, przecież to ona była powodem, dla którego tu się znaleźli, musieli więc o niej rozmawiać. Ale czy coś ukrywali? Nie miała pojęcia.

GROM 302

Zaciekawiona, podeszła bliżej, prawie do samych drzwi i zaczęła podsłuchiwać.

- Dań rano wyjeżdża? - zapytał Franklin.

- Tak - odparł Sully. - Zanim poszedł spać, przefaksował do biura wykaz nauczycieli.

Szef ma polecić kilku swoim ludziom podążenie tym tropem.

Franklin milczał, ale Sully czuł, że jego towarzysz nad czymś się zastanawia.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Czytałem, że nie można nikogo zmusić do zrobienia w hipnotycznym transie tego, czego nie uczyniłby w normalnych warunkach, to znaczy gdyby nie został uspijony.

- Co ty wygadujesz? - Sully zeszywniał. - Uważasz, że te kobiety chciały umrzeć? To bzdura! Wiem doskonale, jak pełna życia była Georgia Dudley.

- Powtarzam to, czego dowiedziałem się z różnych naukowych opracowań. Uważam także, że do pokonania ludzkiego instynktu samozachowawczego jest niezbędna niezwykle siła. Przytłaczająca.

W uszach Sully'ego określenie „przytłaczająca” zabrzmiało dziwnie znajomo. Słyszał je już przedtem. Z ust Ginny, bo tak właśnie opisała to, co odczuwała w obecności człowieka, będącego jej nauczycielem. Mówiła o jego „przytłaczającej obecności”. Odnosiła wrażenie, że ma do czynienia z osobnikiem o niezwykle silnej osobowości.

- Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, prawda? - zapytał po chwili Sully.

Franklin zawahał się z odpowiedzią. Ponad ramieniem kolegi rzucił okiem na dom.

Sharon Sala 303

- Tak.

- Masz jakąś konstruktywną propozycję?

- Nie spuszczaaj oka z tej kobiety.

Po odejściu Franklina, który znikł za narożnikiem domu, słowa te jeszcze długo odbijały się echem w głowie Sully'ego.

Ginny przeszły ciarki. Obaj agenci rozmawiali ściszymi głosami, ale mimo to słyszała, o czym mówili. Groziło jej niebezpieczeństwo. Nie było to wprawdzie nic nowego, ale słowa obu mężczyzn wywołały ponownie przypływ przerażenia. Wbiła wzrok w ciemności, spoglądając tam, gdzie znajdował się Sully.

Mimo że znała go krótko, wiele dla niej znaczył. Nie tylko dlatego, że przyszedł jej z pomocą. Nauczyła się nasłuchiwać jego kroków i doceniać poczucie humoru. Potrafił ją

zarówno rozzłościć, jak i doprowadzić do śmiechu. Sprawił, że rzucała mu się w objęcia. Tak bardzo kochała tego mężczyznę, że nie potrafiła jasno myśleć.

Gdy po zakończeniu tej koszmarniej sprawy będzie jeszcze żyła, wówczas uprzytomni Sully'emu, że on także nie potrafi bez niej żyć.

Ginny westchnęła. Jedno było pewne. Jeśli nie dostosuje się do wszelkich poleceń chroniących ją agentów, jej szansa przeżycia będzie bliska zeru.

Zgnębiona wróciła do sypialni, zdjęła szlafrok i położyła się do łóżka.

Po chwili usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi do patio. Zaraz potem odezwał się sygnał oznaczający włączenie systemu alarmowego. Kilka sekund później do sypialni wrócił Sully. Wsunął się pod lekką pościel obok

GROM 304

Ginny. Kiedy otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie, zaczęła łkać.

Plakała cicho.

Łzy stanowiły dla niej jedyną drogę ucieczki.

- Lecę wprost do Waszyngtonu, przebieram się w czyste ciuchy i od razu gnam na Florydę - oznajmił Dan, zbierając się do wyjazdu. - Dziś rano dostałem informację, że w tamtych okolicach zamieszkało po przejściu na emeryturę co najmniej czterech nauczycieli z naszego wykazu. Dowiem się więcej, gdy dotrę na miejsce.

- Czy jest tam także Edward Fontaine?

- Nie miałem go w otrzymanym wykazie - odparł Dan. - Ale niebawem odnajdziemy tego człowieka.

- Co zrobicie, gdy się okaże, że pan Fontaine już nie żyje? - spytała Ginny.

- Wówczas popytamy innych nauczycieli - odrzekł Sully. - Nie martw się. Dań zna się świetnie na swojej robocie.

Ginny złożyła głowę na piersi Sully'ego. Przy nim czuła się bezpiecznie.

- Poinformujesz nas o tym, czego się dowiesz? - spytała Dana.

- Oczywiście, możesz na to liczyć - odparł, a potem] wymierzył palec w Sully'ego. - Nie wolno ci spuszczać oka z tej młodej damy. Jest dla nas niezwykle cenna. W, każdej chwili może mi przyjść ochota na szynkowo-serowe króliki.

Ginny wzniosła oczy ku niebu.

- Jedź i znajdź człowieka, który chce mnie zabić

Sharon Sala 305

a wtedy będziesz mógł wyśmiewać się z moich kulinarnych umiejętności do końca mojego życia, bo będzie długie.

Dań roześmiał się. Wchodząc na pokład śmigłowca, pomachał na pożegnanie ręką.

Sully wciągnął Ginny z powrotem na werandę, osłaniając ją przed chmurą skalnego pyłu i piasku, wznieconą przez obracające się śmigło. Tak długo wpatrywali się w odlatującą maszynę, aż stała się ledwie widoczną na niebie plamką.

Ginny wysunęła się z objęć Sully'ego i odwróciła w stronę domu.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Doprowadzić się do szaleństwa - wymamrotała. -Chcesz pójść ze mną?

Sully ze śmiechem porwał ją na ręce, wniósł do środka i zamknął drzwi.

- Jak daleko mamy iść? - zapytał.

Uśmiechnęła się mimo woli. Stuknęła go w ramię.

- Do sypialni. Potem podam dalszą trasę.

138

- Uosabiasz wszystko, o czym może marzyć mężczyzna. Nie gadasz przez telefon. W łóżku doprowadzasz faceta do szaleństwa. Ale, jak to zwykle bywa, masz jedną drobną wadę... Zważywszy jednak na to, co potrafisz ofiarować, można machnąć na nią ręką.

Ginny doskonale rozumiała, że Sully przekomarza się z nią, ale nie wytrzymała.

- O co ci chodzi?

- Och, słoneczko, przykro mi to mówić, ale czy masz pojęcie, że chrapiesz?

Spodziewała się jakiejś kąśliwej uwagi na temat przyrządzania posiłków, ale Sully zaskoczył ją całkowicie.

GROM 306

- Natychmiast mnie puść - rozzłościła się. - Ja nie chrapię.

- Bardzo mi przykro, ale naprawdę to robisz. Nie wiesz o tym, bo śpisz. Ale postaram

się do tego przywyknąć.

- Przywyknąć? - syknęła. - Nie masz do czego. Wcale nie chrapię. Gdyby tak było, na pewno bym o tym wiedziała.

Na twarzy jej ukochanego mężczyzny nie zadrżał ani jeden mięsień. Sully nadal miał kamienną twarz.

- Niby skąd? - zapytał spokojnie. - Przecież wyjaśniłem ci przed chwilą, że wtedy śpisz.

Zaczęły piec ją policzki. Wiedziała, że poczerwieniały. Niech licho porwie tego typa!

- Nie chrapię - wymamrotała pod nosem. - Gdybym nawet kiedyś zachrapała, wówczas i tak żaden dżentelmen nawet by o tym nie wspomniał - wytknęła Sully'emu urażonym tonem.

Roześmiany, rzucił Ginny na łóżko, przytrzymał nogami Ją i zaczął ściągać z niej przez głowę bawełnianą koszulkę. Zanim zorientowała się, co się dzieje, biustonosz wylądował na ziemi, a jej piersi objął chwyt męskich dłoni.

- A teraz, dziecinko, przyznaj szczerze, że jesteś zadowolona, że nie jestem dżentelmenem.

Nie dał Ginny szansy skomentowania tych słów.

Lucy wyjęła z szuflady kilka równo ułożonych koszul i włożyła je ostrożnie do walizki, wygładzając materiał, mimo że dopiero co w idealnym stanie wróciły z pralni.

- Chciałabym, abyś wyjeżdżał rzadziej - powiedziała do męża. - Byłeś w domu zaledwie dwa dni.

Sharon Sala 307

- Wiem, kochanie, ale to moja praca.

- Oczywiście. Nie powinnam protestować. Zachowałam się jak egoistka. Czy mi wybaczysz? - zapytała z ujmującym uśmiechem na twarzy.

Emile włożył portfel do kieszeni marynarki.

- Nie mam ci czego wybacząć. - Rozejrzał się wokoło, aby się upewnić, że zabrał wszystko, co będzie mu potrzebne.

- Masz bilety? - spytała Lucy.

- S ą w teczce.

- Czy wychodząc rano z domu, wyjąłeś z bankomatu trochę gotówki?

- Nie. Zapomniałem.

- Poczekaj chwilkę. Zejdę na dół. Mam w biurku trochę drobnych.

- Nie fatyguj się. Mogę skorzystać z bankomatu na lotnisku.

139

- Zaraz przyniosę ci pieniądze - oświadczyła Lucy. - Może w tym czasie pożegnasz się z Phillipem?

- Tak, chętnie to zrobię - odparł Emile.

Wyszli razem z pokoju, jedno z nich poszło w prawo, a drugie w lewo. Usłyszawszy nastawioną na cały głos dziwnie brzmiącą muzykę, dochodzącą z pokoju syna, Emile z niezadowolaniem zmarszczył czoło. Zapukał dwukrotnie, a potem zawołał.

- Phillipie, to ja. Masz chwilę czasu? Drzwi otworzyły się z trzaskiem i przez chwilę Emile sądził, że ma przed sobą jakiegoś nieznanego człowieka.

- Czego chcesz?

- Ta muzyka jest bardzo głośna.

GROM 308

- Mnie odpowiada.

Aby dosłyszeć własne słowa, Emile musiał znacznie podnieść głos.

- Synu, czy u ciebie wszystko w porządku? - zapytał. Na twarzy Phillipa ukazał się złośliwy uśmiech.

- O tak, tatuńciu, wszystko gra.

Zaskoczony zachowaniem się syna, w pierwszej chwili Emile miał ochotę domagać się przeprosin, ale coś go przed tym powstrzymało.

- Jadę na lotnisko. Przyszedłem się pożegnać. Phillip roześmiał się drwiąco.

- A to coś nowego, że wybywasz? A więc do widzenia. Goodbye. Adios. Sayonara. Hasta la vista, staruszk.

Swym zachowaniem zaszokował ojca kompletnie. Emile złapał syna za ramię, ale Phillip wyrwał mu rękę, obrócił się i tanecznym krokiem ruszył w stronę ryczącego stereo.

- Phillipie! Musimy porozmawiać! Powinieneś...

Lucy chwyciła męża za rękę, wyciągnęła na korytarz i zamknęła drzwi. Wyglądała dziwnie. Miała oczy rozszerzone z przerażenia i uśmiechała się nerwowo i niepewnie. Jeszcze nigdy Emile nie widział jej w takim stanie.

- Tu masz gotówkę... prawie dwieście dolarów. Pospiesz się, bo nie zdążysz na samolot.

- Z Phillipem dzieje się coś złego - oświadczył Emile.

- Och, kochany, tylko ci się tak wydawało. Włóż od razu pieniądze do portfela, żebyś ich nie zgubił.

- Kiedy on nie jest...

- Wszystko jest w porządku - szybko oświadczyła

Sharon Sala 309

Lucy. - Phillip jest po prostu zmęczony. Całe noce pracuje nad książką. Widocznie musiał odreagować stres.

- Nie. To coś więcej. - Emile dotknął ręki żony. - Nie słuchasz, co mówię. On wyglądał jak obcy człowiek.

- Jeśli nie poznajesz, kochany, własnego syna, musisz częściej i dłużej bywać w domu.

- Pocałowała szybko męża, żeby osłodzić mu cierpką uwagę, a potem wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę schodów. - Chodź, chodź. Zaraz przyjedzie samochód.

Emile niechętnie opuścił dom. Wsiadając do taksówki, nie mógł pozbyć się wrażenia, że zostawia żonę sam na sam z jakimś okropnym, obcym człowiekiem.

Hej, ty... czego tu szukasz? To moje miejsce.

140

Phillip zamrugał gwałtownie oczyma. Ujrzał przed sobą rosłego, ulicznego włóczęgę, wymachującego kijem. Miał ochotę parsknąć śmiechem na widok tej zdumiewającej sytuacji, ale właśnie w tej chwili uprzytomnił sobie, że opiera się na pojemniku ze śmieciami. Cofnął ręce tak szybko, jakby się oparzył, i wtedy spostrzegł, że ma dłonie pokryte grubą warstwą brudu. Przyjrząwszy się bliżej, spostrzegł na nich także zaschniętą krew. Dostał dreszczy. Ta kobieta to zwykły śmieć. Wsadziłem ją tam, gdzie być powinna.

Phillip drgnął gwałtownie i zaczął jęczeć.

- Och, mój Boże, mój Boże, co ty zrobiłeś? A czy ma to jakieś znaczenie? Czy w ogóle coś się jeszcze liczy?

Phillip bał się, ale musiał się upewnić. Chwycił za krawędź pojemnika i zajrzał do środka.

GROM 310

. Odetchnął z ulgą. W środku były tylko śmieci.

Nie tutaj, kretynie. Nie przejmuj się. Nikt nigdy jej nie znajdzie.

Zgiął się wół i zwymiotował.

Stary włóczęga zatkał nos i zaczął wycofywać się tyłem.

- Ale z ciebie świnia. Zanieczyściłeś moje miejsce. Dla paru puszek nie zamierzam wachać tego smrodu. Odchodzę.

Phillip opróżnił żołądek do końca. Wyprostował się. Oddychał z trudem. Jeszcze raz rozejrzawszy się wokoło, na chwiejnych nogach zrobił kilka kroków, a potem odwrócił się i zaczął biec.

Dopiero gdy znalazł się na ulicy, uprzytomnił sobie, że nie wie, gdzie jest. Musiał dostać się do domu. Umyć się i jak najszybciej zapomnieć o tym, co się stało.

Poklepał się po kieszeniach spodni i kiedy poczuł pod palcami klucze, odetchnął z ulgą. Samochód. Gdzie go zaparkował?

Ruszył przed siebie.

Idioto, nie w tę stronę. Nic nie umiesz zrobić jak należy.

Phillip obrócił się na pięcie i długim, nerwowym krokiem zaczął iść w przeciwnym kierunku. Gdy przeszedł kawał drogi, uspokoił się i uznał, że wszystko będzie dobrze. Nagle po drugiej stronie ulicy ujrzał własny samochód. Nie patrząc na boki, jak szalony wybiegł na jezdnię. Usłyszał przeraźliwy odgłos klaksonu. O mały włos, a dostałby się pod koła przejeżdżającego auta. Staął.

- Patrz, dokąd idziesz! - krzyknął kierowca, którego

Sharon Sala 311

samochód otarł się o Phillipa, następnie wyminął go, dodał gazu i szybko odjechał.

Wystraszony Phillip odetchnął głęboko i zanim ponownie wszedł na jezdnię, popatrzył uważnie w obie strony. Chwilę później wsunął się za kierownicę i szybko zablokował wszystkie drzwi. Wnętrze wozu przedstawiało opłakany widok. Na siedzeniach wały się butelka po whisky i opakowania po prezerwatywach.

- Przynajmniej nie umrę na aids - wymamrotał Phillip pod nosem, włączył silnik i ruszył.

Gdy dojechał do domu, był już znacznie spokojniejszy. Wiedział, że tak dalej nie może być. Postanowił coś z tym zrobić.

Znalazłszy się na podjeździe, zauważył brak samochodu matki. Odetchnął z ulgą.

Będzie miał czas jakoś się oporządzić. I wymyślić powód nieobecności. Powie, że zbierał materiały do swojej książki. Tak, to było dobre wyjaśnienie. Powinno wystarczyć.

141

Wyskoczył z wozu i jak szalony wpadł do domu, chcąc jak najszybciej zmyć z siebie brud. Biegając, zastanawiał się, jak długo tym razem go nie było. Chwycił poranną gazetę. Spojrzawszy na datę, odetchnął z ulgą. Był nieobecny tylko przez jedną noc. A więc wczoraj wieczorem nie wrócił do domu. Nic strasznego. Był przecież mężczyzną, a nie dzieckiem. Nie musiał meldować matce o każdym wyjściu.

Dobiegł do własnego pokoju. Otworzył drzwi i zatrzymał się w pół kroku. Wszystko było zdewastowane. Po podłodze wały się strzępy ubrań i szczątki rozbitego komputera.

GROM 312

- Nie... tylko nie książka! - jęknął, padając na kolana.

Nie rób niczego beze mnie. To ja jestem tu panem.

- Łajdaku. Ty śmierdzący, wredny łajdaku - krzyknął Phillip i zaczął bić się po głowie.

- Mówiłem ci, żebyś się ode mnie odczepił!

Lucy wjechała na podjazd. Na widok samochodu syna mocniej zabiło jej serce.

Wrócił! Zostawiwszy torby z zakupami na tylnym siedzeniu wozu, wpadła do domu. Zanim zdążyła dobiec do schodów, usłyszała przeraźliwe krzyki Phillipa. Stawiając nogę na pierwszym stopniu, pomyślała z ulgą, że sprzątaczką ma wolny dzień. Nie chciała, aby ktoś wiedział o tym, co dzieje się z jej synem. Znalazłszy się na piętrze, rzuciła się pędem w stronę jego pokoju. Słyszała teraz odgłos rozbijanego szkła i niemal zwierzęcy krzyk.

Lucy przycisnęła ręce do piersi i z trudem opanowała nagłą chęć ucieczki. Ale chodziło o syna. Bez względu na to, co się działo, była mu potrzebna.

Jednak na widok tego, co zobaczyła, otworzywszy drzwi, zamarło jej serce.

- Och, nie! Coś ty zrobił, na litość boską? Phillip odwrócił się w stronę matki. Dyszał ciężko. Cały brudny, ubranie miał w strzępach.

- Musiałem zatrzymać go, zanim będzie za późno. Phillip odepchnął Lucy i wybiegł do holu.

- Kogo? - wykrzyknęła, podążając za synem. Nie zdołała go dogonić. Był już u dołu schodów i wbiegał do salonu.

Sharon Sala 313

- Phillipie! Natychmiast zatrzymaj się! Poczekaj! Musimy porozmawiać!

Nie odpowiedział. Przeżona Lucy, potykając się, zaczęła zbiegać po schodach.

Byłaby upadła, gdyby obydwoma rękami nie przytrzymała się balustrady. Zanim dotarła do salonu, zawartość szuflady w kredensie leżała porozrzucana po podłodze.

- Phillipie, synku kochany, co ty...

Trzymał w ręku nóż.

Boże! Lucy jęknęła w duchu. Nie udało się zastosowana przez nią terapia. Działo się coś złego. Zaraz powinien zjawić się Emile. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że męża nie ma w domu. Zawsze, gdy go potrzebowała, był nieobecny.

Nabrała głęboko powietrza i wyciągnęła rękę do Phillipa.

- Synku kochany, podaj mamie ten nóż. Jest bardzo ostry. Nie chcesz przecież się skaleczyć. Wybuchnął śmiechem.

- Mylisz się - oznajmił, przykładając ostrze noża do nasady szyi. - Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. Musi się skończyć.

Popchnął mocniej nóż, który wbił się w ciało na tyle głęboko, że z ostrza spłynęła kropla krwi.

- Nie! - krzyknęła Lucy, padając na kolana. - Synku, kochany, przestań. Wszystko uda się nam naprawić. Pomogę ci, przysięgam.

142

Z oczu Phillipa popłynęły łzy, zostawiając na jego brudnej twarzy jasne smugi.

- Mamo, nie dasz rady. Sam potrafię z tym się uporać.

GROM 314

To się dzieje od kilku tygodni. Z dnia na dzień coraz bardziej się upewniam, że nie mam innego wyjścia.

Lucy zamarła. Przypomniała sobie o taśmie. Od kilku tygodni Phillip słuchał nagrania Emile'a.

- Miało ci pomóc - wyszeptwała.

- Co takiego? O czym ty gadasz? - Phillip wpadł we wściekłość. - A zresztą nie mów! Nie chcę wiedzieć. Teraz to ja jestem panem sytuacji.

Nie rób tego!

Panika przebijająca w wewnętrznym głosie wywołała u Phillipa jedynie przyływ adrenaliny.

- Teraz ty błagaj mnie o litość! - wykrzyknął, machając nożem w powietrzu.

Lucy wtuliła się w kąt pokoju, pewna, że zaraz czeka ją śmierć.

- Kocham cię, synu - szeptała. - Przestań. Przestań, zanim będzie za późno.

Kretynie, posłuchaj matki. Ona cię kocha. Chcesz, żeby przez ciebie płakała?

- Chyba nie - odparł Phillip i zaraz potem zaczął chichotać. - Ale i tak jej płacz będzie znacznie cichszy niż twoje gadanie.

Wbił nóż głębiej, przecinając tętnicę. Trysnęła krew. Zalała kredens, stół, podłogę, a nawet twarz Lucy. Uśmiech na twarzy Phillipa zgasł prawie tak szybko, jak życie w jego oczach. Osunął się na kolana, a potem padł twarzą w przód, z przebitą na wylot szyją.

Lucy dotknęła wilgotnej twarzy. Pełnymi przerażenia oczyma popatrzyła na świeżą krew, jaka znalazła się na jej palcach, i zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Sharon Sala 315

Jej krzyk zaalarmował sąsiadów. To oni wezwali policję.

Uporządkowany świat Lucy Karnoff w jednej chwili przestał istnieć. Zachowywała się jak oszalała. Nie potrafiła wyjaśnić, co się stało. Zawieziono ją do szpitala, gdzie otrzymała środki uspokajające, a służby porządkowe wszczęły rozpaczliwe poszukiwania jej męża.

Tymczasem Emile napawał się jeszcze jednym zwycięstwem. Miasto Santa Fe w stanie Nowy Meksyk przyjmowało go jako gościa honorowego Krajowego Zjazdu Lekarzy. Było to ogromne wyróżnienie. W błyskawicznym tempie jego notes wypełnił się terminami konsultacji i wizyt w szpitalach, o które zwracano się do niego ze wszystkich stron.

Emile starał się nie myśleć o problemach, które, jak podejrzewał, czekały go w domu.

Sytuacja, w jakiej się znajdował, wymagała pewnych poświęceń dla dobra ogółu. Czekало go jeszcze mnóstwo pracy. Musiał nauczyć lekarzy stosowania odkrytych przez siebie genialnych metod uzdrawiania.

Emile Karnoff znał wartość swego epokowego odkrycia.

Był to jego wkład w rozwój ludzkości.

143

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ginny stała na końcu trampoliny. Czekala, aż Sully, który był w wodzie, oddali się na bezpieczną odległość. On jednak zatrzymał się w połowie drogi i odwrócił, namawiając ją gestem do skoku.

- Odpłyn! - zawołała. - Jesteś za blisko.

- Nie jestem.

Wartę pełnił Webster Chee. Stał teraz oparty o ścianę. Broń i kabura kontrastowały z białą koszulą z krótkimi rękawami. Po chwili z wnętrza domu wyszedł Kevin Holloway, niosąc dwie puszki coli. Miał na sobie szorty i rozpiętą bawełnianą bluzę. Franklin Chee pewnie odsypiał ostatnią wartę. Ginny zaczynała powoli przyzwyczajać się do tego, że jest pod stałą opieką agentów, mimo to jednak ich obecność zakłócała wakacyjną atmosferę panującą nad basenem.

- Skacz, Ginny. Szukasz wymówek? Boisz się?

- Nie.

Zaraz potem nabrała dużo powietrza do płuc, ale zamiast wykonać spokojny skok, odbiła się od deski najwyżej, jak tylko mogła, i jak kula wpadła do basenu tuż obok miejsca, w którym czekał Sully. Przed pójściem pod wodę zdążyła zobaczyć jego zaskoczoną minę i wiedziała, że zdobyła duży punkt.

Sharon Sala 317

Chwilę później poczuła na plecach czyjeś ręce. To Sully wyciągał ją na powierzchnię.

Wynurzyła się roześmiana.

- Uważasz to za dobry dowcip? - zapytał z kwaśną miną.

Udawał zagniewanego. Ginny roześmiała się ponownie, objęła go za szyję i pozwoliła wynieść się na brzeg basenu.

Gdy tylko tam się znalazła, Kevin Holloway podał jej ręcznik. Spojrzał na Sully'ego.

- Załatwiła cię - stwierdził.

Sully uśmiechnął się krzywo. Kevin, najmłodszy z trójki agentów, nie potrafił ukryć, że jest pod wpływem uroku Ginny.

- To fakt - przyznał Sully i wyszedł z wody. Dostrzegł zbliżającego się do nich Webstera. - Jeśli któryś z was ma ochotę popływać, żeby trochę się ochłodzić, chętnie zastąpię go na warcie.

- Dziękuję, ale nie skorzystam. Rozkaz to rozkaz. Popływałem trochę wczoraj wieczorem, przed pójściem spać - odparł Kevin. Spojrzał na Webstera. - Idę na obchód terenu.

Webster skinął głową, a potem wypił łyk coli. Ginny wyciągnęła się na leżaku i zamknęła oczy. Zakryła twarz ręcznikiem, żeby osłonić ją od słońca.

Sully właśnie suszył włosy, gdy odezwała się jego komórka. Sięgnął do stolika nad brzuchem Ginny. Usłyszał głos Dana:

- Cześć, Sullivan. Mam dla ciebie nowe wiadomości. Nie są dobre.

GROM 318

- O co chodzi?

- Znaleźliśmy Fontaine'a.

- I...?

- Nie żyje.

144

- Cholera.

- To jeszcze nie wszystko.

Sully zacisnął szczękę, jakby przygotowywał się na odebranie ciosu.

- Nie żyje - powtórzył Dan - ale od niedawna. Jakiś tydzień temu poszedł na poranny spacer, co robił regularnie od dwudziestu lat, tylko że tym razem zleciał z moła. Mimo że jest tam wysoka barierka.

- Kiepskie miejsce do skakania do wody - mruknął Sully. - Byli jacyś świadkowie?

- Zabawne, że mówisz o skakaniu - powiedział Dan. - Ludzie, którzy znali dobrze Fontaine'a, twierdzą, że nigdy nie nauczył się pływać.

Ramiona Sully'ego pokryła nagle gęsia skórka.

- Masz na myśli to samo, co ja? - zapytał nieswoim głosem.

- Tak. Przeszukaliśmy jego dom. Wszystko znajdowało się w idealnym porządku.

Telefon wisiał na widelkach i są świadkowie, którzy widzieli Fontaine'a, idącego na moła. Jak zwykle, zatrzymał się na krótką pogawędkę i zachowywał się normalnie. Nie był w żadnym transie. Jeśli jego śmierć jest następstwem tego, co stało się tym kobietom, to najwyraźniej ktoś pomógł mu przenieść się na tamten świat.

- Zlokalizowaliście któregoś z pozostałych nauczycieli?

Sharon Sala 319

- Wszystkich oprócz dwóch. Jeden zmarł, a drugi ma Alzheimera. Ci, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że raz w tygodniu przyjeżdżał jakiś mężczyzna prowadzący dodatkowe lekcje, ale nie zapamiętali, ani jak się nazywał, ani nawet jak wyglądał. Po skończonych zajęciach ten człowiek zawsze od razu opuszczał szkołę.

- No, to wiemy bardzo dużo - drwiącym tonem warknął Sully i z telefonem przy uchu zaczął przechadzać się nerwowo nad brzegiem basenu.

Ginny ściągnęła ręcznik z twarzy i usiadła.

- O co chodzi?

Sully był zbyt zaprzętnięty rozmową, aby jej odpowiedzieć.

- Nie ma nikogo innego z tej szkoły? Jakiegoś woźnego lub kucharki? Przecież na tym nie może urwać się ślad! Ktoś musi coś pamiętać!

Dań westchnął.

- Szukamy dalej. Zjrzyj do tej pamiątkowej książki i zwróć uwagę, że nie ma w niej żadnych fotografii personelu pomocniczego szkoły. Dziś będziemy ponownie przesłuchiwać dwóch nauczycieli. Może jednak pomogą zdobyć nam jakieś nowe nazwiska, ale to mało prawdopodobne. Z tego, co słyszeliśmy, wynika, że większość pracowników szkoły Montgomery'ego była już wówczas w wieku przedemerytalnym, a działo się to dwadzieścia lat temu. Zapewne nikt z nich już nie żyje. W każdym razie jeśli czegoś się dowiem, od razu dam ci znać. Czy to ci odpowiada?

- Musi - mruknął Sully, wyłączając telefon. Ginny podniosła się z leżaka.

Dostrzegłszy napięte ramiona Sully'ego, domyśliła się, że usłyszał jakieś niezbyt dobre nowiny.

GROM 320

Sharon Sala321

- Nie udało się znaleźć pana Fontaine'a, mam rację?

- zapytała.

- On nie żyje.

145

- Och, to rzeczywiście źle - stwierdziła ze smutkiem.

- Musiał być już bardzo stary. Należało się tego spodziewać.

- Jakies dziesięć dni temu wyłowiono Fontaine'a z oceanu. Wygląda na to, że zapomniał, że nie umie pływać, i skoczył z mola do wody.

Żeby nie krzyknąć z rozpaczy, Ginny zakryła dłonią usta. Kiedy Sully objął ją, zaczęła płakać.

- Ten człowiek zabija wszystkich. Znajdź także mnie. A kiedy to zrobi, będę bezradna.

- Nie zdarzy się nic takiego - zapewnił Sully. - Pamiętaj, że obiecałem ci to? -

Poczuł, że Ginny zadrżała.

- Popatrz na mnie.

Przez jej ciało przepłynęła fala spokoju. Gdy kochali się po raz pierwszy, Sully użył tych samych słów. Prosił, żeby na niego spojrzała. Podniosła wzrok i ujrzała przed sobą przepelnione miłością męskie oczy.

- Patrzę.

- Co ci przyrzekłem?

- Że nie pozwolisz mi umrzeć.

- Tak właśnie powiedziałem. Nie zapominaj o tym.

- Dobrze.

Pogłaskał ją po ramionach, a potem pocałował lekko.

- Dziecinko, za długo jesteś już na słońcu. Skończ z tym opalaniem. Wrócimy nad wodę po zachodzie słońca.

Ginny skinęła głową, wzięła ręcznik i weszła do domu.

Gdy tylko zniknęła z pola widzenia, Sully podszedł do Webstera. O tym, co się stało, musiał niezwłocznie poinformować pozostałych agentów, tak aby zdwoili czujność. Nie miał pojęcia, jak jeszcze długo uda się utrzymać w tajemnicy miejsce pobytu Ginny. Kolacja odbywała się w niewesołym nastroju. Ginny jadła niewiele, a Sully'emu stawał w gardle każdy kęs. Nie potrafili rozmawiać o niczym, a dyskusowanie o tym, co się stało, było zbyt bolesne. W końcu Ginny zanosła swój talerz do zlewu, wyrzucając po drodze resztki jedzenia do śmieci.

- Przepraszam - powiedziała. - Było dobre, ale nie miałam na nic ochoty.

- W porządku, słoneczko. Dostaliśmy dziś przykre wiadomości, ale to jeszcze nie koniec świata. Może pooglądasz trochę telewizję? Znajdź jakiś dobry program. Posprzątam i zaraz do ciebie dołączę.

- Posprzątam razem, a potem razem obejrzymy sobie jakiś program.

- W porządku.

Sully także nie miał apetytu, wyrzucił więc z talerza resztki swojego jedzenia, a Ginny sprzątnęła ze stołu. Potem uruchomił zmywarkę, a ona włożyła brudną odzież do pralki. Dla kobiety uciekającej przed śmiercią wszystkie te zwykłe, domowe czynności stwarzały wręcz intymną, odprężającą atmosferę.

Chwilę potem zasiedli na kanapie. Ginny przerzucała

GROM 322

stronice jakiegoś magazynu, który zdążyła już przeczytać dwukrotnie, podczas gdy Sully pilotem wciąż zmieniał kanały.

- Która godzina? - zapytał. - Zostawiłem zegarek na nocnym stoliku.

Ginny nachyliła się, żeby odczytać wskazania zegara, stojącego po drugiej stronie pokoju.

146

- Dochodzi dziesiąta. Obejrzyjmy wiadomości. Skoncentrowałam się tak bardzo na własnych sprawach, że nie mam pojęcia, co się dzieje na świecie.

Sully włączył właściwy kanał. Na ekranie telewizora ukazało się dobrze znane logo krajowej sieci informacyjnej.

- Akurat się zaczynają - stwierdził.

Ginny odłożyła magazyn i podciągnęła pod siebie nogi. Sully uśmiechnął się do siebie. Już kilkakrotnie widział, jak to robi i za każdym razem nie mógł się nadziwić, w jaki sposób taka wysoka dziewczyna potrafi zwinąć się w tak małą kulkę.

Usłyszeli głos prezentera:

- Zaczynamy od wiadomości krajowych. Laureat przyznanej niedawno w dziedzinie medycyny Nagrody Nobla, doktor Emile Karnoff, jest gościem Krajowego Zjazdu Lekarzy, odbywającego się w Santa Fe. W przeciwieństwie do starszych kolegów po fachu, młodsze lekarskie pokolenie fascynuje się wynalezioną przez laureata rewolucyjną metodą używania hipnozy jako narzędzia uzdrawiania. Doktor Karnoff wrócił niedawno z Irlandii, gdzie jego metoda zmieniła całkowicie los skazanej na śmierć młodej kobiety, umierającej na raka.

Na ekranie ukazał się Emile Karnoff. Wychodząc z hotelu, pomachał reporterom i wsiadł do samochodu.

Sharon Sala 323

. Widok tego człowieka dziwnie zainteresował Ginny. Pochyliła się w kierunku ekranu, umieściła łokcie na kolanach i podparła podbródek.

Sully zauważył, że jest poruszona. Przez chwilę pomyślał, że na widok laureata Nagrody Nobla odżył jej reporterski instynkt i że pewnie chciałaby już wrócić do swojego

dawnego życia.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o twojej pracy - powiedział. - Z pewnością miałaś do czynienia z niezwykle interesującymi ludźmi. Przeprowadzałaś wiele ciekawych wywiadów. Kogo wspominasz najlepiej?

- Sully, ja...

Na ekranie telewizora ukazał się inny obraz. Był to fragment wystąpienia doktora Emile'a Karnoffa na zjeździe w Santa Fe.

- Zrób głośniej!

Sully'ego zaskoczył ostry ton głosu Ginny. Bez słowa wziął do ręki pilot i wyceLOWał w ekran. Po chwili rozległ się w pokoju głęboki, dźwięczny głos laureata Nagrody Nobla.

- ...długotrwałe badanie ludzkiego umysłu. Jak wiadomo, posługujemy się jedynie bardzo niewielką częścią cudownego mechanizmu, jakim jest mózg, w który wyposażył nas Bóg...

- Znam tego człowieka. Ja go znam.

Sully spojrzał na Ginny i na jej widok przeszły go ciarki. Mówiła głosem niemal dziecięcym, siedziała z zamkniętymi oczyma, wsłuchując się pilnie w padające z telewizora słowa mówiącego mężczyzny.

GROM 324

Och, do diabła!

- Ginny?

- Czujesz tę moc?

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Jaką moc?

- W głosie tego człowieka. Ja go znam.

147

- Nic dziwnego. Od kilku miesięcy ciągle pokazują Karnoffa w telewizji. Nie codziennie amerykański uczoney dostaje Nobla.

Z nadal zamkniętymi oczyma Ginny kiwała się w przód i w tył. Drżały jej ręce.

- Ja go znam.

Sully'ego ogarnęła panika. Zerwał się z kanapy i pobiegł do kuchni, gdzie zostawił walkie-talkie. Nacisnął przycisk i powiedział:

- Franklin! Mówi Sully. Jesteś mi potrzebny.

Gdy wrócił do salonu, młody agent stał już w drzwiach, z bronią wyciągniętą z kabury.

Sully potrząsnął głową i wskazał gestem kanapę. Franklin schował pistolet i podszedł do Ginny. Jak dziecko kołysała się w przód i w tył, z zamkniętymi oczyma i rękoma złożonymi na kolanach.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

- Przed chwilą.

- Wiesz, co spowodowało tę reakcję?

Sully wskazał ekran telewizora. Właśnie znikają ostatnie obrazy Emile'a Karnoffa i prezenter przeszedł do następnych wiadomości.

- Kto to był? - spytał Franklin.

- Emile Karnoff. Lekarz, który...

Sharon Sala 325

- Dostał Nagrodę Nobla za wykorzystanie hipnozy do uzdrawiania chorych - uzupełnił Franklin.

Popatrzyli wymownie na siebie, a potem na Ginny. Franklin położył rękę na jej kolanie.

- Ginny?

- Słucham, profesorze.

Na dźwięk własnego głosu drgnęła nerwowo i zaraz potem otworzyła oczy. Zobaczyła przed sobą młodego agenta.

- Ach, Franklin, to ty. Przez chwilę sądziłam, że to ktoś inny.

- Słodki Jezu! -jęknął Sully, kiedy dotarło do niego znaczenie tej dziwnej sceny. Przez cały czas szukali jakiegoś nauczyciela. A jeśli był nim... ?

- Ginny, dokąd się wybierasz? - ni stąd, ni zowąd spytał Franklin.

Było widać, że kręci się jej w głowie. Nadal siedząc, spojrzała na Sully'ego, jakby prosząc o wskazówki. Miała lekko zamglone oczy.

- Czy dokądś idziemy? Sully jęknął.

- Do diabła, Franklin, powiedz, że to nieprawda. Agent wzruszył ramionami.

- Nie mogę. Nie mam pojęcia, co widzieliście, i dlaczego Ginny wpadła w trans.

Zadzwoń do Dana czy powinienem zrobić to sam?

Zakryła twarz rękoma.

W jednej chwili znalazł się przy niej Sully.

- Wszystko dobrze, dziecinko. Byłem przy tobie przez cały czas. Nic ci się nie stało.

GROM 326

Odepchnęła go ze złością.

- Nic? Przecież straciłam kontakt z rzeczywistością! Franklin podniósł się z miejsca.

- Pójdę zadzwonić do Dana.

- Skorzystaj z telefonu w kuchni - zaproponował Sully.

148

Młody agent poklepał się po kieszeni.

- Mam swój. Zaraz wrócę. Wyszedł, zostawiając Ginny z Sullym.

- Dlaczego to się stało? - chciała się dowiedzieć. -Przecież nie odtwarzałeś teraz taśmy, więc... ?

- Nie pamiętasz?

- Nie pamiętam. - Ginny poderwała się z kanapy. -Na litość boską, przecież oglądaliśmy wiadomości, a potem... - Zmarszczyła czoło i zaczęła wpatrywać się w podłogę, starając się przypomnieć sobie przebieg ostatnich wydarzeń. - A potem... potem mówili o lekarzu, laureacie Nagrody Nobla. Mam rację?

Sully potwierdził skinieniem głowy.

- Co jeszcze zapamiętałaś?

Ginny zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju.

- Pokazali jakiś wycinek filmu... i mówiliśmy o... o... - Spochmurniała. - Pamiętam dopiero to, że zagadał do mnie Franklin. Co robiłam? Co usłyszałam?

- Usłyszałaś słowa jakiegoś mężczyzny. Powtarzałaś, że go znasz, ale w ogóle nie patrzyłaś w ekran, słoneczko. Wsłuchiwałaś się tylko w dźwięk jego głosu.

- A potem?

- Potem nazwałaś go profesorem.

Pod Ginny ugięły się nogi. Sully złapał ją w ostatniej chwili, bo upadłaby, i zaniósł do łóżka.

Sharon Sala 327

Zakryła twarz i zaczęła płakać. Cichutko. Jak małe, bezradne dziecko. Sully usiadł

przy niej. Wprost kroilo mu się serce.

- Odezwiij się do mnie, dziecinko. Nie bój się, nic ci się nie stanie. Jesteś twarda. Widziałem, co potrafisz i na co cię stać. Nie możesz się poddawać. Porozmawiaj ze mną, bardzo proszę.

- Rozlatuję się na kawałki. Najpierw pod wpływem jakiegoś nagrania, a teraz czegoś tak zwykłego, jak dźwięk ludzkiego głosu. Co będzie dalej? Jak ja sobie z tym wszystkim poradzę? Będę bała się usiąść za kierownicą w obawie że, usłyszawszy jakiś skądinąd normalny dźwięk, stracę kontakt z rzeczywistością. Nie mogę dalej wykonywać swojego zawodu, bo boję się wziąć słuchawkę telefonu do ręki. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, i nie widzę sensu powrotu myślami do dawnych czasów. Byliśmy wówczas małymi dziećmi. Sully, miałyśmy zaledwie po sześć lat. Co uczynił nam ten człowiek? Mój Boże... co on takiego zrobił?

Sully położył się na łóżku i przyciągnął do siebie Ginny.

- Jeszcze nie mamy pojęcia, słoneczko, ale się dowiemy. A tobie nic się nie stanie. I koszmar się skończy. A zanim to nastąpi, będę bez przerwy przy tobie.

Wtuliła twarz w pierś Sully'ego i wreszcie pozwoliła sobie na słabość. Bolała nie tylko nad swoim losem, ale także Georgii, Emily, Jo-Jo, Lynn, Frances i młodej nauczycielki o imieniu Allison. Opłakiwała ich tragiczny koniec, bo, jako jedyna, pozostała przy życiu i mogła

GROM 328

robić to tylko ona. Zatopiona w bezdennym smutku, zaczęła usypiać.

Chwilę później zadzwonił telefon. Sully wysunął rękę spod głowy Ginny i włączył aparat.

- Tu Sullivan. - Starał się mówić jak najciszej.

149

- Dostałem wiadomość od Franklina. Musimy pogadać - oznajmił Dan.

- Poczekaj chwilę - powiedział Sully. - Ginny śpi. Przejdę do innego pokoju.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na łóżko, aby się upewnić, że Ginny rzeczywiście odpoczywa, poszedł do salonu.

- Możesz już mówić - powiedział do Dana.

- Najpierw chcę wiedzieć, w jakim ona jest stanie.

- Rozleciała się całkowicie - odparł zgnębiony Sully, przegarniając palcami włosy. -

Ta bezsilność jest okropna. Zamiast siedzieć i czekać, wolałbym razem z tobą szukać tego łajdaka, żeby skrócić mu kark.

- Co sądzisz o jej reakcji na Karnoffa? - zapytał Dan.

- Żebym to ja wiedział? Powinieneś ją wtedy sam zobaczyć. A kiedy przyszedł Franklin i zaczął ją budzić, zdążyła jeszcze nazwać go profesorem. - W bezsilnej złości Sully rozwartą dłońią wałnął w ścianę. - Profesorem! Przez cały czas szukaliśmy zwykłego szkolnego nauczyciela. A jeśli się myliliśmy? Co się stanie, jeśli tamten człowiek kazał tak zwracać się do siebie tym nieszczęsnym dzieciakom, żeby zakamuflować to, co z nimi robi?

- Jak sądzisz, co z nimi robił? - spytał Dań.

- A skąd mogę wiedzieć? - warknął Sully. - Ale

Sharon Sala 329

nadal ma niszczący wpływ na Ginny, która ledwie żyje. Weź z kilku telewizyjnych stacji jakieś urywki taśm, na których jest zarejestrowany głos Karnoffa, i przywieź je tutaj. Musimy się upewnić, czy nikt nie podszywa się pod tego człowieka. Ale klnę się na Boga, że jeśli ta dziewczyna zareaguje na nagrania, zażądam wnikliwego zbadania przeszłości

skurczybyka. Chcę wiedzieć, gdzie przebywał w roku 1979. A także to, co zrobił i komu. Chcę wiedzieć nawet to, ile razy spał z własną żoną.

- To wszystko? - z lekką ironią w głosie zapytał Dan.

- Zagalopowałem się, przepraszam. To przecież twoja sprawa, ale Ginny jest moją...

Sully urwał. Właściwie czym dla niego była? Wiedział tylko jedno: że ją kocha.

- Nie skończyłeś zdania - zwrócił mu uwagę Dan. - Nie chcesz czy nie wiesz, jak?

- Powiedzmy, że bez tej dziewczyny nie interesuje mnie własna przyszłość - wymamrotał nieskładnie.

- Rozumiem. Przylecę za kilka godzin. Zlecę tylko sprawdzenie Karnoffa i zdobędę jakieś filmy z tym facetem.

Dan przerwał połączenie. Sully rzucił aparat na kanapę i wyszedł na dwór. O tak późnej porze powinny panować tu egipskie ciemności, ale księżyc był w pełni i jego światło rozjaśniało pustynne piaski, powietrze wydawało się być zawieszane między dniem a zmierzchem.

Z trudem rozpoznał sylwetkę jednego z braci Chee, siedzącego nieruchomo na niewielkiej skale. Po żwirowej ścieżce przebiegła mała jaszczurka, która po chwili znikła między dwoma niskimi, pękatymi kaktusami, kontrastu-

GROM 330

jącymi z porozrzuconymi po całej okolicy wysokimi, dostojnymi saguaros. W porównaniu z pokrytymi soczystą, bujną zielenią górami ze spływającymi z nich malowniczymi potokami, wśród których dorastał, tutejszy pustynny krajobraz nieodparcie kojarzył się Sully'emu z powierzchnią Księżyca.

Jako że podczas chodzenia myślało mu się lepiej, wsunął ręce do kieszeni i ruszył na tyły posesji.

150

Na świecie działy się dziwne rzeczy. Czy to możliwe, żeby Emile Karnoff, geniusz wyniesiony niedawno na najwyższy piedestał, naukowiec, który zostanie zapewne obwołany człowiekiem roku, był zamieszany w coś tak haniebnego? Gdyby oparli się wyłącznie na reakcjach Ginny, już mogliby przypisać mu winę. Należało jednak zbadać wiele innych faktów. Na podstawie rejestrów telefonicznych rozmów ustalić miejsce ich pochodzenia. Sprawdzić, czy wyjazdy Karnoffa z domu zbiegały się z datami śmierci Georgii i Edwarda Fontaine'a. Tę część śledztwa Sully musiał pozostawić Danowi. Do niego samego należała opieka nad Ginny. Zadbanie, aby przetrzymała to wszystko zarówno fizycznie, jak i psychicznie dopóty, dopóki nie zostaną sformułowane konkretne oskarżenia.

A potem...

Sully zatrzymał się, przeniósł wzrok ponad powierzchnię wody w basenie i zaczął wpatrywać się w pustynny pejzaż. Co potem? Czy Ginny będzie miała serdecznie dość wszystkiego, co wiąże się z tą koszmarną sprawą, nie wyłączając jego osoby? A może jej uczucia do niego przetrwają dłużej?

Sharon Sal 331

Mógł tylko łudzić się nadzieją. Kiedy Ginny mdlała dzisiaj w jego ramionach, był tak przerażony, jak jeszcze nigdy. Miał ochotę porwać ją i uciec, bez oglądania się na cokolwiek. Gdyby tylko zechciała, spędziłby z nią resztę swego życia, uważając się za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem. Dopóki jednak nie odkryją mrocznej tajemnicy i morderca nie znajdzie się w rękach wymiaru sprawiedliwości, nie pozostawało mu nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Emile właśnie przyrządzał sobie drinka, kiedy usłyszał pukanie. Odstawił szklanekę i

podszedł do drzwi, przyglądając po drodze włosy. Na progu stał dyrektor hotelu w towarzystwie funkcjonariusza policji.

- Doktor Karnoff? Emile Karnoff z Bainbridge w stanie Connecticut?

Zaskoczony obecnością przedstawiciela służb porządkowych, Emile uśmiechnął się nerwowo do dyrektora hotelu, a potem skinął policjantowi głową.

- Tak. To ja - potwierdził.

- Doktorze, czy możemy do pana na chwilę wejść?

Serce Emile'a zabiło szybciej, zaraz potem jednak wróciło do zwykłego rytmu.

Chodziło zapewne o jakiegoś pacjenta potrzebującego pilnie jego lekarskiej interwencji, a nie o żadne złe wiadomości.

- Oczywiście, bardzo proszę. Akurat przed zejściem na dół na kolację przygotowywałem sobie drinka. Zechcą panowie napić się ze mną?

- Nie, dziękuję - odparł funkcjonariusz policji. Dyrektor hotelu też zaprzeczył ruchem głowy. Cofnął

GROM 332

się. Dla Emile'a stało się jasne, że przyszedł tylko jako eskorta.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał Emile policjanta.

- Z przykrością pozwalam sobie poinformować, że syn pański, Phillip, nie żyje, a pańska żona, Lucy, przebywa w szpitalu, gdzie otrzymała silną dawkę środków uspokajających.

Emile zbladł. Przez chwilę wydawało mu się, że się przesłyszał, ale wyraz współczucia malujący się na twarzach obu mężczyzn stanowił potwierdzenie tragicznej wiadomości.

151

- Phillip nie żyje? Dobry Boże, jak to się stało? Zginął w wypadku? Lucy też odniosła rany?

- Policja z Bainbridge prosiła nas, żebyśmy odnaleźli pana i przekazali tę informację. Wiem niewiele, ale syn pański nie zginął w wypadku. Powiedziano nam, że popełnił samobójstwo na oczach pańskiej żony, i dlatego znalazła się pod opieką lekarzy. Chyba nie odniosła żadnych ran.

- Samobójstwo? - Emile zachwiał się na nogach, - To niemożliwe. Syn nie miał żadnych symptomów...

Nagle przed jego oczyma pojawił się obraz Phillipa, zachowującego się w ten przedziwny sposób, zupełnie inaczej niż zwykle. Emile zakrył rękoma twarz. Już przed wyjazdem zdawał sobie sprawę, że z synem dzieje się coś bardzo złego, ale nie zareagował na to. Odwrócił się tylko plecami i opuścił dom.

- Gdybym lepiej się nim opiekował... Boże, pomagam wszystkim z wyjątkiem własnej rodziny! Jak mogłem stać się tak obojętny na sprawy najbliższych?

Sharon Sala 333

- Doktorze, będzie lepiej, jeśli pan usiądzie - odezwał się dyrektor hotelu, doprowadzając Emile'a do krzesła. - W imieniu całego naszego personelu pozwalam sobie złożyć panu wyrazy głębokiego współczucia. Jeśli jest coś, co mogę zrobić... wystarczy, że tylko pan powie.

Emile potrząsnął głową. Poprawił odruchowo węzeł krawatu i wygładził spodnie.

- Muszę natychmiast wracać do domu - oświadczył. - A przedtem odwołać wszystkie spotkania. Lucy... moja kochana Lucy... Co za tragedia... Matka stała się świadkiem tak straszliwej sceny...

Po policzkach doktora Karnoffa potoczyły się łzy.

- Jeśli ma pan, doktorze, kalendarz spotkań, chętnie dopilnuję, aby ich organizatorzy zostali uprzedzeni o pańskim nagłym wyjeździe. Czy zarezerwować panu miejsce w najbliższym samolocie odlatującym z Santa Fe?

- Proszę. Będę bardzo wdzięczny. - Przypomniał sobie o dobrych manierach, Emile uściśnął dłoń zarówno funkcjonariuszowi policji, jak i dyrektorowi hotelu. - Do widzenia, panowie... Muszę spakować rzeczy.

Policjant opuścił pokój. Dyrektor hotelu jeszcze przez chwilę notował telefony osób, z którymi obiecał się skontaktować.

Chwilę później Emile został sam. Wiedział, że to, co usłyszał, musi być prawdą.

Zauważył przecież dziwne zachowanie się syna, jego agresywną postawę, ale bez trudu dał się przekonać Lucy, że z Phillipem nie dzieje się nic złego, bo nie chciał odrywać się od własnej pracy. Teraz będzie miał na sumieniu zarówno śmierć syna, jak i stan psychiczny żony.

GROM 334

Podszedł do szafy i zaczął pakować ubrania. Po kilku minutach dostał dreszczy.

Szybko poszedł do łazienki. Klęcząc, wymiotował dopuki starczyło zawartości żołądka. Doktorowi Emile pozostało poczucie winy.

152

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przylot Dana Howarda do tak zwanego bezpiecznego domu zbiegł się niemal w czasie z wyjazdem Emile'a Karnoffa z Santa Fe.

Dań zapukał i wszedł do środka. Zastał Ginny siedzącą w fotelu, mimo upału owiniętą pledem. Miała dreszcze. Nadal znajdowała się w szoku.

Od samego świtu była podenerwowana i rozdrażniona. Reagowała na każdy hałas i ruch. Zaządała usunięcia z domu zarówno radia, jak i telewizora. Ilekroć Sully wychodził z pokoju i zostawiał ją samą, nie ruszając się z miejsca czekała w napięciu na chwilę jego powrotu. Była jak bomba zegarowa gotowa do detonacji.

- Wchodzi - powiedział Sully.

Dań wkroczył do salonu. Tuż za nim pojawił się Franklin. Zgodnie z zasadami, pozostali dwaj agenci, Kevin Holloway i Winston Chee, patrolowali teren, chcąc upewnić się, że nikt niepowołany nie zakłóci przebiegu spotkania.

Gość spojrział na Ginny badawczo. Sully miał rację. Jej stan pogorszył się zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Było to widać w oczach i napięciu wokół ust. Pojawiła się w niej także jakaś szorstkość, której nie było przedtem.

GROM 336

- Cześć, Ginny, spóźniłem się na kolację? - zapytał wesoło, usiłując zmusić ją do uśmiechu. Owinęła pledem ramiona.

- Za późno? Wszyscy jesteśmy spóźnieni... - wymamrotała od nosem i ponad głowę Dana popatrzyła na podwórze, tak jakby spodziewała się zobaczyć tam kogoś innego. Zgnębiony Sully potrząsnął głową. Gość natychmiast zrozumiał, że grzecznościowa konwersacja nie wchodzi w rachubę.

- Przywiozłeś? - spytał Sully.

Dań wręczył mu kasetę. Sully włożył ją do magnetofonu, ale nie uruchomił taśmy.

Zwrócił się do Ginny:

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

- Tak.

- Jesteś gotowa obejrzeć taśmę? Są na niej fragmenty filmów z Karnoffem, prawda, Dan?

- Kwadrans nagrań - wyjaśnił zapytany. - Nie sądzę, abyśmy potrzebowali więcej materiału, ale w każdej chwili mogę go zdobyć.

- Jeśli jest to coś w rodzaju tego, co oglądaliśmy podczas dziennika, wystarczy piętnaście sekund - mruknął Sully.

Zmrużonymi oczyma Dan popatrzył na Ginny.

- Tylko tyle? - spytał zdumiony.

- Aha - półgłosem potwierdził Sully. Do tkwiącej bez ruchu w fotelu Ginny podszedł Franklin Chee. Usiadł przed nią po turecku.

Popatrzyła na niego i zamrugała oczyma. Jej reakcje

Sharon Sala 337

były tak powolne, jakby znajdowała się pod wpływem narkotyków.

- Chcesz zobaczyć, jak zacznie mi się obracać głowa? - spytała.

Franklin uśmiechnął się lekko.

- Tak. Ale nie zwymiotuj na mnie, bardzo cię proszę. Mam wrażliwy żołądek.

153

Stwierdzenie Franklina stało w takiej sprzeczności z obrazem twardego agenta federalnego, że nieco rozluźniło Ginny. Skrzywiła się, a potem potrząsnęła głową.

- Potrafisz znakomicie poprawiać ludziom nastrój - powiedziała. - Mam rację?

- Masz. W rezerwacie nazywają mnie doktorem Killdeerem. Chwytasz dowcip?

Killdeer, czyli zabójca płowej zwierzyny, brzmi prawie tak samo, jak nazwisko uwielbianego przez widzów doktora Kildaire'a.

Żart nie miał zbyt wiele sensu, mimo to jednak Ginny zdobyła się na uśmiech. Potem westchnęła i zsunęła z ramion pled, jakby przygotowując się do walki.

- Sully?

- Jestem tutaj, słoneczko.

- Nie pozwól mi odejść. Serce ścisnęło mu się boleśnie.

- Nie pozwolę.

Popatrzyła na pozostałych mężczyzn, znajdujących się w pokoju i oznajmiła:

- Możemy zaczynać. Jestem gotowa. Włącz magnetowid.

Pierwszy fragment filmu pochodził z konferencji prasowej, zorganizowanej natychmiast po otrzymaniu przez

GROM 338

Karnoffa elektryzującej wiadomości, że został laureatem Nagrody Nobla. Ginny i agenci zobaczyli przed sobą na ekranie telewizora wysokiego i wytwornego dżentelmena, w wieku sześćdziesięciu kilku lat. U jego boku stali mała i drobna, elegancka kobieta oraz młody człowiek po trzydziestce, będący marną kopią laureata. Niższy. Mniej pewny siebie. I z pewnością źle znoszący publiczne wystąpienia.

Ginny wpatrywała się w tę trójkę, usiłując wydobyć z zakamarków pamięci twarz mężczyzny z przeszłości, ale nie potrafiła. Emile Karnoff wyglądał jak jeden z wielu wytwornych starszych mężczyzn, jakich wielokrotnie widywała. Spojrzała na Dana i Sully'ego, jakby chciała powiedzieć: co z tego?

W tej chwili z taśmy popłynął głos:

- Panie i panowie, oto komunikat oficjalny. Doktor Emile Peter Karnoff otrzymał właśnie Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny za wykorzystanie hipnozy jako podstawowej metody uzdrawiania ludzkiego organizmu w aspekcie fizycznym. Panie doktorze, pozwalam

sobie, w imieniu amerykańskiej publiczności, jako pierwszy pogratulować panu tak wspaniałego wyróżnienia.

Emile Karnoff wszedł na podium, uśmiechem obdarzył żonę i syna, a potem lekko skłonił się zgromadzonym na sali reporterom.

Odchrząknął.

Ginny w napięciu wstrzymała oddech.

- Nadszedł wielki dzień dla mnie i mojej rodziny... Poczwała się tak, jakby dostała cios w brzuch. Z jej płuc uleciało powietrze.

Sharon Sala 339

- ...która poświęciła wiele, abym mógł realizować swoje pomysły. To wyróżnienie jest dla mnie wielkim zaszczytem, ale nie tak dużym jak...

Miała coraz cięższe powieki... Coraz bardziej wciągała ją znajoma intonacja dźwięku.

- ... świadomość faktu, że moje naukowe odkrycia będą żyły długo po mojej śmierci.

Brzmienie męskiego głosu wznosiło się i opadało w rytm jej serca. Niegdyś nauczona wobec tego głosu bezwzględne posłuszeństwa, pozwalając, aby przeniknął do wszystkich zakamarków jej mózgu.

154

Z sercem w gardle Sully zatrzymał taśmę. Im dłużej Emile Karnoff igrał z umysłem Ginny, tym groźniejsze stawało się dla niej słuchanie jego słów. Nie wolno było przedłużać tego eksperymentu ani tym bardziej dopuścić do jego powtórzenia.

- Sam widzisz - powiedział do Dana. - Kompletnie odleciała.

Dań pomachał ręką przed twarzą Ginny. Nawet nie drgnęła. Miała zamknięte powieki.

Jej ciało znajdowało się jakby w stanie zawieszenia, nie spała bowiem i było widać, że czeka na ciąg dalszy. Na jakieś polecenie.

Dan dotknął jej ramienia.

- Ginny?

Powoli wzięła bardzo głęboki oddech. Sully dał znak Franklinowi, aby pomógł wyprowadzić ją z transu. Agent zbliżył się do siedzącej.

- Słuchasz mojego głosu - powiedział powoli. - Z miejsca, w którym się znajdujesz, słyszysz mnie wyraźnie. Mam rację?

GROM 340

Skin ę ła głową.

- Zaraz zacznę odliczać od pięciu wstecz. Kiedy powiem „teraz”, obudzisz się wypoczęta i w dobrej formie. A także będziesz pamiętała wszystko, o czym mówiliśmy. Jesteś gotowa?

- Tak.

Miała martwy i bezdźwięczny głos. Franklin ujął ją za rękę.

- Jestem z tobą. Czujesz moją dłoń. Słyszysz mój głos. Zaczynam odliczanie.

Obudzisz się, kiedy powiem „teraz”. Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Teraz.

Ginny odetchnęła głęboko i otworzyła oczy. Uśmiechała się.

- No i co, powtórzyło się? Emile Karnoff musiał maczać palce w tym, co się stało.

Prawda, Dan?

Trudno było zaprzeczyć oczywistym faktom. Zważywszy jednak na niezwykle wysoką społeczną pozycję noblisty, należało zachować dużą ostrożność.

- Taka możliwość istnieje - stwierdził dość enigmatycznie. - Za kilka godzin będę wiedział więcej.

- Na co czekamy? - spytała Ginny. - Co trzeba zrobić, żeby powiązać tego człowieka

ze śmiercią moich dawnych koleżanek?

Sully przysiadł na poręczu fotela, w którym siedziała Ginny, i położył jej rękę na głowie.

- Na początek, słoneczko, musimy zdobyć konkretne dowody, które niezbicie wskażą na związek Karnoffa z naszą sprawą. Na przykład: stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, na podstawie rejestru połączeń telefonicznych, że to on dzwonił do ofiar, lub też ustalić, że był Sharon Sala 341

akurat w miejscach, w których wydarzyły się nieszczęśliwe wypadki. Są nam potrzebne tego rodzaju dowody.

- A co będzie, jeśli ich nie znajdziemy? To oczywiste, że ten człowiek to geniusz.

Bardzo inteligentny i z pewnością sprytny. Na pewno zrobił wszystko, żeby nie pozostawić żadnych śladów, które mogłyby doprowadzić do jego osoby.

Nikt nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Ginny, dla której każdy następny dzień był torturą, postanowiła jednak postawić zebrany ultimatum.

155

- Daję wam, panowie, dwa dni na sprawdzenie życiorysu Karnoffa. Jeśli w tym czasie nie natraficie na nic, co mogłoby posłużyć wam za dowód, ja stąd wychodzę.

Sully zerwał się na równe nogi.

- Co to ma, do diaska, znaczyć? Podniosła się z fotela i z determinacją popatrzyła na swoich opiekunów. W jej oczach zapłonął gniewny blask.

- Jestem już wykończona rolą ofiary. Mam dość ukrywania się. Służenia za cel. Tak więc za dwa dni wychodzę z zamknięcia, a do was, panowie, będzie należało utrzymanie mnie przy życiu. Jak wam się podoba mój plan?

- Jest naiwny - warknął Sully.

- To nie jest dobry pomysł - skomentował Franklin.

- On ma rację - uznał Dań.

- Wcale nie twierdzą, że plan jest dobry, ale zamierzam wprowadzić go w życie, bo innego nie widzę - oświadczyła Ginny.

Usłyszawszy jej drżący głos, agenci zdali sobie sprawę z tego, jak dużo kosztuje ją przyjęcie tak desperackiej strategii.

GROM 342

Przyjęli ją potulnie i bez dyskusji.

- A więc, panowie... gdy będę spadała, wystąpicie w roli... mojej siatki zabezpieczającej? - spytała. Sully spojrzał na Ginny, a potem westchnął głęboko.

- Wiesz dobrze, słoneczko, że jestem przy tobie.

- Webster i ja jesteśmy już zmęczeni tym piekielnym upałem - spokojnym głosem oświadczył Franklin. - Spakujemy rzeczy i poczekamy, aż będziesz gotowa opuścić to miejsce.

Dan usiadł ciężko i czubkiem buta zaczął kreślić na podłodze jakiś wzór.

- Postawię na warcie Kevina Hollowaya. Potrafi wywęszyć niebezpieczeństwo jak myśliwski pies. Sam osłonię tyły. W razie potrzeby mogę ściągnąć dwóch dodatkowych ludzi. Wstrzymaj się jeszcze z pakowaniem swoich rzeczy. A jeśli okaże się, że dopisze nam szczęście? Może ten facet zostawił za sobą tak szeroki i długi ślad, że nie będziesz musiała się narażać.

- Dziękuję - szepnęła.

Franklin Chee skłonił się i opuścił pokój, chcąc jak najszybciej poinformować pozostałych agentów o tym, co się wydarzyło. Dan także przeprosił, wyciągnął komórkę i

przeszedł do sąsiedniego pokoju. Miał do załatwienia kilka telefonów.

Ginny spojrzała na Sully'ego.

- Masz do mnie żal? - spytała. Wsunął ręce do kieszeni dżinsów.

- Nie.

- Dzieje się coś niedobrego. Muszę mieć cię przy sobie.

- Jestem przy tobie - przypomniał jej. - Usiłuję zebrać się na odwagę, żeby coś ci powiedzieć, ale jestem pewny, że to nieodpowiednia chwila.

Sharon Sala 343

- Jedyna, jaką mamy. Kto wie, co stanie się potem?

- Zdaję sobie z tego sprawę - mruknął Sully. Widząc, że Ginny zbiera się do wyjścia z pokoju, dodał: - Zgoda. Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła.

- Zgoda? Na co?

- Wobec tego ci powiem.

156

Ginny przysiadła na poręczy fotela. Z trudem powstrzymała się, żeby ze zdenerwowania i niecierpliwości nie zacząć tupać nogą w podłogę. Umiejętność czekania nie należała do jej mocnych stron.

Sully odetchnął głęboko. Zdawał sobie sprawę z tego, że to, co teraz powie, może całkowicie zmienić ich wzajemne stosunki. Na lepsze czy na gorsze? Tego nie był w stanie przewidzieć.

- Sully...

- Do licha, widzisz przecież, że zbieram myśli - mruknął.

- To, co powiesz, nie jest z pewnością gorsze niż to, co już się stało - stwierdziła.

- Wcale nie mówię, że gorsze. Zirytowana przeciąganiem się tej sytuacji, Ginny machnęła ręką.

- No, to o co chodzi, na litość boską?

- Zakochałem się w tobie. W ogóle mnie nie obchodzi fakt, że nie umiesz gotować.

Mam w nosie to, że jesteś kłótliwa. Nie mam ci nawet za złe, że zajmujesz więcej niż połowę łóżka. Nie chcę cię stracić, kiedy to wszystko się skończy.

GROM 344

Ginny aż zaniemówiła z wrażenia. Od początku była przekonana, że pod względem fizycznym są prawie idealnie dobrani. Zdawała sobie także sprawę z tego, że jej uczucie jest silniejsze niż Sully'ego. To, co teraz powiedział, zaprzeczało wszystkim jej wymyślnym teoriom, jakie zbudowała sobie na temat Sullivana Deana. Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mówisz serio?

Dłonią spoconą ze zdenerwowania przetarł twarz. Chętnie wypiłby teraz mocnego drinka.

- Cholernie serio.

- Jesteś we mnie zakochany? Zamierzasz powiedzieć: Ginny, weź mnie sobie za... ?

- Yirginio - skorygował Sully. - Podoba mi się to imię i będziesz musiała zareagować na nie przynajmniej podczas składania małżeńskiego ślubowania.

Uśmiech na twarzy Ginny zrobił się znacznie szerszy.

- Małżeńskiego ślubowania - powtórzyła.

- Tak. Chcesz tego?

- Tak. Jeśli poprosisz mnie o rękę. Teraz z kolei pojaśniała twarz Sully'go. Przeszedł przez pokój, porwał Ginny w objęcia i uniośł w górę.

- Dziecinko, bardzo mi na tobie zależy. Mam brata, którego lubię, i mamę, która już

nie pamięta nawet własnego nazwiska. Mam także stałą pracę i całkiem dobre perspektywy emerytalne. - Podrażnił wargami szyję Ginny, a potem złapał zębami za jej lewe ucho, dobrze wiedząc, że pobudzi to natychmiast jej czułe miejsca. - A więc jeśli poproszę cię ładnie, wyjdiesz za mnie, urodzisz mi dzieci i będziesz drapała mnie po plecach tam, gdzie nie mogę ich dosięgnąć sam?

Sharon Sala 345

Ginny parsknęła głośnym śmiechem akurat w chwili, gdy do pokoju wrócił Dan.

- Ominęło mnie coś wesołego? - zapytał zdziwiony.

- Nic ważnego - oświadczyła Ginny, kiedy Sully stawiał ją na podłodze. - Ale jeśli nie zjawisz się na naszym ślubie, to możesz być pewien, że żadne z naszych dzieci nie będzie nosić twojego imienia.

Dam aż zaklaskał w dłonie.

- To wymaga uczczenia! Hej, Sully, czy wypijeś już tego szampana?

157

- Nie, ale...

- To świetnie! Pójdę po kieliszki - oznajmił Dan i zanim Sully zdołał go zatrzymać, błyskawicznie opuścił pokój.

Ginny popatrzyła na Sully'ego pełnym uwielbienia wzrokiem.

- Zawsze będę cię kochała - stwierdziła.

- Dzięki, dziecinko.

- Za wcześniej na podziękowania - powstrzymała go Ginny, uśmiechając się przewrotnie. - Czeka cię jeszcze najważniejsza próba. Będziesz musiał spróbować któregoś z moich placków.

Emile siedział przy łóżku Lucy, usiłując doszukać się w niej podobieństwa do swej idealnej, zawsze pogodnej żony. Miał przed oczyma postarzałą nagle kobietę o zmierzwionych włosach i zaczerwienionych, stale łzawiących oczach. Płakała nawet przez sen. Nie opuszczał

GROM 346

szpitala od prawie dwudziestu czterech godzin i przez cały ten czas nie udało mu się wydobyć z Lucy żadnego sensownego słowa. Bez przerwy powtarzała coś o jakichś taśmach, nie będąc jednak w stanie wyjaśnić, o co chodzi.

Pochylił głowę i oparł czoło o materac. Był tak zmęczony fizycznie i psychicznie, że nie miał już siły na nic więcej. Przez tyle lat troszczył się o zdrowie dosłownie każdego człowieka, tylko nie o członków własnej rodziny. Przedkładał swoje ambicje i sławę nad potrzeby najbliższych.

Lucy odrzuciła głowę na boki, szarpiąc paznokciami prześcieradła. Emile nakrył dłonią jej rękę i lekko poklepał.

- Lucy, kochanie. To ja, Emile. Nie musisz zadręczać się sama, jestem przy tobie.

- ... silny... pod łóżkiem... dobry chłopiec mamusi... Emile ukrył twarz w dłoniach. Zza jego pleców dobiegł go jakiś obcy głos.

- Mam przyjemność rozmawiać z doktorem Karnoffem?

Podniósł wzrok. Do pokoju wszedł lekarz.

- Doktor Rader?

- Tak. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach, ale od dawna podziwiam pańskie osiągnięcia.

Emile skłonił się lekko. W tej chwili słowa lekarza nie miały dla niego żadnego znaczenia.

- Wielka szkoda, że pańska metoda nie znajduje zastosowania w odniesieniu do urazów psychicznych - mówił dalej Rader. - Mogę sobie tylko wyobrazić, jak jest teraz panu ciężko. Pomaga pan tylu ludziom, lecz w obliczu tej sytuacji jest pan, niestety, całkowicie bezradny.

Sharon Sala 347

Twarz Emile'a nie odzwierciedlała żadnych emocji. Nie zamierzał rozmawiać o swojej tragedii z tym mało taktownym lekarzem.

- Kiedy będę mógł zabrać żonę do domu? - zapytał.

- Sam pan widzi, w jakim jest stanie. Nie jest w tej chwili zdolna do podjęcia normalnego życia i...

- Lucy powinna opuścić szpital. Jeśli okaże się to niezbędne, wynajmę pielęgniarki, które będą opiekowały się nią przez okrągłą dobę.

- Czy był pan już w domu? Powiedziano mi, że jest w strasznym stanie.

158

Emile zeszywniał. Tego aspektu sprawy nie brał dotychczas pod uwagę. Wyobrażał sobie dom taki jak zawsze. Jako oazę spokoju, zadbany, idealnie czysty i pachnący olejkami cytrynowymi, ze świeżymi kwiatami z ogrodu w każdym pokoju.

- Mamy dochodzącą sprzątaczkę. Nie ma trudności nie do pokonania, jeśli ma się dostatecznie dużo czasu. A więc wypisze pan Lucy ze szpitala i odda pod moją opiekę?

Doktor Rader skinął głową.

- W tej sytuacji zdaję się na pańską mądrość. Pan najlepiej zna żonę. Może znajome otoczenie sprawi, że szybciej wyjdzie z szoku.

Odstawienie leków psychotropowych także powinno zrobić jej dobrze, uznał w duchu Emile. Nie wyraził jednak swojej opinii na ten temat. Zamiast tego wyciągnął rękę.

- Dziękuję panu, doktorze, za opiekę nad moją żoną.

- Proszę jeszcze raz przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia z powodu utraty syna.

GROM 348

- Wydam odpowiednie polecenia - powiedział doktor Rader i ruszył na dalszy obchód. Emile odwrócił się w stronę chorej. Nachylił się i pocałował ją delikatnie w policzek.

\

- Teraz, kochana, pojedę do domu. Ale jutro rano po \ ciebie wrócę.

- ... pod łóżkiem... pod łóżkiem... Westchnął i poklepał Lucy po ręku.

- Dobrze, zajrzę pod łóżko.

Ku jego zdumieniu uspokoiła się natychmiast. Była wyraźnie zadowolona. Wsiadając przed szpitalem do taksówki, Emile starał się zapamiętać, że powinien zajrzeć pod łóżko. Na wszelki wypadek.

Miał wrażenie, że jazda ciągnie się w nieskończoność, ale w miarę zbliżania się do domu stawał się coraz bardziej napięty. Co będzie, jeśli okaże się, że doktor Rader miał rację? A jeśli dom został naprawdę zdewastowany i znajduje się w jakimś okropnym stanie?

- Wszystko w swoim czasie - powiedział sam do siebie.

- Mówił pan coś? - zapytał kierowca.

- Nie, nie.

Pięć minut później byli na miejscu.

- Sam wezmę bagaż. - Emile wysiadł i rzucił na przednie siedzenie należność za kurs.

- Miłego dnia - powiedział kierowca taksówki i odjechał.

Przez dobre pięć minut Emile stał przed frontowymi

Sharon Sala 349

drzwiami, nie mogąc zdobyć się na odwagę, żeby wejść do środka. Dopiero ciekawość sąsiada, który przystanął w swoim ogrodzie i zaczął mu się przyglądać, przyspieszyła jego decyzję. W żadnym razie nie był w nastroju do rozmów.

Wszedł więc do środka, starannie zamknął za sobą drzwi, a potem stanął, nie chcąc iść dalej z lęku przed tym, co może zobaczyć.

Dom sprawiał wrażenie opuszczonego, tak jakby z chwilą odejścia stąd Lucy uleciało zeń całe życie. Milczał nawet staroświecki zegar. Emile otworzył obudowę i ustawił wskazówki, a potem poruszył wahadło. Znajome tykanie zachęcało do wejścia w głąb domu. Na podłodze widniał jakiś czarny ślad, pewnie odcisk czyjś buta. Po tym, co się stało, musiało się tędy przewinać mnóstwo ludzi. Emile poczuł się tak, jakby to, co należało wyłącznie do niego, stało się nagle własnością ogółu.

159

Podchodząc do schodów, uprzytomnił sobie, że nawet nie wie, gdzie zmarł jego syn. Pewnie we własnym pokoju, ponieważ w ogóle rzadko opuszczał to pomieszczenie. Kiedy jednak zajrzał do salonu i zobaczył poplamioną podłogę, a także obrysowane kredą miejsce, na którym znaleziono ciało, zachwiał się na nogach. Z trudem doszedł do drzwi. Oparł się plecami o ścianę.

- Phillipie. Mój nieszczęsny Phillipie - wyszeptał zbielełymi wargami. - Musiałeś przeżywać piekło.

Odwrócił się szybko i niemal wbiegł na górę, pragnąc znaleźć schronienie w sypialni.

Kiedy jednak dotarł na górny podest schodów, uprzytomnił sobie, że wszystko
GROM 350

musiało rozpocząć się właśnie tutaj, na piętrze. W holu ujrzał połamane meble i zeschnięte kwiaty leżące wśród skorup rozbitego wazonu i rozlanej wody.

Jak w transie podszedł do otwartych na oścież drzwi do pokoju Phillipa.

Mimo że spodziewał się zastać tu pobojuwisko, nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że może ujrzeć coś tak strasznego. Przez chwilę stał nieruchomo, usiłując wyobrazić sobie furję, jaka mogła doprowadzić człowieka do takiego stanu, ale nie potrafił uzmysłwić sobie tego rodzaju emocji. Zbyt zmęczony, aby myśleć o tym, ile pieniędzy i czasu będzie wymagało doprowadzenie domu do stanu używalności, odwracając się do wyjścia, kątem oka dostrzegł coś leżącego pod łóżkiem.

Dopiero teraz przypomniał sobie o obietnicy złożonej Lucy. Bez przerwy mówiła o czymś, co miało znajdować się właśnie pod łóżkiem. Może chodziło jej o to? Emile z trudem utorował sobie drogę wśród zawałających podłogę porozbijanych przedmiotów, podszedł do łóżka i ukląkł obok. Po chwili wyciągnął jakiś przedmiot, ale zobaczywszy, co to jest, prychnął z rozczarowaniem. Miał w ręku mały magnetofon. A więc nic ważnego. Podniósł się i rzucił magnetofon na łóżko. Pod wpływem wstrząsu otworzyło się wieczko, ukazując włożoną kasetę. Na śnieżnobiałej etykietce ciemne litery były wyraźnie widoczne. Emile odczytał napis: „Komunikaty do podświadomości. Doświadczenia prowadzone w Laboratorium Yarmouth, 1980”.

Wyrwał kasetę z magnetofonu i obrócił ją w rękach. A jednak się nie mylił. Była to jedna z jego własnych

Sharon Sala 351

taśm. W jaki sposób mogła się tutaj dostać? Nagranie było fragmentem nieudanego eksperymentu, który miał udowodnić, że strach przed śmiercią jest wystarczająco silnym bodźcem, mogącym sprowokować ludzkie ciało do walki z własnymi chorobami.

Eksperyment ten skończył się całkowitym fiaskiem, a Emile był rozczarowany i przykro zaskoczony atakami furii, jakie u pacjentów cierpiących na depresję wywoływał za każdym razem, kiedy ponawiał doświadczenie. Ruszył przez hol w stronę swego pokoju, gdy nagle wpadła mu do głowy myśl. Skąd Lucy wiedziała, że taśma znajduje się u Phillipa pod łóżkiem? Czyżby sama dała ją synowi, licząc, że w ten sposób pomoże mu uporać się z depresją, a zamiast tego dostarczyła Phillipowi metaforycznej kropli, która przelała kielich jego psychicznej odporności?

- Boże, tylko nie to - wyszeptał Emile przerażony odkryciem.

Ogarnięty rozpaczą i poczuciem winy padł jak kłoda na łóżko.

Dziesięć minut po pierwszej w nocy Dan wybiegł ze swego pokoju. Usłyszał go Sully.

Wstał z łóżka, wciągnął szorty i ruszył przez hol. Znalazł Dana podjadającego sobie w kuchni.

160

- Stało się coś złego? - spytał, przecierając zaspane oczy.

- Obudził cię mój telefon? Jeśli tak, to przepraszam.

- Nie telefon, lecz ty sam, kiedy gnałeś przez hol. Dań uśmiechnął się.

- Świętuję - oznajmił.

GROM 352

- Wypiłeś resztę szampana.

- Kielbasa też jest dobra - powiedział agent, smarując chleb majonezem.

- Powiedz, co się dzieje - mruknął Sully. - Co takiego postanowiłeś uczcić kielbasą o pierwszej w nocy?

- Wykaz telefonicznych rozmów. Łączono się wprawdzie nie ze stacjonarnego telefonu Karnoffa, zainstalowanego w domu, ale z zarejestrowanej na jego nazwisko komórki. A więc facet nie jest tak sprytny, jak sądziliśmy.

W pierwszej chwili Sully'ego zatkało z wrażenia.

- Czy to znaczy, że pasują? - wydusił po chwili pytanie.

- Wszystkie, co do jednego, razem z połączeniem z numerem w mieszkaniu Ginny.

Był to zapewne jeden z głuchych telefonów, jakie zarejestrowała automatyczna sekretarka.

Zdumiony Sully opadł ciężko na najbliższe stojące krzesło.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Mnie też trudno, ale rejestry nie kłamią. Taki dowód jest wystarczający, żeby uzyskać nakaz przeszukania. Z przyjemnością dobiorę się do skóry szacownemu doktorowi.

- Czy jest dla mnie kanapka?

Odwrócili się jak na komendę. W drzwiach stała Ginny ubrana tylko w bawełniany podkoszulek Sully'ego i uśmiechała się szeroko.

- Nie chcieliśmy cię budzić - powiedział Sully. Wziął Ginny na kolana. - Ale skoro już nie śpisz, usłyszysz od razu dobre wiadomości. Mamy szczęście, słoneczko.

Sharon Sala 353

Rejestry połączeń wskazują niezbicie, że telefony pod wszystkie numery aparatów znajdujących się w domach zmarłych kobiet wykonano z komórki Emile'a Kamoffa.

- Och, Boże! To przecież nieprawdopodobne, żeby ten człowiek był aż taki głupi!

- Może ten geniusz nie stąpa po ziemi - odezwał się Dań. - Albo też jego umiejętności w dziedzinie nowoczesnej techniki cyfrowej nie idą w parze z talentem w zakresie metod uzdrawiania. Kto wie? W każdym razie odlatuję stąd za dwie godziny, tak że z samego rana będę w Connecticut. Nakaz przeszukania zamierzam dostarczyć Karnoffowi osobiście.

- Weź mnie z sobą.

Sully zacisnął mocniej rękę na ramieniu Ginny.

- Nic z tego.

- Czy może zrobić mi krzywdę? - spytała. - Przecież będzie tam wielu policjantów i agentów. A jeśli ten łajdak ma jeszcze choć odrobinę przyzwoitości, może zanim zostanie powieszony na najbliższym drzewie, zdejmie ze mnie przekleństwo, którym napiętnował mój mózg.

- To nie jest dobry pomysł - oświadczył Dan. - Może później załatwię ci wizytę u niego.

- Nie chcę oglądać tego człowieka, gdy znajdzie się w więzieniu. Jediną kartą przetargową Karnoffa, którą może się posłużyć jako okolicznością łagodzącą, może być zrobienie dobrego uczynku jego ofierze, której udało się umknąć śmierci.

161

Zarówno Sully, jak i Dań wiedzieli, o co chodzi Ginny. Ale żaden z nich nie chciał zgodzić się na jej ryzykowną propozycję.

GROM 354

Przygnębiona, zmusiła Sulley'ego, aby na nią spojrział.

- Naprawdę chcesz, aby pewnego pięknego dnia matka twoich dzieci skoczyła z mostu wprost do rzeki tylko dlatego, że przypadkiem usłyszysz przez radio jakąś dla nikogo nic nie znaczącą melodię?

Z twarzy Sulley'ego odpłynęła cała krew.

- To chwyć poniżej pasa, dziecinko.

- Chodzi o moje życie, Sully. Chcę mieć przed sobą spokojną przyszłość.

W ciągu godziny spakowali się i opuścili bezpieczny dom na pustyni.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Po krótkim przystanku w Waszyngtonie, tuż po dziesiątej rano śmigłowiec FBI wylądował w pobliżu Bainbridge w stanie Connecticut. Gdy agenci dowiedzieli się, co stało się w domu Karnoffa, program musiał z konieczności ulec nieznacznemu opóźnieniu. Ludzie Dana Howarda, którzy znajdowali się na miejscu, poinformowali go, że dom lekarza jest w okropnym stanie, że ekipa sprzątaczy robi od świtu porządki i że około dziewiątej rano Emile Karnoff pojechał do szpitala po żonę. Tak więc w domu nie było teraz nikogo, komu można by wręczyć nakaz przeszukania.

Konieczność odroczenia o kilka godzin spotkania twarzą w twarz z człowiekiem, który zabił już kilka osób, a zagrażając od wielu tygodni jej samej, uczynił z jej życia koszmar, całkowicie przygnębiła Ginny. Wraz z agentami siedziała teraz w furgonetce zaparkowanej na wprost domu Karnoffa, po drugiej stronie ulicy, czekając na jego powrót. Było jej żal kobiety, która właśnie wracała ze szpitala. Dopiero co w potwornych okolicznościach straciła syna, a teraz wszystko wskazywało na to, że utraci także męża. Sully i Dan, ulokowani obok siebie na przedzie furgonetki, rozważali wszystkie argumenty, przemawiające za i przeciw przeszukaniu, które miało wkrótce nastąpić.

GROM 356

Bracia Chee zajęli miejsca z tyłu, w milczeniu czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Siedząca przy nich Ginny odchyliła się w tył i zamknęła oczy, czując ogarniające ją zmęczenie. Jeszcze przed dwoma miesiącami prowadziła spokojną egzystencję, bezpieczną i beztrudną, a teraz czekało ją spotkanie oko w oko z mordercą. Było to znacznie więcej, niż mogła znieść. Pragnęła mieć już to wszystko poza sobą. Kiedy westchnęła, Sully odwrócił się w jej stronę.

- Jak się czujesz, słoneczko? - zapytał z troską w głosie. - Pamiętaj, że w każdej chwili możesz wycofać się z konfrontacji

Ginny potrząsnęła głową.

- Decyzja należy do ciebie - przypomniał.

- Wiem.

Mrugnął do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem. Zaraz potem przyszło jej coś do głowy.

- Sully?

162

- Co, słoneczko?

To okropne, że ich syn popełnił samobójstwo, prawda?

- Tak, tragiczna ironia losu. Karnoff zmusza sześć niewinnych kobiet do targnięcia się na życie, a potem to samo robi jego Syn. Mam nadzieję, że świadomość tego faktu będzie dręczyć go do końca życia.

- Myślałam raczej o tym, co przeżywa matka tego chłopca - powiedziała Ginny.

Dłuższą chwilę we wnętrzu furgonetki zapanowała cisza. Potem Sully skinął głową, odwrócił się i ponownie zajął się obserwowaniem ulicy.

Sharon Sala 357

- Matka nosi zawsze najcięższe brzemie - odezwał się Franklin Chee. - Od dnia ich poczęcia aż do chwili własnej śmierci dzieci są przyczyną zarówno jej największej radości, jak i najgłębszej rozpacz.

- To bardzo smutne - stwierdziła Ginny.

- Tak, ale żeby dostrzec prawdziwą wartość życia i umieć się nim cieszyć, trzeba odważnie stawiać czoło wszelkim przeciwnościom.

Ginny zamilkła, rozważając w milczeniu wielką mądrość, zawartą w tych słowach.

- Dziękuję, Franklinie. Dotknął lekko jej ramienia.

- Nie ma za co.

W furgonetce ponownie zapanowała cisza. Przerwał ją Franklin.

- Czy ktoś chce usłyszeć, jak Webster naśladuje Johna Wayne'a?

Dan parsknął śmiechem, a rozbawiony Sully odwrócił się ku Ginny. Była pod wielkim urokiem panującej wśród agentów niezwykle koleżeńskiej atmosfery. I także uśmiechnąwszy się lekko, myślała o tym, że kiedy ta koszmarna historia dobiegnie końca, będzie jej brakowało tych wspaniałych, dzielnych ludzi.

Szarpała nerwowo rąbek liliowej sukni. Emile miał nadzieję, że wkładając już w szpitalu jego ulubiony strój, Lucy łatwiej wcieli się ponownie w rolę obowiązkowej żony. Niestety, jej stan psychiczny został zbyt mocno zachwiany, by mogła przywrócić go do równowagi tego rodzaju drobnostka.

GROM 358

- Jesteśmy już prawie w domu - oznajmił Emile, kładąc rękę na dłoni żony i przerywając w ten sposób nieustanne szarpanie przez nią rąbka sukienki.

- ... pod łóżkiem - mamrotała pod nosem.

- Już go tam nie ma - odparł spokojnym głosem. Na jedną sekundę Lucy wróciła do rzeczywistości. Spojrzała na męża.

- Nie ma?

Obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

- Nie ma - potwierdził.

- Nie ma... nie ma... nie ma... Emile westchnął głęboko. Lucy przestała wprawdzie

powtarzać jedne słowa, lecz zaczęła inne.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił kierowca taksówki, podjeżdżając pod dom. Wyszedł z auta i pomógł wysiąść staremuto człowiekowi i jego żonie. Gdy Emile wręczył mu dwadzieścia dolarów, z zadowoleniem wsunął banknot do kieszeni. - Bardzo panu dziękuję i życzę zdrowia małżonce.

Emile wziął Lucy za rękę.

- Chodź, kochana. Wejdzmy do środka. Tam nie będzie tak gorąco.

- Nie będzie tak gorąco... nie będzie tak gorąco...

163

Wsunąwszy klucz do zamka, Emile usłyszał odgłos silnika nadjeżdżającego pojazdu.

W obawie przed reporterami, nie oglądając się, starał się jak najszybciej wprowadzić żonę do domu. Gdy oboje znaleźli się za drzwiami, odwrócił się, aby je zamknąć, ale okazało się to niemożliwe.

- Emile Peter Karnoff?

Sharon Sala 359

Zmarszczył czoło. Oto stał przed nim zupełnie obcy człowiek i pokazywał jakiś dokument.

- Tak. O co chodzi?

- Nazywam się Dań Howard i jestem agentem FBI. Mamy nakaz przeszukania pańskiego domu.

Zanim zaskoczony lekarz zdołał się sprzeciwić, mężczyzna z urzędowym pismem w ręku odsunął go na bok.

- Panowie! - odezwał się po chwili Karnoff. - Protestuję przeciw wtargnięciu do tego domu w okolicznościach tak tragicznych dla całej mojej rodziny. Czego chcą panowie tu się dowiedzieć? Śmierć mojego syna została formalnie uznana za samobójstwo. Chyba nikt nie podejrzuje, że było inaczej?

Dań nie zwracał uwagi na protesty gospodarza.

- Agencie Chee, razem z bratem zacznie pan od piętra. Obaj wiecie, czego należy szukać.

Odwrócił się do pozostałych pracowników biura, którzy pilnowali posesji, i posłał ich do innej części domu.

Zamieszanie, które zapanowało wokół nich, dotarło do Lucy. Uznała, że zjawili się goście. Musiała więc, jak zwykle, podjąć obowiązki pani domu. Jej doniosły, teraz nieprzyjemnie piskliwy głos sprawił, że wszyscy natychmiast zatrzymali się w miejscu.

- Emile! Kochany! Nie uprzedziłeś mnie, że będziemy mieli gości. - Wskazującym gestem uniosła dłoń w stronę biblioteki. - Proszę wszystkich państwa o udanie się do gabinetu mojego męża. Zaraz przyniosę zimne drinki i ciasteczka z żurawinami domowej roboty. Z pewnością będą panom smakowały. Mąż je uwielbia i zawsze przygotowuję je na jego powrót. Ostatnio dużo podróżuje,

GROM 360

nie przepadam za tym, ale cóż, odniósł wielki sukces, tak musi być - mówiła szybko i zbyt wiele, z nienaturalną aktywnością.

Sully nie był w stanie spojrzeć na Ginny. Wiedział, o czym myśli. Już wcześniej żałowała nieszczęsnej kobiety. Jak się okazuje, rzeczywistość była gorsza, niż | mogła się spodziewać. Zwrócił się do Emile'a Karnoffa:

- Proszę zabrać stąd żonę, żeby nam nie przeszkadzała. Poza tym nie ma potrzeby dodatkowo jej niepokoić. Powinna odpocząć.

- Protestuję przeciwko takiemu bezceremonialnemu zachowaniu panów! - wykrzyknął lekarz. - Dlaczego właściwie tu przyszlizie? Co, na litość boską, zrobiliśmy, żeby zasłużyć na takie traktowanie ze strony rządowej instytucji? Czy wiecie, kim jestem?

Sully po raz pierwszy spojrzął staremu człowiekowi j prosto w oczy.

- Wiemy, kim pan jest - powiedział, starając się zapanować nad sobą. - Jest pan człowiekiem, który wysłał na śmierć sześć młodych kobiet.

164

Karnoff zbladł, przyłożył rękę do piersi i zachwiał się na nogach. Na jego twarzy odmalowało się wszechogarniające niedowierzanie. Na moment wszyscy zapomnieli o Lucy, która teraz nagle pojawiła się obok męża. Doprowadziła go do najbliższej stojącego fotela.

- Chodź, kochany. Wyglądasz trochę blado. Usiądź i odpocznij, a ja w tym czasie zrobię herbatę dla naszych gości.

Przez cały czas Ginny pozostawała w tyle, obserwując z holu zwiększające się zamieszanie. Kiedy jednak Kar noff,

Sharon Sala 361

posłusznie zajmąwszy miejsce w fotelu, odseparował się nieco od reszty osób, weszła do pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Agenci rozproszyli się po całym domu. W pobliżu holu pozostali tylko Sully i Dań.

Byli spokojni. Aresztowanie Karnoffa to już tylko kwestia czasu, przeszukanie domu było jednak niezbędnym etapem procedury. Jeśli bowiem nawet nie uda im się znaleźć niczego, co mogłoby posłużyć jako dowód winy, to i tak byli przekonani, że rejestry połączeń telefonicznych i zeznanie Ginny wystarczą, aby na resztę życia zamknąć tego człowieka w więzieniu.

Serce doktora biło jak szalone. Z ręką na piersi usiłował się rozluźnić. Zamknąwszy oczy, zastosował własną technikę relaksacyjną.

- Czy wówczas robił to pan w taki sam sposób? Usłyszawszy kobiecy głos, Emile uniósł powieki.

- Przepraszam, coś pani do mnie mówiła? - zapytał.

Czuł się tak źle, że nie zwracał uwagi na Lucy biegnącą po całym holu i udającą, że nalewa herbatę i podaje ciastka.

Ginny popatrzyła mu prosto w oczy. Złość wzięła górę nad strachem. Mówiła niskim głosem, zachowywała się spokojnie, ale w środku aż gotowała się z nienawiści do siedzącego przed nią człowieka.

- Dlaczego pan to zrobił?

Z kieszeni marynarki wyjął chusteczkę i zaczął ocierać twarz.

- Przykro mi, ale proszę powiedzieć dokładniej, o co chodzi. Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

GROM 362

Sharon Sala 363

Dźwięk głosu Emile'a sprawił, że Ginny zaczęła słabnąć, ale powstrzymała ją nienawiść.

- Nie wyrządziliśmy panu żadnej krzywdy - powiedziała, myśląc o małym chłopcu, który będzie dorastał bez matki, a także o Georgii, która tak wiele mogła ofiarować ludziom. - Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, robił pan z nami, co chciał. Ale to nie wystarczyło, mam rację? Postanowił pan zniszczyć wszelkie dowody. Ślady pańskiego nikczemnego działania. Czyżby z obawy, że po latach wszystko sobie przypomnimy? Czy tak?

- Nie wiem, o czym pani mówi! - wykrzyknął Emile i zakrył rękoma twarz. - To

koszmar! Koszmar bez końca! Boże, spraw, żebym wreszcie się ocknął!
Sully rzucił się w stronę Ginny. Nie zauważył, gdy wchodziła i nie usłyszał jej słów, ale z zachowania się Karnoffa bez trudu wywnioskował, że doszło do konfrontacji. Złapał Ginny za ramię, zamierzając odciągnąć ją na bezpieczną odległość, ale wyrwała mu się jednym szarpnięciem, nie spuszczać wzroku ze starego człowieka w fotelu.

165

- Zostaw mnie - powiedziała cicho do Sully'ego. - Muszę to zrobić.
 - Także Lucy usłyszała podniesiony głos Emile'a i przypadła do męża, jak dziecko wdrapując mu się na kolana i obejmując go za szyję.
 - To mój małżonek - oświadczyła z dumą w głosie. - To człowiek bardzo ważny. Emile usiłował zdjąć z szyi rękę żony, ale trzymała się go kurczowo.
 - Gdy wyjeżdżał z domu, tęskniłam - mówiła dalej - ale wiem, jak ważna jest jego praca. Moim obowiązkiem jest odciążenie męża od wszelkich domowych kłopotów. Geniusz musi mieć spokój i wolną głowę.
 - Tak, proszę pani - potwierdził Sully, obejmując Ginny i delikatnie przyciągając ją do piersi. - Jak widzę, radzi sobie pani doskonale.
 - Rozpromieniona Lucy delikatnie poklepała męża po policzku.
 - Jest tyle do zrobienia. Trzeba zlikwidować wszystkie pajęczyny. Po wielu latach jest ich naprawdę dużo.
 - Tak, proszę pani. Ma pani bardzo czysty dom - powiedział Sully.
 - Emile oparł czoło na piersi żony i zamknął oczy. Toczył z sobą walkę. Był bliski szaleństwa, a zarazem miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Zważywszy na to, co działo się pod jego własnym dachem, rozmowa była absurdalna.
 - Mam sprzątaczkę - poinformowała Lucy. - Ale o najważniejsze sprawy dbam osobiście. Nie mogę przecież pozwolić, żeby obca kobieta zbliżała się do archiwum męża. Sama zajmuję się jego kartotekami. Nikt nie ma prawa ich dotykać. Oprócz, oczywiście, mnie. - Lucy roześmiała się.
 - Kochanie, państwa nie interesuje kurz w naszym domu - odezwał się Emile do żony, modląc się, aby wreszcie zamilkła.
 - Och, to nie kurz jest najważniejszy. Zajmuje się nim sprzątaczką. Ja robię to, co najważniejsze. Likwiduję pajęczyny.
 - Emile spojrzał błagalnym wzrokiem na Sully'ego, a potem westchnął
- GROM 364
- Pragnął wreszcie dowiedzieć się, dlaczego agenci FBI przeszukują dom.
- Uważacie zapewne, że macie ważny powód, aby mnie niepokoić w taki sposób, ale, na Boga, nie pojmuję, o co może chodzić. Czego chcecie? Czy mogę usłyszeć jakieś wyjaśnienie?
- Podchodzący właśnie Dań Howard usłyszał pytanie Karnoffa. Wskazał papier, tkwiący w kieszeni lekarza.
- Ma pan tam wszystko wyjaśnione - oznajmił. - Jesteśmy tutaj, gdyż zgodnie z rejestrem pańskich telefonicznych połączeń kontaktował się pan z ofiarami w dniu ich śmierci. Z wszystkimi oprócz siostry Mary Teresy z klasztoru Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego. Nie udowodniliśmy jeszcze w sposób bezpośredni, w jaki sposób nawiązał pan z nią kontakt, ale wiemy, że jest pan odpowiedzialny także za jej śmierć.
- Karnoff potrząsnął głową.
- Przykro mi, ale nie mam pojęcia...
 - Pajęczyny! - wykrzyknęła Lucy i zaklaskała w dłonie z radości, że coś sobie

przypomniała. - Emile, musisz kiedyś obejrzeć ten klasztor. Są tam bardzo piękne, kolorowe witraże. Tak lśniące w promieniach słońca, jak kwiaty w moim ogrodzie.

Pierwszy Sully pojął znaczenie tych słów. Zniżył głos, tak że mogło się wydawać, iż on i Lucy Karnoff są sami w pokoju.

- Była pani w tym klasztorze?

- Tak - odparła. - Ale niedługo. I nie była to męcząca podróż. Jakies półtorej godziny jazdy pociągiem. Zdażyłam wrócić do domu na czas, żeby przygotować

166

Phillipowi kolację. - Lucy spojrzała na Sully'ego ze smutkiem w oczach. - Na pewno pan wie, że mój syn nie żyje. Wykrwawił się na podłodze. Usiłowałam uleczyć jego nieszczęśliwą duszę, ale wzięłam niewłaściwą taśmę. Skąd mogłam wiedzieć... ? - Zaczęła machać rękoma. W jej oczach pojawiły się łzy. - Muszę zmyć krew. Nie możemy iść do jadalni, dopóki nie zmyję krwi...

Gdy Lucy wspomniała o taśmie, Sully i Dań wymienili spojrzenia, pomyślawszy dokładnie o tym samym. Czy to możliwe, że żona Karnoffa przyczyniła się do śmierci własnego syna?

Po wyrazie twarzy obu agentów Emile poznał, że coś się stało, ale był tak zaabsorbowany uspokajaniem Lucy, by nie dostała jednego ze swych ataków, że, nie przywiązując wagi do wypowiedzianych przez nią słów, nie zrozumiał też ich sensu i nie spytał, o co chodzi.

- Moja kochana, podłoga jest czysta - powiedział łagodnym tonem. - Dziś rano ekipa sprzątaczy doprowadziła dom do porządku. Wszystko jest tak, jak lubisz, na swoim miejscu.

- Tak, rzeczywiście, jest czysto - uznała Lucy. - Pójdę wobec tego po herbatę.

- Niech pani poczeka - odezwał się Dań i zaraz dodał: - Proszę. Pani Karnoff, czy mogę o coś panią zapytać?

- Oczywiście, chociaż jestem przekonana, że nie mam do powiedzenia nic ważnego.

W tej rodzinie najważniejszy jest mój mąż. Prawda, kochanie?

Dań nie zamierzał ustąpić, starając się w słowach kobiety doszukać jakiegoś sensu.

GROM 366

Sharon Sala 367

- Pani Karnoff - zaczął - czy wie pani, kim jest Emily Jackson?

Lucy potwierdziła skinieniem głowy.

- To pajęczyna - oznajmiła skrzywiona.

Sully zachłysnął się powietrzem. Słodki Jezu! A więc naprawdę to była ona!

Ginny rozplakała się. Gdy Sully wziął ją w objęcia zrozpaczona przytuliła twarz do jego piersi. Dań pytał dalej:

- A Josephine Henley?

- To też pajęczyna - stwierdziła Lucy z odrazą w głosie.

- A Lynn Goldberg, Frances Waverly i Alison Turner! Emile miał już dość.

- Proszę natychmiast przestać! - wykrzyknął. - Moja żona nie powie ani słowa więcej dopóty, dopóki nie wyjaśni mi pan, o co w tym wszystkim chodzi.

Lucy zmarszczyła czoło.

- Nieładnie tak krzyczeć na gości - skarciła męża. - Pytali tylko o pajęczyny.

Zniszczyłam wszystkie. Musiałam. Jesteś człowiekiem poważanym. W naszych szafach nie może być żadnych brudów. Ponadto usiłowałam uzdrowić Phillipa, ale widocznie wzięłam złą taśmę. W jej głosie zabrzmiał bezbrzeżny smutek.

Emile nadal nie pojmował niczego. Pytającym wzrokiem popatrzył na Dana.

- Jestem winien panu wyjaśnienie - powiedział agent. - W ciągu kilku ostatnich miesięcy z telefonu komórkowego zarejestrowanego na pańskie nazwisko łączono się z sześcioma... - Dań spojrzął na Ginny, a potem poprawił się szybko - nie, z siedmioma numerami telefonów w różnych częściach kraju. Niezwłocznie po odebraniu telefonu sześć kobiet zrobiło coś, co zakończyło się ich natychmiastową śmiercią.

- Już po wszystkim. Zrobione. Skończone. Staw czoło temu, czego boisz się najbardziej, a potem rozłóż szeroko ramiona i idź do Boga - wyrecytowała Lucy i zaraz potem zaklaskała wesoło. - Już nie ma żadnych pajęczyn. Zlikwidowane.

167

- Boże, mój Boże... - wyszeptał Sully. - Georgia ogromnie bała się wody. Nie potrafiła pływać. Ksiądz będący świadkiem jej śmierci widział, jak tuż przed rzuceniem się do wezbranej rzeki rozłożyła szeroko ręce i z błogim uśmiechem na twarzy spojrzała w niebo. Ginny popatrzyła na starą kobietę. Nie była w stanie uzmysłwić sobie związku między jej niewinnym wyrazem twarzy a potwornością dokonanych czynów.

- Rodziny, z którymi rozmawiałam przed opuszczeniem St. Louis, mówiły, że naoczni świadkowie śmierci tych kobiet widzieli, iż zachowywały się tak, jakby chciały unieść się w powietrze - powiedziała łamiącym się głosem.

Opowiadanie Lucy zrobiło na wszystkich piorunujące wrażenie, nie wyłączając Emile'a. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że żona zrobiła coś strasznego. Nie wiedział jednak, co, ani w jaki sposób. Błagalnym wzrokiem spojrzął na Ginny.

- Zechce pani powiedzieć więcej?

- Czy pan mnie poznaje? - zapytała. Karnoff zaprzeczył ruchem głowy.

GROM 388

- Nie. A powinienem?

- Nazywam się Yirginia Shapiro.

Na twarzy Lucy odmalowała się złość.

- Nie udało mi się znaleźć tej pajęczyny.

- Dziękujemy za to Bogu i Georgii - szepnął Sully. Emile wpatrywał się w Ginny, tak jakby usiłował ją sobie przypomnieć.

- Przykro mi, ale naprawdę nie wiem, z kim mam do czynienia.

- A pamięta pan szkołę Montgomery'ego? Północna część stanu nowy Jork, rok 1979.

- Ależ tak! Oczywiście!

Zdecydowana i jednoznaczna odpowiedź Karnoffa zaskoczyła wszystkich, nie wyłączając Ginny. Spodziewała się usłyszeć jakieś kłamstwa, wykręty, a nawet gwałtowne zaprzeczenie.

- Naprawdę pan pamięta?

- Tak. Świetnie. Właśnie tam zacząłem pierwsze eksperymenty, weryfikujące słuszność moich teorii. - Emile ponownie spojrzął na Ginny i nagle przypomniał ją sobie. - Już wiem, pani jest tą małą, słabowitą dziewczynką z ciężką astmą.

- To znaczy byłem nią - oświadczyła Ginny. - Pozbyłam się astmy we wczesnym dzieciństwie. Kiedy byłem...

Nagle uprzytomniła sobie, co się stało. Emile uśmiechnął się do niej, a wyraz pogodnego zamyślenia na chwilę zastąpił wszystkie inne uczucia malujące się na jego zmęczonej twarzy.

- To była wielka przyjemność patrzeć, jak z oczu pani znika przerażenie. I wiedzieć, że nauczyła się pani za pobiegać atakowi, zanim rozpocznie się skurcz...

Sharon Sala 369

Nie ma pani pojęcia, jaka to była dla mnie wielka radość.

GINNY usiłowała pogodzić się z zaskakującym faktem, że człowiek, którego uważała za potwora i mordercę, wyleczył ją z ciężkiej choroby, gdy Sully zmienił temat rozmowy.

- A czy pamięta pan Edwarda Fontaine'a? - zapytał.

- Lot na Florydę kosztował aż czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów - ni stąd, ni zowąd oznajmiając, wtrąciła się Lucy.

Dan popatrzył na nią z przerażeniem. Ta kobieta naprawdę postradała zmysły. Nigdy nie uda się jej skazać za popełnione zbrodnie, bo nie będzie w stanie stanąć przed sądem.

168

Spędzi resztę życia w zamkniętym szpitalu dla przestępców chorych umysłowo. Nie potrwa to jednak długo. Była tak słaba i wątła, że mogła nie przeżyć miesiąca.

Nadal nieświadomy zbrodni popełnionych przez żonę, Emile bez najmniejszego wahania odpowiedział na pytanie Sully'ego:

- Oczywiście, że pamiętam pana Fontaine'a. To był wspaniały człowiek, całkowicie oddany dzieciom i sprawom ich edukacji. Dlatego zresztą przystał na prośbę o umożliwienie mi kontaktu z grupką dziewczynek. Nawet sam załatwił zgodę rodziców na dodatkowe zajęcia. Chyba mam jeszcze ich pisemne zezwolenia. Prowadzę skrupulatnie całą dokumentację. - Spojrzał ponownie na Ginny. - Trudno wyobrazić sobie, że od tamtej pory minęło tak wiele lat. Niech pani spojrzy na siebie. Jest pani piękną, w pełni dojrzałą i energiczną kobietą, podczas gdy wówczas była pani zalęknionym, nieśmiałym i chorowitym dzieckiem

GROM 370

. Jestem ciekawy, czy pozostałe dzieci też zmieniły się na korzyść tak bardzo jak pani?

Ma pani od nich jakieś wiadomości? Do rozmowy wtrącił się Sully.

- Doktorze, przeoczył pan jeden fakt. - To właśnie ich nazwiska wyczytał panu agent Howard... I żadna z tych kobiet już nie żyje. Gdyby nie opieka boska i interwencja pewnej szlachetnej siostry zakonnej, Ginny też nie byłoby już na tym świecie.

Emile poczuł, że robi mu się niedobrze. Nagle te tragiczne informacje i dziwaczne uwagi Lucy zaczęły łączyć się w jedną, spójną całość. Bał się zapytać wprost, lecz mimo to zwrócił się o wyjaśnienie, bo musiał się wreszcie dowiedzieć, co w jego domu robią agenci FBI.

- Jak to się stało?

- Każda z kobiet odebrała telefon. Najpierw na linii było słycać zapowiedź burzy w postaci odległego gromu przetaczającego się po niebie, a potem kilkakrotne dzwonki. Nie mam pojęcia, jakie znaczenie miały te dźwięki. Wiemy tylko, że po ich usłyszeniu wszystkie te kobiety dosłownie natychmiast popełniły samobójstwo.

Lucy spochmurniała.

- Przecież wam mówiłam: już po wszystkim. Zrobione. Skończone. Staw czoło temu, czego boisz się najbardziej, a potem rozłóż szeroko ramiona i idź do Boga.

Emile poderwał się z fotela, niemal zrzucając żonę na podłogę.

- Coś ty zrobiła, na litość boską?! Zmarszczyła czoło i otarła ręce, tak jakby strzepywała z nich kurz.

Sharon Sala 371

- Już mówiłam. To były pajęczyny i musiałam je zniszczyć. - Zaraz potem ze zmienionym wyrazem twarzy dodała: - Ale nie udało mi się uzdrowić Phillipa. Chyba użyłam niewłaściwej taśmy.

W tej sekundzie Emile zdał sobie sprawę z roli magnetofonu, który po śmierci syna

odkrył pod jego łóżkiem. Uzmysłował sobie, że Lucy swym nieszczęsnym eksperymentem tak bardzo pogorszyła i tak zły stan psychiczny Phillipa, że odebrał sobie życie.

Lekarz pomyślał nagle, że nie znał własnej żony. Drżącym głosem zapytał:

- Zabiłaś te kobiety?

- Zabiły się same - stwierdziła rzeczowo. - Ja tylko im pomogłam.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Emile spojrział na żonę i przez chwilę wydawało mu się, że ma przed sobą dawną Lucy, taką, jaka była, zanim doszło do tragedii.

169

- Dlaczego? Wiedziałaś, że dyrektor szkoły sfałszował pisemne zgody rodziców. Za to, że pozwolił ci na swoich uczniach weryfikować własne teorie, musiałeś słono mu zapłacić. Pamiętasz? Wzięłaś pożyczkę pod zastaw naszego domu. Gdyby twoje eksperymenty się nie powiodły, Fontaine dostałby nasze pieniądze za nic. - Po urażonej minie Lucy można było poznać, że jest niezadowolona, iż mąż ośmiela się pytać o te sprawy. A potem dodała: - Przez te wszystkie lata nie miało to żadnego znaczenia, ale teraz, gdy stałeś się sławny, sytuacja w każdej chwili mogła się zmienić. Obawiałam się, że ktoś może przypomnieć sobie o tamtych eksperymentach.

GROM 372

Emile dopadł łazienki i zwymiotował. Lucy zaczęła biegać w kółko po holu.

- Mąż jest chory. Gdzie aspiryna? Dań wyjął krótkofalówkę i odwołał agentów nadal przeszukujących piętro domu.

- Zejdźcie na dół - polecił. - Zabierzcie, co uważacie za stosowne, chociaż wątpię, czy będziemy potrzebowali dalszych dowodów.

Potem wykonał jeden telefon, niezbędny wobec zaistniałych okoliczności. Lucy Karnoff szła do więzienia, ale trochę inną drogą.

- Skończone - orzekł.

- Niezupełnie - odezwał się Sully. Odwrócili się w stronę Emile'a, który, błądy i drżący, ukazał się w drzwiach łazienki, chusteczką ocierając twarz.

- Gdzie moja żona? - zapytał. Sully dotknął jego ramienia.

- Chyba szuka dla pana aspiryny. Przykro mi, ale znajdzie się teraz pod naszą opieką.

- Co się z nią stanie?

- Będzie aresztowana. Po badaniach zespołu psychologów i psychiatrów zostanie prawdopodobnie umieszczona w zamkniętym szpitalu dla przestępców umyślowo chorych.

- Boże drogi! - wykrzyknął Emile. - Widziałem takie miejsca. Są straszne. Lucy tego nie przeżyje, jest na to zbyt słaba. Miejcie dla niej litość.

- A gdybyśmy tak zapytali rodziny kobiet pomordowanych przez pańską żonę, to czy, zdaniem pana, okazałyby jej swoją litość?

Sharon Sala 373

Emile stał przez chwilę w milczeniu pod pręgierzem strasznych uczynków żony, a potem wybuchnął:

- Boże, oddałbym wszystko, byleby tylko dało się to odwrócić!

- Nie da się - powiedział Sully, a potem ujął Ginny za rękę. - Ale nie jest za późno na usunięcie z mózgu Yirginii Shapiro tego, co pan w nim pozostawił.

Ginny z wrażenia wstrzymała oddech. Bała się mieć nadzieję. Ale stary człowiek tylko westchnął i wyciągnął rękę.

- Gdyby nie ten pożar szkoły, zrobiłbym to już dawno temu. Chodź, dziecko, czas uwolnić cię od przeszłości. Zawahała się.

- Będę z tobą - powiedział Sully.

Ginny westchnęła i pozwoliła staremu człowiekowi poprowadzić się w głąb czasu.

Ujrzała siebie w szkole Montgomery'ego, idącą przez hol w towarzystwie Georgii ku ostatniej sali po lewej stronie, gdzie odbywały się dodatkowe zajęcia.

170

Sharon Sala 375

EPILOG

Umieszczona przed rezydencją Karnoffów tablica z napisem „Na sprzedaż” stała tak wiele miesięcy, że łuszczyła się już z niej farba, a poluzowane zamocowanie powodowało, że uderzała metalicznie o parkan przy każdym silniejszym powiewie wiatru. Nie przyciągała potencjalnych nabywców, gdyż ciągle jeszcze ludzie mieli świeżo w pamięci tragedię, która wydarzyła się w tym domu.

Emile Karnoff, nieustannie oblegany i nękany przez reporterów, postarał się o oficjalny sądowy zakaz wchodzenia obcym na teren jego posesji, ale to też nie zapewniło mu wystarczającej ochrony. Przestali go wprawdzie nachodzić dziennikarze, ale sąsiedzi nadal plotkowali i przekazywali sobie z ust do ust różne niestworzone historie na temat zarówno tego, co go spotkało, jak i jego intrygujących badań naukowych.

Pewnego dnia doktor znikł. Zapadł się jak pod ziemię. Nikt nie widział żadnej wywożącej rzeczy ciężarówki ani jego samego, gdy opuszczał dom. Tylko na trawniku w pobliżu frontowego wejścia rósł z dnia na dzień stos pozostawianych tam przez doręczycieli gazet.

Pewnego dnia znikła także tablica z napisem „Na sprzedaż”. Wówczas dla wszystkich stało się oczywiste, że Emile Karnoff już do domu nie wróci. Powoli poszła w niepamięć tragiczna historia rodziny i mało kto zastanawiał się już, dokąd wyjechał stary lekarz.

Lucy Karnoff zmarła dziesiątego dnia pobytu w więziennym szpitalu na atak serca.

Znaleziono ją martwą na podłodze celi. Gdy Emile dopełnił wszystkich niezbędnych obowiązków i wreszcie pochował żonę obok syna, zniknęło także największe brzemię jego własnego życia. Zbyt ciężkie, by był w stanie nadal je dźwigać.

- Jak ci się tu podoba? - spytał Sully, spoglądając na Ginny, gdy oboje przechadzali się po pokojach nowego waszyngtońskiego mieszkania. Za oknami czarne, burzowe chmury szybko pokrywały poranne, niebieskie niebo, ale oboje byli tak przejęci znalezieniem nowego lokum przed zbliżającym się ślubem, że w ogóle nie zwracali uwagi na kaprysy pogody.

- Sporo okien. To bardzo dobrze - oznajmiła Ginny. - Ale czy jest wystarczająco dużo miejsca? Nie chciałabym przeprowadzać się ponownie, kiedy po ślubie u-znamy, że mieszkanie jest za ciasne. Zresztą, jeśli mam być szczerą, nie chciałabym wychowywać dziecka w centrum dużego miasta. Jako mała dziewczynka bawiłam się na podwórku.

Napomknienie przez Ginny o ślubie i dziecku wystarczyło, aby na twarzy Sully'ego ukazał się błogi uśmiech. Im mniej dni dzieliło go od ustalonej daty zawarcia małżeństwa, tym uśmiech ten stawał się szerszy i bardziej rozbrajający.

- Jak wiesz, wolałbym zamieszkać w Wirginii - przy-

GROM 376

Sharon Sala 377

pomniał jej. - Konieczność codziennych dojazdów do miasta jest niczym w porównaniu z własnym domem, przestrzenią i czystym powietrzem, jakie moglibyśmy tam mieć.

Ginny zmarszczyła czoło.

- Ja też wolałabym mieszkać gdzieś poza miastem, ale wówczas musiałbyś mnóstwo

czasu spędzać w drodze. Sully roześmiał się wesoło.

- Słoneczko, wiesz przecież, jak wygląda moja praca. Zawsze jestem w drodze. Skrzywiła się lekko.

- Tak.

- Wobec tego umowa stoi - oświadczył Sully i pociągnął ją za płaszcz. - Zimno ci? - zapytał. - Jest ciepło jak na listopad, ale wieje ostry wiatr.

171

- Nic mi nie jest - oznajmiła Ginny.

- No to chodźmy. Znam niezły bar, w którym można dostać całkiem przyzwoite chili.

- Mają tam kukurydziane pieczywo?

- Jasne! Puchate i grube. Wielkie pajdy.

- No, to w porządku - uznała Ginny. Ramię w ramię ruszyli ku windzie. - Musimy jeszcze wstąpić do biura zarządcy?

- Nie. Prosił, żeby, wychodząc, wrzucić klucz do jego skrzynki pocztowej.

Ginny skinęła głową, zaprzątnięta myślami o zgrabnym, piętrowym domku, który oglądali w zeszłym tygodniu. Stał wśród drzew, a z okien rozciągał się rozległy widok na zielone pola ciągnące się aż do linii lasu. Sully miał rację. Z Wirginii do Waszyngtonu nie było daleko.

Będzie mogła posadzić sobie kwiaty w ogródku, może nawet jakieś warzywa...

Wychodząc z windy, usłyszeli nagle głośny grom. Przetoczył się po niebie, zwiastując zbliżanie się burzy. Sully wpuścił klucze do skrzynki zarządcy domu i podniósł kołnierz płaszcza. Na ulicy odruchowo zaczął ukradkiem obserwować wyraz twarzy Ginny. Odgłos gromów nie robił na niej żadnego wrażenia. Jak widać, doktor Karnoff dobrze wykonał swoje zadanie. Była trochę zamyślona, ale Sully był pewien, że wie, wokół czego krąży jej myśli. Nie było o co się martwić.

Znajdowali się w połowie drogi do miejsca, w którym zostawili zaparkowany samochód, gdy zaczęło padać. Ginny roześmiała się, uniosła głowę i na czubek wystawionego języka złapała kroplę wody.

- Trzeba dodać soli - oświadczyła. - przydałaby się jakaś przyprawa.

- Ty i te twoje kulinarne zapędy. - Sully roześmiał się. Wziął Ginny za rękę i pobiegli do samochodu. Dotarli do niego akurat w chwili, gdy lunął rzęsisty deszcz.

- Zanim ruszymy, włączę na chwilę ogrzewanie - powiedział Sully. - Nie chcę, żebyś zmarzła.

- Zaraz rozgrzeje mnie gorące chili i kukurydziane pieczywo. Uwielbiam to! Zrobiłam się nagle głodna jak wilk. Ruszajmy.

Z błogim uśmiechem na twarzy, który nie opuszczał go ani na chwilę, Sully włączył się do ulicznego ruchu. Kilka przecznic dalej przejechali obok stoiska z gazetami.

GROM 378

Na tyle powoli, że Ginny odruchowo obrzuciła wzrokiem ich nagłówki.

- Tęsknisz do dziennikarstwa? - zapytał Sully. Wzruszyła ramionami.

- Czasami. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Harry Redford jest naprawdę zmartwiony, że odchodzę. Zwłaszcza po moich ostatnich artykułach. Dzięki nim nasza gazeta zrobiła prawdziwą furorę. Przedrukowała je cała krajowa prasa. W karierze Harry'ego Redforda była to najdonioślejsza chwila. Za to, że stał się sławny, będzie kochał mnie do końca życia.

- Ale nie tak bardzo jak ja - z miejsca zastrzegł Sully. - Ale wróćmy do sprawy powrotu przez ciebie do pracy. Oboje dobrze wiemy, że w każdej gazecie, wszędzie, gdzie tylko zechcesz, przyjmą cię z pocałowaniem ręki.

- Aha.

- Coś mi się zdaje, że słyszę w twoim głosie jakieś „ale”. Mam rację?

- Tak. Jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, wolałabym przez jakiś czas zostać w domu. Ja naprawdę chcę nauczyć się gotować.

- Już robisz postępy - stwierdził Sully. - Wczoraj wieczorem spaghetti smakowało naprawdę nieźle. Wzniosła oczy ku niebu.

- Było z puszki.

Sully obdarzył Ginny łobuzerskim uśmiechem.

172

- Wiem.

Dała mu lekkiego kuksańca, a potem oparła się wygodnie w fotelu, bardzo zadowolona, że od tej pory siedzący obok niej potężnie zbudowany, wspaniały mężczyzna przejmie rolę pana i władcy, a ona zgodzi się na to bez najmniejszych oporów.

Sharon Sal 379

- Chcę od razu mieć dzieci - oświadczyła.

- Jestem w pełni sił i w każdej chwili gotowy wykonać swoją część zadania - oznajmił, wywołując tym stwierdzeniem radosny śmiech Ginny.

Mimo że często poruszali temat potomstwa, Sully po raz pierwszy usłyszał z ust Ginny tak konkretne zapowiedzi. Zatrzymał samochód przed skrzyżowaniem i rzucił na nią okiem. Wydawało mu się, że dostrzega łzy. Uścisnął lekko jej dłoń.

- Co, słoneczko? Westchnęła głęboko.

- Jeśli urodzi się nam córka, nadamy jej imię...

- Georgia - uzupełnił Sully. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Skąd wiesz?

Światła zmieniły się na zielone. Samochód ruszył. Przejechali skrzyżowanie, lecz Sully nadal zwlekał z odpowiedzią.

- Zadałam ci pytanie - przypomniała Ginny.

- Powiedziałam ci to w nocy. Przez sen.

- Nie.

- Obudziły mnie twoje głośne słowa i w pierwszej chwili byłem przekonany, że nie śpisz i mówisz do mnie. Usłyszałem: „Kiedy będziemy mieli córkę, nadamy jej twoje imię”. Dopiero chwilę potem uprzytomniłem sobie, że rozmawiasz przez sen z Georgią. Po twarzy Ginny potoczyły się łzy. Odwróciła twarz i popatrzyła w okno.

GROM 380

- Często mi się śni - powiedziała. - Czasami jest tak rzeczywista, że wydaje się, iż mogłabym jej dotknąć.

- Może w ten sposób Georgia chce ci dać do zrozumienia, że jest szczęśliwa.

Załamionymi oczyma Ginny spojrzała na Sully'ego.

- Naprawdę w to wierzysz? Miał wielką ochotę też się rozplakać, ale powstrzymał się.

- Ja to wiem. A poza tym jeśli naszej córce damy imię zakonnicy, to pomyśl tylko, jak znakomitego będzie miała anioła stróża.

Ginny roześmiała się przez łzy.

- Weź - powiedział Sully, podając jej chusteczkę. - Wytrzyj oczy. Dojeżdżamy do restauracji.

Zrobiła, o co prosił, a potem włożyła chusteczkę do kieszeni płaszcza.

Kiedy obserwowała wycieraczki, pracowicie usuwające krople wody z przedniej szyby samochodu, przyszło jej na myśl, że od czasu do czasu ludziom potrzebne są łzy,

podobnie jak ziemi deszcz.

Jako niezbędne potwierdzenie, że życie toczy się nadal.

Na drugim końcu świata, wąską, polną drogą wijącą się pośród irlandzkiej zieleni jechał rowerem stary człowiek, myśląc o tym, że kiedy wróci do swego domku, napije się dobrej, mocnej herbaty. Przydałoby mu się strzyżenie włosów. Białe, długie kosmyki sięgały kołnierzyka kurtki, powiewając w powietrzu podczas jazdy. Stary człowiek miał na sobie sztruksowe, jasnoszare spodnie,

173

Sharon Sala 381

buty ze zdartymi obcasami i zniszczonymi czubkami, będące świadectwem wielogodzinnych wycieczek po rozciągających się wokół wzgórzach. Ciągłe był silny i sprawny, kochał tę okolicę i jej widok przepelniał jego serce spokojem.

Z ciekawością małego chłopca oczy starego człowieka obserwowały otoczenie. W pewnej chwili, tuż za zakrętem, ujrzał przed sobą na drodze dwoje dzieci. Dziewczynka, mająca cztery, najwyżej pięć lat, siedziała, płacząc, na ziemi. Obok niej z zaniepokojoną miną klęczał trochę starszy chłopiec, pewnie brat. Na drodze leżał przewrócony, czerwony, spacerowy wózek.

Stary człowiek podjechał bliżej i zsiadł z roweru.

- Co się stało? - zapytał łagodnym głosem. Wyciągnął z kieszeni chustkę i ukląkł obok dziewczynki.

- Wypadła z wózka - powiedział chłopiec.

- Leci mi krew - dodała zapłakana dziewczynka, pociągając ponownie nosem.

- Widzę - stwierdził stary człowiek i wręczył chłopcu chustkę. - Owiń jej nogę.

- Dobrze, proszę pana. Dziękuję - odparł dzieciak i dzielnie przystąpił do bandażowania kolana siostrzyczki.

Stary człowiek zaczął powoli się podnosić, lecz ujrzawszy na twarzy dziewczynki smugi po łzach, nachylił się ponownie.

Na chwilę się zawahał, a potem dotknął delikatnego policzka dziecka.

- Pokazać ci, w jaki sposób pozbyć się bólu?

GROM 382

Mała pociągnęła nosem i spojrzała na brata. Chłopiec przyzwalająco skinął głową.

- Tak - odrzekła dziewczynka. - To bardzo boli.

- Wiem... Ale musisz zamknąć oczy. Gdy opuściła posłusznie powieki, stary człowiek położył rękę na czubku jej głowy. I powiedział:

- Wsłuchaj się w dźwięk mojego głosu...

174